

Wilczyński Albert

Z PAMIĘTNIKÓW PLOTKARZA

Obrazki z życia

A toż sobie napytałem biedy, wypaplawszy tajemnicę urodzenia aksamitnej sukni, którą pani Czupurkowa miała na ostatnim balu prawników ! Gwałtu , co ja miałem za to, co ja wycierpiałem !... Zdawało się, że mię są siadka moja zje żywcem, a pan Czupurek, posieka w drobne kawałki.... Przeszło to ja koś, ale od tego czasu nie mogę patrzeć bez wstrętu na wszelkiego rodzaju aksamity, i jeżeli kiedy będę się żenił, w intercyzie przed ślubnej zawaruję mojej przyszłej małżonce, aby w naszym domu nie było nawet tyle aksamitu co na obwiniecie palca. Nie zgodzi się na ten warunek?— odejdę od ołtarza, daję na to słowo honoru , że odejdę.

Wprawdzie rzecz biorąc po ludzku, więcej tu winien mój długi język niż aksamit; jednak że to język mój, zatem daleko łatwiej spędzić winę na aksamit, a jego w akcie oskarżenia postawić na drugim miejscu.

Nie darmo ś. p. Ezop, pełniąc prowizorycznie obowiązki kucharza przy jakimś profesorskim gimnazjum w starożytnej Grecji, po dawał mu na ucztach ozory raz jako rzecz najlepszą , drugi raz jako najgorszą na świecie. Co do mnie, to jestem za drugą opinią szanownego bajkopisarza, i gdybym tylko mój język miał czem innym przy jedzeniu zażyć, kazałbym go sobie uciąć z kretelem. Szanowni czytelnicy, tuszę sobie, że i wielu z was sub secreto podzieliło moje zapamiętanie , bo to nieraz tak bez myśli, bez żadnej złej intencji — ot Bóg wie dlaczego, przyjdzie niedorzeczny koncept do głowy, język dziwnie zaświerzbi i palnie się głupstwo niby strzał na wiatr — a potem bieda... Słowo wyleciało komarem , aż tu patrzysz rośnie, rośnie, potężnieje i za chwilę powraca wołem w towarzystwie wstydu, upokorzenia a czasami i rozpacz, które niby marodery za armią ciągną się długo i szeroko po świecie. — No — mówi sobie winowajca, bijąc się w czoło. — Czy mi też licho nadało.... żebym ja to był Duchem Świętym przewi

dział... no !

Ze raną, Bogiem a prawdą, skończyło się więcej na strachu niż na bólu , ale dla tego tylko, że pan Czupurek miał w głębi

serca trochę dawniejszej dla mnie przyjaźni, a sama pani, zemściwszy się po kobiecemu, to jest porządnie, raczyła mi powiedzieć: — Panie Kołasiński. dosyć tej wojny między nami, już mam kompletną satysfakcję !

Oj, żebym ja przy tej amnestyi mógł się przemienić w bazyliuszka, to niezawodnie za takie szyderstwo byłbym ją zabił oczami... Ale spostrzegam się, że zamiast opowiedzieć rzecz jak była, i zacząć od początku , puszczać się w jakieś gawędy z samym sobą. Otoż w tem to i kłopot, gdzie tu szukać początku. Gdybym dawnemi czasy lepiej przykładął się do logiki, a zamiast uproszonych ćwiczeń stylistycznych u mądrzejszych kolegów, z własnej głowy je koncipował— nie byłbym w ambarasie, jak poprowadzić całą historję. A tak wszystko naraz zdaje mi się ważne i potrzebne ; kto ja, kto pani Czupurkowa, kto pan Ozupurek , pani Dra chowska, pani Diterraanowa, z kądemisza znajomość i tyle innych szczegółów niezmiernie ważnych dla zrozumienia tej sprawy... Siedzę więc z piórem w ręku i kalkuluje , a w głowie zdaje mi się mam zamiast mózgu kompletny bigos odgrzewany, prawdziwy szlachecki galimatiasz. Dodawszy do *

tego, że mieszkam w Krakowie i obracam się w kołach, które lubią pyłkować otręby plotkarskie — to musicie darować, że opowiadanie niniejsze będzie również otrębiane, i nie bardzo trzymać się gromady. Zaczynam tedy od siebie. Stanąwszy przed zwierciadłem, mogę wam jak panu komisarzowi do paszportu podyktować cały rysopis : Nazwisko ? — Kołasiński. Imię ? Konrad. Urodzony? W Królestwie Polskiem. Stan ?... No stao, to tak niby żaden, ale za

wsze nie mam jeszcze żony. Wzrost? Sre
dui. Twarz? okrągła i pulchna, trochę przy
tem rumiana. Oczy? siwe. Włosy? Wprawdzie
ich nie wiele, lecz te, co są z tyłu głowy —
blond. Reszta wszystko umiarkowane, prócz
nosa, który może, jak stanę w profilu, zanad
to odstaje, ale znowu nie razi i nie defigu
ruje. Ze znaków szczególnych mam jeden już
wam znany cokolwiek — za długi język,
a jak panie powiadają, że i za ostry. Niech
i tak będzie, choć jabym dodał „niewinnie”.
Co do lat tylko zachodzi pewna kwestya, któ
rą przez wzgląd na wielu kolegów moich nie
żonatych pragnąłbym ominąć. Miałem udział
w wypadk; ch roku , a epoka ta staje
się coraz uciążliwszą przy rachubie wieku ta
kich jak ja kawalerów, Ile upłynęło od tego

czasu, każdemu wiadomo — a ile przedtem ?
Otoż w tem bieda, ile przedtem; bo dodawszy
te dwie summy do siebie, może wypaść bar
dzo poważna cyfra, kwalifikująca na stare ka
walerstwo. Radzimy sobie tedy jak można,
zrzekamy się nawet sławy, utrzymując, że
wypadki powyższe zastały nas w gimnazyura.
Dotąd jeszcze nieźle; ale co to będzie za
lat kilka? Fatalna to sprawa mieć w życiu
swojem jakąś pewną date!
Przypominam sobie, kiedy przed ośmiu
laty przyjechałem późną jesienią na mieszka
nie do Krakowa, całe miasto tak było nabite
szlachtą z Kongresówki, Podola, Wołynia i
Ukrainy, że łatwiej znalazło się szpilkę na
ulicy niż jakie takie wolne mieszkanie. Trze
ba było widzieć, jak sławetni właściciele re
alności ruszali sensacyjnie wąsami, przyjmu
jąc pretendenta do obejrzenia lokalu; jak
egzaminowali biedaka na wsze strony, pyta
jąc, czy ma paszport lub nie ma, czy żonaty,
ile ma dzieci, w jakim wieku, czy nie kaszła,
czy grzeczne, i nie mają skłonności do dra
pania murów? Na konkurenta patrzyło się
jakby z Maryackiej wieży, oglądano go niby
rekruta przy asenterunku, nieomal macane po
kieszeni, ile też może zapłacić. Złote to były
czasy, czynsze rosły na drożdżach, nic się

nie reperowało, o niczem nie chciało się wie-
dzieć, tylko się popuszczało pasa.

Wskazano mi żydka faktora od mie-
szkań, podobno tego samego, który do dziś
dnia jak pieńek starego dębu pokryty zmię-
tym cylindrowym kapeluszem podpira osten-
tacyjnie mury drezdeńskiego hotelu. Niski,
pękaty, z brązowe pomarszczoną twarzą, w
długim bezbarwnym już chałacie, stał on
nieruchomie niby płaskorzeźba jaka przy ścia-
nie, a spojrzawszy obojętnie na moją perso-
nę, raczył wysłuchać prośby o lokal.

— No, pan chce pokojów? — odzywa
się po kilku minutach.

— Chcę...

— Kiedy nie ma.

— Jakto nie ma? Nie podobna, aby
w takim mieście nie było...

Uśmiechnął się tylko litośnie pan fak-
tor, zajęty fruwaniami gołębi z maryackiej
wieży i rzekł bez ceremonii:

— Dasz pan pięć reńskich, to ja panu
dam dwa pokoje i kuchnię.

— Mniejsza o pięć reńskich, dam, tyl-
ko że ja potrzebuję trzech pokojów...

— Nie ma — odpowiedział lakonicznie
grzebiąc laską po bruku.

Cóż było robić? Niema trzech, dawaj dwa...

Pan Aron jakkolwiek bardzo leniwie,
jednak oderwał się jakoś od ściany hotelu,
i wzięwszy na rękę połę rewerendy, podre-
ptał naprzód. Przeszliśmy jedną ulicę, drugą,
potem plac jakiś, potem wazki zaułek już
bez bruku i trotuarów, i zakręciliśmy jeszcze
w lewo, chlapiąc głośno po błocie.

— Widzi pan ten dworek — mówi,
zatrzymując się na miejscu i pokazując laską
mały dość schludnej powierzchowności do-
mek o czterech oknach z facyatką na gó-
rze — To tam! Niech pan idzie i najmie....

— A ty nie pójdziesz ?

— Na co? ona nie daje faktorne... No
niech pan da pięć reńskich ?

— Mój kochany, jeszcze nie nająłem.

— Pan najmie, uajraie, bo gdzieindziej
nie ma... Daj pan choć reńskiego tymczasem...

Dałem owego reńskiego, a zbliżywszy
się do drzwi dworka, zacząłem ciągnąć za
druć od dzwonka... Szarpie i szarpie coraz
mocniej, słyszę, że dzwonek jakby w kla-
satorze jakim aż huczy po sieni — ale nikt

nie otwiera. Dolatuje mię wprawdzie pewien szmer w mieszkaniu na prawo, i niby jakaś operacja koło lufcika w oknie, jednak nikt się nie pokazuje. Powtarzam tedy szarpanie druta, i już chcę odejść w przekonaniu, że

nikogo w domu nie ma, gdy z okna w facytce u góry otwiera się lufcik, a z niego słyszę energiczny głos mężki:

— Możesz pan dzwonić i do dnia sądnego!

Spojrzałem do góry; twarz duża, włosy jasnobłond a mina bundziuczna niby u młodego wróbla.

— Więc cóż robić? — pytam.

— Wal pan w okno na prawo, a gdy i to nie pomoże, wybij szybę! Ja zawsze tak robię... Za pozwoleniem, pan dobrodziej zda je się nie tutejszy?

— Przyjechałem wczoraj z zagranicy — mówię trzymając zadartą głowę ku facytce — i szukam mieszkania do najęcia.

— Domyśliłem się — rzecze z uśmiechniętą miną ów jegomość. — Tu tylko obcy mogą nająć mieszkanie... Nie radzę panu...

— Potrzebuję koniecznie, a nie ma gdzie indziej...

— Chyba... próbuj pan tych delicyj...

Wtem słyszę, ktoś wszedł do sieni i odsunął rygiel, z czego korzystając, kłaniam się panu z facjatki i otwieram. Sień jak lańtarnia, cztery ściany — to czworo drzwi. a W każdym małe okrągłe okienko z zasuwką

wewnątrz. Wiedząc, że na prawo ktoś mieszka, biorę za klamkę.

— Kto tam? — pyta mię głos kobiecy z za drzwi.

— Ja.

— Co za ja?

— Kołasiński.

— Nikomu, a tembardziej panu Kota sińskiemu nic nie płacę — mówi ten sam głos, gdy klapka zakrywająca okienko coś ruszać się poczyna. — Niech pan darmo nie czeka, bo nie płacę nikomu, dopóki mi Faj

fer kapitału nie odda...

— Chcę obejrzeć mieszkanie do najęcia — mówię stojąc przy drzwiach — powiedziano mi, że są dwa pokoje...

— Jest, jest apartament, dwa pokoje, kuchnia, przedpokój, piwnica, strych... Śliczny apartament, czysty, wesoły, okna na południe, prawdziwe gniazdeczko — recytuje już uprzejmy głos z za drzwi.

— Wszystko to dobrze, tylko radbym zobaczyć.

— Proszę poczekać chwileczkę, jestem nieubrana...

Jakoż niezadługo otwierają się drzwi, ale już z lewej strony, a w nich pokazuje się coś podobnego z twarzy do człowieka, jednak

w kostjumie, przypominającym podbieguno wych mieszkańców. Wchodząc do pokoju, zapominam o mieszkaniu a przypatruję się tej dziwacznie przybranej osobce, której dwoje oczu kociego temperamentu obserwuje mnie z zajęciem.

Gdyby kto umyślnie łamał sobie głowę nad wynalezieniem podobnego kostiumu, jaki miała na sobie ta pani, nicby oryginalniej czego nie wymyślił. I tak na głowie jakaś stara firanka, skrzyżowana pod brodą a z tyłu związana, z pod której wymyka się na oczy parę siwych kosmyków włosów. Twarz widać kiedyś piękna, dziś tak dziwacznie pomarszczona, że zdaje się jakby ktoś namyślnie pozbierał skórę w fałdy i festony, i koło oczu, nosa i ust pozapinał sztucznie.

Ramiona okrywa także stara wypłowiała chustka kiedyś zielonego koloru, a z tej przez wystrzępione otwory na piersiach wygląda dwoje rąk niby łapki pieska, gdy służy. Niższe ubranie, koloru ceglastego, dziwacznie różnokolorowymi łatami upstrzone, odznacza się nierówną długością u dołu; jeszcze niżej, za pewne nogi, bo na nich stała, lecz tak grubo owinięte szmatami krajką przewiązanymi, że tylko ich się domyślić było można.

— Oryginalna toaleta nieprawdai? —

odzywa się z pewną dystynkeją w głosie, widząc to moje zadziwienie. — I to trzeba panu wiedzieć zawdzięczam szanownemu Fei frowi, któremu pożyczyłam cały mój kapitał... Pan zna zapewne Peifra, ten gruby, co to ma dom na Zwierzyńcu... Zawierzyłam jak komu dobremu...

— Nie pani, nie znam — jestem nie tutejszy...

— Ależ to człowiek bez sumienia, rabuś, poprostu rozbójnik! — mówi zawsze tym samym spokojnym tonem — łatwo go poznać na ulicy, bo to grubości niezwyklej i stąpa jak słoń bengalski. Wystaw pan sobie, od trzech lat centa procentu, ceuta kapitału!... Prowadzę z nim proces, już wniosłam tryplikę... a tym czasem mrę z głodu i chłodu... Z temi sądami, z tymi adwokatami niech Pan Bóg broni.... On powiada, dziesięć lat będę panią ciągnął, a ja chodzę do prezesa, chodzę do sędziowi adwokata, pewnie pan zna Krupińskie go, tego, przy którym pan Czupurek pracuje?

— Nie znam pani nikogo w Krakowie, wczoraj przyjechałem.

— Ależ dopiero pan rozmawiał z Czupurkiem, z tym młodym człowiekiem, który mieszka na pierwszym piętrze?

— Na facyatce?

— Na jakiej facyatce? — przerywa rai z pewnym grymasem zakrawającym na uśmiech. — U nas to się mówi piętro... Niech pana nie razi nazwisko Czupurek, jest on pochodzenia górskiego....

— Jak to górskiego?

— To jest z górali — dodaje ciszej — ale lo łagodności anielskiej człowiek, mieszka u mnie już pięć lat, teraz idzie na szósty.... Bardzo przyzwoity młodzieniec, choć z niskiego stanu.... wyrobił się bardzo na awantaż... Sąsiad przyjemny, delikatny, w kontrakcie ma zastrzeżone, aby po dziesiątej już nie chodził po pokoju i nie stukał niższym lokatorom.

— Któreż to są te stancje do najęcia? — przerywam, widząc że staruszka ma usposobienie do gadania.

— Przepraszam, w moim domu nie ma stancji.... Na Zwierzyńcu, na Grzegórkach, może i na Długiej ulicy znajdziesz pan stancje... U moie są pokoje, ot właśnie to jest salonik, bardzo piękny, nie prawdaż?

— Zdaje mi się, że wilgoć na dole.

— Nie, to tylko zabrudzona malatura;
miałam lokatorów z dziećmi, a dzieci wiesz

pan nie szanują murów.... Dywaników im
też na ścianę nie dano....

— Piec zdezelowany....

— Kafłowy kochany panie, z fabryki sa
mego Barucha, kosztował czterdzieści dwa
reńskich... Proszę pana, gdzież za te pienią
dze może być piec zdezelowany ?

— Drzwiczek nie ma? — mówie po
kazując na otwartą, kwadratową paszczę roz
padającego się pieca.

— Drzwiczki? A tu na co drzwiczki?

— Jakto na co?

— U nas się pali węglami i zatykać
pieców nie wolno, broń Boże, prawem zaka
zane.... Przy opale węglami zatkanie pieca
to śmierć.... Przeszłego roku był taki wypa
dek, że troje ludzi zaczadziło i nie mogli
ich odcucić...

— Jednak bez drzwiczek brzydko?

— Hm, można dostać jak kto chce; nie
kosztują więcej jak trzy, może cztery reńskie i
to hermetyczne.... Ja panu pokażę, w rynku
na rogu Świętojańskiej jest sklep pana Tara
siewiczza, tam zawsze kupowałam wszelkie
żelaziwo, jak rai Fejfer płacił procenta... Uczci
wy sklep.

Rozpatrzyłem się po pokoju; nie wy
glądał wcale ua salon, ot tak sobie zwyczaj

na stancya, z podłogą z desek wichrowa
tych, przybitych wielkimi gwoździami.

— Podoba się panu prawda ? — mówi,
patrzac mi w oczy. — Ja wiem że tak jest,
bo ten salonik wszystkim się podoba, kto tyl
ko zobaczy. Niechno pan spojrzuy ua sufit ?
malował go sam Madejski i wszystko od rę
ki; sama dawałam rysunek.... Te dwa go
łabki całujące się dzióbkami prawda, że mo
gą uchodzić za arcydzieło.... W Krakowie nie
wiele zuajdziesz pan tak pięknych sufitów!

— Eb cóż tam sufit, najmniejsza rzecz...

— Przepraszam, dla człowieka myślą
cego sufit wiele znaczy... Leżąc na sofie kie

ruje się wzrok do góry, a przyjemnie jest,
gdy oko spotka jakąś kształtną arabeskę, lub
coś podobnego jak te gołąbki.... Zaraz i myśl
inny bierze kierunek i humor się poprawia...
A jeszcze kto taki młody jak pan i zapewne
nieżonaty....

— Zgadła pani....

— Czy pan sam będzie tu mieszkał?

— Nie, mam ciotkę.

— O to moje gołąbki mogą być dla
pana użyteczne!... — dodała, ruszając figlar
nie głową.

Obejrzelśmy drugi pokój apartamentu
z oknami już na podwórze. Był dość ponu

ry, jeszcze bardziej wilgotny, lecz moja jej
mość znalazła go najodpowiedniejszym na
buduar damski, w którym właśnie powinno
być światło przyćmione....

— Ale za to widok w lecie na jabłoń
w ogródku przepyszny... Jak zakwitnie, taka
woń roztacza się dokoła, że to rozkosz pra
wdziwa, a potem ma rumiane owoce niby
krew z mlekiem jak twarz młodej panienki.
Tego roku zebrałam trzy korce, mam je w
piwnicy przechowane, i jak się pan sprowa
dzi z ciotką, poczęstuję państwa... Takich ja
błek nie ma i w Tyrolu....

— Tu dalej — mówi, otwierając drzwi
do sionki — jest wyjście na dziedzińczyk i
do ogródka; a tu — ciągnie, otwierając drzwi
do ciemnej komórki oświetlonej oknem we
drzwiach wychodzących do głównej sionki —
jest kuchnia.

— To ma być kuchnia? — pytam, zo
baczywszy ową komórkę mającą dwa łokcie
w szerz i dwa wzdłuż a w jednym kącie m
cienkich nóżkach coś podobnego do biurka
— Właśnie to jest francuzka kuchnia,
bardzo dogodna i raenazowna.... Najwięcej za
trzy centy potrzebuje węgla do obiadu....
Argumenta gospodyni nio trafiły do

mego przekonania, mimo że wygłoszone były
tonem pełnym perswazyi.

— Być może — odpowiedziałem — ale to

wygląda na żart a nie na kuchnię, gdzie się tu co zmieści ?

— Hm — rzeczy na to, uśmiechając się pani gospodyni — ja na tej kuchni gotowałam kolacje na dwadzieścia osób, gdy jeszcze córka bawiła u mnie, a Fajfer płacił mi procenta....

— A łóżko służącej gdzie stanie ?

— Szlafban kochany panie, szlafban...

— Co to jest szlafban ?

— To jest taka szafka, która się rozkłada na noc, a na dzień stanowi stół kuchenny.... Bardzo praktyczny sprzęt, do stanie pan w składzie mebli u żydów, ja pa na sama zaprowadzę. Ot tu postawi się w tym kącie... Nasze służące nie są takie wygodnie, jak w Kongresówce... Boże mój drogi, jak tam państwo przyzwyczailiście się do zbytków, a my tu oszczędnie, bo teraz grosz ciężki... Bądźno pan tak biedną wdową opuszczoną jak ja.... i miej takiego dłużnika jak Fajfer!

Podobnego Fajfra mogłem mieć kiedy, ale żeby być wdową opuszczoną udawało mi się niepodobnym, a tembardziej niepodobnym

branie na seryo małej szkatułki na nóżkach za kuchnię do gotowania.

Wróciliśmy napowrót do sionki tylnej z zamiarem obejrzenia raz jeszcze apartamentu...

— Czy nie uważasz pan — mówi do mnie z filuternym spojrzeniem i zawsze słodko delikatnym głosem — czego tu brakuje?

Obejrzałem się dokoła, patrzę tak samo jak w pierwszej sieni ścian nie ma, tylko czworo drzwi, z powodu których już nic nie mogło więcej brakować. Stoję więc i dumam nad ową zagadką.

— Proszę spojrzeć do góry...

Podniosłem głowę, rzeczywiście nie ma powały tylko kwadratowy otwór, przez który widać krokwie dachu. Okoliczność ta przywiodła mi na pamięć, że tam jest mieszkanie na strychu, a w niem pan Czupurek z konopiastą głową.

— Jakże on się tam dostaje ? — pytam zdziwiony.

— A widzisz pan ? prawda, rzecz ciekawa... Powiadają, że kobieta ma krótki rozum, jednak ja, robiąc kuchenkę z sieni, urządziłam ruchome schody, które sobie pan Czupurek wciąga za sobą... Już nikt go nie

nachodzi... A jeżeli zapomni czasem weią
U

knać, lub jest niegrzeczny — dodaje ciszej
z pociesznym uśmiechem — to ja schodki
zabieram do siebie, i pana lokatora sadzam
do aresztu....

Mimo widocznych wysień pani Dra
chowskiej, aby mi to oglądanie apartamentu
dowcipem uprzyjemnić, pragnąłem zakończyć
jak najprędzej tę zajmującą konwersację, py
tam więc o cenę.

— Sto reńskich rocznie, czynsz półro
cznie z góry.

— Sto reńskich? — powtórzyłem zdzi
wiony tak niską ceną, i mimo wielu niedo
godności jakie to mieszkanie przedstawiało,
sięgnąłem ręką do kieszeni po pieniądze.

— Zgoda, płacę pani pięćdziesiąt.

— Bardzo dobrze — mówi biorąc pie
niądze — to za apartament sto, ale prócz
tego od użycia mebli dwieście rocznie.

— Ja mebli nie potrzebuję!

— Daruje pan, a ja nie wynajmuję bez
mebli.... Jest kanapa, stół jadalny, cztery
krzesła, proszę zobaczyć, stoją pod wystawka
w dziedzińcu.

Zwróciłem oczy w tę stronę, rzeczywi
ście stało tam coś podobnego do sprzętów,
które pani Drachowska wyliczyła, ale tak zu
żyte, że wstyd byłoby umieszczać te graty

nawet w czeladni. Bez pokrycia, podarte,
połamane, obszarpane.

— Jak to, od tych mebli żąda pani
dwieście reńskich rocznie?

— Tak kochany panie, w ratach pół
rocznych z góry.

— Ależ niepodobna tych rzeczy u
żywać!...

— Już to od woli pańskiej zależy... Ja
meble daję i zastrzegam, aby w tym stanie
były oddane....

Nie mogłem zrozumieć tego dziwactwa
gospodyni i spojrzałem na nią seryo, my
śląc, że mam do czynienia z osobą niespeł

na rozumu...

— Więc koniecznie z meblami ?

— Tylko z meblami.... moge nawet do dać na wiosnę dywanik.... — mówi krygując się przedemną staruszka — Proszę tylko pamiętać, że z lokalu sto reńskich rocznie, a od mebli dwieście. Tak będę żądała podpisania fassyi, a gdyby nawet wymagano od pana informacji z komisji podatkowej, proszę pamiętać, że czynsz z apartamentu sto reńskich....

Potrzebowałam, ciotka nie chciała za nic mieszkać dłużej w hotelu, gdzie, jak mówiła różne się nieprawości i hałasy wyprali*

wiają, więc dodałem sto reńskich, zabrałem klucze i żegnam gospodynię.

— Jeszcze dwa maleńkie waruneczki....

— Słucham panią.

— Piwnica jest wspólna ze mną.... Ja tam bardzo mało co mam , trochę jabłek i to w skrzynce zamkniętej. A jaki prześliczny zapach od tych jabłek? Żadne wonności tak nie pachną.... wszyscy się zatrzymują na wiosnę, przechodząc koło okienka....

— A drugi warunek ?

— Że pan Czupurek przechodzić będzie przez kuchnię pańską do tej sionki.

— Jako przez moją?

— On tylko dwa razy na dzień idzie — rano o ósmej wychodzi, a wieczór o siódmej wraca.... Innego przejścia nie ma... To taki delikatny młodzieniec, przesuwają się jak cień, i sądzę to kucharce nie zaszkodzi.

— Na to zgodzić się w żaden sposób nie moge!

— Więc pan, mężczyzna, pozwoliłbyś aby przechodził przez mój damski apartament?

— Pozwoliłbym — mówię , spojrzawszy na dziwaczną postać gospodyni.

— A nie spodziewałam się — rzecze mi z uroczystym wyrzutem pani Dracho

wska — żeby w Kongresówce w ten sposób

kobieiy traktowano....

— Proszę pani, wszak ta idzie o kuchnię, a nie o kobiety?

— U nas nie tak — ciągnie dama widocznie rozzalona — u nas młodzież jest z całą attencyą i uszanowaniem dla dam... Zawiodłam się na grzeczności pańskiej.... Kościuskiom jeszcze nie oznacza stopnia zajmowanego w społeczeństwie.... Niech pan nie myśli, że ja jestem sobie taka.... proszę zapytać pani Drachowska? Na książęcych salach bywałam kochaną panią, hrabia August całował mię po rękach.... Mój nieboszczyk mąż, nadworny lekarz księcia, człowiek nauki.... pokażę panu jego rozprawy medyczne.... medale brał.... atestaty.... był członkiem Akademii w Królewcu....

Ot! dałem sobie chleba! — myślę słuchając monotonnego klekotania staruszki, która w żaden sposób nie dała mi przyjść do słowa i objaśnić, że tu nie idzie ani o galanterię, ani zasługi jej męża, byłego członka Akademii w Królewcu a tylko o przejście przez kuchnię.... Ona argumentuje i dowodzi, a ja powiadam nie i nie....

— No, to w takim razie nie będziesz pan miał drwalni, bo jest tu przejście na

dziedziniec obok przez bramę, ale ja z niego urządziłam drwalkę.

Nietylko drwalkę, ale byłbym i polewę mieszkania ofiarował, aby się uwolnić od tych moralizowań pani Drachowskiej. Powiedziałem, że zapytam się ciotki i jeżeli pozwoli, to dobrze.

Wypadam na ulicę jak z łaźni.

— Panie dobrodzieju! — wola nade mną lokator wychylając głowę z piąterka — Złapała pana, hę ?

— Nająłem!

— I zapłaciłeś półroczny czynsz z góry ? naturalnie z meblami!

— Tak jest.

— Winszuję panu, szkoda twoich pieniędzy ; za dwa tygodnie uciekniesz z matkami.

— Przepraszam pana — odzywam się z zadartą głową ku sąsiadowi — że go za pytam o przyczynę takiej przepowiedni.

— Bo to panie jest czarownica, dyabeł złotousty.... herod, wampir ssący krew ludzką....

— A dlaczegoż pan tu mieszka i to

podobno lat pięć ? — pytam ciekawie.
— Tak jest pięć lat; ależ mój panie
Ja żyję tylko walką! Walka to mój chleb

powszedni , jak się którego dnia z tą babą
nie wyklóć, nie mam apetytu.... Słyszałem
pańską rozmowę w sieni.... pan nie jesteś
stworzony do walki, pan ustępujesz, i za dwa
tygodnie, pożegnamy go niezawodnie.... Nikt
tu dłużej nie popasał, a wszystko obcy....
Szkoda tych stu pięćdziesięciu reńskich.
Sąsiad zamknął okno, a ja zmartwiony
tem co się stało i przepowiednią pana Czu
purka zdałem sprawę ciotce, zamilczając o
komentarzu , jaki mi młodzieniec z faeyatki
udzielił.

Na drugi dzień kupiliśmy meble, przy
jęli służącą, coś bardzo rezolutaego usposo
bienia, i sprowadzili się na nowe mieszkanie.
Ciotka moja, panna już w latach, nieocenio
nej dobroci kobieta a we mnie formalnie za
kochana — mimo , że pokoje a szczególnie
kuchnia niebardzo jej się podobały, udała za
dowoloną, i o ile warunki miejscowe po
zwałały, urządziła mieszkanko bardzo przy
zwoicie.

Gospodyni, już ubrana do wyjścia na
ulicę, w czarnym kapeluszu odwiecznego fa
sonu i w futerku z tumakowym, dobrze wy
tartym i pokudlonym kołnierzem , nawet w
trzewikach , wstąpiła do nas z powitaniem,
a układną miną i słodyczą w mowie, od ra

zu zjednała sobie ciotkę. Dając rady, jak co
gdzie ustawić, gdzie taniej co kupić, jak się
ze służbą obchodzić itp. drobnostkowe infor
macye, umiała trafić do przekonania cioci,
która ma również nieprzewycięzoną skłon
ność do oszczędności.

— Wcale przyzwoita osoba — mówi
po wyjściu gospodyni — znać zaraz , że to
coś lepszego; gust niezwyčajny, po fran
cuzku ślicznie mówi, a uważałeś ta intonacya
głosu, pełna dynstynkcyi, ta delikatność w
obejściu, oznaczają osobę wyższej sfery... Bar
dzo jestem rada, że tak się zdarzyło.... za

wsze przyjemnie mieć w domu podobne to warzystwo....

Nie przeczyłem temu , lecz jakoś inaczej o tem myślałem , rad jednak, że nietylko mnie jednego potrafiła ta jejmość na razie obalamucić. Zauważyłem i to, że pani Drachowska nie pokazała, się ciotce w takim kostiumie eskimosów, w jakim rnię przyjmowała, lecz ile razy przysłała to zawsze ubrana do wyjścia, albo też niby powracając z miasta, w kapeluszu i futerku — co, jak się okazało później, było jej jedynem ludzkim ubraniem.

Obie kobiety, moge powiedzieć przez cały dzień następny rozkoszowały się sobą.

— ZD —

Moja ciotka jako kasztelanka z rodu miała trochę pretensji do dobrego tonu; wychowana w Warszawie przed trzydziestym rokiem, przechowała w obojętności swojej ten delikatny odcień ugrzecznienia, jakim się ówczesne towarzystwa stolicy odznaczały i nadzwyczaj przestrzegała tych form światowej etykiety. Dziś jeszcze starsze kobiety z tej epoki bardzo łatwo odróżnić się dadzą w towarzystwie; rozmowa ich ma pewien wdzięk słodczy, jest elegancka a nie wymuszona; wyrażenia się ich doborowe a nie pretensjonalne, i w całym obojętności pewien takt, może nieco monotony jednak ujmujący i nakazujący uszanowanie....

Ciocia nie* puszczała się ani myślą ani czynem na żadne ekscentryczności; — powierzchownie nie unosiła się nigdy, nie znała nudów, lecz prawie jak dobrze nakręcony zegarek, wyrobiwszy sobie swój porządek dzienny, wykonywała go skrupulatnie, bez pośpiechu. Boję się, abym jej pamięci nie obraził, porowuj wując ją do kury dziobiącej cierpliwie i skrupulatnie ziarno po ziarku rzuconej na karmę pszenicy.

Wierzyła wszystkim i wszystkim ufała za ludzi dobrych i uczciwych, nie przypuszczając, aby można się dla jakiej bądź ko

rzyści maskować. Pani Drachowska, kobieta z tej samej epoki, kubek w kubek wyznała też same opinie i dlatego, jak powiedziałem, rokoszowały się sobą przez całe dwa dni pierwsze, przesadzając we wzajemnych grzecznościach.

Tymczasem ja zaraz na drugi dzień zacząłem pełnić obowiązki odźwiernego u mojej gospodyni. Od godziny siódmej z rana pani Drachowska odbierała wizyty różnych wierzycieli, upominających się o zapłatę. Po dług zwyczaju, nie otwierała nikomu, a że pierwsza sionka, przeznaczona na przedpokój do naszego apartamenciku, na klucz ciągle była zamknięta, więc co kto zacznie dzwonić, ja idę otwierać, nie mogąc znieść tego uporczywego bimbania w dzwonek niezwyklej doniosłości.

Pierwszym bywał chłopak od szewca, bosi, zabrudzony, rozczochrany, bez czapki, z rękami schowanymi przed zimnem za fartuch na piersiach. Wpuszczony do sieni, zwracał się ku drzwiom na prawo, i z ciepłą wością godną lepszej osoby niż terminator szewski, zaczął szamotać klamką; szamotanie to z właściwym sobie metalicznym skrzypem ciągnęło się najmniej kwadrans, nim dał się słyszeć głos z za drzwi.

— Odstap! niech cię zobaczę. Czegoś się tak przyczepił do drzwi, czego mi zabrudzasz malowanie!

Chłopak odstepuje przestraszony, a pani zobaczywszy go przez okienko, które było w górnej części drzwi, zaczyna słodziu tkim głosem:

— Moje dziecko, jeszcze ci nie mogę zapłacić.... nie mam dziś pieniędzy....

— Majster powiedział, że duchem potrzebują, bo nie mają za co skóry kupić....

— Trudno, niech jeszcze poczeka, pójdę jutro do banku i jak odbiorę to zapłacę....

— Nie kazali mi odchodzić — mówi chłopak, przestępując z nogi na nogę....

— Nic nie wyczekasz moje dziecko, Fajfer mi nie płaci ani kapitału ani procentu.... Jak mi odda to i ja oddam.

Okienko się zasunęło, chłopiec stał i stał, próbował nawet jeszcze raz choć delikatnie poruszyć klamką, ale za drzwiami cisza grobowa, więc podrapawszy się w głowę poszedł....

Zamknąłem drzwi za nim i siadam do

li
śniadania. Za chwilę, słyszę znów bam, bara...
Idę otworzyć — ten sara chłopak , ale już
z płaczem i ze sterczącą czupryną na wierz
chu głowy.

— Czegóż ty jeszcze chcesz?
— A czego ? — mówi szlochając —
majster mie wybił i majstrowa także, dla
czego m nie przyniósł pieniędzy.... Powiedzie
li, nie ustępuj, dopóki ci nie zapłaci....
Zaczęło się znowu toż samo targanie
klamką, a jakkolwiek trwało znacznie dłużej
n i pierwszym razem jednak bez skutku. Chło
pak' nie tracąc energii , wciąż klekotał i
klekotał, akompaniując sobie głośnem szlo
chaniem.
— Mój chłopcze — mówię — idź, prze
ziębisz się!
— A jakże ja pójde — odpowiada ury
wanemi sylabami wśród czkawki — kiedy
mie majster jeszcze lepiej wybije.
— Ileż ci się należy?
— Sześćdziesiąt siedem centów za pod
zelnnek trzewików i dziesięć centów za ob
czas i trzy centy za przyszczypek...
Zal mi było chłopaka, że tak marzył w
sieni, poszedłem więc do pokoju z zamiarem
zapłacenia tych ośmdziesięciu centów, lecz
kiedym powrócił, już go nie było... Zamykam
i staję przy oknie, aż tu sapiąc drepcze wi
docznie juz sam majster w granatowym sur
ducie , z pod którego wygląda skórzany far
tuch majsterski, pędzi, trzymając w palcach

jednej ręki ni uch tabaki, a w drugiej samą
łubianą tabakierkę i zaczyna dzwonić ale już
jakby na gwałt.

Nie spojrzawszy na mnie, który mu o
twieram, zwraca się ku drzwiom pani Dra
chowskiej, i już nie w klamkę ale w same
drzwi dudni ręką. Majster widocznie zły
strasźnie, bu rusza wąsami, zażywa tabakę,
raz po raz i szturmuję...

— Cóż to za gwałty majster wyra
biasz? — daje się słyszeć głos z za drzwi.

— A dlaczego pani nie płaci...
— Mój panie majstrze, trzeba być grzeczniejszym — ciągnie tym samym słodkim i spokojnym głosem gospodyni — Jak bym mogła zapłacić, tobym zapłaciła — a tam na drugiej stronie mieszkają państwo z Warszawy i co sobie pomyślą o takim grubiaństwie majstrów krakowskich?
— To niech pani zapłaci, ja już dłużej czekać nie myślę, ja z pracy żyję, skóry nie mam za co kupić, na chleb nie mam... Cóż to znowu za moda?... Trzy tygodnie już chłopak łązi i łązi, a zawsze jedno...
— Jutro pójdę do banku i jeżeli mi wydadzą pieniądze — zapłacę...
— Co mnie do banku... co mnie państwo z Warszawy, niech paui da tych ośmdzie

siąt centów... zawsze słyszę o tym banku...
i nic.

— Może i Fajfer mi odda...
— Trzysta mi dyabłów do Fajfra! Ja Fajfrowi nie reperowałem trzewików.
— A ślicznieś pan nareperował? — przyszczypek już się odpruł, musiałam dziś sama przyszywać, i podeszwa jak papier... obcas ze starej skóry... Jaka to sumienność u majstra? Poczekaj, powiem ja to księdzu proboszczowi na Kleparzu, on majstra z ambony wywoła...
Jak raz na to pojawia się w sieni jakaś kobieta okryta? czerwoną kraciastą chustką.
— Dała ci czy nie? — pyta szorstko męża.
— Powiada, że nie ma, że pójdzie do banku...
— Co, ty wierzysz? Ona siedzi na pieniądze, a chce żyć ludzką krzywdą. Józefie bij we drzwi, ani pytaj... Patrzcie państwo, chciałyby, żeby jej za darmo robić!... No, czegoż stoisz jak słup jaki... z czemże pójdę do miasta?... Majster niby... ty, ty wart jesteś być pastuchem a nie majstrem szewskim!... Tak, sznupaj to tabaczysko, sznupaj... Dasz na obiad czy nie? bo cię tak palnę jak Wicka... Przy kieliszku to masz rozum i po

trafisz żonę poniewierać, a jak idzie o swoją pracę, to tylko tabakę niuch, niuch... — Słyszypgini! — woła, stukając we drzwi — albo daj pieniądze, albo ci kamienicę rozwałę... — Piękna mi majstrowa, kobieta, kato liczka... — mówi przeze drzwi tym samym tonem łagodnym gospodyni — katować biednego chłopca. Gdzież majstrowa, masz sumienie, gdzie miłość chrześcijańska w sercu?... — Oddasz pani czy nie! Pani, jaka mi pani, gorsza od żydówki z Kazimierza... — Powiedziałam, że pójdę do banku... — No stój, stój ty niedołego! — mówi do męża, ciągnąc go za poję. — Niechno ją spotkam na ulicy, obedrę, jak zbawienia duszy pragnę, obedrę z tego kudłatego futerka... Zwymyślam, z błotem zmieszam... pani... jaśnie wielmożna, a nie ma czem za trzewiki zapłacić... Poszli przecie, wygrażając się do pu stego okna i kluąc przez całą drogę, a ciotka moja jakkolwiek bronila jeszcze nieszczęśliwej kobiety, jednak widziałem, coś kręciła głową. — Biedna ona — mówi do ranie — tyle znosi impertyuency i grubiaństwa. Uważałeś, ona nic nio gotuje... czem to się żywi?...

Zdaje się, że wczoraj przyjęła służącą... A jak ją musztruje, słyszałeś....

Niestety słyszałem od rana do nocy gderanie nad jakąś łachmanami okrytą latmoże czternastu dziewczyniną. Każe jej być stróżem domu czyścić podwórzec, zgrabiać liście w ogródku, myć podłogi, dach reparaować, a stoi nad nią i chodzi kruk w krok, monitując co chwila tym jednostajnym ewangelicznym tonem.

Jeszcze tego dnia wysłuchałem sceny z blacharzem, któremu się należało za reparację rynny, a którego robotę krytykowała, jakoby dał starą blachę i jakoby zamiast cyny do lutowania użył jakiegoś kitu....

— Zobaczą mój panie majster — rzecze mu na pożegnanie — jeżeli się do wiosny nie rozlutuje, to zapłacę..

— Eh, proszę pani, ktoby tam czekał tak długo! przyjdę ja jutro z drabinką i za biorę rynnę napowrót. Bo ja to szewc, że bym tu laził tygodniami i dał buty.. mnie za darmo nikt nie reparuje...

— Niech majster spróbuje — rzecze

mu z przekąsem — pójde do adwokata mego
i podamy skargę do sądu , że majster dopu
ścił się gwałtu.... Rynna przybita... to od

rywając ją, będzie kradzież popełniona z czy
nem gwałtownym....

Oryginalnie również odprawiła faktor
kę, która jej tę nieszczęśliwą dziewczynę do
służby przyprowadziła i przyszła nпомnieć
się o swe wynagrodzenie.

— A cożeś mi to asani dała za słu
gę ? — rzecze cokolwiek żywiej — dziewczynę
z rozbitą piersią ?

— Jaktó proszę pani z rozbitą ?

— A tak, że kaszle całą noc, a w pier
siach huczy jej jak w rozbitym garnku. Sły
szałam różne kaszle, lecz takiego dudnienia w
pustej becze nie praktykowałam... Zobacze,
jak ona się będzie sprawować, dobrze, to za
placę faktorne....

Prosząca była jakąś pokorną kobiecina
i tak umiała molestować, że pani Drachow
ska, uwzględniając tę jej potulność, rzekła
wspaniałomyślnie:

— Jutro idę do banku po pieniądze,
i jeżeli mi dadzą, dostaniesz asani dwa centy...

Nieszczęście mieć chciało, że pan Czu
purek w pierwszą niedzielę, wracając wcze
śniej niż zwykle na pięterko, nie wyciągnął
za sobą drabinki, czyli jak gospodyni nazy
wała schodów. Widocznie miał zamiar czy
zejść zaraz, czy kogoś się spodziewał, dość,

że ciotka idąc do kuchenki, nie mogła na
szych drzwi otworzyć, bo były drabiną za
stawione.

— Ja tu zaraz ukarzę nierozwagę pana
Czupurka — mówi, wyglądając przez swoje
drzwi gospodyni. — Wymówiłam sobie, żeby
te schody albo wieszał na kołku , albo zabie
rał z sobą... Poczekajże roztrzepańcze jakiś...
I nie wiele myśląc zabiera drabinkę do
swego pokoju.

Jak raz przychodzi listonosz z rekomen
dowanym listem do sąsiada, a nie mając któ
rędy przejść do niego, bo nasza kucharka

stanowczo przez kuchnię chodzić nie pozwala
ła , zaczyna przed domem wołać do pana
Ozupurka.

— Ja zejść zaraz , proszę się zatrzy
mać — rzecze otwierając lufcik.

Ba, jakże tu zejść, kiedy nie ma schodów.

— Pani, pani! — woła przez otwór z
powąły — proszę mi dać schody.

Pani się nic nie odzywa....

— Proszę dać schody! — krzyczy już
głośniej tupiąc nogą w powałę.

Toż samo milczenie.

Sąsiad pobiegł na drugą stronę strychu
i zaczął z całą energią tupać nogą w powa
łę właśnie nad pokojem pani Drachowskiej,

gdy tymczasem, niecierpliwiąc się przed do
mem listonosz, powtarzał swoje wezwania, co
do odbioru listu.

Zwabiony tym hałasem , wyszedłem i
ja do owej sionki, a sądząc, że gospodyni
nie słyszy, zaczynam dobijać się do jej mie
szkania.

— Pan Ozupurek prosi o schody, bo
zejść nie może.

— Niech siedzi, skoro nie dotrzymuje
kontraktu... — była odpowiedź.

— Ależ pani, listonosz czeka na dole
i nie może się dostać ani on do niego, ani
pan Ozupurek do niego....

— Niech siedzi za karę! — powtarza
spokojnym tonem pani Drachowska, gdy są
siad jak rozwścieczony tygrys w klatce, łoś
mocz po strychu , bije nogami i krzyczy w
niebogłosy, nie przebierając w wyrażeniach.
Jednakże na wszystko jest sposób. Nie
mogąc sobie inaczej poradzić, spuszcza przez
okno jakiś sznurek z ciężarkiem, do którego
listonosz przywiązuje list i receptis. Pan Ozu
purek wciąga go na górę i tą samą drogą
odsyła pokwitowanie. Widocznie nie czytał
już owego listu , bo zjawia się w tej chwili
przy otworze w suficie po nad ową sionką, i
już na całe gardło krzyczy na dół:

— Dasz schody babo czy nie ?

Pani Drachowska na takie dictum acerbum nie mogła pozostać obojętną, bo otworzywszy drzwi swego pokoju, wychyliła się z nich w kostiumie eskimosa, skierowała głowę do góry. a gestykulując chudą ręką w stronę sąsiada, mówi słodziutkim tonem :
— Żebyś pan grzecznie prosił, tobym dała, a skoro nie, to nie....
— Ja ci tu pokażę grzeczność sekunty ! — zawoła spuszcżając nogi przez otwór z zamiarem zeskoczenia.
Pani Drachowska obserwując te jego ruchy, myk za drzwi, lecz nie słyszząc spodziewanego skoku otwiera je napowrót....
— Piękne pan dajesz wyobrażenie o swoim wychowaniu Panna kasztelanówna (była to mowa o mojej ciotce) będzie wie działa, co sądzić o górskiej edukacji pana Czupurka....
— Zaraz ja asani pokażę edukację dolną. Dawaj pani schody, bo cały dom roztrzęsę, bo spalę, jak Boga kocham zapalę.... Straszne rzeczy!...
— Biorę pana Krasińskiego za świadka, że pan Czupurek odgraża się podpaleniem.... Coraz lepiej, coraz lepiej....

Kłótnia górnych stref z niższemi już doszła do ostatecznych granic... Ze strychu leciały słowa jak pioruny z coraz energiczniejszemi manewrami do zeskoczenia — z dolnych powtarzały się błyskawice otwierania i zamykania drzwi, a wśród nich migotała tylko głowa okręcona firanką.. .

— A to jędz....
— Gbur....
— Czarownica....
— Jak z szynkowni!
— Dawaj pani schody....
— Siedź aspan !.

Takie i tym podobne komplemeota wy padały to solo to chórem, a ja przypatrując się tej burzy, trzymam się za boki od śmiechu, jakby na jakim przedstawieniu trywialnej farsy.

Ciotka tymczasem, która nic podobnego w życiu swoim nie widziała, i obawiając się abym i ja co z tego nie oberwał, ciągnie mię za poły surduta wewnątrz mieszkania.

— Konradku, powiedz mi, co to takiego ?

Ale ja tak się śmiałem, i tak się do

brze bawiłem, patrząc na komiczne zajście,
że co chcę słowo powiedzieć, to mię śmiech

porywa. Ciotka zastraszona, nie mogąc się
nic dowiedzieć, ucieka do drugiego pokoju.

— Sąsiedzie, otwórz drzwi lepiej! —

krzyknie mi z góry pan Ozupurek.

— Nie otwieraj pan! — woła chowając
głowę gospodyni.

— Otwórz, ja zeskoczę po drzwiach!...

Nie myśląc co robię, uchylam moje
drzwi tak, że kant górny zaszedł na otwór,
a pan Ozupurek równemi nogami na niego,
a ztąd na podłogę sieni. Pani Drachnowska
trzask, trzask, zamyka się na dwa spusty, i
jeszcze raz na zasówkę.

Od silnego skoczenia na moje drzwi,
oberwał się zawias tak, że tuż za panem
Czupurkiem z ogromnym trzaskiem powaliły
się i one na niego. O ile śmiech nie odebrał
mi siły, przyszedłem mu z pomocą, jednakże
ta okoliczność musiała uspakajająco na niego
oddziaływać, skoro zwróciwszy się ku mnie cały
okurzony pyłem, rzekł:

— Dziękuję panu.... A co nie mówiłem,
jakie to ziółko?

— To nic — mówię, pasując napowrót
drzwi do futryny — to walka....

— Tak panie, walka na śmierć i ży
cie!... Ja ją, nauczę... ja jej pokażę! — woła,

poprawiając włosy na głowie i otrzepując się
z pyłu....

— Spodziewani się, że pan będzie
miał dobry dziś apetyt....

— Czarownicę nawet połknę.... Idę do
policji, sprowadzę tu komisarza.. A to stra
sne rzeczy, panie dobrodzieju.... No widzisz
pan, jak tu można żyć z tą jędzą?... Nic
tylko do policji.... Niech pan dobrodziej po
zwoli, ja naprawię te drzwi.... Jakie to za
zawiasy L.. Proszę zobaczyć, wszystko zardze
wiało, wszystko z tandety....

— No, ale w czymże pan wyjdiesz na
ulicę? — odzywam się, widząc, że uniesio
ny walką zeskoczył bez kapelusza i tylko w

kurteczce pokojowej.

— Prawda — mówi, spoglądając na siebie — trzeba się jeszcze raz dostać napowrót, będę szturmował teraz do jej drzwi, ona musi dać schody!... Ja jestem taki zawzięty, że niech co chce będzie, niech mi w kawałki posiekają a na swoim postawię... Zginę, a babę nauczę rozumu!

— Jednakże — pytam go zdowu — powiedz mi pan, proszę, dla czego znosisz takie historyę, a nie wyprowadzisz się gdzie indziej ?

— Dlaczego?... bo ja tu muszę... boja panie jestem człowiek uparty i czem mnie kto bardziej dokucza, tem ja jemu więcej...

— Na nic się to nie zdało, na nic — odzywa się przezedrzwi Drachowska — Cesia nie wróci, nie... Zegnam pana, idę do kościółka na nabożeństwo... Jak pan będziesz grzeczny i ładnie mię poprosisz, to jak wrócę, dam schody...

Ehe — myślę sobie, tu w tem wszystkim jest jakaś Cesia bratku... rozumiem... Coś jest...

Gospodyni rzeczywiście wyszła drugie mi drzwiami na ulicę, a ja chcąc ratować sąsiada, który na wspomnienie owej Cesi ja koś bardzo spokorniał, wyniosłem stół z naszego mieszkania, na tym stole postawiliśmy krzesło i po tych dostał on się na górę, a ubrawszy się, zszedł znowu na dół... Ciotka dostała spazmów i palpacji serca. I

— Mój Konradku, wynośmy się ztąd, jak mię kochasz... Ależ to piekło prawdziwe w tym domu. Jakże mogłeś najmować po dobne mieszkanie wiedząc, że ja tak się wszystkiego boję...

— Kochana ciciu, czyż mogłem prze widzieć?... Dobrze, poszukam, będę się sta

rał, jednak do pierwszego trzeba przemieszkać, bo w tym czasie nie znajdę innego... Jednak przyzna ciciu, że to zabawna była scena... Jak cicię kocham, czuję, że mię tu

wszystko boli od śmiechu... Zeby ciocia wi
działa, z jaką furią latał koło tego otworu i
nie mógł się dostać... a pani Drachowska z
całym spokojem recytowała morały, nie ustę
pując ani kroku... Póki żyję tej awantury nie
zapomnę...

— Mój kochany, dobrze ci się śmiać,
ale ja to zdrowiem przyplączę... Bałam się,
że ją zabije, a gdy skoczył z góry i te drzwi
trzasnęły, sądziłam, że strzelił kto z arma
ty i dom się wali... No, no, taka delikatna
osoba w mowie... taka zdawała się dystyngo
wana... patrz, jak mi jeszcze serce bije...

Niedługo wróciła i dystygowana oso
ba z kościoła, i jakby nigdy nic nie było,
przyszła do ciotki w salopce z futerkiem i
owym czarnym kapeluszu...

— Ledwie, że w modlitwie znalazłam
pocieszenie — odzywa się siadając na fotelu...

— Gdzież można takie awantury wy
prawiać? — rzecze na to ciotka bardzo chłó
dnym tonem.....

— Otoż ma pani dzisiejszą młodzież
krakowską!... Oni wszyscy tacy... żadnego

uszanowania dla kobiet, żadnych względów...
To łaskawa pani edukacja z gór bez zasad
moralnych, bez religii...

— Pocóż było mu zabierać te schody,?

— A czemuż ja go ukarzę, jeżeli nie
dotrzymuje umowy? Tym sposobem kochana
pani nie mogłaby przechodzić do swojej ku
chni.... Nie dość, że mu pozwalałam przecho
dzić przez swój buduarek, a on za to w ten
sposób mi się wywdzięcza?

— Jednakże skoro on mieszka tutaj i
płaci, musi przecie dostawać się jakoś do
swego pokoju....

— Prawda, ale niech będzie grzeczny...

Pani słyszała, czy ja dla kogo bądź jestem
niegrzeczna, czy się unoszę? Ale ci mężczy
źni teraz przybierają względem nas jakiś ton
wyższości, jakieś prostackie maniery i wy
rażenia.... Jeżeli dzisiejsze damy chcą im ustę
pować — niech ustępują, zobaczą, jak na tem
wyjdą. Ale ja łaskawa pani nigdy i nikomu
nie pozwolę sobie ubliżać....

— Wypowiedzieć mu mieszkanie!

— Kiedy się nie chce wyprowadzić,
zresztą płaci regularnie, a Cesia prosiła, aby
nie zrywać z nim, chociaż ja nigdy się nie
zgodzę na jej małżeństwo z takim nieokrze
sanym górąlem.

— Któż to jest ta Cesia? — ośmieliłem się wtrącić do rozmowy.

— Jakto pan nie zna mojej Cesi?

— Nie miałem tej przyjemności...

— Zaraz ja panu pokażę jej miniaturę mojej własnej roboty na kości słoniowej....

Oj ! spodoba się panu, ręczę, że się spodoba ! — dodaje figlarnie, wychodząc z pokoju. — Żeby taki młodzieniec grzeczny się stał , to co innego....

Ogromnie byłem ciekawy tej Cesi, i nie wiem dlaczego, ale musiałem mieć jakieś przeczucie, że ta Cesia dobrze mi kiedyś do kuczy; więc skoro tylko wróciła pani Drachowska, niosąc w aksamitnych ramkach oprawioną miniaturę, prawie jej wyrwałem z rąk, i nim ciotka powiedziała: „a dajże mnie zobaczyć" pobiegłem z nią do okna.

Gdyby choć w dziesiątej części oryginał był podobny do portretu, pannę Cecylią za liczyłoby trzeba do pierwszorzędnych piękności. Twarzyczka nadzwyczaj regularnego owalu z wyrazem anielskiej słodyczy, a jestem przekonany, że i z dołeczkami przy uśmiechu; blondynka jasna lecz żółtawego koloru, tego właśnie, który artyści nazywają ciepłym kolorem włosów; za to duże czarne, ale tak czarne jak smoła oczy, przynaj

mniej z miniatury na takie wyglądały. Brew wąziutka także czarna, cera przejrzysta słabo różowego odcienia, a spojrzenie kogoś bardzo znajomego przypominające. Jak raz mam, żonę Szczęsnego Potockiego, ową sławnej piękności Greczynkę, której portret znajduje się w galerii berlińskiej.

Nie mogłem oderwać oczu od tej naiwno dziecięcej twarzyczki panny Drachowskiej, bo wyglądała na bardzo miłutkie stworzeńko, prawdziwe pieścidełko, ideał kobiety....

Proszę, nie miejcie mi za złe czytelniczki , że w taki sposób opisuję ideały kobiece, ale bo to mój gust wyłącznie osobisty — przepadam za blondynkami z czarnera okiem,

a za czem przepadam, to stawiam na swoim
ohtarzu....

— A co, moja Cesia piękna panienska? —
zapytuje stara, spoglądając mi przenikliwie w
oczy. — I trzeba panu wiedzieć, zupełnie
do mnie podobna.... taką byłam w jej wieku.
No, niechże mi panna kasztelanówna powie,
czy mogłabym tak piękne, idealne dziecko
oddać za tego człowieka z gór, za takiego
prostaka, gbura, passionata.... Pani go wi
działa, wyglądaj ak małpa....
— Nie widziałam — odzywa się ciotka
trzymając w ręku miniaturę....

— Cały zarośnięty na twarzy, oczy jak
cebule, blade, bez wyrazu, jakieś świdrujące.
Włosy ma niby konopiane druty... ani wzrost,
ani figura, jakieś to krępe, bez żadnej dy
stynkcyi; tylko mu włożyć kapelusz z dużym
rondem i dać łapki na myszy do ręki, a bę
dzie druciarz, jak pannę kasztelanę szanu
ję.... prawdziwy druciarz. Wywiozłam też Ce
się na wieś do mego siostrzeńca, wyobraź
sobie pani naiwne to dziewczyniátko gotowo
się było zakochać.... Co za gust dzisiejszych
panien!... nie rozumiem...

— A czy podobna do portretu? — py
tam zamyślony, odbierając miniaturę z rąk
gospodyni.

— Mam honor panu powiedzieć, ie ła
dniejsza.... Tu koło nosa zrobił mi się nie
potrzebnie mały stryzek, i wygląda jakby
ten nos był podcięty trochę, prawda? A w na
turze tak nie jest; śliczny ma nosek malutki,
foremny....

— W ten sposób — mówię mimowoli
wzdychając — musi być zachwycająca!

— A jak gra na fortepianie, jaki głos.,
sama ją uczyłam.... I po angielsku mówi....

Tuk, tak panie Konradzie, jeżeli będziesz
grzeczny, pozwolę ci kiedy jechać do Sobko

wa.... Skoro zobaczysz Cesię, to i wrócisz
zakochany....

Ja już byłem zakochany bez widzenia,
zapewniam was czytelnicy, zakochałem się

w miniaturze!... Coż robić? I w moich latach, a byłem wtedy młodszy o lat siedem, trafia się, że ludzie w ten sposób się zachowują. Jest to nieszczęście często na fikcji oparte, ale jest.

Stara kazała mi być grzecznym, myślę sobie: trzeba być grzecznym i wiele z jej dziwactw nie widzieć.... Kto ma tak piękną córkę, wart pewnego pobłażania.

Do samego wieczora mieliśmy spokój, choć kucharka nasza, nie mające takiego jak ja powodu być grzeczną, zaczyna coś krzyczeć w kuchni, gdy pani Drachowska przy stawia jej na to małe żelazne biurko, imitujące kuchnię angielską, dwa swoje garnuszki.

— Nie dosyć, że ja nie mam gdzie się podzić z radiami — słyszę przez ścianę gderanie kucharki — a jeszcze pani tu lezie ze swemi do gotowania.

— Nie do gotowania, moje dziecko ale do odegrzania... Widzisz ja tu mam gulasz...

— Co mi tam gulasz....

— Aaa! nie można tak mówić o gulaszu, to jest smaczna potrawa, prawdziwa węgierska.... Żebyś była grzeczną dla mnie, tobym cię nauczyła przyrządzać gulasz....

— Eh, niech mi ta pani da pokój, ja żadnych nauk nie potrzebuję.... Gulasz czy kulasz wszystko mi jedno, nie dam stawiać garnków, niech sobie pani u siebie gotuje....

— Moje dziecko — słyszę znowu głos gospodyni—nie rozpuszczaj sobie tak bardzo buzi, bo ja do tego nie przywykłam. Widzisz i panicz jest dla mnie greczny, i panna kasztelanka nic nie mówi, a cóż ty prosto sługa masz tak głośno rezonować?... Dzięki Bogu mam słuch dobry....

Kucharka umilkła, ciotka nie mieszała się do tego, i gulasz musiał być odegrzany, bo pani idąc do siebie, zostawiła za sobą paswędu z przypalonej rynki, który się aż do naszego apartamentu przedostał...

I względem pana Czupurka nastąpiła łaska, bo po obiedzie widziałem, jak wyna siła się drabinka z pokoju pani Drachowskiej i zawieszoną została na kołku za głównymi drzwiami, choć szanowny sąsiad walczącego temperamentu jeszcze do godziny dziesiątej wieczór nie wrócił.

Położyliśmy się już spać na dobre, już

w głowie mojej zaczęło się jakieś majaczenie czarnych smolanych oczów panny Cecylii, które śmiały się serdecznie przedemną, ale to jak u dziecka, i co mię nadzwyczaj uszczęśliwiło, to to, że zobaczyłem, iż rzeczywiście przy śmianiu robią się jej dołki po bokach twarzy. Wtem naraz słyszę bam, bam, uderzenie dzwonkiem w sieni. Zrywam się nieprzytomny, i słyszę, że ciotka w drugim pokoju również krzyknęła.

— Konradzie, co to jest? słyszysz...

— Słyszę, ktoś dzwoni....

— Ach, jakżem się przelęka! Zlituj się, podaj mi wody, bo mi serce wyskoczy...

Podąłem karafkę, ciotce robi się nie dobrze, a tymczasem w sieni dzwonek, ale gdzie tam dzwonek, dzwonek mówię poprostu, coraz prędzej, coraz energiczniej uderza, jakby na gwałt...

— Pójdę zobaczyć, kto to?...

— Konradku nie chodź, ja się boję....

proszę cię nie chodź! Może to jaki napad, jeszcze kto strzeli do ciebie... Mój Boże, jak można było najmować mieszkanie na takim ustroniu.... Ja tu umrę z obawy...

Dzwonek już nie bimba, ale zgrzyta, chrapie, jak człowiek kiedy z gniewu ochry

pnie, a mnie zaczyna to do najwyższego stopnia niecierpliwic.

— Gdzie idziesz Konradzie? — woła ciotka widząc, że zbliżam się w ciemności do okna frontowego pokoju ...

— Niech ciocia będzie spokojna — mówie ciszej—księżyc świeci, zobaczę kto to... Zdaje mi się, nasz sąsiad z piąterka.... tak tu on.... idę mu otworzyć, bo widać gospodyni zasnęła....

Ubieram się w pantofle, wchodzę do sieni, i odsunąwszy zasuwkę mówie:

— Proszę wejść!

— A kto to?

— No ja, sąsiad....

— Proszę, niech pan napowrót zamknie....

— Niechże pan wejdzie.

— Ja nie wejdę, proszę niech pan zamknie....

— Więc czegoż pan dzwoniś już od kwadransa ?

— Ona mi tu sama musi otworzyć!....

Dziewczynę wypędziła wczoraj, klucza od bramy rai nie daje, schody zabrała... więc niech wstaje sama Bardzo panu dziękuję, ale proszę zamknąć.

— Możesz pan stać Bóg wie jak dłu go, jeżeli jej nie przyjdzie ochota otworzyć...

— Będę stał choćby do rana — prze konywa mię energicznie pan Ozupurek — będę dzwonił całą noc, a baba sekutnica musi tu przyjść sama.

— Zmiłuj się panie kochany — per swaduję mu — ależ nam spać nie dajesz. Ciotce już od kwadransa serce bije jak mło tem z przestachu, cóż my winni panu?...

— Prawda, masz pan rację, zapomnia łem o tem.... Bardzo przepraszam , ja sobie inaczej z nią poradzę.... Swoją drogą niech pan drzwi zamknie, bo może mi poda klucz oknem i ja obejdę bramą na dziedziniec... Albo tam można przejść ?... cały wjazd za waliła drzewem, taczkami, jakiś stary wóz tam stoi... Proszę niech pan idzie spać.

Ha, kiedy nie, to nie — myślę sobie — walcz asan , skoro ci się tak podoba i szu kasz w tem satysfakcyi.

— I cóż ? — pyta się ciotka.

— Nie chce wejść; powiada, że gospo dyni musi mu sama otworzyć.

— Mogłeś go puścić przez kuchenkę.

— Nie można ciociu, bo służąca zasta wiła drzwi swoim łóżkiem , i mówię cioci

tak chrapie , jakby głos dzwonka był dla niej szmerem strumyka....

— Mój Boże, jacy ci ludzie szczęśliwi, że nie mają nerwów.... Mnie szmer muchy obudzi, a oni spią. choćby im z armat nad uszami strzelano....

Rozmawialiśmy jeszcze parę minut o szczęśliwości ludzi bez nerwów; ja przeko

nywałem , że i ciotka czasami dobrze spi, a ona spierała się do ostatniego, że lo nieprawda , że od kilku lat wcale nie sypia, że budzi się co parę minut, a najmniej czterdzieści razy na noc.

— Moja ciociu — mówie do niej — przecież nieraz. gdyśmy mieszkali w Dreźnie — przechodziłem przez cioci pokój, a ciocia nie słyszała.

— Hm — mój kochany, zdaje ci się, że jak się nie ruszam to spię ; nie boj się, słyszę ja zawsze wszystko.... ale cóż mam robić, leżę spokojnie....

— Eh, imaginacya, nic więcej ! Przecież słyszę nieraz miarowy oddech cioci, czasem lekkie chrapanie....

— Proszę cię Konradku , nie sprzeczać się ze raną! Nie mara żadnej potrzeby kłamania , ami leż tłómaczenia się przed tobą....

Ty lubisz się tylko przekomarzać.... No, no, idź spać.

Widząc, że ciocię zaczyna ta rozmowa irytować, bo jest przekonana, że nigdy i nigdzie od lat dwudziestu nie sypia , kładę się i ja, zdziwiony, że jakoś uspokoił się przed domem pan Ozupurek. Ale licha się tam uspokoił; tylko żeśmy się zajęli rozmową i nie słyszeli monotonnego bębnienia w szybę do mieszkania pani Drachowskiej.

W Krakowie o godzinie dziesiątej wieczorem , nawet podczas karnawału i na ulicach najliczniej zamieszkałych taka panuje cisza, że idąc trotuarem człowiek sam straszony się stuknięciem swych własnych butów, a cóż dopiero mówić o takiej bocznej ulicy, przy której stał dworek pani Drachowskiej, i do tego o jedenastej w nocy. Coś w czwartym dworku od nas mieszkał stary obywatelski emeryt, i grywał wieczorami na harmonijce, a mimo zaklejonych dubeltowych okien , tak mi się jego melodia codzienno dostajna wbiła w pamięć , że o każdej godzinie dnia i nocy mógłbym powtórzyć te urywane stękania jego instrumentu , gdy go miętosił puszczać basem: „Albośwa to jacy tacy, jacy tacy... jacy tacy...”

Nic też dziwnego, że bębnienie monotonne w szybę okna (widocznie pan Czupurek już wziął na cierpliwość) odzywało mi się w uchu z bezprzykładną dokładnością... Cóż będę więcej opisywał? Czy to nie zdarzyło się któremu z miejskich czytelników słyszeć coś podobnego w swojej kamienicy... L po czątku nic; uzbraja się człowiek w ludzką cierpliwość, słucha i milczy... Dalej przy biera anielską cierpliwość, zakrywa uszy kołdrą — i również milczy. Ale że po anielskiej cierpliwości zdaje się, że nie ma innej do wyboru, przeto cierpliwość ta, doszedłszy swego zenitu, zaczyna schodzić na dół, i przemieniać się stopniowo w niecierpliwość. Składają się na to dwa czynniki: jeden objawia się wzdychaniem, drugi zaciskaniem zębów; a jeżeli przyczyni się i trzeci w postaci przewracania się na łóżku i takich jęków „ach mój Boże... trzeba zwaryować*”, jakie się z pokoju cioci dobywały — to musi się skończyć na tem, że człowiek zrywa się z łóżka i zaczyna szukać po kątach czegoś, co się nazywa laską, parasolem, szpicrutem lub jakim innym w rodzaju tym monitorem. Ja dzięki Bogu pamiętając, że grzeczność dla pani gospodyni i Cesia to miały być dla mnie synonimy, opowiedziawszy się cioci, prze-

szedłem jej pokój i zacząłem kołatać do drzwi gospodyni.... Słyszę, kaszle—więc nie spi. — Zlituj się pani; daj mi klucz od bramy, bo już wytrzymać nie można od tego stukania.... Ciocia dostała spazmów... Nie ma odpowiedzi, ale dochodzi mnie szelest nakładanej sukni, potem otwieranie drzwi do frontowego pokoju. — Nie mogę się powstrzymać, żeby nie odbyć takiego samego marszu przez swoje mieszkanie i nie posłuchać wielce ciekawej przedmowy przy wręczeniu kluczy od fortecy... Uchyliłem drzwi od sieni i słyszę miodopływną rzecz pani Drachowskiej. — Bardzo pięknie, bardzo ładnie! Czy to o tej godzinie porządni młodzieńcy wracają do domu? — Proszę mi dać klucz, lub przepuścić przez swoje mieszkanie! — fuknie ale z całej siły wstrzymując wybuch pan Ozu purek. — Otóż to grzeczny mężczyzna, kau

dydat na adwokata... konkurent do mojej córki... Narażasz mię pan, że dostanę kataru... panna kasztelanowa już spazmuje... Tak, tak, najlepiej burdy robić po nocach, to się na zywa dobre wychowanie.

Nie powtarzam już eo dalej było, bo trudno uchwycie z jednej strony wypadajace pioruny, a z drugiej łagodny ton mow pani, niby plusk spokojnie padającego deszczu, które to działając osobno, to miesząc się razem stworzyły prawdziwą pod zwrotnikową burzę, następnie otwieranie luf cików w sąsiednich domach a wreszcie interwencja jakiegoś stróża bezpieczeństwa. Wytoczyła się sprawa, pani dała klucz od bramy, do której otwarcia Czupurek musiał aż zawezwać pomocy pleców policyanta, tak bowiem z wewnątrz założona była rupieciami, dość, że za chwilę usłyszeliśmy nad głową stapanie naszego sąsiada, potem całą operację desperackiego rozbierania się, wytrzesanie popiołu z fajki — i wreszcie około pierwszej w nocy prawdziwy krakowski spokój.... Boję się czytelników wynudzić, ale już trudna rada; przyjąwszy udział w naszych nieszczęściach, musicie się razem z nami od pani Drachowskiej wyprowadzić. Nie długo będziemy czekać tej przykrej ceremonii, bo stało się to na drugi dzień o godzinie czwartej tej popołudniu, pamiętam jak dziś siódmego listopada a w dniu piątym po zajęciu nowego lokalu.

Rano, ciotka chora, migrena zaczęła się w najlepsze, a razem z nią i moje utrapienie w usłudze.... Nie, szanowne czytelniczki, piszę się do samej śmierci waszym najwierniejszym adoratorem, szanuję, lubię i gotów jestem dla was sześć razy na dzień krzyczyć kopię z każdym nieprzyjacielem waszym, jednak gdybym miał jeszcze żyć dwa razy tak długo jak żyję i to kawalerem — nie ożeniłbym się z żadną, którąby chorowała na migrenę, nawet z Cesią, daję wam słowo

honoru.

— Konradku , podłóż mi poduszkę —
dobrze, podkładam — Konradku wyjmij po
duszkę, nie mogę tak wysoko — dobrze, wyj-
muję.... Konradku , mnie się niedobrze robi,
wody, octu na miłość Boską!... Biegam jak
szalony, leję ocet na chustkę, trzeźwię, owi-
jam głowę.... Za chwilę znowu słyszę: — Kon-
radku możeby ciepłej wody, zlituj się oko-
mi wysadza!... Daj plasterki cytryny.... Cy-
tryny nie ma w domu , więc łap za pałto,
biegnę do sklepu , przynoszę cytryny, kraję,
kaleczę sobie palec z pośpiechu....
— No, jakże, lepiej kochana ciociu ?
— Daj mi pokój, nie mów do mnie.
Nie mówie, wynoszę się do drugiego
pokoju, siedzę i wzdycham. Ciotka coś się

uspokoila, zachciewa mi się zapalić papiero-
sa , więc na palcach do puszki z tytouiem,
ale buty mi zaskrzyphiały, a ciotka:

— Konradzie na miłość Boską nie skrzyp!
Mnie wszystko się w głowie przewraca.
Zdejmuję już buty, kładę pantofle i po
cichu zapalam papierosa....

— Już palisz! — słyszę z drugiego po-
koju.... Że też ty nie możesz się wstrzymać
na minutę od tego palenia, a mnie ten za-
pach mgli.... Ach... ach!
Dalibóg nie paliłem od rana, ale cóż
robić, rzucam papieros przez okno i znowu
siedzę i dumam.

— Konradzie, czego ona tak kołacze
w kuchni! Proszę cię, powiedz jej żeby była
cicho....

Idę i każę być cicho, choć kucharka
protestuje, że bez siekania nie mogą być ko-
tlety....

— Ach jakież swąd z kuchni, czego ty
tam chodzisz i drzwi otwierasz!...

— Musiałem jej ciociu powiedzieć, żeby
nie stukała....

— Ja nie wytrzymam , jak ciebie ko-
cham Konradzie, nie wytrzymam....

Przykro mi ogromnie widzieć i słyszeć
to wszystko; biedna kobieta musi bardzo cier

piec, dlatego zbliżam się po cichu do łóżka
i pytam :

— Może pójść po doktora?...

— Ach opaliłeś się znowu tem tytuni
skiem.... Idź proszę cię odemnie.... Nie chcę
żadego doktora, co on rai poradzi.... Daj
mi wody!

— Może kawy czarnej.... Pamięta cio
cia, dawniej kawa czarna pomagała.

— Ale teraz nie pomoże.... mnie już
nic w świecie nie pomoże! — I biedna cio
tka zaczyna płakać, a przy płaczu musi się
ruszać, czem rozdrażnia się jeszcze go
rzej.... — Żebym mogła zasnąć na chwilkę,
proszę cię zasunąć firankę....

Właśnie kiedy zasunąłem firankę, otwie
ra drzwi pani Drachowska.

— Można wejść ?

— Przepraszam, ale ciocia jest chora —
mówię, zastępując jej drogę przy drzwiach... —
Cierpi na migrenę....

— Najlepiej rądel miedziany na głowę,
ja zaraz przyniosę rądel.... Miedź wzbudza
elektryczność....

— Na miłość Boska — rzecze ciotka —
ty

nie wpuszczaj jej , ja nie mogę patrzeć na
tę kobietę.... To ona winna, że ja taka chora....

piec, dlatego zbliżam się po cichu do łóżka
i pytam :

— Może pójść po doktora?...

— Ach opaliłeś się znowu tem tytuni
skiem.... Idź proszę cię odemnie.... Nie chcę
żadego doktora, co on rai poradzi.... Daj
mi wody!

— Może kawy czarnej.... Pamięta cio
cia, dawniej kawa czarna pomagała.

— Ale teraz nie pomoże.... mnie już
nic w świecie nie pomoże! — I biedna cio
tka zaczyna płakać, a przy płaczu musi się
ruszać, czem rozdrażnia się jeszcze go
rzej.... — Żebym mogła zasnąć na chwilkę,
proszę cię zasunąć firankę....

Właśnie kiedy zasunąłem firankę, otwie
ra drzwi pani Drachowska.

— Można wejść ?

— Przepraszam, ale ciocia jest chora —
mówię, zastępując jej drogę przy drzwiach... —
Cierpi na migrenę....

— Najlepiej rądel miedziany na głowę,
ja zaraz przyniosę rądel.... Miedź wzbudza
elektryczność....

— Na miłość Boska — rzecze ciotka —

ty
nie wpuszczaj jej , ja nie moze patrzeć na
tę kobietę.... To ona winna, że ja taka chora....

Zamykam wiec drzwi na haczyk i cze
kam, gdy wróci z owym radiem.
— Ciocia przeprasza — mówię, gdy sły
szę, że bierze za klamkę z tamtej strony —
ale chce być samą...
— Zaręczam , że rądel pomoże, trzeba
włożyć na głowę jak czapkę...
— Powiedz że nie chcę... niech mi
tylko da pokój... może usnę...
Powtórzyłem te słowa cioci, nota bene
przez drzwi, a tu słyszę pani Drachowska
obrazila się na dobre.
— Kaprysy nic więcej! — rzekła gło
śno, stuknąwszy radiem, że aż zadzwonił'. Nie
chcesz słuchać, to cierp ! księżniczce pomaga
ło, a kasztelance nie miałoby pomódz!
Jednak poszła do siebie, a że ciotka ja
koś się trochę uspokoiła, więc ja, wymknąw
szy się na podwórzec, zapaliłem papierosa i
zacząłem jak wiewiórka w klatce biegać tu i
tam , aby zmęczony od rana umysł nieco od
świeżyć....
Dzień był piękny, przymrozek troche
osuszył ziemię, więc wszedłem do również
miniaturowego ogródka, aby spacerując pod
oknem , nie rozbudzić przypadkiem cioci. Od
czasu do czasu zbliżam się pod okno — pa
trzę spi smacznie, więc kontent jestem , że

może przejdzie ból głowy i biedna kobieta
przestanie cierpieć....
Przy takich kłopotach nic dziwnego, że
zapomniałem o jedzeniu, ale że mimo wszel
kich utrapień pan żołądek nie lubi długo zno
sić zaległości , więc też i u mnie zaczął wo
łać o o obiad.... Idę tedy do kuchni, ażeby
się dowiedzieć, czy tam nie ma co do zje
dzenia , aż tu widzę moja kucharka z zagnie
waną miną stoi u progu , a przed nią , lecz
wewnątrz kuchni, połowa wyższa pani Dra
chowskiej....
Co się stało ? Czy ją, kto przeciął na
dwoje, że tak zmaląła — myślę, a odsunąw
szy na bok kucharkę, widzę że zamiast po

dłogi kuchni jest jakaś czarna otchłań, i do tej właśnie otchłani po drabince ukrytej we wnętrzu spuszcza się na dół gospodyni. Nie wiem, czy szanowny Matejko miał już wtedy pomysł swego Borkowica, ale teraz ile razy spojrzę na ten obrazek, to moja pani Drachowska tak samo wyglądała. Głowę miała bez zwyczajnego zawoju z firanek, widocznie żałowała do piwnicy tak kosztownego stroika; lecz zato podobny zupełnie nie kaftan jak ów Maćko wojewoda poznański, kiedy go na śmierć głodową do lochu spuszczano. Była i latarka z zapaloną świecą,

i nasza Barbara z kuchennym nożem, niby straż z halabardą, i ja niby mający odczytać wyrok. Brakowało tylko wiązki siana i dzbanek z wodą, który od biedy można było zastąpić białą konewką z żelaznymi obręczami obok stojącą.

— Co to jest? — pytam ciszej, zoba czywszy spuszcając się w podziemia gospodyni.

— A cóż proszę pana — rzecze dość opryskliwie kucharka — ta pani od samego rana siedzi w piwnicy, wchodzi i wychodzi tak, że ja nie mogę obiadu ugotować, ani się dostać do ognia....

— Moje dziecko — rzecze z przekąsem, ale zawsze słodziutkim i powolnym tonem gospodyni — przecież to jest moja piwnica. Wynajmując twojemu panu mieszkanie nie powiedziałam, że piwnica będzie wspólna... Mnie to ani przez głowę nie przyszło wtedy, że podłoga w kuchence jest ruchomą, i że tamtędy wchodzi się do piwnicy, zdziwiłem się tedy niepomału, że tak jest, jednak mówię do niej:

— Ależ kucharka nie może się dostać do garnków i obiadu ugotować. Sądzę, że mogłaby pani chodzić do piwnicy w innym czasie niż podczas gotowania?

— A od kogóż ja to mara odbierać po zwolenie, kiedy mogę chodzić do swojej piwnicy?

— Zdaje mi się, sama logika i rozsądek pokazują....

— Tak, więc ja już nie mam logiki i rozsądku, że chcę iść do mojej piwnicy?....
Bardzo grzecznie z pańskiej strony prawić jakie impertynencye osobie starszej, która mogłaby być jego matką....

— Jednakże pani najęłaś mi kuchnię i kuchnia jest moją.

— Bardzo przepraszam, pan jesteś czło-
wiek młody, niedoświadczony i nie rozumiesz,
co to jest własność. Tak, najęłam panu ku-
chnię, ale zawsze ona jest moją....

— Skoro płacę, to na czas wynajęcia
jest moją....

— Ale także i moją, bo dworek jest
na moje imię kupiony, w hipotece zapisany,
i nikt mi własności nie zaprzecza.... Tak, tak,
kochany panie, starą Drachowska trudno uczyć
rozumu....

— Tym sposobem pani nie pozwalasz
gotować w tej kuchni ?

— Tego nie mogę zabronić.

— Więc jakże ?

— Niech gotuje wtenczas, kiedy ja nie
potrzebuję iść do piwnicy... Ja tam mam
jabłka, które się psują, muszę przebierać....
A i pan też nie dotrzymujesz umowy....

— W czym ? — pytam głośniejszym głosem
towany do żywego owemi dowodzeniami wła-
sności.

— Zabroniłeś pan przejścia mojemu lo-
katorowi na pierwsze piętro, kazałeś drzwi
przechodowe zastawić łóżkiem.

— Więc gdzież postawić ? gdzież ku-
charka ma sypiać ?

— Bardzo nieładnie, że pan się unosi,
w tak młodym wieku to szkodzi.... Ciotka
pańska gdyby to słyszała, nie mogłaby po-
chwalić, to bardzo dystyngowana osoba, a
zwłaszcza jak cierpi na migrenę, ma pra-
wdziwie pańskie przyzwyczajenia.... Tak, tak,
wynajmowałam kuchnię do gotowania, a nie
do spania dla kucharki....

Czułem, że gdyby jeszcze przyszło mi
parę minut słuchać takiej rozprawy, nieza-
wodnie byłbym tę damę gorzej niż Maćka
Borkowica, bo nawet bez wyroku i siana
wepchnął do lochu, nad którym stała. Ale
szczęściem zaczęła ciocia natarczywie wołać
mnie do siebie, zatem, stłumiwszy oburzenie,
zostawiłem ją w kuchni.

— Konradku, serce moje — odzywa się ciocia — słyszałam całą rozmowę; dzięki Bogu jest mi trochę lepiej i nie mgli, więc proszę cię idź, zamów gdzieś w hotelu dwa pokoje i przyjeżdżaj po mnie dorożką... Ja tu jednej godziny dłużej być nie mogę... jak cię kocham, umarłabym do jutra....

— Ciociu, ależ zapłaciłem z góry za pół roku....

— Nie rezonuj proszę cię, a zrób jak każe.

Pani ciotka przy całej swej dobroci nie lubiła opozycji, zatem jeszcze przed wieczorem byliśmy w hotelu, choć kucharka i meble pozostały we dworku. Drachowskiej wcale nie zdziwiły, ani też rozgniewały tak nagle przeprowadziny; kazała mi tylko przez służącą powiadzieć, żeby mieszkanie regularnie opalano, bo jakby z powodu wilgoci ucierpiała co małatura sufitu, to gotowa liczyć sobie szkody za zniszczenie apartamentu i meble przyaresztować.

— A co, nie przepowiedziałem — mówi do mnie sąsiad Czupurek, spotkawszy na ulicy — że dwóch tygodni nie wytrzymacie...

— Pan zostajesz? — pytam go na wzajem.

— Ja zostaję; dla mnie walka z tą babą jest chlebem powszednim, jest kamieniem probierczym energii, i zobaczysz, że ją przetrzymałam....

— Z panną Cecylią? — wtrącam pół żartem.

— Pan wiesz co o Cesi?

— Wiem, pokazywała nam jej miniaturę.... Śliczna panienska!

— To szczerze złoto panie, brylanty, rubiny i co chcesz najdroższego! Wywiozła ją gdzieś i schowała przedemną, ale ja już jestem na tropie.... Krzyż pański zносиła ta biedna dziewczyna tutaj; wystaw sobie, kazała jej chodzić w łapciach po pokoju.... morzyła głodem, co drugi dzień dawała jej kiesz apteczne leki, żeby nie tyła.... Przynaj

mniej tam gdzie jest teraz, może się od żywi....

Rozstaliśmy się z panem Czurpurkiem po przyjacielsku; ten człowiek mimo swej oryginalności, a może właśnie dla niej po dobał mi się bardzo, zachowaliśmy przeto i nadal dobre między sobą stosunki, spotykając się dość często na czarnej kawie u Dyktarskiego.

Ciotka, mimo że wynalazłem inne już dogodniejsze mieszkanie w rynku, w żaden

sposób przyzwyczać się nie mogła do miejsca pobytu.

— Co mi to za miasto, proszę cię, że o dziwiątej razem z kurami wszyscy spać idą i nie pijają herbaty.... Nie rozumiem, jak można obejść się bez tego napoju. a tu ani uczciwej wody, ani ludzkiej herbaty nie do stanie... umarłabym, pijąc jakąś tyzannę z pachem jęczmienia....

— Sprowadzimy z Warszawy albo z Kijowa lepszą....

— Nie mój drogi, ja tu mieszkać nie mogę choćby dla samych zegarów! Gdzież ci ludzie mieli sumienie fundować tyle tego... Wiesz, jak ja snu nie mam, a tu jeszcze co kwadrans biją we dzwony, każdą godzinę sześć razy powtarzają, że to dzwonienie całą noc nie ustaje.... Co zaś najbardziej mnie rozstraja, to trąbienie z wieży na wszystkie strony świata. i to jakieś trąbienie niedokończony.... podniesie ton i raptem utnie.

Namawiałem, żeby została, prosiłem, przedstawiałem, że zrobiliśmy parę znajomości, gdzie ciocia znajdzie przyjemną partykę wista lub preferansa....

— At, dajże mi pokój z ich grą i rachubą na kości... Proszę cię, powiedz mi, co to są te ich sztony?

— Poprostu liezraany — mówie, tło maczyć jej, że niemi się płaci po każdym rozegraniu....

— A cóż to ja nie mogę mieć kredytu do końca gry?

— Kiedy tu nie o to idzie, tylko żeby
nie pisać po stolikach.

— Szczególniejsze przyznam ci się le-
nistwo! Cały świat pisze kredą, nawet są
fabryki, które taką kredę wyrabiają, a tu o
tem jeszcze nie wiedzą. Nie mój Konradku,
mieszkaj tu sam, skoro musisz, a ja wracam
do Warszawy.... lony świat, inni ludzie niż
u nas.... to nie dla mnie.

I pojechała na wiosnę — szkoda, że
tak się spieszyła, bo do Krakowa mimo woli
i wiedzy można się bardzo łatwo przyzwy-
czać. Wszyscy z innych stron przybysze na
rzekają na nudy, jęczą, ziewają a siedzą. Ja
sam już od lat sześciu myślę ciągle nad tem,
jakby się ztąd wyprowadzić , a widzę że to
nastąpi chyba pod grozą bombardowania mia-
sta. Nie życzę nigdy pocziwemu Krakowo
wi doczekania się takiej katastrofy, jednakże
radbym doświadczyć samego siebie, czyby i
ten wypadek zmusił mię do wyjazdu.

Mówią , że Kraków jest monotony i
nietowarzyski; może to prawda, ale na co
B*

nam towarzystwa, skoro się wszyscy znamy
jak zły szeląg , nie potrzebując latami i sło-
wa do siebie przemówić. Ja naprzykład, któ-
ry się tylko ze zwyczaju do małych plotka-
rzy zaliczam , jak sobie po kawie z rana u
kręcę papierosa i usiądę w oknie, to każdej
przechodzącej osobie moge powiedzieć curri-
culum vitae: co za jedna, zkad i gdzie idzie,
a nawet co myśli. Naprzykład ta pani w kra-
tkowanej sukni, niosąca koszyczek z robótką
i prowadząca córeczkę o cienkich nóżkach,
idzie regularnie codzień do ogrodu strzeleckie-
go i siada tam na na ławeczce w cieniowym
klombie na lewo. Drugi rok nosi też samą
siatkową serwetkę , kłębek tych samych sza-
rych nici i toż samo szydełko. W pracy swej
naśladuje Penelopę, z tą tylko różnicą, że tam-
ta po nocach pruća co w dzień zrobiła, a
ta nie robi , aby nie mieć subiekcyi prucia.
Założę się z każdym, o co chce, że naj-
dalej w pięć minut przejdzie tą samą drogą
koło moich okien młodzieniec małego wzro-
stu, szczuplutki, czarniawy, z zakręconym jak
szydło wąsikiem i w wysokim cylindrze.
Spieszy z ogromną fantazją, wywija lasecz-
ką i ogląda się na wszystkie strony, a gdy
by mi się tylko chciało iść za nim, to nie
zawodnie znalazłbym go w Strzeleckim ogro

dzie koło owego cienistego klombu na ławce. Z prawdziwie dziecięcą fantazją bawi się on tam piłką z panienką o cienkich nóżkach i dowcipkuje przed mamą, która nic dziwnego, że wobec takiej dystrykcji uszów i wzroku nie może więcej jak jeden medalionik szydełkowej roboty wykończyć przez miesiąc. Panicz bawi się i w obręcz po południu, przynosi cukierki dziewczynce, a w domu sprawy rodziny, której jest opiekunem, idą sobie jak mogą.

Dalej punkt o dziesiątej siwy, również szczuplutki staruszek z białymi wąsami jak mleko, kroczy w przeciwną stronę ; wiem że skręci na lewo w ulicę do rynku, dojdzie pod wieżę ratuszową, ureguluje zegarek z kapryśnym zegarem miejskim, a potem Wiślną wyjdzie powtórnie na planty, obejdzie je do koła, wyliczy trzy tysiące pięć set kroków przeznaczonych do przedobiedniego spaceru, i wróci do domu uspokojony, że odbył ko mocę dla zdrowia. Jestto stary kupiec, emeryt, który już pozbył się handlu i żyje z procentów. Jak liczy kroki nikogo nie widzi, nic nie słyszy, nikomu się nie ukloni, i do piero odbywszy konieczną ilość kroków, zaczyna przypatrywać się wszystkim przechodzącym , ale z tak badawczym spojrzeniem,

że zdawałoby się każdego chciałby na pogadankę zaprosić. Tymczasem on nie lubi rozmowy, a tylko ma wzrok krótki, i taką mi nę z pozoru badawczą....

Oho! już idzie bona Niemka z dwoma chłopakami w kapeluszach na tył głowy na suniętych. Przyzwoita jakaś dziewczyna o czarnych powłóczystych oczach, bierze sto reńskich pensyi rocznej, ale że z tego posyła do Prus matce sześćdziesiąt, więc rzadko kiedy ma nowe trzewiki, a po większej części niezgrabne, z powykrzywianemi zapiętami. Jak raz powinien iść hrabia ze skrzywioną fizyonomią w towarzystwie dwóch córek , bardzo skromnie ubranych pańienek. Szczególniej ta starsza ma ładne fiołkowe oczy

podłużne, a w aksamitnym toczku wcale jej do twarzy.... Jakże ten pan ma dochody, jaka jego pozycja majątkowa, dalekoż jest dla wszystkich zagadką. Pytałem Wasserfrido wej, która wielkim panom faktoruje pożyczki, ale i ona nie wie. „Musi ktoś z rodziny jemu dopomóc — powiedziała mi raz — bo on zmienia osmdziesiąt rubliów każdego piętnastego miesiąca”.

— A sam nie ma majątku ?

— Zkąd on może mieć, kiedy w Pażyżu wyhulał swoich dobroć... On chciał po

życzyć raz trzysta reńskich, ale kto jemu da! — zakończyła, skrzywiwszy nosem i machnąwszy ręką.

Ta pani dobrej tuszy, za którą idzie służąca z koszem, wędruje na Podgórze po mąkę, bo taniej o dwa centy na funcie w młynie parowym.... Tam kupuje i świece, czasem i mięso, które ukrywa pod płaszczkiem, aby akcyzy przy rogate nie opłacić... Jestto zbankrutowana obywatelka, utrzymująca studentów na stancyi. Mąż jej personat mężczyzna, z faworytami, od trzech lat stara się o jakąś ważną posadę, a tymczasem zjada śniadanka u Wenzla, jest stałym jego gościem, występując wrogo przeciw Hawelce....

Gdybym chciał w ten sposób wyliczyć tylko wszystkich przesuwających się pod moimi oknami, to musiałbym przynajmniej trzy tysiące marynetek opisać i odfotografować. Nie mam intencji urzędzać na teraz podobnej pauoramy, więc przekonawszy czytelników, że u nas nie tak nudno, jak się zdaje, zapewniam ich, że bądź co bądź życie nasze liczy się tu podwójnie, i każdy dzień stanie najmniej za dwa w porównaniu z innymi miastami. Tu się nikt nie spieszy z eksploatacją żywota, ale rozłożywszy czas porządnie na porcy, jak dawki apteczne, spo

zywamy go regularnie od godziny do godziny.

Ja naprzykład, mimo, że napozór nie mam żadnego wyraźnego zajęcia, a mimo to

zawsze mi brakuje czasu. Spytacie co robie?
Boze mój, czyż dla człowieka pracującego
nad swoim wykształceniem zabraknie kiedy
zajęcia ? Świat idzie naprzód, i trzeba ra-
zem z nim maszerować krokiem podwójnym,
bo inaczej zostanie się poza drugimi.... Tyle
nowości co chwila, tyle pism, odkryć, wy-
nalazków i zdarzeń fenomenalnych, mogłyby
pochłonąć dwa razy więcej czasu niż go dziś
mamy.

Ciotka w każdvm liście, a odbieram ich
po trzy na tydzień regularnie, stereotypowo
powtarza mi to jedno przykazanie: „Konrad
ku ożeń się, Konradku na miłość Boską weź
się do czego". Ba, dobrze to radzić i pisać
komu, ale trudniej wykonać. Ożenić możebym
się ożenił, bo nawet mam pewien pociąg do
życia familijnego ; passyami lubię cudze dzie-
ci i w całej kamienicy i we wszystkich do-
mach gdzie bywam, lgną one do ranie, sma-
rując tłustemi paluszkami moje ubranie. Ale
przecież tak z rozkazu , na urząd ożenić się
nie moge — wprzód trzeba się zakochać,
swoją wybraną poznać, wystudytować, bo oże

nienie ani na rok nie jest ani na dwa , tyl-
ko na całe życie.

Wiem, że ożenić się łatwo — jednak
odżenić trudniejszą sprawą, Studyuję więc,
obserwując tę powabną połowę rodzaju ludz-
kiego, i jak pijak, który widząc kołujące przed
oczami kamienice, z kluczem w ręku czekał
aż jego nadbiegnie — tak też i ja z mojem
sercem na oścież otwartem, wyglądam tej
iskry, która ma sprowadzić wybuch.

Z przykrością powiedzieć muszę, że tu
tejsze panienki, mimo szerokiej i głośnej sła-
wy wdzięków, nie posiadają tego, co się na-
zywa pospolicie wabikiem; piękne, ale po-
ważne posągowo, i jak podejrzewam. trochę
uczone. Przy spotkaniu nigdy się żadna nie
odkłoni z kokieteryą , nie uśmiechnie się tak,
żeby to chwyciło za serce — a tylko z ma-
jestatycznym spokojem kiwnie samą głową,
jakby ta głowa nie należała do całości jej
osoby.

Pamiętam , u nas w Kaliszu to zupeł-
nie inne kobiety ! W szkołach jeszcze, a ko-
chałem się coś w sześciu na zabój. Szczegół-
niej niejaka Walerka z pensyi pani Kellero-
rowej, to tak umiała mile spoglądać, kiedy
się koło okien przechodziło, że nasza szósta
klasa szalała za nią. Jak cmy jakie łąziliśmy

po całych dniach koło okien mieszkania te panny, zaglądali do pokojów i czasem wrzucali bukiety, a już w niedzielę jak szła z matką do fary na nabożeństwo, tośmy się wszyscy ustawili szeregiem przed bramą kościoła, że musiała ze spuszczonej oczkami przed nami defilować. Na mnie, który należałem wtedy do młodszych, to nie bardzo zważała, ale taki Sotkiewicz, przez którego nasz profesor francuzkiego języka odsyłał poprawiane ćwiczenia na pensje, chwalił się, że z nią rozmawiał, że raz rączkę jej ścisnął, a na wet niektórym zaufanym kolegom pokazywał bilecik od niej, gdzie stało napisane: „Drogi aniołku!” Później, wszedłszy na aplikację w Warszawie, kochałem się w różnych a różnych; u mnie ta rzecz idzie bardzo prędko; raz z córką uaszego archiwisty o małym się nie złapał, ale ciotka, dowiedziawszy się, że gotów jestem się żenić — wyburczała mię porządnie, nazwawszy smarkaczem. A tu w Krakowie, kiedy właśnie napędza mię do żeniaczki, ani rusz zakochać się nie mogę, w czym oczywiście wina nie leży po mojej stronie. Przed dwoma laty, myślałem, że już, już znalazłem; podobiała mi się na ulicy jedna fertyczna sobie blondyneczka; może była co do całości zanadto filigra

nowa i drobniutka, ale oczkami strzelała nie źle.... i jakoś żywsza trochę była od innych. Dowiaduję się, że nie ma ojca, a matka jest właścicielką realności, jak mówią w Krakowie. I to nie zawadzi.... Stryj dawny urzędnik austriacki także ma grosze powiadają.... Ale wszystko to nic — Marynia mi się podobała, więc staram się zbliżyć i oddaję wizytę. Byłem coś trzy razy u tych państwa na herbacie, która, powiedziawszy nawiasem, licha, bo w Galicyi wcale się na herbacie nie znają. Mniejsza o to, dla miłości czło wiek wiele z siebie robi — więc połykam ten dekolt z siana, zajadam zamiast pieczonych gotowane kurczęta, piję austriacką lure

zamiast wina, a Marynia temi liglarnemi o
czkami coraz bardziej mię usidla, martwi
mię tylko, że mało albo wcale nie mówi...
Nieśmiała, niewinna istota — nic nie szkodzi...
Na imieniny posyłam bilet z bukietem,
przyjęli, kazali podziękować, więc też szu
kam ich po spacerach a najwięcej znajduję
w Strzeleckim ogrodzie na wielkich koncer
tach. Pewnego razu przychodzę w niedzielę,
a stanąwszy przed orkiestrą, szukam pani
mojego serca. Zebranie było liczne, cały śre
dni świat krakowski słuchał potpourri z pie
śni narodowych , popisywał' się swoim ape

tytem i zamożnością, zając różny fryka
sy — więc nie tak łatwo było wyszukać słom
kową pamelę z pękiem bławatków, które moja
dulcynea passyami lubiła. Wstępuję na we
randę i zapuszczam ciekawy wzrok do koła.
Jak raz siedzą z drugiej strony pod drzewem,
mama, stryjaszek emeryt i panna, a przed
niemi o zgrozo... trzy halby piwa!... Dreszcz
mie przeszedł na takie zgorszenie.... Jakto ?
ideał mojej duszy ciągnie piwo z halby?...
Ależ to horrendum! Zdawało mi się, że nogi
mi przyrosły do podłogi, stoję z otwartymi
usty i oczom nie mogę wierzyć.... Kelner
sprzątnąwszy iedną seryę halb, przynosi dru
gą , a moja Marynia bez wszelkiej żenady
spija topazowy nektar daleko wprawniej, niż
urzędnik uprzywilejowanej c. k. kolei.
Wszelka illuzya, jak listki zwarzone
mrozem , odleciała mię zaraz.... Pan emeryt
jednakże spostrzegł moją osobę i zaczyna ma
chać i machać parasolem, ale ja udaję , że
nie widzę, a skutkiem tego zbliża się sam
w swej własnej osobie, udekorowanej koloro
wą wstążeczką na kłapie surduta i zaprasza
do towarzystwa....
Panna Marya, szczególnie dnia tego
była uprzejmą dla mnie; zaczęła, dopytu
jąc o przyczynę smutku na mojej twarzy i

dąsała się, widząc, że nie może mie rozru
szać. Mama i emeryt zaproponowali prze
chadzke po tym ogrodzie , zatem ruszyliśmy

parami, mijając obsadzone różnemi pięknościami ławki.

Zauważyłem, że kołowanie to po ogródku miało pewien cel wobec przyjaciółek i przyjaciół dam moich. Matka Maryni z całą uprzejmością wyszukiwała wszystkie znajome sobie osoby, aby im się tylko uklonić, a po stępując kaczkowatym ruchem za nami, zdała się mówić wszystkim: patrzcie, i moja Marynia ma już konkurenta.

Kiedy indziej przedstawię szanownym czytelnikom panoramę i dzieje Strzeleckiego ogrodu w Krakowie; mogą one być bardzo zajmujące, jeżeli mi się uda odszkicować przynajmniej wszystko, co dotąd widzę oczami duszy i pamięci — teraz spieszyć trzeba z opisem pogrzebu miłości mojej z Marynią, który dwie tuż po sobie zaszły katastrofy sprowadziły.

Na drugi dzień, nie szukając wcale towarzystwa panny Maryi, spotkałem ją z matką na plantacyach. Radość z tego zdarzenia malowała się w oczach panienki nieklamana, lecz po chwili przemieniła się w dąsy.

— Dlaczego pan nie przyszedłeś wczoraj do nas na kolację?

— Nie byłem głodny — tłómaczę się, unikając świdrującego wzroku panienki.

— Tak, pewnie u nas panu nie smakuje.... Panowie są tacy wybredni, tylko szampańskie, tylko ostrygi, kawiary.... pa sztetty....

— Proszę więc o to nie posądzać — odzywam się chłodno — ja wcale do smakoszy nie należę....

— Zmyślasz pan — mówi na to z udanym gniewem — brat mój, który był we czwartek u pana na wieczorku, opowiadał, że takie zbytki.... kuropatwy pieczone, jakieś sosy.... Wiem, wiem, panowie wszyscy dzisiaj tylko za wykwinnością gonicie.... Lu dwik jak wróci z kądem, gdzie było skromne przyjęcie, to powiada: nie pójdę tam więcej, każą tańczyć do rana, wino dają po cenie, a kolacja nieszczególna, lepszą jadą w domu u siebie....

— Może brat pani jest wybredny, że szuka na wieczorkach tego, czego w domu nie ma, ale ja zupełnie nie dbam co podają.... Dla ranie przyjemna i wesoła rozmowa z paniami jest najlepszym przyjęciem....

— Oj nie wierzę, nie wierzę! — mówi grożąc mi figlarnie parasolką. — Panowie wszysc) jesteście jednakowi.... tylko bawić się, aby potem....

— Cóż potem ? — pytam ciekawie, widząc smutną minę Maryni.

— To jest widzi pan tak — mówi podnosząc dłoń przed usta i dmuchając po niej — fiu ! i bywaj zdrowa!

— Oho... to już zauadto malowuiczo — myślę sobie — to nie dla mnie taka dama z takim rezonem. Coby ciotka powiedziała na to....

Zacząłem się więc kręcić zakłopotany i całkiem rozczarowany, z iluzji obdarty i wyrejterowałem się z towarzystwa. Jakby na złość już, odchodząc dostrzegłem, że Maryni twarz była porządnie zamączona, a noski trzewiczków od dawnego nieczyszczenia prawie czerwone.... Oho, nie zobaczycie mię u siebie tak prędko... ja miałbym się kochać w pannie z rudym trzewiczkiem !

Jednakże państwo Jogłowie widać inaczej tę rzecz traktowali, skoro w kilka dni potem , zjawia się u mnie w swojej własnej osobie sara stryj konsyliarz z orderową wstążeczką u klapy surduta. Była to łaska nad

łaskami z jego strony, eos tak niezwykle, że on sam uznał za potrzebne dać mi to po znać, bo wchodząc, nawet drzwi za sobą nie zamknął, a siadając na podanym sobie krzesle niby na odpoczynek, kapelusz i łaskę trzymał w ręku.

Pan konsyliarz ma ogromnie poważną ruinę, policzki burakowego koloru obwisłe, wargi odęte, spojrzenie surowe, tak coś w guście starego wyżła, drzemiącego przed bramą pałacu, Z zasady i przekonania jest nieprzyjacielem wszelkich konstytucyjnych nowości, a szczególnie rządów autonomicznych miejskich.

— Panie dobrodzieju, to wszystko psu na budę się nie zdało ! Gdzie tym opastym mieszczanom dawać rządy miasta w ręce?... Panie dobrodzieju to parodia władzy Nie

jeden ledwie że podpisać się umie, a zdaje mu się, że jest wielkim człowiekiem, skoro go zaprosili na krzesło radcowskie. Rosną też rosna w dumę, panie dobrodzieju, i już za nic mają ludzi osiwiiałych przy biurku u rządowem, dlatego, że nie posiadają realności... Protestuję panie dobrodzieju, protestuję.... Ha, także to i ich rządy! Gdzie to panie dobrodzieju nieurzędnikowi, który swe go rzemiosła nie zaczynał od abecadła,

być urzędnikiem? Powiedz mu in dorso, za pytaj co jest exhibit, brevi manu, ewidencya, reprodukcyja, szyber, szymd i t. p... to tylko otwiera usta i staje jak słup... Ale niech no przyjdzie dyskusya o jakie kanaliki, bu dowle publiczne, w odociągi, place pod ulice, kucie koni, gdzie to tam ktoś coś może za robić... pa pa pa, jak zacnie perorować o porządku miasta, o bezpieczeństwie, o tem jak to jest za granicą — liberał... jedyny liberał... Zobaczysz panie — mówi z wzrastającą energią, chwytając mię za klapę tużurka, wszystko to niedługo pójdzie precz! Oni takiego narobią bigosu przy tych rządach, że miasta będą się prosić, aby je od tej autonomii uwolniono.... Zobaczysz....

Wśród tak gorąco prowadzonej rozmowy, zapytuje mię naraz:

— Będziesz dziś u was?

— Wątpię — odpowiedziałem chłodno, urażony nieco tykaniem.

— A trzeba być, trzeba, panie dobrodzieju. Toż to dziś wielka uroczystość u nas, urodziny mej bratowej... bal, historyę, kolacyja... wina... fraki, białe rękawiczki....

— W takim razie będzie mi bardzo przyjemnie....

— Już to przyznasz... jakże ci na imię?

— Konrad....

— Panie Konradzie, że ta nasza Mańusia. dziewczyna exeeellencya, dziewczyna z edukacyja... prawdziwy brylancik....

— Prawda, brylancik....

— A tobie panie jak się zdaje, he?

— Bardzo, o bardzo....

— Ja też mówiłem Urszuli, że pan do brodziej musisz gustować tego... bo nacóżbyś tak często przychodził i asystował?... Zawsze to panienkę kompromituje, gdy się koło niej kręci ktoś bez tego... jak się nazywa... pan dobrodziej rozumiesz.... Ja nie potrzebuję się chwalić, ale mam tu bardzo porządne znajomości : bywają u nas i doktorzy prawa, i doktorzy wszech nauk lekarskich , i profesoria z uniwersytetu, ludzie już ze znaczeniem... Ale myślę sobie, kiedy takie upodobanie i skłonność Maniusi, trudno iść przeciw wodzi. Mówię Urszulce, nie kłopotuj się, że się odstrychnęli doktorowie panie dobrodzieju, pan Kołasiński nie robi nic na żarty.... to człowiek już nie taki młody, i nie chciałby zabierać miejsca komu innemu.... Ale czekaj no — mówi dalej, nie pozwalając mi przyjść do słowa — ja bo lubię wszystko otwarcie, jestem człowiek starej daty, a dawniej tak nas uczyli w urzędowaniu, co na myśli, to

i na języku.... Ho ho, inne to były czasy, o żadnych gadaninach autonomicznych ani się śniło.... Sejmy, parlamenty, na co to wszystko?... Wodę się przelewa przetakiem i za wsze jest woda.... Czekamy tedy acana do brodzieja — kończy, zabierając się do wyjścia i klapiąc mię poufnie po ramieniu.

— Powiem ci jeszcze pod sekretem — szepcze mi już we drzwiach — będą marenki ze śmietaną.... Marynia sama bije!... Oj ty smakoszu, wiem ja wiem, jakie zbytki wyprawiasz!...

Poszedł, nie zamykając drzwi za sobą, a mnie przyznam się państwu porwała passya. Co ja mam być gorszy od doktorów?— po myślałem, chodząc z guiewem po pokoju ! — I oni mi chcą łaskę, robić oddając Maniusię! A jaki ton protekcyjny, jaka pewność! Zkąd, co?... Oooo nie zobaczycie mię tam więcej!... Marengami chce mię złapać star lis.... dziekuję uniżenie za wasze raarengi ze śmietaną... Niech bije pianę panienka, o niech bije włąsna ręką ale nie dla mnie!

Nie poszedłem na ów wieczór i nie pokazałem się przez cały tydzień następny. Widocznie i oni zmiarkowali, że się rejte ruję, bo mama z córką, gdy ich przypadkiem spotkałem na plantacyach, ledwie że

*

raczyły poruszyć brodą za mój ukłon, a pan Ludwik w kawiarni Dyktarskiego udał, że mię nie widzi. Mniejsza o to — właśnie tego sobie życzę, może się nawet drugi raz wcale nie uklonić....

— A co ? odpalili kochanego pana? —

pyta mię Ozupurek w jakiś czas potem, biorąc pod rękę na ulicy.

— Kto miał odpalić i w czym ?

— No któż ? Joglewie! Ale wcale mi nie żal pana, dobrze ci tak, trzeba było wprzód mnie się poradzić.... Byłbym odmawiał, znając jego charakter dobroduszny.... Tutejsze mieszczaństwo, jest ogromnie zarożumiałe, a jeszcze niech panna ma realność, to ani już przystępuj!

— Dajże mi pan święty pokój — mówię — pierwszy raz o tem słyszę, ani myślałem, owszem przeciwnie...

— Ależ całe miasto tylko mówi o pańskiej reknzie.... Powtarzają, że konsyliarz był za panem, że i panna by się zgodziła, ale stara mimo, że dwa razy leżała u jej nóg jak długi, uparła się, że nie i nie... Gdyby tak na mnie padło, jak mię pan znasz, ła twobym nie ustąpił. Choćby przyszło iść na czworakach, choćby po trupach połowy Krakowa doszedłbym panny, ja tak panie!

Tłóracząc mu, przedkładałam z całą otwartością, że nie robiłem najmniejszego kroku w tym celu, opowiadałam rozmowę z konsyliarzem — on słucha słucha, ale widzę uśmiecha się pociesznie i nie wierzy... Wiedząc że go nie przekonam, zwracam rozmowę na jego osobiste sprawy:

— Jakże się tam ma nasza gospodyni ?

— Duch ten sam, ale ciało coraz gorzej ! — wychudła jak szczypa i z pewnością nie waży więcej jak trzydzieści funtów.,.

Wystaw sobie pan, od czasu waszego wy prowadzenia się apartamencik stoi pusto, ba ba zjadła cały zapas jabłek. Fajfer nie daje ani kapitału ani procentu, więc żywi się jak święty Paweł, pierwszy pustelnik samemi

korzonkami z ogródka... Zdaje mi się, kichnie nie długo, co daj Boże. Cesię odkryłem, jest w Sobkowie u wujostwa, nawet miałem list od niej; wystaw pan sobie, zaklina na wszystko, aby nie pozwolić matce zagłodzić się, i ja biorę się na różne sposoby, aby jej wiktów dostarczyć, odgrywając rolę kruka z historii owego proroka... Codzień gubię bułki przed jej drzwiami, wczoraj nawet posunąłem się do dwóch serdelków. A umyślnie kłóć się z babą coraz lepiej i wypieram, że to nie ja podrzucam te rzeczy... tłómaczę jej

że to anioł Boży. Trzeba panu wiedzieć, że Drachowska ma grube pieniądze i jest ambitna; będzie się głodzić ze skąpstwa, ale nie przyjmie podarunku — jednak zdaje mi się że bułki konsumuje, uważając że szkoda gdyby się zmarnowały... No. bywaj pan zdrow i nie martw się tym kosztem. Na pańskim miejscu, jeszczebym nie dał za wygraną... Walczyć panie kochany, walczyć, usque ad finem!

Nie wiele ja sobie robię z plotek, jednak ta kontrmina pani Joglewej ubodła mnie do żywego. Widzę, wszyscy znajomi i nie znajomi litują się nademną, a szczególnie kobiety, gdzie bywam, robią miłosierdziośliwą alluzję do mego położenia. Czem więc się wypieram i tłómaczę, że wtem wszystkim nie ma żdźbła prawdy, tem bardziej nie wierzą i pocieszają.

— Mój panie Kołasiński — rzecze mi pani Owczyńska, matka także dwóch córek na wydaniu z pięknych rozmiarów nosami — wierzę, że to wszystko plotki, ale przypuśćmy nawet że prawda, to czem się tu martwić! Mężczyźnie wszystko uchodzi, nie chce jedna, znajdzie się druga; a na przyszłość ma pan naukę, żeby się nie pchać do familii, która tylko między sobą się kójarzy.

Cóż było robić? Musiałem połknąć niezasłużoną i niespodziewaną pigułkę, a choć miałem ogromną chęć pomszezeaa się w jakiś bądź sposób nad tymi Joglami, to nie po

siadając najmniejszej dozy energii, jak to już Czupurek zauważył — moja myśl zemsty po została tylko w dziedzinie projektów.

Tak tedy wyszedłem dobrze podszarpany, a więcej jeszcze rozczarowany z pierwszej próby na seryo branego małżeństwa. Po została mi do wykonania druga część programu ciotki, która mi pisała ciągle: „Mój drogi Konradku, a weźże się już raz do czego”.

Wziąćbym się wziął, ale do czego? Ot w tem spoczywał główny znak zapytania. Byle jakiej posady gdzieś w kancelaryi adwokata, lub dyurnisty w magistracie nie przyjmę — ani wiek, ani pozycja moja towarzyska na to nie pozwalają. Zresztą nic mi nie stoi na karku, bo dzięki Bogu mam co jeść, w co się ubrać i gdzie mieszkać; więc gdyby się trafiło coś odpowiedniego — przyjąłbym. Nawet raz jeden zrobiłem desperacki krok do znajomego mi towarzystwa, gdzie bywam, dyrektora, ale ten wprost roześmiał mi się w oczy:

— Alboż to pan potrzebujesz zarobku?

— Prawda, że tak koniecznie nie potrzebuje — odpowiadam panu dyrektorowi — jednakże chciałbym coś robić....

— Eh, szanowny panie — mówi mi na to — mamy tu setki takich, którzy muszą robić, aby żyć, ludzi kiedyś zajmujących lepsze stanowiska, byłych właścicieli dóbr z porządnymi familijami, o których przedewszystkiem trzeba pamiętać....

— Przepraszam pana dyrektora, bardzo przepraszam — rzeknę może nieco źliwie — nie wiedziałem, że biuro panów jest domem przytułku dla ubogich, wstydzących się zebrać....

— Ooo... daruje pan — przerywa mi wyniośle dyrektor, wstając z fotelu — że ja znów nie mam zwyczaju słuchania czyich bądź morałów. Robię to, co uważam właściwym na moim stanowisku.... Żegnam pana. Wyszedłem zły od niego i powiedziałem sobie, że niech ciotka sto listów na dzień pisze, a ja więcej pary z ust nie puszczać za sobą... chyba że zbankrutuję zupełnie. Straciwszy nadzieję otrzymania jakiej posady, zacząłem przemyśliwać, czyby się nie wdać w jaką spekulację z częścią swojego kapitału, a przy niej znaleźć zajęcie osobiste. Przychodziło mi do głowy kupno ma

jątku , to dzierżawa lub jakieś przedsiębiorstwo fabryczne, lecz tylko tak sobie, nie biorąc tego na seryo. Zdaje mi się, że raz w potocznej rozmowie, wspomniałem o tem komuś ze znajomych, gdy naraz opadły mię gromady aspirantów z różnemi a różnemi propozycjami, a jeszcze więcej firmowych stręczycieli do kapitalnych interesów. Nie byli to zwyczajni faktorowie, ale bardzo poważni i eleganccy ludzie, woniejący różnemi zapachami, właściciele dóbr ziemskich w górach, i reprezentanci wielkich firm zagranicznych. Przed mieszkaniem jednego z nich, który mię namawiał do kupna akcji banków budowlanych, przybito jest szyld ogromny przez całą długość kamienicy, a na tym złotemi literami wypisano tyle tytułów w różnych językach , narosowano tyle medali z głowami laurowym wieńcem ozdobionemi, że tylko taki profan jak ja do interesów mogł to lekceważyć. Nie wiem kto i dlaczego rozgłosił, że ja mam grube kapitały — podejrzuję, że to zrobił Ozupurek z przyjaźni po owej awanturze z Joglami. Widocznie chciał im dokuczyć, a mnie poprawić reputację. Przyznam, że ta opinia z razu dosyć mię pochlebiała, albowiem bądź co bądź, przyjemnie jest być

czemś, naprzykład człowiekiem bogatym, więc nie zaprzeczając temu wyraźnie, niby się usprawiedliwiałem, ale bardzo słabo, a tymczasem szacunek publiczny dla mojej osoby rósł z dniem każdym , i zwiększało się grono serdecznych przyjaciół. O, żebym ja był Duchem świętym przewidział, co mię za to później spotka, i jakie będę musiał znieść przykrości, strawić plotki i potwarze, to byłbym, nie namyślając się chwili czasu, pozaciągał dosyć długów żydowskich, i płacił lichwę z amatorstwa, aby tylko mieli mię za ubogiego. Dziś nikt mię nie wierzy, jak mi nie wierzono, iż się o Marynię nie oświadczałem.

Siedzę naprzykład przy śniadaniu w szlafroku i pantoflach i czytam nader zajmujące studium o wykopaliskach. Dzięki znajomości mej z pewnym amatorem archeologiem i literatem pozytywnego usposobienia, od niejakiego czasu uczuwam natarczywy pociąg do umysłowego grzebania w skarbnicy starożytności naszych, a zarazem do zastanawiania się nad teorią przekształcenia się małpy w człowieka. Nie czytam więc, ale poprostu połykam wiersze, w których opisaną jest akcja wydobywania pogańskich łzawnic w pewnym przedhistorycznym cmentarzysku....

Niosąc łyżeczkę z kawą do ust. widzę szanownego autora tego opisu, jak własną ręką, nachylony nad wykopanym dołem wydobywa garnek za garnkiem. Pierwszy mu się rozsypał w palcach, z drugiego pozostało tylko denko ze śladami popiołu czy łez, bo już tego nie mógł rozpoznać.... Mnie serce bije z oczekiwania co się stanie z trzecim, on pisze, że ręce mu drżały jak w febrze, gdy z wszelką przezornością odgrzebywał ziemię na około niego... powiada: „poruszam urnę nadzwyczaj delikatnie i powoli unoszę do góry... Pyszny okaz, z sinej gliny, u góry wyraźnie dwie linie gżemsiku i o чудо! dwa całe ucha!...”

Zapomniałem o kawie i myślę sobie: on gotów ciągnąć za te ucha do góry.... fe ależ to byłby wandalizm, kiedy można delikatnie palcami ująć górny brzeg urny i chwile rutając wolno, wolno — z lekka unosić do góry.... A niechże jego lichy porwie! wziął za ucho, jak przewidziałem, i oberwał górną część z owym gżemsikiem.... Niezgrabiasz, niedołęga, gdzie jemu zajmować się wykopaliskami — ot zepsuł pyszny okaz o dwóch uchach.... fe!...

Rzuciłem książkę na stół, nie mogąc

się uspokoić, gdy słyszę jakiś głos kobiecy po za sobą:

— Ozy można wejść?

Oglądam się, w uchylonych drzwiach
od przedpokoju sterczy jakiś czerwony nos
nakryty czarnym krepowym kapeluszem i do
myślami się, że to pytanie wyszło z pod tego
kapelusza.

— Proszę! — odzywam się uciekając
do drugiego pokoju i zamykając drzwi za
sobą — ja w tej chwili służę!

Byłem bowiem nieubrany, a jako dobry
uczeń ciotki uważałem za zbrodnię przedsta-
wiać się damom w stroju negliżowym.
Strata siwej urny z dwoma uchami je-
szcze nie może mi wyjść z głowy, a tu się
spieszę, nie chcąc by ta pani długo czekała,
więc też ubieranie idzie zupełnie w archeo-
logiczny sposób. Zamiast tę suknię naprzód,
kładę inną i nie na tę co potrzeba część cia-
ła; zdejmuję, poprawiam, przekręcam jak po-
trzeba, bo zwykle jak człowiek się spieszy,
to na złość wszystko na opak idzie. Nareszcie
wychodzę do owej damy w przekonaniu, że
to jakaś obywatelka z Kujaw i znajoma cio-
tki, przejeżdżająca przez Kraków do wód za
granicę.

Patrzę, osoba jeszcze młoda, od stóp
do głowy czarno ubrana, z mnóstwem na-
szytych białych sznureczków to na kołnie-
rzyku, to na rękawach, to koło kieszeni, nie
mówiąc już o dwóch szerokich rażącej biało-
ści plisach na dole powłóczystej sukni. Wszy-
stko to razem wzięte z przygnębioną miną i
oczami po łzach nabrzmiałemi każe się do
myśleć, że ta pani musiała wprost ze cmen-
tarza zajechać do mnie.

Prócz niej jest jeszcze jegomość pewien
lat może trzydziestu, pulchny, rumiany z twa-
rzą połyskującą koloru pączka do jedzenia
cukrem posypanego. Jegomość bez względu
na smutek pani uśmiecha się rozkosznie, ba-
lansując na nóżkach cokolwiek za cienkich
do całego korpusu. Pani się prezentuje jako
Starosielska przyjaciółka pani Drachowskiej,
a pana przedstawia ogólnym frazesem ku-
zyna, niby opiekuna, nie wymieniając na-
zwiska.

Proszę go siedzieć, podając krzesło.

— A nie panie dzieju, daję, słowo ja
dziękuję i postoję — mówi, odbierając krze-
sło i odstawiając na bok.

Postójże sobie kiedy tak chcesz, myślę,
i zajmąwszy fotel naprzeciw żalobnej pani Śta-
rosielskiej, mówię;

— Czemuż mam przypisać to szczęście,..
— Pani Drabcowska, przyjaciółka ciotki pana, ośmieliła mnie, żeby się udać do pana dobrodzieja z prośbą.
— A zatem słucham pani z przyjemnością....
— Muszę pana dobrodzieja objaśnić, że jestem wdową z pięciorgiem dzieci.
— Co do wdowieństwa — przerywam — już domyślam się tego, patrząc na jej ubiór, ale co do....
— Ale co do pięciorga dzieci — przerywa znów ona — to także jest prawdą, i pan Teofil poświadczy.....
— Jest, jest pięcioro panie dziu, daję słowo — rzeczy stojący za jej plecami kuzyn czy opiekun, zacierając ręce.
— Ja proszę pana dobrodzieja, mam interes dość znaczny na Ploryańskiej ulicy...
— To jest magazyn strojów i wszelkich nowości damskich — dorzuca kuzynek wiążąc, że ja tego wyrażenia interes nie rozumiem — interes świetnie stojący, daję słowo, bardzo świetnie....
— Otoż nieboszczyk mój mąż — mówi dalej dama w żałobie, ciężko wzdychając i zwracając mglisto oczami — z powodu owych śniadanków po handlach i loteryi zwanej liczbo

wą, bardzo mnie zachwiał przed samą śmiercią. Spoczywa on już w ziemi, proszę pana dobrodzieja, i nie powinnam o nim źle mówić, ale postąpił ze mną nieuczciwie, zostawiwszy tyle wekslowych długów po sobie. Ze chodził na śniadanka wiedziałam, bo nigdy obiadu nie jadł z apetytem, ale powiada, że go znajomi zapraszają ciągle.... czasem widzi moja Jadwisiu. wypada poprosić kogo, jak idzie o podpis na wekslu lub o jaki interes.... zwyczajnie jak między ludźmi.... Ale o loteryi proszę pana dowiedziałam się dopiero po śmierci.... pełna szuflada w biurku zostało kartek.

— Jednakże pani dzika coś domyślała się, daję słowo.... — wtrąca pan Teofil....

— Oj domyślałam się, domyślałam, i nie raz mówiłam jak komu dobremu : „Mój Wicusi, mój drogi Wicusi, życie ty moje. powiedz mi, ty masz jakiegoś móła, który cię gryzie, przyznaj się przed żoną*. Ale on bywało nic tylko chodzi i chodzi, i szepcze jakieś cyfry, i biegnie do biurka i pisze, me dytuje — a jak już przyszła środa i sobota, bo w te dni są ciągnięcia we Lwowie i Wiedniu, to do piątej godziny miejsca sobie nie mógł znaleźć... Potem leci gdzieś i wraca jak człowiek bez życia.... Cały wieczór

siedzi jak mruk z zamkniętymi oczami, i nic nie słyszy i nie odpowiada, nawet kiedy mu Józia, potrzeba panu wiedzieć, mam córkę już szesnastoletnią Józję, poda papierosa, to zapali machinalnie.... i nic... kiedyindziej bywało pocałuje ją w czoło albo uszczypnie w policzek.

Widząc, że ta rozprawa pani Starosielskiej zaczyna przybierać rozmiary groźne dla cierpliwości takiego jak ja człowieka, ośmielałam się delikatnie przywołać ją do porządku, pytając, czym mogę służyć?

— Niechże pan dobrodziej pozwoli, ja zaraz przyjdę do tego. Otoż jak go trafił szlag dwa miesiące temu...

— I dni ośm słowo daję — dorzuca tłuściutki pan stojąc uporczywie za krzesłem pani.

— I dui ośm, tak ma pan rację — mówi obracając się ku niemu — bo dziś mamy dwudziestego, a on skończył dwunastego o jedenastej zrana, pokazało się tyle weksli z jego podpisem, że nim wróciliśmy z pogrzebu, już żydzi wpadli do sklepu z adwokatami i nuż spisywać, pieczętować, gra bić... I gdyby nie poczciwy pan Teofil, byli by mię ze wszystkimi dziećmi wyrzucili na ulicę... Szlachetny panie Teofilu, niech ci

Bóg da zdrowie i szczęście — kończy, zwracając się, znów do opiekuna z wdzięcznym spojrzeniem.

— Bagatelka pani dziko, daję słowo bagatelka... Ale cóż tam...

— Dość, że jakoś ułagodził tych szalkarów, i rozłożyli długi na raty... Napisałam nowe weksle, ale mówię panu dobrodziejowi otwarcie jak na świętej spowiedzi, nie mogę wystarczyć... Gdy przyjdzie termin, to tyle musimy się nakręcić, nasztuderować i na przemyślać, że przyzna pan dobrodziej takie życie gorsze od samego konania...

— Prawda — mówię kiwając głową, nie pojmując jeszcze do czego to wszystko prowadzi.

— Wczoraj była u mnie w sklepie pani Drachowska, bo potrzebuje dla Cesi kapelusza... Ale proszę pana dobrodziej, gdzie ona tam kupi kiedy jaki kapelusz? Chciałaby żeby było ładne i tanie i żeby jeszcze czekać na pieniądze jak jej Fejfer odda. A tu proszę pana wszystko teraz podrożało z powodu tej monety; i Prusacy od Francji zamknęli granicę, wstążek lionskich się nie do kupić, a strusie pióra idą na wagę złota... Słyszę te Kafry okropnie tępią to plectwo...

więc ona mi powiada: udaj się pani do pana Krasieńskiego...

— Do mnie o pióra strusie i wstążki?

— pytam zaciekawiony tym rezultatem długiej przedmowy.

— Nie o same pióra, ale w ogóle o pomoc w moim nieszczęściu wdowiem.

— W jakiż to sposób proszę pani?

— Żeby pan dobrodziej był łaskaw wejść na wspólną do mojego interesu...

— Ja! — mówię, zrywając się z krzesła.

— Do magazynu strojów damskich i nowości — dodaje, zacierając ręce i przebiegając nóżkami opiekun.

— Ja, do magazynu strojów damskich? — powtarzam coraz bardziej zdziwiony taką propozycją....

— Świetny interes, panie dziej, daję słowo, firma znana od tylu lat....

— A pan dobrodziej ma kapitały leżące, mówiła pani Drachowska, znaczne kapitały. Więc cóż u pana dobrodziej, znaczne cztery albo pięć tysięcy reńskich, od których będzie sowity procent....

— Ależ szanowna pani, taki handel nie dla mnie, ja się zupełnie na tem nie znam.

— Daję słowo — dogaduje pan Teo

fil — ja panu dziejowi zaraz całą rzecz objaśnię, bo to bardzo łatwo zrozumieć!
I nie zważając, czy ja chcę czy nie chcę biegnie do przedpokoju i wnosi z tamtąd za wiązany w kolorowej serwecie stos dużych książek....

— Inwentarz najlepiej poinformuje — mówi rozwiązując serwetę — a jest bardzo skrupulatnie spisany, daję słowo panie dzieju... Tu pan dobrodzieju ma na ten przykład strażkę... — ciągnie, wysuwając ze zbioru książek jedną wąską a długą i tę rozkłada przedemną.

— Tu jest historia każdego dnia co się zrobiło w sklepie „pani Sałacińska na okrywkę za reńskich, dała zadatku pięć... Szudmak za aksamit a f. łokci trzy i ćwierć...

— Przepraszam pana — odzywam się znudzony całą tą sprawą — niepotrzebnie pan sobie zadajesz pracy tłumaczenia mi tego wszystkiego, bo raz że nic nie rozumiem, powtóre....

— Łaskawy panie dobrodzieju — przyrywa mi Starosielska z mdlejącym spojrzeniem, składając ręce jak do modlitwy — wysłuchaj !

Cóż było robić ? Widzę kobieta jakaś nieszczęśliwa, a mnie też nie ubędzie, jeżeli

jej zrobię tę satysfakcję, więc uzbroiwszy się w cierpliwość, nachylony nad stołem udaję że słucham wykładu tajemnic buchalterycznych, z którymi mnie pan opiekun żarliwie poznajamia. Gada, gada, przewraca karty, zagląda do innych książek, wskazuje cyfry palcem, chwyta ołówek i papier z mojego biurka (czego powiedziawszy nawiasem bardzo nie lubię) dodaje, odejmuje, dzieli, gdy sama pani widocznie zachwycona argumentacją przyjaciele, tylko potakuje głową, przykładając chustkę do oczów i od czasu do czasu choć bardzo delikatnie trąbi w nią za moimi plecami.

Przed wami czytelnicy nie chcę mieć sekretów : i ja też grałem komedję, niby słuchając wykładu, a w rzeczy samej myślałem

o owej urnie z dwoma uchami, którą ten niegodziwy archeolog tak zepsuł fatalnie. Po kazałem jednak wiele taktu, żem nie zajrzał do książki, aby się dowiedzieć, czy on też znalazł więcej tych urn na owem cmentarzystku — i dumny jestem z takiej wstrzeźmięzliwości.

— Oto pan dobrodziej ma cały stan interesu — rzecze spocony i ochrypnięty pan Teofil, składając ołówek na stole — i spodziwiam się, że pan dziej zrozumiał.

— A któzby nie zrozumiał — dodaje uszczęśliwiona tą okolicznością dama w żalobie. — Pan Teofil ma taki dar, że kamienie by nauczył czytać, aby tylko mówić mogły....

— No, zrozumiałem... tak... — odpowiadam kiwając głową, aby się mieć za coś lepszego od kamienia.

— Więc jakże pan dobrodziej sądzi o tym interesie ?

— Zdaje się bardzo korzystny.... nie zaprzeczam..

— Chwała Bogu — rzecze pan Teofil uśmiechnięty zacierając ręce i balansując przedemną. — Daję słowo panu dziejowi nie wątpię... jak pana dzieją szanuję, byłem pewny...

— Tylko co do mnie, ja państwu powiem otwarcie, pieniędzy nie mam.

— Wolne żarty, panie dzieju, wolne! — zawoła na to opiekun, obejmując pociesznie rękaw mojego surduta i skłaniając się do pocałowania mię w ramię.

— Daję panu słowo, nie mam....

— Ale jakże pan dobrodziej może tak mówić — wtrąca obrażona nieco pani — kiedy wszyscy wiedzą, że te kilka tysięcy stanowią dla pana bagatelę!

— Mówię pani jeszcze raz, gotówki nie mam....

— Jak to pan dobrodziej dyplomaciecznie odpowiada, słowo daję.... Nie ma gotówki, to są efekta, a ja się podejmuję w pół godziny zastawić je w banku, albo zmienić...

Już mię to zaczęło na seryo niecierpliwić i mówię :

— Moi państwo, uwolnijcie mię proszę od tych propozycji, ani interesu nie znam, ani pani nie znam....

— Ja panu dziejowi jszcze raz to wszystko przedstawię — mówi niezmordowany opiekun, zabierając się na nowo do książek handlowych. — Sytuacja panie dzieju jest czystą jak szkło, daję słowo activa dwanaście tysięcy....

— Przepraszam — mówię stanowczo, biorąc go za rękę — nie mogę i nie chcę wchodzić w ten interes....

Patrzę, wesoła dotąd fizyonomia pana Teofila, naraz zaczyna się przeciągać tragicznie, pani z desperacją wstaje z krzesła, załamując ręce aż palce trzeszczą, a ja za czynam szukać książki z artykułem o wykopaliskach w nadziei, że przecie pójdą. Usiadłem przy biurku, udaję zajętego czytaniem, a oni stoją, szturmując już o pożyczkę tysiąca reńskich na najpewniejszy w świecie pod

pis, pani, pana Teofila i pana Kuksza, utrzymującego skład rossolisów na Grzegórkach, człowieka znanego ze swej zamożności.

Postanowiwszy zamknąć dyskusję, nie odzywam się ani słowa. Oni stoją i proszą. Co tu robić do licha, aby nie wybuchnąć i nie dopuścić się jakiej awantury do tego jeszcze z kobietą w żałobie ? Myślę sobie: nie chcą oni wyjść to ja pójdę, więc zamykam się w drugim pokoju i niech robią, co chcą, a ja się już słowa nie odezwę.

— Otoż to impertynent! — wybuchła pani w żałobie — pamiętaj, Bóg ciężko cię skarże za moją krzywdę.... I gdzież tu teraz serce u ludzi, gdzie litość nad ubogą wdową i sierotami ?...

— Co pani chcesz od niego — słyszę głos pana Teofila — on nic nie rozumie a wszystkiego się boi, głowa bez sensu ! Pójdźmy, nie ma co wyczekiwać!

Wśród westchnień i mruczących złorzeczeń spakowali handlowe księgi do serwety, a trzasnąwszy drzwiami na pożegnanie, poszli przecie, zepsuwszy mi humor i apetyt na cały dzień. No, czy to nie istne skaranie Boże, czy co ? Ani znam, ani wiem kto — przyjdą, wymęczą, nawymyślają i za co ?

Za to, że nie chcę dać pieniędzy.... Otoż takie są u nas interesa !

Ba, żeby to na tem koniec? Ale gdzie tam ! Coś na drugi dzień zamknęli budę tej pani z kapelusami, a po mieście szczególnie w koteryi Joglów gruchnęło, że to wszystko z mojej przyczyny... Obiecał dać, łudził biedną kobietę, a kiedy przyszło co do czego, to się zamknął w drugim pokoju i zwinął chorągiewkę...

Dość jeszcze miałem tego rodzaju prozycyji nawet od przyjaciół, od wynalazców różnych maszyn, przed którymi zawsze udawała się mi rejterada do drugiego pokoju.

Gdy mię znudzili już, a innej nie było rady, otwierałem szufladki biurka, poddawałem rewizyi pugilares, gotów nawet byłem rozebrać się, aby ich przekonać, że nie mam pieniędzy — nic to nie pomagało. Odchodzili bez pożegnania z wymuszonym uśmiechem i to właśnie ci, którzy na przywitanie całowali mię podwójnie w oba policzki.

Eh, mówcie państwo co chcecie, ale dalibóg najlepsza sprawa z żydami. Ci przy najmniej mają węch dobry i są delikatni tam, gdzie spodziewają się coś zarobić. Często im człowiek i nawymyśla i drzwi pokaże, a oni to wszystko przyjmują za dobrą

monetę, i jakby nigdy nic, idą znów, tylko skinąć palcem.

Wypadło mi raz zmienić pewną kwotę rubli na monetę austriacką. Los zdarzył, że zacząłem o to pana Dawida Ditermana, me za pani Ruchli Ditermanowej, a obojga członków ruchomej giełdy krakowskiej, koczującej pod kościołem św. Wojciecha. Od tej chwili pani Ditermanowa zapisała mię na swoją wyłączną własność do inwentarza, który to inwentarz wraz z chustką od nosa i śniadaniem

u niem zawiniętem w Nową Pressę spoczywa dotąd w skórzanej torebce, noszonej z ostentacją na rękę szanownej weslarki.

Jeżeli pan Bóg, jako wszytkowidzący zna myśli i uczucia nasze, to ten zastęp

giełdowiczów z przed św. Wojciecha nie gor-
sze ma wiadomości o czynach i kieszeniach
pocziwych mieszkańców Krakowa. Dlatego
też niezmiernie byłem rad, że mi się udawa-
ło trzymać ich w niewiadomości co do rze-
czywistego stanu moich funduszków. Jakich
oni nie używali podstępów, co ze mną nie
wyrabiali, jak śledzili, aby tylko dojść pra-
wdy — i nic się nie dowiedzieli. Z początku,
dopóki pani Ditermanowa nie wzięła mię
w swoją opiekę, nie mogłem przejść ta stro-
ną rynku, żeby nie oddzieliło się kilku wo-

lontaryuszów z tej gromady i nie szło za
mną pytając, czy nie mam co do wekslowa-
nia. Nieraz podobny akompaniament mej oso-
by przyprowadzał mię do passyi, lecz teraz,
oswoiwszy się jakoś z szarpaniem za poły
mego surduta, słucham spokojnie słodko
mizdrzącej się rozmowy pań wexlujących, dają
się nawet wprowadzać do sieni, i kształcę
swój smak artystyczny, oglądaniem artysty-
cznie wykonanych rysunków na różnych
Bahnach, Vereins lub Baubankach, losach,
Klarach, Rudolfach i tym podobnych arcydzie-
łach kunsztu litograficznego. Pani Diterma-
nowa próbowała już wszelkiej pokusy finan-
sowej, aby tylko zacząć...

Jestto sobie fertyczna i dość przyjem-
nego oblicza o dużych szafirowych oczach
wekslarka. Nosi zgrabny kapelusz, bardzo
eleganckie z lakierkami trzewiki, szafirowy
kaftan, ponsową chusteczkę na szyi, lecz
niestety jeszcze rudawego koloru peruczkę.
Sto razy już pewno powtórzyła mi historię
swego nieszczęścia, że przed krachem miała
dwanaście tysięcy ranesz gotówką, że jest
z dobrej familii od Spirów, ale głupi jej mąż,
który wcale „niejest do interes”, jak powia-
da — przepuścił to wszystko na Angloban-
kach i Merisch i dlatego został usunięty od

„wszelkiego interes” z przeznaczeniem do
posługi wekslarskiej przy żonie.
Moja pani Ruehla jest bardzo dysty-
gowana osoba, a dystynkcyę tę koinicznemi

ruchami swej osoby uwydatnia, od których dostała nazwisko tancerki. Ma do czynienia z „księżętami, z hrabinami od Ukrainy i bardzo porządne obywatelstwemu ; a że przy wszy stkich operacjach finansowych pomaga sobie bardzo filuternym spojrzeniem'fiołkowych oczu, więc z tego powodu doprowadziła już za zdrosnego pana Ditermana do kompletnego oglupienia. Jestto młody jeszcze żyd w ubiorze starego autoramentu z pejsami, żyd ty powy z haczykowym nosem, czarnemi jak węgiel oczyma i miną człowieka przestraszonego. Wiecznie czerwony i spocony jak mysz, biega za żoną niby waryat, a niech tylko zobaczy, jak pani Ruchla zacznie finansowo kietować jakiego klienta na ulicy — pas jego opuszcza się bardzo nisko od częstego zapuszczania rąk za niego, kapelusz spada na tył głowy, a oczy palą się z zazdrości. Najgorsza sprawa, jeżeli pani żona wezwana jest gdzieś do mieszkania prywatnego lub hotelu dla załatwienia interesu wekslar skiego. Biedny małżonek, mając zakazany wstęp do pokoju , wartuje przed domem, pu

szcza się na schody pod pozorem , że może być potrzebnym na posyłki, i litość bierze patrzeć na owe męki ofiary małżeńskiej za zdrości. Mam prawdziwą satysfakcję, spotkawszy go na takich czatach , zaczepić seryo o jakiś interes zamiany.... Walcząc między chciwością zarobku a zazdrością o żonę, człowiek ten do reszty traci przytomność.
—i Panie Diterman, jak tam dziś ruble ? moze potrzebować kilkaset....
— Berlin sto pięćdziesiąt trzy .. — mówi oglądając się na schody i szukając czegoś po kieszeniach kamlotowego hałatu... Ma pan kurszetel...
— Eh, co mi tam kurszetel, ja się na tem nie znam.
— Ja panu obliczę, tylko niech Ruchle przyjdzie, ona ma ołówek w sakwojaż.... Nie wie pan, kto stoi pod ósmym numerem?
— Nie wiem. Więc jakże z temi rublami ?
— W pięć minut powiem.... Napoleony to dziewięć pięćdziesiąt — ten pan z pod ósmym numerem chce napoleonów.... Panie portjer — mówi zwracając się do odzwierzonego, zkaż ten hrabia jest pod ósmym nr.?
— Ależ panie Diterman — mówię niby

rozniewany, ja pójdę do kantora i kupię ruble... Co panu takiego, jesteś nieprzytomny ?...

— Niech pan bierze rublów... no proszę — mówi, wydobywając pakiet rosyjskich biletów....

— Ale po czemu ?

— Potem ja wirachuję, jak Ruchle przyjdzie.... — I tak bez odliczenia ciśnie mi owe pieniądze do ręki, a sam lustruje wszystkich wchodzących i schodzących ze schodów hotelowych....

— Panie portier, ten hrabia z pod ósmy to jest młody i z żonera ?

— Daj mi pan pokój — odpowiada zajęty czem innym odźwierny — przyjechał w nocy i kto go tam oglądał...

— Bez żon, bez familie?

— Mówię, że sam to sam...

Ledwie że mogłem oddać napowrót ruble panu Ditermanowi, bo on już pobiegł na górę, zapomniawszy o wszystkim.

Dzięki wszechwiedzy pani Ditermanowej i częstym jej wizytom u mnie, wiem lepiej niż kronikarz Czasu, co się każdego dnia dzieje w Krakowie, a nawet jestem w stanie przewidzieć niektóre fakty na tydzień na przód. Cyrulik, który przychodzi co drugi dzień golić mi brodę, znosi wiadomości ze

strony mieszczańskiej — właściciel restauracji, w której się stołuję, rozpowiada mi rzeczy, odnoszące się do sfery kupieckoadwokackomedycznej, wreszcie woźny sądowy pełniący od dwóch lat obowiązki lokaja, wykrywa tajemnice sądowej natury.... Sposobem zamiany z panią Owczyńską i ciotką Dezyderyą, repertoar mój uzupełniam depeszami z budoarów damskich, ze sfer nabożnych, z kredensu, kuchni et caetera — co razem wzięte czyni mię osobistością doskonale poinformowaną...

Gdyby mi kto powiedział dawniej, że można tak sobie bez żadnego stałego zajęcia przevegetować dwa lata i to w Krakowie, byłbym mu się roześmiał w oczy. A jednak mnie one zeszyły niepostrzeżenie wśród nieu

stannych projektów i poszukiwań. W dzisiaj-
szych tak niepewnych czasach, trudno się na
coś tak od razu zdecydować; więc też i ja
szukałem, projektowałem, dawałem ogłosze-
nia do gazet, konferowałem z interesantami,
zbierałem opinie, a tym sposobem mogłem
pisywać do ciotki, że jestem w trakcie zro-
bienia interesu. Pocziwa kobieta, czytając

obszerne moje sprawozdanie, dawała rady,
ostrzegała, nastęczała wiele i to słusznych
wątpliwości tak, że ja na to wszystko mu
siałem pisać repliki, dupliki, a gdy projekt
upadał, braliśmy na stół drugi i tak szło so-
bie całe dwa lata.

Jeżeli kiedy znajdę czas, ogłoszę dla u-
żytku publicznego tę arcyważną koresponden-
cję naszą, w której przedyskutowaliśmy
wszystkie możebne zajęcia porządnego czło-
wieka w czasach dzisiejszych i to ze stano-
wiska poważnego. Ciotka wbrew szlacheckim
pojęciom swoim tolerowała wiele, na punkcie
tylko handlu była niewzruszoną: „Mój Kon-
radku, pisała mi zawsze, zostaw ten proce-
der żydom, znając pocziwą a zarazem leni-
wą twoją naturę jestem przekonana zrobił
byś fiasko.... Do handlu trzeba się już uro-
dzić, a tyś przyszedł na świat szlachcicem
polskim, któremu tylko gospodarstwo wiej-
skie do twarzy. Wierz mi, nie mogłabym
wejść do sklepu bez zarumienienia, gdybym
cię miała w nim za kantorem zobaczyć....”
Dziwna rzecz, a jednak ja właśnie mia-
łem do tego stanu największe usposobienie.
Passyami lubię kombinować, projektować sze-
roko i głęboko i tak się zapalam do włas-
nych pomysłów, że absorbują mnie zupełnie.

Największe moje nieszczęście jest wtenczas,
gdy nie mam nic napiętego do rozmyślenia
i kombinacji. Wtedy zaczyna mnie opanowy-
wać nuda, zapalam papierosa, usadzam się
wygodnie w fotelu i puszczam już wodze
wyobraźni, dumając nad tem, co jabym na
przykład zrobił, gdyby na którybądź z mo-
ich losów padła główna wygrana. Przyznacie

czytelnicy, że to jest bardzo szerokie pole do rozmysłu, jak użyć dwukroć sto tysięcy złó tych reńskich? Mój Boże, iluby to ludziom można przyjąć z pomocą, ilu uszczęśliwić, ilu przyjaciółom narobić przyjemnych nie spodzianek.... Śliczna rzecz, mieć tak bez pracy milion!...

Wśród przepychu gustownych pałaców, czarodziejskich ogrodów i tyra podobnych szczęśliwości, które przed oczami mej imagi nacyi rosły w tęzowychbarwach, niewiem dlaczego stawała zawsze obok panna Cecylia z miniatURY. Co to za rozkosz w takim położeniu iść z tak anielską dziewczyną ręką w rękę...

Przychodził czas obiadu — bańki pę kały, trzeba się było wybierać do restauracyi, bo jakkolwiek nie samym chlebem człowiek żyje, to jednak nie warto się spóźniać, aby spożywać resztki po innych. Jestem przeko

nany, że o godzinie drugiej można dostać w każdej traktyerni tylko zupę już pół na pół z wodą. Najgorsza sprawa, gdy człowiek nie ma apetytu; wtenczas imaginaeya nawet tępieje i zaczyna się panowanie nudów. Ale ja i na nie mam sposób; zabieram się do porządkowania domowego, otwieram szuflady biórka, układam korespondencyę, przeglądam z kilku lat rachunki moje domowe, oglądam garderobę, kombinuję, coby tu sprawić na zimę, co kazać odrestaurować, a gdy już i to nie wystarcza, biorę do ręki jakie humory styczne pisemko i rozrywam stroskaną myśl konceptami na urząd pisanemi.

Nie dziwcie się czytelnicy, że wśród tak pracowitego życia, wśród takiego ruchu umysłowego, być może bezpłodnego dla społeczeństwa, jednak wyczerpującego zasób sił intelektualnych, musiałem na lato wyjechać w góry dla pewnego orzeźwienia się i wy poczynku. Wycieczka posłużyła wybornie, porobiłem wiele przyjemnych znajomości i wróciłem innym człowiekiem ku jesieni. Na wet zasmakowały mi śniadanka w pewnym handlu krakowskim, bo rzeczywiście kawior ogromnie wpływa na dobre' trawienie, a je szcze jak kazać sobie namięszać do niego drobno siekanej cebulki, to choć nieprzyjemny

odor czuć przez kilka godzin, jednak czuję, że dobrze mi robi taka przekąska i prawie codzień schodzimy się ja, pewien literat po stępowiec i jeden adwokat, libertyn zawołany, cynik ale hultaj dowcipny, co się zowie... on to tak zdaje się jak w kodeksie cywilnym wydania p. Czemeryńskiego, czyta w myślach dandysów i fanfaronów krakowskich. W knajpce mamy oddzielny swój stół okrągły, do którego nikt miejscowy bez na rażenia się nak łatwo nie śmie się przybliżyć.... Pocieszne z tego powodu wyradzają się sceny, gdy pan adwokat po przyjacielsku zaciągnie do nas takiego karyerowicza doktora lub profesora, który właśnie jest na drodze do wypłynięcia nad zwykły poziom mieszczkańskich sfer i chciałby tak na wszystkich stołkach naraz siedzieć... Stół okrągły znany jest w całym mieście ze swego liberalizmu i bezwzględnej nicowania wielkości miejscowych. Adwokat ma tylko klientelę żydowską, literat korespondent do liberalnych dzienników właśnie stoi w opozycji z konserwatywnym, prowadząc otwartą z nim walkę, a ja człowiek niezależny nie dbam o świątobliwą opinię i dolewam zawsze oliwy na ogień tego rodzaju dyskusji.... Biedny taki zaproszony do naszego grona karyerowicz cały

czas jest w ognjach, i wątpię, czy mu takie śniadanko wychodzi na zdrowie. Sala, a raczej ciemna zadymiona piwnica zaczyna się napełniać. Sam pan radca miejski, właściciel handlu, zakasawszy rękawy, kraje z wysoką powagą cienkie plasterki szynki, osadzonej w żelaznej maszynie; chłopcy nie mogą nastarczyć zamówieniom, służby w szaraczkowych zasmarowanych surdutach biegają na wszystkie strony, powtarzając stereotypowe „zaraz panie!” „w tej chwili panie!” „służę panu!” a po drodze drą za czuprynę gapiących się chłopaków. Szczęk, brzęk, gwar, dym, latanina i dyspozycje gości przeplatane dzwonieniem nożów o szklanki, strzelaniem wydobywanych korków z butelek, to mi jest żywioł, w którym poczciwy nasz ludźka pływa swobodnie jak ryba w morzu. Uprzywilejowani goście i przyjaciele gospodarza, raczą się zwykle przy kontuarze

sklepowym, sami sięgają do półek z wódką,
wiedzą, gdzie stoi kontuszówka czy kontu-
szówka albo Osmanka... dysponują służbą wo-
lając na chłopców po imieniu, którzy znów
muszą pamiętać o wszystkich ich przyzwyczajeniach. W owej norze sala nazwanej, po dwóch,
trzech lub w większej kompanii, obsiadają
stoliki weseli goście; twarze ich płoną, na

skronie pot występuje kroplami, oczy się
śmieją, buzia daje folgę językowi, a serdeczny wylew uczuć, machinalnie kieruje rękami przyjaciół do wzięcia się wzajemnego za szyję. Gdzieś w kącie, przy dalszej libacji zawierają się interesa na ucho.... Szepoty, miny i znaki tajemnicze oznaczają, że się kaptuje serca za portera już bez czapki, bez papki i bez soli...

Nie mogę powiedzieć, żeby ten chaos uczuciowy był dla mnie nieprzyjemnym — owszem bawią mnie takie sceny podniesionego do najwyższych sfer humoru — przynajmniej widzę życie w jego naturalnej sukience.

Otoż wśród takich obserwacji pierwsze go dnia po powrocie z podróży, poczułem nagle, że ktoś chwyta mnie z tyłu za ramię. Oglądam się — Czupurek, a za nim jakiś drugi jegomość z nabrzękłymi powiekami, opalony jak węglarz i ubrany w jaskrawo kratkowaną katanę krojem fraka.

— Kostuś Drachowski, brat stryjeczny. .

— Panny Cecylii ? — przerywam, ścisnąwszy podaną rękę szlachcica.

— Przepraszam, bo mojej żony — do daję zacierając ręce Czupurek.

— Jak to? — mówię zdziwiony, czując niezwykle pukanie serca.

— Wolne tu miejsce ? — rzecze tym czasem Czupurek, pokazując na krzesła obok stołu, a gdy mu skinąłem potwierdzająco głową, usiadł sam, zapraszając owego Kostusia. — A z kądże to kochany pan Konrad wraca do nas, że nic nie wie ?

— Z gór....

— Chyba — mówi śmiejąc się pocie

sznie, dysponując zarazem na sposób galicyjski „dwa razy” wódkę, „dwa razy śledzie po cztowe” itp. przysmaki zawsze „dwa razy”. Zwalczyłem kochany panie wszystkie przez szkody, ja tak usque ad finem.

— Więc matka zezwoliła?

— Matka?... ależ ona kichnęła....

— Jakto kichnęła? Nie rozumiem!

— Poszła ad patres na Bako wice....

A przyznam się panu, wstyd jest o tem wszystkim nie wiedzieć.... Zagłodziła się starowina, dając słowo honoru, umarła z głodu....

— Za pozwoleniem — wtrąca szanowny obywatel, pocierając białe czoło tak dziwnie odbijające od reszty opalonej twarzy — na konto tego zagłodzenia, ja jeszcze coś lepszego państwu opowiem. Miałem sukę gończą....

— Bój się Boga Kostusiu, cóż tu ma suka gończa do matki mojej żony?....

— Poczekajże, niech powiem.... doskołała historja, jak ciebie kocham, wszyscy się za boki brali na imieninach u Węglińskich, kiedy im opowiadałem. Suka dostała jakieś wysypki; jedni powiadali, że to, drudzy że to, ale ja panie dobrodzieju do mojego Rolwesa, i jak raz wiem. Kwas siarczany, nic tylko kwas siarczany dawać... Ba, dawajże, kiedy suka ani chce powąchać... Ja tedy biorę się na sposób, pakuję sukę do pustego spichrza na klucz i stawiam miskę z kaszą, do której wsypałem siarki. Psisko skowyczy cały dzień, wyje, drapie się i takie robi hopki do okienka na trzy łokcie...

— No i cóż dalej? — pyta Czupurek, widząc że szlachcic się zatrzymał, obserwując, jakie też wrażenie robi na nas ta mowa.

— Hm, cię chciała zjeść i nie chciała. Ale ja się taki uwziąłem.

— I zjadła, kończże już tę śmieszna historję.

— Właśnie, że nie zjadła.

— To ją wypuściłeś i kwita.

— Otoż i nie wypuściłem i nie kwita, ale na trzeci dzień zdechła z głodu, dając słowo z głodu tak samo!

— Ot, wyrwałeś się też z opowiadaniem — mówi Czupurek, zajadając śledzia. —

Mówię panu dobry chłop z Kostusia, ale ga
duła niech Bóg broni.

Szlachcica ta opinia wcale nie zażeno
wała, śledzia jadtł, nie wyjmując ości, bo po
wiada takie miękkie, że nie warto subiekcyi,
a gdy Ozupurek wybiegł do sklepu zamówić
butelczynę wina, ja zapytuję sąsiada:

— Pan dobrodziej ze wsi ?

— Z Sobkowa.

— Nie słyszałem o wsi tego nazwiska.

— Ooo jest i jaka wieś jeszcze — mó
wi, ocierając bibułą usta — nie chwale się,
jednak na całą okolicę naszą Sobków ucho
dzi za złote jabłko... Ale też panie dobro
dzieju, co ja tam już pieniędzy utopiłem, to
każdy panu powie.... Jak Boga kocham na
sześć mil w koło wszyscy mię znają, ot niech
pan takiego małego berbecia zapyta w mia
steczku, kto jest pan Drachowski ? — to za
raz panu powie : „ten Drachowski z Sobko
wa ? Oo, to tegi gospodarz, co garnki na wo
dę w polu zakopuje...

— Jakto, na prawdę ?

— Widzi pan dobrodziej, zdrenowałem
się, a oni tak rurki dreniarskie nazywają...

Oha, cha, cha, garnki na wodę, jakie to pa
radne — mówi, śmiejąc się aż do łez mój
szlachcic. — Co pan dobrodziej powie na to,

sąsiedzi tak samo kpili sobie jakem rowy ko
pał, a teraz trza było zobaczyć moją psze
nicę, jaka była!... Las, mówię panu, przez
któryby się i wąż nie przesunął.... Koszto
wało to panie dobrodzieju grube pieniądze,
o grube, ale przyzna pan dobrodziej wypada
coś zrobić i dla kultury krajowej, jako przy
kład dla innych.... Ja panie co prawda je
stem oszczędny tam gdzie potrzeba, a jak
wypadnie sypnąć panie kochany — tam się
nie żałuje, zwłaszcza, jeżeli pan Bóg dał
człowiekowi na to.... Mówię panu jednego
złamanego centa długu na Sobkowie nie mam
Towarzystwo nawet spłaciłem; co mi po ta
kiej łasce, kiedy jej nie potrzebuję.

— Widać — odzywam się zaintereso
wany tem wszystkim — że ziemia w Gali
cyi daje dobrą intrate.

— Dyabła tam daje, panie kochany.

Maciek robi, Maciek zje....

— A jakże pan doszedł?

— Głowa panie dobrodzieju, głowa go
spodarska wszystko znaczy, a nie ziemia. Ja
nie chwaląc się, bo na cóż się przyda chwa
lenie, jeżeli wszyscy na sześć mil dokoła o
tem wiedzą, tak zawsze coś wyrafinuję, że
inni mają stratę, a mnie coś kapnie.... Tylko

wie pan dobrodziej, że to bieda jest mieć
tęgą głowę, jak Boga Kocham !

— A dlaczego ?

— Nie można się opędzić, tak wszyst
ko jedzie po radę, jak nie przymierzając na
odpust. Daję panu słowo honoru, u mnie się
drzwi nie zamykają. To wybierają do rady
powiatowej, to do sejmu, to na jakieś sądy
polubowne, to do komitetu drogowego, i Bóg
wie nie gdzie.... Czasem mówię panu dobro
dziejowi głowa ci pęka od myślenia, ale tru
dna rada, należy się coś i krajowi.

Czupurek wrócił, prowadząc za sobą
chłopca sklepowego z dwoma butelkami. Od
korkowano jedne, a pan Konstanty jako znaw
ca wziął się do spróbowania.

— Cienkosz kanalia — mówi podno
sząc ku światłu kieliszek i krzywiąc ustami...
Żebyś u mnie panie dobrodzieju spróbował
tokaja — to mi wino.... a tu wszystko fa
brykaty....

— Dlaczego nie ? — odzywa się Czu
purek, nalewając kieliszki. Przyjeździemy do
ciebie na tego tokaja, prawda panie Konra
dzie?

— Ozłociłbym was, jak Pana Boga ko
cham... Biorę pana za słowo — mówi, chwy
tając mię za rękę.

— Ależ ja nic nie powiedziałem.

— Pojedziesz, pojedziesz pan — doda
je Ozupurek.... No nasze zdrowie!

— A spoję was tak jak nieboskie stwo
rzenia....

— Dziękuję — ja mam i bez wina sła
bą głowę, a po każdej libacyi odchorować
muszę....

— U mnie tego nie będzie, moje wino
panie dobrodzieju tylko szemrze przyjemnie

po głowie, ale żadnych skutków broń Boże.
Pozwolicie mi dysponować, a ja pańskie zdro-
wie biorę na siebie; moje wino naturalne to
nic... Panna mogłaby go pić....

— A co wesoły hę? — szepcze mi Ozu-
purek.— Bestyja bogata i żyje, ale jak żyje...

— Na konto tego upicia się ja państwu
coś kapitalnego opowiem — rzecze zapalając
cygaro nasz szlachcic.

— Pewnie jakie głupstwo....

— Ale zaczekajże, to bardzo ciekawa
historia. Zostało mi po nieboszczyku ojcu
sześćdziesiąt butelek starego wężrzyna — cią-
gnie dalej pan Konstanty, wychylając drugi
kieliszek.

— Cóż z tego — przerywa Ozupurek —
co było a nie jest, nie pisze się w registr.

— Ale poczekajże, mam jeszcze, mam
jeszcze ze dwadzieścia tego samego, co to za
wino, co to za wino L. mówie panom ne-
ktar, delicye, małraazya... Berek z Sącza, ten
co to uważacie ma piwnicę, jak się nazywa,
dawał mi tak w rumel za każdą butelkę po
dziesięć reńskich, jak Boga kocham, kładł
na stół! Ale głupstwo, ktoby tam takie wi-
no sprzedawał!.., Kieliszeczek wypijesz — nic.
zdaje się, tak sobie wino, ale mości dobro-
dzieju, jak zacnie robić po tobie, to ci cho-
dzi i po rękach i po nogach i gdzie indziej,
a do głowy nic!... Jak Boga kocham z po-
czątku nic... Otoż zaprosiłem na święta pro-
fesora z gimnazyum, u którego moje chło-
pcy stoją.

— Czy zawsze takie jeszcze hebesy, że
musisz ich pchać z klasy do klasy? — wtrą-
ca Czupurek.

— Dajno pokój, chłopcy jak zwykle
chłopcy nasi.... Cóż chcesz, żeby w tym wie-
ku mieli łby naprzykład jak ty albo ja... Nie
bój się, wyjdą oni na ludzi, wyjdą! Józek
bestya do fuzyjki aż piszczy i powiem ci bę-
ben ma dobre oko! Wronę ci z drzewa zmie-
cie jak nic. A Tadzio znowu do koni jedyny...
Przyjedzie na święta czy na wakacye, to
ledwie ma czas musnąć matkę po rękę i za

raz do stajni.... Ani go ztamtąd wyprowa
dzić... na obiad nie można zwołać.. .
— Eh, lepiejby było, żeby książek pil
nowali — przerywa poważnie Ozupurek.
— Nie bój się i do tego z czasem przyj
dzie.... Jedno i drugie mężczyźnie potrzebne.
Ja ci panie dobrodzieju powiem pod sekre
tem , że tak samo nie garnałem się od razu
do książek, a teraz proszę cię widziałeś sam,
co ja tych pism prenumeruję ? No i głupi
nie jestem.... Sam powiedz, głupim , co ?
— Co o tem gadać przy kieliszku , ot
lepiej wypijmy zdrowie Konrada.... Daj nam
Boże....
Szlachcic powstał, aby się trącić ze
mną ostentacyjnie kieliszkiem , jednak wido
cznie nie mógł strawić poprzedniego pytania
bez odpowiedzi, bo wychyliwszy swoją por
cyę , zbliżył się do Ozupurka.
— Ale słuchajno powiedz, czy jestem
głupi czy nie?
— Mój drogi Kostusiu — odrzecz za
pytany śmiejąc się figlarnie — niech każdy
z nas ma taki rozum...
— A co nie na mojem , hę ? widzisz
ty pedancie.... Za pozwoleniem , na czymże
to stanąłem?

— Jak pan dobrodziej zaprosił pro
fesora....
— Aha, dobrze! Mówię do sąsiada z
Kobylnik, wiesz eo. ululajmy na wstępie pro
fesora, ale to tak, żeby wiedział eo to my....
Ha, powiada, ululajmy.... Więc skoro pro
fesor zszedł z bryczki, my do niego do
przedpokoju z kieliszkami. Wypił jeden na
powitanie, i powiada: „miód”. My jego zdro
wie — on zawsze miód a nie wino.... Na
przekonanie, że nie miód, wypijmy trzeci, i
tak na różne sposoby wpakowaliśmy mu dzie
więć. Trzymał się nieboraczyna, trzymał, ale
jak przyszło wstać z krzesła — ani rusz! Ha
cóż, miód? Tylko bełkocze: miód, miód....
i oczami zawraca, potem zwałił się na sofę
i mortus panie dobrodzieju. Zona na innie,
cóżeś ty najlepszego zrobił, do wili nie bę
dzie mógł zasiąść.... I prawda nie jadł, a na
drugi dzień to spał do dziesiątej....
Po dwóch butelkach Czupurka, szła
chcic kazał postawić swoje dwie , a że i ja
nie mogłem uchodzić za bajbardzo, zadyspo
nowałem po cichu trzecią parę. Musiało już

dobrze być popołudniu, bo w sali zaczęło się przeredzać gości — a myśmy gawędzili. Została tylko jedna para, dysputująca dość głośno o jakiejś sądowej sprawie. Jeden z nich

gruby, podobno pan Fajfer, ów generalny dłużnik nieboszczki Drachowskiej, coś bardzo energicznie atakował drugiego kiwającego już tylko głową z rozkosznym uśmiechem i potwarzającego nieustannie : „spis aktów.... do brze, spis aktów...." A przy tym spisie aktów podawali sobie ciągle ręce i całowali się z czułością wymawiając przerwami: „spis aktów...."

W naszym kółeczku równie całusów i wynurzeń nie zabrakło. Kostuś, bo już przy mojej parze butelek zeszedliśmy na ty a ty, miał możliwość wypraktykowania wszystkich szlacheckich sposobów całowania, których podobno jest czternaście — choć przytem co raz bardziej przybierał żałośliwą minę. Wzdychał, twarz przedłużał, oczy napęniał łzami rozczarowania, a rude wasiska coraz bardziej opuszczały mu się ku brodzie, jak te wiotkie gałązki brzozy płaczącej. Przeciwnie Ozupurka ogarniał pewien energiczny niepokój; co chwila zrywał się z krzesła, mierzwił brodę, wąsy i włosy na głowie i chodził po sali roztrzając stołki, z zamiarem tłuczenia wszystkiego, co mu się pod rękę na winęło. Już coś zrzucił dwa kufle od piwa na podłogę, potracił nogą pustą butelkę, za bierał się nawet do kieliszków, ale obaj z Ko

stusiem wzięliśmy go za ręce i nie pozwolili wyprawiać breweryi.

— Jedziemy do mnie na obiad! — woła, opłaciwszy rachunek.

— Jedziemy do Cesi, panie dobrodzieju — powtarza płaczliwie szlachcic, szukając czapki.

— Gdzież znowu, ja nie mogę!...

— Ani pytam — mówi Czupurek, biorąc mnie pod rękę.

— Bój się Boga, w takim stanie, z pierwszą wizytą, w takim ubraniu.... Co so

bie zona pomyśli, o mnie ?...

— To pomyśli co ja chcę, uważasz !

Ja krótko ją trzymam z samego początku....

Ja pan w domu, ja zawsze tego.... energii z walką.... Muszę cię uprzedzić, że ogromnie ciekawa kobiecina , już kilka razy mi wspominała, że musi cię poznać.

Nie było się co opierać: wiadomo bo wiem , że cygan dał się dla przyjaźni powieść, a tu przeciwnie chodziło o poznanie pięknej kobiety, do której jak wam wiadomo czytelnicy, czułem z miniatury już pewną inklinację.

In vino veritas, powiada przysłowie, więc też i ja nie żałowałem sobie animuszu, z jakim prawilem tysiącne komplementa

pani Cecylii. Miniatura nie kłamała wcale ; pani Czupurkowa śliczną jest kobietą, choć nie w ten sposób, jak sobie wyobrażałem. Ubrana w czarną żałobną suknię, zapiętą pod szyję, przy blado matowej twarzy i jasno żółtawych włosach, wyglądała może więcej poważnie, niż sobie życzyłem. Dołków przy śmianiu nie było na twarzy, głos trochę może za ostry i gruby, ale to z przyczyny, że za wcześnie kazano jej uczyć się śpiewu.... Jedną tylko rzecz w niej robiła mniej za chwycające wrażenie, to ręce nieco za wielkie, i zaniedbane. Kiedy jedne z nich uściśnięciem przy powitaniu, była trochę za szorstką....

— Tyle słyszałam o panu i jeszcze na wsi czytałam w listach nieboszczki mamy i męża, że doprawdy byłam ciekawa poznać, jak też ten pan Kolasiński wygląda ?

— Czy aby co dobrego ? — przerywam.

— Spodziewam się — inaczej nie pragnęłabym znajomości — mówi łagodnym lecz może za monotonnym głosem , spuszczać oczy nakształt pensyonarki.

Głos ten i ta miarowa dykcja, przypominają coś, coś szanowną jej mamę.

Podano obiad, muszę przyznać, że bardzo skromniutki, ale że nikt z nas nie był

przy apetycie, pani Czupurkowa przeto żeno
wała się bardzo, przepaszając co chwila. Ko
stuś już po zupie zasnął na dobre w krzesle
tak, że musieliśmy go obstawić do koła, aby
nie upadł na podłogę, Czupurek wbrew ener
gicznej naturze swojej, przypatrując się żonie
z zachwytem — kompletnie oniemiał, więc
towarzyska rozmowa ograniczyła się tylko do
nas dwojga i jakoś szła dość gładko.
Miła kobiecina z Cesi, nie ma co po
wiedzieć. Ma w swej osobie, w ruchach, w
spojrzeniu pewien wdzięk niewieści, który
niby się to droży, niby zaczepia ale tak ja
koś zgrabnie, że jej ani na jednym ani na
na drugim przyłapać nie można, a człowiek
naprawdę nie wie, co o niej sądzić — czy
ona jest taką jak jest, czy udaje. Dostyc to
i ja się znam na kobietach, wyszlifowawszy
tyle posadzek na świecie, a jednak długi czas
pani Cecylia była dla mnie zagadką. Że tak
z ukosa strzela oczkami, choć niby je trzy
ma zatopione w podłogę — to wiem. A śli
czne ma i długie rzęsy, niby frendzla aksa
mitna, przez którą jednak wypadają przy
padkowe iskry, a te iskry umieją kłuć tak
czułe serca, jak moje.
Z rozmowy ogólnej zesłiliśmy na histo
ryę mego pobytu we dworku jej matki, a to

dało powód do wyjawienia mojego obecnego
kłopotu, jaki mam, szukając nowego mie
szkania.

Uważałem, paoi coś znacząco spojrzęła
na męża, a ten wystąpił zaraz z propozycją:
— Wynajmij od nas! — zawoła uszczę
śliwiony. — Dwa pokoje i przedpokój mamy
do odstąpienia.... Pójdź, pokażę ci, oto te! —
mówi otwierając drzwi saloniku. Prawda, że
wesołe, czyste, widne? Masz oddzielne wyj
ście.... oddamy tanio.... Nie mogąc znaleźć
dogodnego mieszkania, musieliśmy wziąć wię
ksze.... Mam szukać obcych Bogów, to już
woię dobrze znajomego.... cóż, podoba ci się?
bierz choćby dziś....

Kiedyindziej możebym się namyślał,
skrupulatniej oglądał, zapewne i o cenę tar
gował — ale będąc w podniesionym nieco hu
morze, pod wpływem którego cyganie nawet
pozwalają się wieszać dla przyjaźni — cały
interes załatwiłem w minutę. Do dziś dnia
nie mogę sobie darować tego pospiechu —
i dobrze mi tak; nie trzeba nigdy przy za
wieraniu interesu liczyć na jakieś dalsze wi

doki , coś, coś nieokreślonego, o którym własne sumienie nie lubi nawet rezonować....
Kiedy pożegnałem państwa Czupurków,
on wyprowadziwszy mnie aż na schody, zapytał;

— No, jakże ci się Cesia wydaje ?

— Bardzo miła osoba.

— Mało, jest prześliczna prawda, za chwycająca I A jak mnie się boi, to mówię ci, tylko patrzy mi w oczy i czyta w nich, co ja chcę.... Daję ci słowo, nie zadysponuje je obiadu, żeby mi się nie zapytała, czego sobie życzę i co lubię....

— Bad jestem bardzo — odzywam się na to — że będę miał tak przyjemne z was sąsiedztwo — bo to człowiek czem starszy, pragnąłby już więcej familijnego życia... tak uważasz bez ceremonii....

— Mam ja na ciebie maleńki projekciki i Cesia jest w tem — ale o tem potem.... Pieścidelko ze wsi.... nadzwyczaj miły kozaczek, siostrzenica Kostusia.... Nie śmieję się, nie.... zobaczysz.... tymczasem spuść się na mój gust.

Sprowadziwszy się do nowego mieszkania , w krótkim czasie nawet bez wielkich wysiłków ze strony pani Czupurkowej, przeszedłem pod jej komendę. Wszystkie projekta poprzednie co do wyszukania sobie zajęć poszły w kąt, pani Czupurkowa dawała

mi go co dnia tyle, że gdybym mógł zdwoić swój czas, jeszczeby nie wystarczyło.
W charakterze moim leży pewnego rodzaju powolność i żenada, niepozwalająca oprzec się wymaganiom drugich , jeżeli tylko potrafią mię zażyć z właściwą że tak powiem, im perty uencyą. Pani Ozupurkowa jako młoda mężatka, której mąż miał dosyć zajęcia adwokackiego, nudziła się — na moją więc doległość zeszło zabawianie jej, a jednocześnie załatwianie drobnych komisów.

— Czytałabym książki, ale nie ma kogo, kto by je wybrał w księgarni.... Mąż ciągle zajęty, a ja nie wiem jak się wziąć do

tego... żeby nie trafić na takie, których skromna kobieta czytać nie powinna.
Naturalnie grzeczny sąsiad podjął się tej usługi, chodził do czytelnicy, odmieniał, dobierał, znosił.... odbywając poprzednią cenę. Chciałaby grać lub śpiewać.... ta sama historia z nutami.... Ni spacer nie może chodzić — więc grzeczny sąsiad musi towarzyszyć.... nawet mąż sam nieraz prosił, żeby ją odprowadzić do znajomych, na wieczorek gdzie on dopiero później przybędzie.
Powoli pani Cecylia, wtajemniczając mnie w swe gusta toaletowe, pozwoliła sobie debatowania ze mną o kroju sukien, fasonie

kapeluszków, doborze kolorów i tym podobnych drobnostkach, które dla młodej i ładnej kobiety zajmują dwie trzecie całego obszaru jej myślenia, a trzy czwarte prawdziwego zajęcia. Odwiedzała ją bardzo często niejaka pani Owczyńska, daleka krewna, zwaną na pospolicie ciotką; osoba już niemłoda, bardzo nabożna, bardzo serdeczna, gadatliwa i przyjacielska. Pani Owczyńska ubrana na wpół po zakonnemu, jak sama mówiła, stoi jedną nogą w klasztorze, a drugą na świecie; jednak co do zapasu wiadomości o tem, co się działo, dzieje i dzieć będzie w budoarach modnych dam, wiedziała tyle, że można sądzić, stąpała tam najmniej trzema nogami. Pani Owczyńska codziennie prawie przychodzi na kawę do śliczniutkiej Cesi, i podczas tej wizyty odbywamy wspólne narady tak co do sprawienia nowego stroika dla pani, jak równie i pewnego ulepszenia w urządzeniu domu. Wezwany do konferencji pan Czupurek, pojawiał się zwykle z piórem w ręku, zostawiając na biurku rozpoczętą pracę.

— Feluniu — mówi Cesia, biorąc go za rękę i prowadząc ku stolikowi, gdzie były rozłożone dzienniki mój — mój gołąbku, poradź mi, jaką suknię mam sprawić.... Czy tę

z garniowaniem u dołu, czy tę z wetmanem frendzlą obszytą ?

— I ta ładna i ta ładna.
— Ale wybierz....
— No, zdaje mi się, że ta z wetma
nem , czy jak tam to się nazywa....
— Mnie się zdaje Feluniu , że za po
ważna dla mnie, uważasz, dla starszej osoby
byłaby dobra...
— Więc bierz tę drugą....
— Kiedy jakoś zanadto skromna. Pro
szę cię, czybyś ty pozwolił, aby twoja zona
chodziła w sukni z tak biednym garnirowa
niem ? Zobacz, do czego to podobne ?
— Wybierz sobie inną.
— Inna widzisz Feluniu , drogo może
kosztować, a jabym cię nie chciała mój anioł
ku wyciągać na kosza.... Ty pracujesz tak
ciężko, prawda ?
— Nie myśl o tem, a wybieraj co ci
do twarzy.... — mówi z małą niechęcią w gło
sie Ozupurek. — Czy ja ci czego żałuję ?
— Właśnie dlatego, że mię psujesz swo
ją dobrocią, nieśmiem.... Ale, ale—powiedz
no mi, co ci dał ten żyd za sprawę, wiesz
ten czarny z Kazimierza?
— Sto pięćdziesiąt reńskich.... — sze
pnął jej ciszej.

— O, to moge sobie pozwolić! — rze
cze, całując go w szyję. — Jacy ci mężczy
źni szczęśliwi.... poskrobie trochę piórem,
przeczyta kilka arkuszy pisma, zajrzy do
książki i już ma sto pięćdziesiąt reńskich.
Widziałem, nie bardzo podobał się Czu
porkowi ten egzamen małżeński, co zdaje się
spozstrzegła również Cesia, bo wzięwszy go
za obie ręce, patrzyła mu tak miłosiernie
komicznie w oczy, iż musiał się roześmiać.
— Biedny ty jesteś Feluniu — masz żonę
zbytńię, prawda ? i tak dla jej kaprysów mu
sisz pracować.... Jednak twoja Cesia na czem
innem to wynagrodzi; wiesz , zaprowadziłam
w domu nowe oszczędności , już nie codziennie
będziemy gotowali obiad, ale raz na dwa dni.
Szkoda węgla, teraz tak podrożały.... odgrzeje
się drugiego dnia... Służącą przyjął od
pierwszego tańszą, tylko za trzy reńskie na
miesiąc, będę ją sama uczyć gotowania,...
Tak Feluniu , twoja żoneczka sama stanie w
kuchni, przypasze biały fartuszek i będzie
taką gospodynią....
Któs wszedł do kancelaryi adwokata,
pisarz wywołał Czupurka, i w ten sposób
skończyła się scena oszczędności małżeńskiej...

Ile razy przyszedłem z wizytą do pani Cecylii, a zdarzało się to i parę razy na

dzień, rozmowa nasza kręciła się tylko na temat strojenia.

— Widziałeś pan Amelię, jak była wczoraj ubrana ?

— Widziałem.

— No i cóż pan powiesz na ten świecący dołman.... Boże mój, jak ta kobieta nie ma gustu, kto dziś sprawia sobie nowy dołman ?

— Zdaje mi się, że dobrze uwydatnia jej figurę....

— Gdzież pan ma oczy ? — mówi za dąsana — teraz najmodniejsze są paltociki do figury. Stopkiewiczowa pokazywała mi ostatnie żurnale firancuzkie.... dołmany wyrzucone. Gabryela wążiutka, obcisła, z tyłu spięta, żeby nie stapać szeroko. Jedna tylko pani Matylda, co ubiera się jako tako w Krakowie, reszta wszystko bez gustu. Mój panie Konradzie, zrób mi tę grzeczność i pójdz do Szwarca, czy on tam nie ma co nowego.... Przechodząc wczoraj, widziałam na wystawie coś tureckiego w palmy. Za tydzień żałoba mi się kończy, muszę przecież pokazać się jako tako na ulicy. .. Śmieszna jest ta pani Dryndalska nieprawdaż ? ubierać się kuso wtedy, gdy moda jest, aby suknia wlokła się półtora łokcia za sobą.... Ja wiem, że

chodzi jej o pokazanie zgrabnych nóżek, za pewne i to dobre, jak ktoś nie ma nie więcej do pokazania....

Innego, mniej cierpliwego człowieka, mogłyby porządnie znudzić podobne rozmowy, ale mając pewną inklinację do pani Cecylii, słuchałem tego wszystkiego z pobłażaniem, i powoli, powoli schodziłem na taki sam tor myślenia. Spotkane kobiety ceniłem więcej z powierzchowności, aniżeli podług ich wewnętrznej wartości, rozglądałem się w najdrobniejszych szczegółach ich stroju, a rozpowiadając o tem pani Czupurkowej, zyskałem miano jedyne go znawcy w tej kwestyi.

Tymczasem zauważyłem, że coś i niej
przyjaciółka Ditmarowa, coraz częściej za
gląda do kuchni pani adwokatowej, a sam
pan Czupurek konferuje z nią na ulicy. Dla
mnie szanowna wexlarka nie miała serca być
tajemniczą, ze zgrozą więc dowiedziałem się,
że pan adwokat ma długi lichwiarskie, od
których grube procenta opłaca, a pani Ce
cylia bierze na kredyt różne drogie materya
ły ze sklepów na Stradomiu. W domu tym
czasem skąpstwo jej wzmaga się z dniem
każdym, ale skąpstwo tam, gdzie ludzie nie
widzą. Sypialny mój pokoik dotyka nieszczę
ściem kuchni państwa Czupurków, co rano

więc słyszę przez drzwi różne rozprawy na
ten temat ze służącą. Ale co mi do tego!
Wychodzę do drugiego pokoju, drzwi zamy
kam i nie chcę o niczym wiedzieć. I tak już
zrobili mnie plotkarzem w Krakowie, nie wiem
dlaczego i za co — odwołuję się do was czy
telnicy, którzy znacie już myśli moje — czy
ja mam w swej osobie coś plotkarskiego ?

Przyszło do głowy pani Cecylii wydać
wieczorek tańczący na imieniny czy też uro
dziny męża.

— Nie pozwalamy sobie na nic — po
wiedziała raz do mnie — oszczędzamy się
jak można cały rok, ale znów niepodobna
chodzić do innych i tam się bawić nie zapro
siliśmy ich kiedyś do siebie.... Myślę wystą
pić porządnie. Cóż pan na to ?

— Ja nie mam prawa robienia żadnych
uwag — mówię, przypomniawszy sobie o
tych żydowskich długach.

— Siadajno pan tu — mówi ciągnąc
mię za rękę ku fotelowi — muszę ja się pa
nu z tego wszystkiego wytłómaczyć.... Nie
bój się pan, po minie jego widzę, co pan
myślisz....

Zdziwiła mię ta pochopność do uspra
wiedliwiania się przedemną, w każdym je
dnak razie przybieram powagę obojętnego sę
dziego i słucham:

— Co pan masz przeciw temu wieczoro-
rowi ?

— Nic.

— Proszę mówić prawdę.... No panie
Konradzie, będę się gniewać, a pan wiesz,
że nie jest bezpiecznym przyprowadzać mnie
do gniewu.... Pani Czupurkowa, czy tam pa-
ni Czupurek, fe, jak można się tak brzydko
nazywać.... ma swoje pazurki, och ma! —
kończy spoglądając na mnie figlarnie i jeszcze
figlarniej grożąc paluszkami, od czego za-
cząłem topnieć niby wosk ziemny.

— Mieszkanie za szczupłą na wielki
wieczór....

— Pan nam odstąpisz swoje pokoje.

— Mogę odstąpić, i owszem.

— A w duszy myślisz sobie w tej chwili,
bodaj ją licha porwało za taki projekt! Nie
będę mógł wypaść się parę nocy, prawda ?
Ezeczywiście prawie słowo do słowa tak
myślałem, ale dla honoru wypieram się, jak
mogę.

— No, coż więcej ?

— Znajomości państwo nie macie tyle,
aby zapełnić te pokoje.... Na tańczący wie-
czorek potrzeba pańien.

— Oddamy wizyty nowym osobom:

będę u Ludwikowskich, u Soleckich, u Gai-
zlerów.... wszędzie są paany....

Próbowałem jeszcze dalszych nieśmia-
łych zarzutów przeciw planowi wieczorka z
tańcami, i mówię :

— A młodzież ?

— Czyż tej brakuje w Krakowie, zwła-
szcza kto ma tak życzliwego przyjaciela, ja
kim jest pan Konrad.... Prawda, że pan je-
steś naszym serdecznym przyjacielem ?

— Prawda — mówię, czerwieniąc się
po uszy przy całowaniu podanej mi rączki.

— Więc kwestya ta załatwiona po-
myślnie.

— Cóż dalej ?

— Chce pani prawdę usłyszeć, jak od
przyjaciela ?

— Od godziny już proszę o to, mój
panie ceremoniancie. Powiedz mi pan, czego
jesteś tak strasznie poważny wobec mnie....
Czy ja mam w sobie coś imponującego dla
pana ? Czy pan się mnie boisz ?... Zawsze
sztywny, zawsze jakiś taki chłodnogrzesny....

Tam do licha, myślę sobie — źle! Pani Cecylia widocznie ciągnie mię za język. Oj, trzymajmy się ostro, wyrwać się z niepotrzebnym głupstwem bardzo łatwo....

— Zdaje się pani — mówię, ile można ści utrzymując ton poważnej rozmowy — to już taka moja nieszczęśliwa natura, że wyda się więcej seryo niż jestem....

— Nie, nie, nie — przerywa mi ruszając główką i przypatrując ukośnie z pod owej frendzli rzęsów aksamitnych.... pan się czegoś boisz....

— Ma pani rację, boję się być prawdziwym mównym.

— A gdybym ja chciała, żebyś pan był prawdziwym mówcą?

— W takim razie — ciągnę dalej, robiąc ostatecznie salto mortale — zapytam panią, na co jej tego balu? Na co wyciągać męża na koszt a siebie na ciężką pracę i tyle kłopotów O ile wiem, jego finanse nie są w najlepszym stanie, w urzędzeniu domu wiele państwu brakuje do przyjmowania tak licznych gości... Na co to wszystko?... Pani spuściła oczy z widocznym zamyśleniem i zaczęła machinalnie przewracać kartkę za kartką albumu z fotografiami. Z boku tylko, ale to tak jak ona umie, strze

łała na mnie, badając uważnie twarz moją, jednak co chciała wyczytać, trudno mi było odgadnąć. Ozy zasmucił ją mój zręczny manewr z osobistych wynurzeń na kwestię balu, czy też ucywiała słuszność moich uwag co do kłopotliwego położenia męża — nie mogłem wiedzieć....

— Ha, kiedy tak pan mówisz — rzecze z westchnieniem, powstając z fotelu — to trzeba mi się pożegnać z nadziejami. Prawda pani, najlepiej się pożegnać na zawsze? Znowu źle ze mną, nie rozumiem do czego ona zmierza.

— Dlaczegoż na zawsze. Czyż pani nie znajdzie drugiej sposobności w życiu, aby dać wielki wieczór?

— Tak, wieczór.... masz pan rację....

stan finansowy męża poprawić się może —
mówi jakby nieprzytomnie, chodząc po po-
koju. — A zatem odłóżmy to wszystko....
— Daruje pani — odzywam się postę-
pując za nią po salonie. — Zdaje mi się pani
jest obrażona....
— Och nie panie Konradzie, rady ser-
decznych przyjaciół nigdy nie obrażają ; pro-
szę mi wierzyć. Zrobiłeś mi pan tylko mi
mowolną przykrość.... przepraszam nie przy-

grość, ale tak.... małą, dezilluzyę.... może
zawód....

— W takim razie racz mi pani prze-
baczyć, daję słowo, nie miałem takiej in-
tencji.

Ezeczywiście pani Cecylia zdawała się
bardzo zasmuconą takim obrotem sprawy, i
o ile mogłem dostrzedz, starała się ukryć
małą łezkę, nachylając się nad albumem.
Położenie moje stawało się bardzo kłopotli-
wym, ale dla czego ? nie wiem. Dość, że i
żał mi było i złościłem się na siebie.

— Pozwoli pani — mówię zbliżając się
do niej — że jeszcze raz powrócimy do owej
kwestyi wieczora.

— Na co ? Już mi pan wyjaśniłeś nie-
dorzeczność moich zachcianek.

— Jednak, gdyby się dobrze zastanowić,
może to nie jest tak złem, jak się na pierw-
szy rzut oka wydaje.... Może przedstawiwszy
to Feliksowi....

— Z początku właśnie ja tak samo my-
ślałam — odrzeczę podnosząc głowę pani Ce-
cylia — i liczyłam, że pan mi dopomożesz.
Znam dobrze mojego męża, i wiem, że ni-
czegoby mi nie odmówił, ale uważa pan, sa-
ma nie chciałam mu tego proponować.... On
prędko.... gotów się skrzywić.... i wołałabym,

aby on wystąpił z inicjatywą.... Wiem, że
pan masz pewien wpływ na niego.... Eh, na
co to mówić o tem!.... panowie wszyscy ma-
cie jeden i ten sam sposób zapatrywania się
na rzeczy... i jak pan osądziłeś, toż samo i
on myśli.... Więc dajmy pokój....

— Jednakże wie pani, ja spróbuję....

— Proszę, nie rób sobie pan tej su-
bjekcyi — odpowiada z pewnym grymasem.

— Dlaczego nie mam spróbować, jeżeli

to pani zrobi przyjemność.... Głowy z karku mi nie zdejmie....

— Mnie przyjemność ? — powtarza, patrząc mi seryo w oczy. — Nie panie, przyjemność moja, jaką mogłam mieć, już mi nęła. To co pan teraz zrobisz, wyglądać będzie na przymus, na pewien rodzaj litości dla kapryśnej kobiety, a ja zapewniam pana, żadnej litości nie potrzebuję....

Nie mało użyć musiałem argumentacyi, dowodzeń i przeproszenia, nim raczyła się zgodzić na przyjęcie mojej interwencyjnej misy do męża, z którym niebardzo trudna była sprawa, skoro mu wyłómaczyłem trzy rzeczy: pierwsza, że nie wypada tak młodej, pięknej i wykształconej kobiety chować w czterech ścianach mieszkania, bo słusznie

powiedzą, że jesteś albo tyran, albo zazdrośnik, albo nieumiejący żyć z ludźmi.

Pan Czupurek w tym względzie po twierdził w zupełności moje zapatrywanie. Dalej, że zrobienie nowych i porządniejszych znajomości, da cię poznać szerszemu kołu, i nastreczy lepszą klientellę niż dotychczasową żydowską.... Wreszcie, jeżeli idzie o najdrażliwszą stronę finansową, to przecie tak wiele podobny wieczór kosztować nie może....

Na tę ostatnią okoliczność widocznie nie bardzo się godził — nie mówił nic, tylko chodził po kancelaryi, przygryzając paznokcie, jak to ma zwyczaj, gdy jest zakłopotany.

— No jakże, panie Feliksie ?

— Ale czy wiesz, że Cesia sobie tego życzy, z pewnością wiesz ?...

— Tak z pewnością nie — bo sądzę wprzódyś odemnie wiedział, ale o ile wnoszę ze wszystkiego, zrobiłbyś jej wielką niespodziankę, proponując coś podobnego.... zresztą jeżeli idzie... jakby to powiedzieć.... to jest trudno ci będzie.... uważasz ja mógłbym ci pożyczyć kilkaset reńskich.

— Poczciwy Konradek ! — rzecze mi chwytając za rękę — poczciwy z duszą i cia

łem — mówi dalej, przypatrując mi się z czułością i gniotąc takowe coraz mocniej w swych dłoniach.... — Kiedy tak, to rzecz skończona.... Jesteś wzorem przyjaciół, jak Boga kocham, muszę ja ci to odwdzięczyć, ale to już familijne.... No no, zobaczysz, mam śliczną, bogatą i dobrą jak anioł siostrzenicę żony.... Dalibóg kogoś lepszego nie mógłbym jej znaleźć....

Wycalowaliśmy się, wyściskali i ze łza mi radości nagadali komplementów daleko więcej niż przy owem śniadanku w handlu z Kostusiem. Pani, gdym przyszedł do nich na herbatę, była w rozkosznym humorze, jednak wstrzymywała się ze zbyt czczeniem swego wdzięczności przy mężu. Tylko gdy odchodziłem do siebie, zatrzymała dłużej niż zwykle rękę moją w swych dłoniach, popatrzyła głęboko w oczy, ale nie już przez frendzle aksamitne, ale tak całymi źrenicami. — A zatem proszą kochanego pana ju tro na walną naradę.... Felusiu, ja całą noc spać nie będę z radości — mówi, całując go z pewną kokieteryą....

Jakoż na drugi dzień ledwie, że wstałem z łóżka i zaparzyłem sobie herbatę w imbryku, słyszę pukanie we drzwi od kuchni :

— Panie Konradzie, czy pan spisze?

— Nie. Dzień dobry pani.

— Dzień dobry. A nie mógłby pan przyjść do nas.... Owczyńska już jest, mąż spieszy się do sądu, tobyśmy pogadali trochę...

— W tej chwili służę — odpowiadam rzucając na bok papierosa.

I każę sobie podawać wodę do mycia czempredzej, i ubieram się piąte przez dzie siąte, nawet łysiny nie zaczesuję jak się na leży, mankietów zapominam, a biegnę czempredzej.

W jadalnym pokoju rzeczywiście zasta je panią Cecylię w bardzo miłutkim negligy ku na głowie, w fartuszku upiętym pod szy ją na sutym w liliowe paski szlafroku. Przy niej ciotka Owczyńska w brązowym półhabicie, z kapeluszem na głowie, podobnym do kapelusza Sióstr miłosierdzia, zapija smaczną kawę, a szczęki tak się jej ruszają żywo od brody ku uszom, jakby cała twarz nie miała ani jednej kostki wewnątrz, a była z gutaperchy ulepioną. Obok niej leży gruba książ

ka do nabożeństwa z przelożoną za karty ko
ronką , tuż futeralik z okularami, wypchana
torebka ręczna , i parę kiedyś czarnych, a
dziś niewiadomego koloru rękawiczek. Przy

drzwiach w chustce na głowie zawiązanej
niby turban jaki, z szyją skrepowaną pasmem
sznurków koralii, stoi Szymonowa kucharka,
w wielce melaneholijnem zamyśleniu pod
parłszy sobie brodę lewą ręką.

— Wiesz Oesiuniu, Terlikowska umrze
z zazdrości, jak jej powiem, że u ciebie bal...

— To wieczorek moja ciociu — prze
rywa pani Cecylia.

— Ale proszony, z tańcami, z winem,
z kolacją, z tortem, z lodami — trzepie sta
ruszka, maczając już szósty sucharek w ka
wie. — Boże mój drogi , abym tylko nie za
chorowała na ten dzień. A suknię czy masz
Cesiulko ? Ja włożę atlasową czarną z bawe
tem.... mam droga ty moja śliczotko.... nie
zrobię ci wstydu, gors wycięty tak, rękawy
króciutkie dotąd....

— Feliksie — odzywa się do piszące
go przy biurku w drugim pokoju gospody
ni. — Nie przyjdiesz do nas na chwilkę?

— Moje życie, mam bardzo pilną i ter
minową skargę na dzisiaj — odpowiada Czu
purek radźcie tam i bezemnie ; ja z góry
wszystko apróbuję....

— To dajże nam parę arkuszy czyste
go papieru i ołówek albo pióro....

— Weź sobie, moja droga, ile chcesz
i co chcesz, a nie przeszkadzaj....

Pani Cecylia wydobywa mu z pod ręki
ów papier, bierze z przed nosa ołówek i skła
da to wszystko przedemną.

— Obieramy pana za sekretarza.

— Ja — mówi wstając z krzesła, i u
kładając papiery adwokat — przeznaczam dwie
ście reńskich na to wszystko, rządźcie się jak
chcecie, aby tylko wystarczyło....

— I połowy nie użyjemy, prawda pa
nie Konradzie?... Ty wiesz moja duszko, że
ja umiem być oszczędną.

— Ma się rozumieć bez wina, bez tor-
tu i bez cygar — wtrąca Owczyńska — ta-
kie rzeczy już do mężów należą.
— Dobrze, dobrze, biorę na siebie —
mówi szybko, wybiegając Ozupurek.... — Do
widzenia, moja droga.
— Więc panie Konradzie, proszę zapi-
sać z góry dwieście reńskich.
— A pod spodem notabankę — dorzu-
ca ciocia, obcierając usta po kawie — wino,
tort, lody, cygara i karty, należą do Feliksa.
Pani nie oponowała, i ja wypełniłem
polecenie.
Jakie to szczęście i dla was czytelnicy
i dla mnie, że ja ten oryginał protokołu an-

kiety zachowałem u siebie. Gdyby nie to,
stracilibyście wiele szczegółów z tego zajmu-
jącego posiedzenia. A tak mając przed sobą
notatki, już sobie mogę przypomnieć cały
porządek narad i wszelkie wywiązujące się
nad każdym punktem dyskusyje.

Na mojej notatce w trzecim wierszu
stoi: „potrawy na kolacją”. Wyrazy te prze-
kreślone, a w ich miejsce napisano „lista o-
sób zaproszonych”. I ten tytuł przekreślony,
a dopiero trzeci „przeznaczenie pokoi” utrzy-
mał się na porządku dziennym.

Historia tych manipulacyj jest taka:
Ezeczywiście pani Cecylia przez wzgląd, że
Szymonowa musi iść do miasta po sprawun-
ki na dzisiejszy obiad, postawiła sprawę ko-
lacyi naprzód. Pani Owczyńska wystąpiła z
opozycją, że nie można dyskutować o kola-
cyi, nie wiedząc, ile będzie osób zaproszo-
nych, i postawiła swój porządek, listę osób
zaprosić się mających.... Skutkiem tego z wiel-
ką uciechą pani Szymonowej dano jej urlop
na godzinę, z czego korzystając wasz uniżo-
ny sługa, zażądawszy głosu, proponował ko-
missyjne zwiedzenie lokalu, od objętości któ-
rego zależała właśnie ilość zaprosić się mają-
cych uczestników.

Panie przyznały mi rację, lisia osób
została na arkuszu przekreślona i ruszyliśmy

z powagą na obejrzenie apartamentu. Otworzyłem drzwi od mojego mieszkania, które miało wejść w zakres działania przyszłego balu, prosiłem szlachetnych członków komisji, aby nie raczyły widzieć kawalerskiego nieporządku, jaki tam mogą zastać. Po wielu naradach, podnoszonych kwestiach, mierzeniu krokami wzdłuż, wszerz i na wysokość — wszystkich pokoi, po opatrzeniu drzwi, które z zawias powymować można, wróciliśmy do sali posiedzeń, skutkiem czego zapisało się do protokołu pod tytułem „przeznaczenie pokoi” co następuje:

a) przedpokój pana Konrada, zostaje przedpokojem: pożyczony jest ze składu mebli, trzy pary wieszaków na suknie, postawiona stara szafka, którą się nakryje sukniem z podłogi — lustro Szymonowej z kuchni przybija się na ścianie, nb. jeżeli nie bardzo krzywo pokazuje — dwie lampki małe bez umiarkowania przybijać na ścianę....

— Kawaleryja będzie tu mogła palić papierosy, prawda panie?

— Może, tylko dym pójdzie do sali.

— Eh, to nic, otworzy się lufcik u góry, zresztą i drzwi się od sieni uchyla....

— Przepraszam — wtrąca ciotka Owoczyńska — otwierać nic nie pozwolę. Ja będę ubrana do gorsu, mogę dostać reumatyzmu....

— Więc mamy się zadusić w dymie?

— Trudna rada; miłsze zdrowie niż śmierć.... niech nie palą.... Cóż to, nie mogą się wstrzymać, a zresztą niech palą do pieca.... Widziałam w wielkich nawet domach — otwiera się szyber, a chłopaki buchają dymem do pieca....

b) W saloniku pana Konrada tańce.... drzwi się wyjmują — kanapa zostaje, krzesła co jest — reszta ławki nakryte dywanami.

NB. Zkąd dostać ławek? czyby nie można ze szkoły miejskiej, niech się mądrze dowiedzie.

NB. Firanki wyprać, bo brudne....

Zyrandola dać nie można, bo nisko.

Kinkietów sześć pożyczyć w składzie lamp.

Co do podłogi, wywiązuje się dyskusja, czy froterować sposobem administracyjnym, zakupiwszy w sklepie potrzebne do tego ingrediencje, czy też ugodzić frotera od pokoju. Pani Cecylia, która ma jeszcze od matki nadzwyczaj praktyczny przepis na

farbę, jest za domowym sposobem, ja przeciwnie twierdzę, że lepiej oddać w entrepry

zę. Dla wyjaśnienia sprawy przywołuje się biegłego w sztuce pana Wojciecha, stróża kamienicy.

— Wojciechu — mówi Cesia do kolo salnej wysokości i tężyzny chłopca, ubranego w zabrudzony tartuch niebieski — potrafisz ty zaciągnąć podłogę.

— Olaboga, ja wszystko potrafię....

— A zaciągałeś kiedy ?

— Proszę pani, tyle włosów już nie mam na głowie, ile ja się już nie najeździł szczotkami po różnych posadzkach. Niech ino pani każe, to ja to wszystko dychtownie wysmaruję raz, potem drugi raz i dalej pucunek jak się patrzy. A proszę wielmożnej pani, ja do trę dokumentnie, czy mi to brakuje siły albo co... Trzeba wziąć za piętnaście centów u Waltera jak się zowie potaziu, za piętnaście kleju i tego jak się on to zowie... a bodajże cię, leranu, czy lejaniu.... no takiej czerwonej farby....

— Orleanu — podpowiadam.

— Eychtyk orleanu, i za pięćdziesiąt centów wosku. Na to trzeba nowy garnek wyszkliwany, i taką łopatkę i pendzel jeden, i starą szczotkę....

— Dobrze więc, przyjdź do mnie ju

tro rano, a ja ci napiszę do sklepu, ile czego potrzeba....

— Na co pisanie, proszę pani, ja wszystko sam wiem, jak trzeba... niechno tylko obejrzę, ile pokoi, to zaraz powiem za ile czego.

— Ja mam zapisaną wagę....

— To niepotrzebne, najlepiej za ile centów... Jak panu adjunktowi trzy lata temuż pucowałem podłogę, to tylko dał mi dwa reńskie i mówi: Wojciechu kup....

— Więc niechże pan zanotuje: „podłogi zaprawi Wojciech”.

Zanotowałem.... Teraz idźmy dalej.

c) Salonik nasz równie do tańca, jeżeli

tam byłoby ciasno , fortepian postawić przy drzwiach—meble usunąć pod ściany.... stół z przed kanapy na górę — lustro podnieść wyżej , żeby w tańcu nie stłukli.

d) Pokój jadalny zostaje jadalnym — szafy na strych, w kącie stoliczek z prze kaskami — sofę wynieść.

NB. Stolika do przedłużenia jadalnego sto łu da pan Konrad — jeżeli nogi ma za długie, spiłować mu. Krzesel siatkowych pożyczyć z przeciwka od pani Dworakow skiej , którą się zaprosi. Pani Owczyńska przysła swoje cztery....

e) Z pokoju sypialnego, łóżka rozbierają się i na górę. Kozetka pana Konrada zosta wia się — toaleta zostaje jako w gabinecie dla dam....

NB. Kupić dwa papierki szpilek zwyczaj nych, a dwie paczki do włosów — kilka igieł z niemi i nożyczki....

f) Kancellarya pana Feliksa na pokój do gry w karty — pożyczyć jeszcze dwa sto liki.... Szafa z aktami pana do sieni.... Pan Konrad kupi ośm talij kart przegranych....

g) Sypialnia pana Konrada , na pokój kredensowy.... froterować nie potrzeba, szafa i łóżko na górę.... książki z półek do tłumo ka, zbiory archeologiczne do piwnicy.... obra zy mogą zostać....

Eobię tu uwagę, że co się tyczy spraw mojego mieszkania, traktowany byłem na równi z Turcyą na kongresie berlińskim — nie miałem głosu , choć widzieli , że otwie ram usta do mówienia.

— Co to jest, żeby młody człowiek miał się krzywić — mówi pani Cecylia z dą sem. — Boisz się pan, że przyjdzie ci za dać sobie trochę pracy i subiekcyi.... Wstydz się pan!

— Dziecinny asan jesteś! — ofuknie

naprawdę już obrażona ciotka, mrugając oczami.

— Ależ panie szanowne, moje wyko paliska ! — odzywam się zdesperowany. —

Jakże można tak drogocenne zabytki przed historyczne pakować do lochu.

— Co, te brudne skorupy mają być drogocennymi ? A, mój panie Konradzie, wstydziłbyś się występować z czymś podobnym.... Na śmietnik z nimi, na śmietnik!

— Niechże choć jedna moja szafa zo stanie — molestuję z pokorą — gdzieś po dzieję garderobę, pościel, bieliznę ?

— Na strych.... Niech panu się zdaje, że się przeprowadzasz.... Moja ciociu, jacy oni dziś są zepsuci, jakie lubią wygodki.... Otoż dowiedz się pan, że dla kobiet, kiedy sobie czego życzą, wszystko się robi.... Chcesz się pan żenić a nie wiesz o tym, że naj pierwszy obowiązek męża jest słuchać żony.

— Ja to już dawno spostrzegłam — do daje ciotka — że oni dlatego tak się rozba łamucili, że w wojsku nie służą. Nieboszczyk mój ojciec pułkownik nauczył nas, jak to się po wojskowemu pakuje. Bywało wróci z mu sztry i mówi do matki: „Basiu, dziś jedzie my na kwatery do Łowicza”. I daję asanowi

dobrodziejowi słowo, w dwie godziny były śmy zapakowane....

Cóż miałem robić ? Zaofiarowawszy się raz na kobiecego niewolnika, nie wypadało jak tylko westchnąć, dział ubikacyjny w pro tokole podkreślić, i napisać nowy tytuł: „Li sta proszonych.”

Tu już wszczęły się daleko żywsze roz prawy między dżinami, w których ja tylko dwa razy mogłem przyjść do głosu.... Zao ponowałem, że sześćdziesiąt osób będzie za wiele....

— A to dlaczego ?

— Bo się poduszają — mówię. — Po dług badań lekarskich i potrzeb higienicznych, o ile sobie przypominam, czytałem jakąś rozprawę o szpitalach, i tam było powiedziane, że jedna osoba potrzebuje dla swojego oddychania tysiąc pięćset stóp kubicznych powietrza....

— Na miłość Boską, tysiąc pięćset...

Co też pan wygadujesz!... Tym sposobem najwyżej moglibyśmy zaprosić dwanaście osób.

— Koszałki opałki.... dorzuca ciocia.

— Daję paniom słowo honoru, tak do wodzą najznakomitsi lekarze.

— Jakichże to stóp, jakich ?

— No, kubicznych....

Obie wzruszyły tylko ramionami , spo
glądając to na siebie to na mnie, a ciotka
Owczyńska zaczęła nawet z pospiechem wy
dobywać okulary z futeralika.

Nie sprzeczałem się więcej, a panie
zaczęły wymieniać różne nazwiska familij,
które miały być zaproszone. Muszę przyznać,
że w tym wypadku okazały one więcej pra
ktyczność światowej , niż się spodziewałem :
nikogo nie prosiło się dla jego własnej oso
by, lecz tylko z pewnych przyczyn. Ludwi
kowskich dlatego, że mają dwie dorosłe cór
ki, z którymi młodzież lubi tańczyć. Siwicka
znowu jest zawsze z gustem ubrana , a to
nadaje szyk salonowi. Państwo Gerwazowstwo
tyle pożądaní, że on doskonale prowadzi ma
zura, kolegów Feliksa, dlatego, że są kole
gami, Terlikowskich dlatego, żeby ona po
balu mogła zachorować na żółtaczkę z za
zdrości. Doktora z żoną i siostrą, żeby nie
myśleli, że u nich tylko można się dobrze
bawić.... '

— Niech się przekona — mówi pani
Cesia — że moje majonezy z pulardy będzie
można ugryźć nie tak jak u nich, gdzie pan
konsyliarz zęby sobie wyłamał.... Joglów ko
niecnie.... stary jest członkiem tyłu rad nad
zorczych , to powaga....

— Co do Joglów — mówię, kładąc ołó
wek i podnosząc się z krzesła — ja posta
wię veto!

— Wiem, wiem — przerywa mi pani
Cecylia — obrażona duma, zawiedziona mi
łość....

— Wszak już objaśniłem panią, że nie
to.... Zresztą jeżeli pani tak się przy Joglach
upiera, to ja ustąpię i nie będę... daję słowo.

— Wyborny sobie, doskonały — rze
cze ciotka, mieląc ustami — taki słuszny
mężczyzna a bać się dwóch malutkich kobiet...
A wstydz się asan dobrodziej, tak się bać
recedywy... Zaraz znać, że nie służył w
wojsku....

Naturalnie, że wstyd — dorzuca gospo
dyni. — Ja będąc na pańskim miejscu męż

czyzną, naumyślnie bym szła im w oczy, aby ich poirytować. Udawałabym nawet komiczne zmartwienie z powodu owej rekuzy. Jak widzę, nie znasz pan nic a nic kobiet i nie wiesz, czym im dokuczyć. Zresztą mój drogi panie Konradzie — mówi dalej, patrząc mi wyraziście w oczy — daruj, ale mężczyzna powinien mieć w ogóle (ten wyraz w ogóle powiedziała z przyciskiem) więcej odwagi do kobiet, zapamiętaj pan to sobie.

— Ha, jeżeli pani tak sobie życzy....

— Naturalnie, że życzę....

Do rozpraw o kolacyi wcale się nie mieszałem, bo ten frazes w ogóle, dawał mi wiele do myślenia. Wiera tylko, że za podstawę do obrad wzięto podręcznik gastro-nomiczny, znany pod efektownym tytułem : obiadów za pięć złotych i to w dziesiątym wydaniu... Pani Owczyńska napierała, o ile pamiętam, żeby podano sarninę jako rzecz kruchą i dla osób niemających zębów odpowiednią.

Gdy przyszło zrobić w końcu rachunek potrzebnych na to wszystko wydatków, pokazano się, że jeszcze będzie można z owych dwustu reńskich dokupić nową lampę z tułipanem, kilka większych półmisek, sprawić portierę do drzwi, a ostatecznie, jakby się Feliks upierał, oddać mu z pięćdziesiąt reńskich na wino.

— Moja Oesiuniu — odzywa się żarliwie Owczyńska — tylko też nie rób tej nie-dorzeczności, i nie oddaj nic mężowi. Przecież i ty potrzebujesz coś dokupić do ubrania, wachlarz jaki, rękawiczki, trzewiki atłasowe, sukni pewnie nie masz?

— O już mam...

— Jakto? sprawiłaś bez mojej rady, tak pokryjomu.

— Sprawiałam.

— Mówże ślicznotko moja, jaką, z czego, gdzie robiona, ile kosztuje?

— Moja ciociu, to mój sekret...
— Nawet przedemn
— I przed ciocią.
— Ha, to róbże sobie jak chcesz... pa miętaj ja umywam ręce... Boisz się, żebym przed kim nie wygadała, oho rozumiem... Bardzo pięknie z twej strony.... No i nie powiesz ?
— Nie powiem.
— Widocznie chcesz, żebym umarła z ciekawości przed balem.
— I ciocia nie umrze, lecz przeciwnie dozna niespodzianki — rzekła na to pani Cecylia.

Rzeczywiście nie powiedziała ani jej ani mnie nawet, co, przynajcie szanowne czytelniczki nie mogło mi być przyjemnem... Jeżeli kto, to ja zasługiwałbym na zaufanie chociaż w ogóle mało mam odwagi.

*

Jak wszystkie ankiety, tak i nasza bardzo pięknie rzecz całą urządziła na papierze.

ale gdy przyszło do wprowadzenia w życie tych paragrafów — spotkało się mnóstwo nie przewidzianych przeszkód. Mieliśmy tydzień czasu do dnia na ów bal przeznaczony, a tu, jeżeli mogę użyć tego porównania, był dopiero uprzętnięty plac na Trocadero, na którym trzeba było wybudować kompletny pałac wystawy. Już co się tyczy pani Cecylii, tej energii zaprzeczyć nie mogę. Uczesawszy jako tako Felusia, kupiwszy mu nową kratkę na szyję, ustroiwszy we frak i jasne rękawiczki, aby przecie podobnym do ludzi wyglądał — zabrała go z sobą do wynajętej remizy i obwiozła po całym mieście, zrobiwszy w jednym dniu przeszło dwadzieścia kilka wizyt.

Co do mnie, to już nie trzeba wątpić : jak się zaofiarowałem iść na ten odpust, tak dzień po dniu od siódmej z rana, do dziewiątej wieczór byłem na nogach. Tu trzeba było mebli pożyczyć, tu porcelany, tu lamp i kandelabrow — tam wynająć lokai wśród grona expresów biwakujących pod pompą na rynku, obejrzeć ich ubranie — dalej wyszukać grajka do fortepianu, dalej zamówić tort, lody i parę tac suchych ciastek... a wreszcie kupić karty, orderki do kotyliona, i zwerbować legion kandydatów do tańca. Szczęściem

że ten werbunek poszedł mi bardzo łatwo, raz że pani Ozupurkowa znaną była przez wszystkich akademików, jako osoba bardzo piękna, co jak wiadomo, przyciąga — a po wtóre że ciotka Owczyńska tak skutecznie rozniosła wiadomość po mieście o wielkim balu z wielką kolacją, z winem szampańskim, z lodami, a zdaje mi się i z elektrycznym oświetleniem, że kto tylko mógł wydać dwa reńskie na kupno krawatki, ręka wiczek — formalnie starał się być zaproszonym.

Na dwa dni już rozpoczęło się transportowanie zbytecznych sprzętów na strych, do sieni i do piwnicy. Mój apartament tak oporzędzili, że w pierwszym dniu zostawiono mi tylko łóżko samotne w pokoju, które w wigilię balu równie powędrowało na górę, i ja zostałem przy materacach rozciągniętych na podłodze. Podobno i państwo Ozupurkowie w ten sam patryarchalny sposób ostatnią noc przepędzili... Im wolno, bo chcieli balu, ale za co ja nieszczęśliwy człowiek straciłem poczucie własnych kości we własnej osobie — to dotąd jest dla mnie prawdziwą zagadką.

A jeszcze ten niegodziwy Wojciech, co narobił kłopotów z froterowaniem! Mimo uro-

czystych zapewnień, że on wszystko po trafi, jak zaczął kupować na centy owe matery klasy do farbowania, to nakupił ich tyle, że za te pieniądze wszystkie podłogi w kamienicy możnaby bez subiekcyi zaprawić. Nie dość tego: lecz gdy już wszystko pokrajał, wodą nalał i do ognia w wielkim kotle przystawił — w żaden sposób wosk nie chciał się pogodzić z klejem i potażem, ale pływał uporczywie po wierzchu w kształcie pieniądza cego się kozucha.

Jeszcze leżałem na owych materacach, próbując nad ranem skleić powieki — całą noc bowiem staczałem walki z atakującymi mnie od strony kuchni owadami, gdy wpada z przerażoną fizyonomią kucharka Szymonowa.

— A niechno pan idzie prędko! — wo-

ła , poprawiając sobie chustkę na głowie —
paui aż mdleje ze zmartwienia.

— Cóż się stało ?

— Farba się nie chce ugotować ! Wojciech miesza i miesza, a nic tylko jak woda. Pobieglem na ratunek — widzę , pani Cecylia w desperacji, a Wojciech, kompletnie straciwszy przytomność, miesza się i na rzeka, że go ktoś oczarował.

— Na miłość Boską, radź pan! bo jak dziś nie zaciągnie podłogi, jutro już nie wyschnie, i nie da się wytrzeć.

Ba, radź.... ale jak tu radzić, kiedy ja sam na tem się nie znam. Próbuję, mieszam, wącham — nic nie pomaga: wosk jak się zbiegł na powierzchni płynu, tak się i zbiega. Coś zapamiętałem z chemii, że spirytus rozpuszcza tłuszcze, proponuję więc, aby posłać po okowitę, na małym talerzyku próbujemy — udaje się; pani Cecylia odżyła, lejemy spirytus, a choć wypadało kupić całe trzy litry tego rozczynnika, co oczywiście podniosło cenę farby w dwójnasób — jednak sytuacja ocalona. Wojciech uszczęśliwiony, z całą znajomością swej sztuki smarował i smarował posadzkę w różne esy i floresy, co zobaczywszy pan Czupurek o mało go nie poznał ze sprężystością swej łaski bam busowej.

— Eh, proszę pana moconasa , a kto ta w nocy będzie jej się przypatrywał ? Niech ino świeci się dychtownie; obaczy pan jak wyschnie, to ja ją tak dotrę, aż ha!

Tego samego dnia, kiedym się chciał zobaczyć z panią dla narady, co począć, że grajek gdzieindziej się ugodził, zastałem drzwi od jej pokoju na klucz zamknięte. Pukam —

nie otwierają, choć słyszę wyraźnie rozmowę pani z kimś drugim , a jak mi się zdaje po głosie, z wekslarką Ditermanową. Co one mają do siebie za sekrety? — myślę. Czy by znów pani Cecylia pożyczala od niej na swoje konto.... Ha, być może, bo o ile wiem, dużo rzeczy niezapłaconych , a z dwustu reńskich

już ani śladu — taka to historia ze wszystkimi kosztorysami na papierze.

Ogromnie jestem z tego powodu zadowolony, więc ułokowawszy się przy oknie na ganku, czatuję, kto też wyjdzie z mieszkania państwa Czupurków. Jak raz odgadłem — Ditermanową wraca z bardzo uśmiechniętą miną.

— Pani! — wołam ciszej, uchylając drzwi do sieni — proszę na chwilę. Żydówka się zatrzymała, lecz nie ma ochoty posłuchać zaproszenia.

— Powiedz mi pani, o czemeście tak radziły?

— Ny, to jest sekret.... — odpowiada uderzając końcem parasola o lakierowany nos swego trzewika.

— Moja śliczna pani Ditermanową, powiedz mi, bo umieram z ciekawości.

— Nie mogę.... Coś jej przyniosłam, co jest bardzo fein; awa, jakie fein....

— Czy pieniądze?

— Na co jej pieniędzy? Albo to nie ma męża który jej daje, a mąż nie ma przyjaciół, co jemu pożyczą bez procent.... I to już musiała wiedzieć.... Zaczynam ją obligować, straszyć, że przeniosę się z interesami do Wolfowicza, zaklinam się nawet słowem honoru — i widzę, żydówka mięknie.

— A jaki pan ciekawy strasznie, to jak kobieta — mówi, krygując się podług zwyczajowi przedemną. — Ja panu mogę powiedzieć, ale to jest wielki sekret.

— Będę milczał jak ściana.

— Sprowadziłam jej — mówi, nachylając się ku mnie — suknię aksamitną z Wiednia.... tylko niech pan pamięta o sekret.

— Musi być bardzo droga — rzeknę na to. — Ho, ho, suknia aksamitna z Wiednia, przynajmniej z pięćset guldenów....

— Broń Boże, i stu nie kosztuje.

— Ależ to byłoby za bezcen....

— Ditermanową wszystko tak kupuje, a te Ciesie, pan wie, to skąpa pani. Dwa tygodnie temu, ona mówi do mnie: sprowadź mi pani jaką modną suknię z Wiednia, nie koniecznie nowa....

— A więc to używana

— Jaka używana L. kto tam pozna eo
ona używana? Słieszności suknia z ogonem,
co jemu się wlecze na dwa łokcie. A kolor,
to takie jak ma najstarszy ksiądz od kato
lików....

Byłaby jeszcze więcej rozgadała się ze
mną Ditermanowa o tej sukni, lecz jak na
złość zaczął chrząkać jej mąż ma schodach,
drapnęła więc co żywo, a ja pomyślałem:
„poczekajże piękna pani, będę ja miał teraz
odwagę w ogóle.”

Gdybym chciał drobnostkowo opisywać
wszystkie przejścia owego balu, tak jak on
się zaczął od godziny dziesiątej;] wieczór, a
skończył o ósmej rano, dzięki gorliwości pana
Gerwazego, który jeszcze salopkowego mazu
ra urządził — to znając moją gadatliwość,
doprowadziłbym pamiętnik ten do dwóch to
mów. Ograniczę się więc na wzmiance, że
jeszcze do kolacyi podzielone były zdania,
czy udał się bal czy nie udał, a to ze wzglę
du na różne okoliczności.

Nie ja sam, ale i pani Cecylia zauwa
żała, że mąż jej okropnie niezręczną, a mó
wiąc bez ogródek dość śmieszną miał minę jako
gospodarz. I te wprowadzania, i te zapraszania
z powtarzaniem: „niechże pan dobrodziej bę
dzie łaskaw, niechże pani dobrodziejka będzie

łaskawa" dziwnie jakoś wyglądały przy nieu
stannem zacieraniu rąk i śmianiu się urzę
dowem dla uprzejmości. Był niby to wszę
dzie, a tak jakby go nie było — owszem spra
wiało zamieszanie, to potrzęsając za długo rę
kami mężczyzn, to przydeptując suknie da
mom, które znów nieustannie przeproszał.
Dobrze go zdefiniowała nieboszczka Drachow
ska — wyglądał jak człowiek z gór — tru
dna rada, wziął się nie do swoich rzeczy.
Za to sama pani królowała. Wystawcie sobie
wspaniałą aksamitną fijołkową suknię z od
stającym kołnierzem a la Maria Stuart, w
której z natury już kształtna postać pani Ce
cylia, wydała się teraz prawdziwie majesta
tyczną. Otoż ten strój gospodyni, te jej sa
lonowe maniery, podnosząc niezmiernie wdzie
ki, sprowadziły widoczny zły humor na całe
damskie towarzystwo. Nie zadawano sobie
subjekcyi, aby się wstrzymać od głośnego

krytykowania tych zbytków.

— Otoż mi takt pani domu — odzywa się Terlikowska do męża — wystroiła się sama za wszystkich. Cóż ona myśli, że my tu przyszły na oglądanie jej sukni?

— Uważasz duszyczko — prawi na to ziewający małżonek — z ta odstającą fryzją wygląda jak paw.

— Dziwię się, że mąż na to pozwala — dodaje pani Gerwazowa, machając aż do uprzykrzenia wachlarzem na swoją korpulentną osobę. — To tylko zgorszenie dla młodych panienek; żebym była wiedziała jak to będzie, to wierz rai pani, nigdybym moich dziewcząt nie prowadziła tam, gdzie się tak przeraźliwie dekolują....

— Ale zkad to się bierze łaskawa pani, na takie drogie suknie ? — rzecze, kiwając głową z szyderczem ust zacięciem pani Ludwikowska. — Mąż mój, który zna doskonale jego klientelę, powiada, że prócz jednej i to lichej upadłości, ma same żydowskie sprawy.

— Zkad ? — dorzuca z irapertynenckim uśmiechem Joglowa, wskazując ruchem głowy w moją stronę. — A ztąd !

Stałem nieopodal tych pań, zajmujących generalną kanapę, i rozmawiałem o polityce z panem Gazeciarskim, gdy ten ruch głowy pani Jogiel wpadł mi w oko. Mówię państwu, krew mi się zbiegła w żyłach z oburzenia, jednak zacisnąwszy zęby, udałem że nie słyszę ich półgłosnej rozmowy, a swoją drogą nadstawiam ucha.

— Widzi pani , że pocieszył się prędko — rzecze Terlikowska. — Jakie pani mia

ła przeczucie, odmawiając... Marynia byłaby z nim nieszczęśliwą.

— O, droga pani — odpowiada na to z pewną dumą Joglowa— ja nie potrzebuję przeczucia, ja niech tylko spojrzę raz na czoło wieka, a już wysonduję do dna jego duszę....

Trzech młodych akademików stało przy piecu w bardzo kwaśnem usposobieniu , a między nimi i brat Maryni.

— Cóż oni u dyabła poją nas jakąś mi
gdałową miksturą ? — odzywa się jeden, gdy
lokaj podszedł ku nim z tacą, na której brzę
czały maleńkie szklaneczki z orszadą.... —
Muszę powiedzieć gospodarzowi, że zdrow
teraz jestem....

— Salon do tańcu jak kurnik — mówi
drugi — ciasno jak na odpuście, nafta z lamp
cuchnie, a cygara same kabanosy....

— Jeszcze każą palić w zimnym przed
pokoju.... a ten łysy facet proponował, żeby
do pieca....

— O, ja sobie nie robię ceremonii —
odzywa się brat Maryni — ide do pokoju
gdzie grają, i palę swoje własne papierosy....
Co mi to za bal ? Wina jak na lekarstwo, i
to jakiś zieleniak... Kto nie ma na coś le
pszego, niech nie zaprasza. Poczekam do ko
lacy, bo ma być sarnina, i zaraz drapnę....

Panienki, splecione z sobą, pod ręce,
chodzą ostentacyjnie po środku salonu, i sze
pczą do siebie, oglądając się w różne strony.
Jakiś błąd młodzieniec, z niezmiernie wy
sokiem kołnierzykami, z głową rozlupaną
na dwoje, w kolorowych pończochach, robi
przed nimi piruety i naprzód i z boku.

— Panie Romanie, czemu nie tańczysz
z gospodynią? — zapytuje go mała brune
teczka, podnosząc wielki bukiet do twarzy.

— Nie chcę zginąć w labiryncie fałdów
aksamitnej sukni.

— Złośliwy pan jesteś, a jednak śli
cznie wygląda, nieprawda ?

— Jak dla kogo ; przyznam się pani,
nie jestem zwolennikiem pancerników....

— Czego, czego ?

— Okrętów opancerzonych, albo mó
wiąc inaczej, monitorów....

Och, myślę sobie, potrzebujesz ty mo
ści paniczu monitorów, potrzebujesz, ale bo
ćkowskich....

— Dlaczego ? — pyta ciekawie bru
netka.

— Kibić pani Cecylii jest tak uzbrojo
na w jakieś rogówki, w jakieś żelaza.. .

— Nie mówiłam, słuchaj Zosiu, nie mó
wiłam ci — trzepie owa panienska z bukie

tem, zwracając się do koleżanki, która drugi dandys atakuje, chodząc tyłem przed wieńcem panieńskim. — Nie mówiłam, że okropnie wysznurowana....

— Ozy oni dadzą kiedy tę kolację? — szepcze trzecia do owej Zosi — umieram z głodu, umyślnie nie jadłam w domu....

— Będzie niezadługo, będzie — podchwytuje ten drugi dandys — słyszałem jak piszcza kotlety w kuchni.

— Prawda, żeby też nie mieć tyle sensu, i gdzieś kuchni dalej nie ulokować....

Jaki swąd, czujesz? można dostać migreny....

Kiedy się tak jednym uchem przysłu chuję różnym krytykom naszej pracy, łapie mnie pod rękę pani Owczyńska.

— Konradku, serce moje, kompromitujesz i siebie i Cesię, wodząc tak za nią oczyma.... A tort kupiłeś fatalny !... Pe, kto widział podawać chlebowy jak u rzemieślników jakich, żeby się mogli najeść. Byłam dopiero w kuchni, serce ty moje, sarninę zepsuli na nic, sos przydymiony.... Ale niech dają, niechże już raz dają przed dwunastą; jutro wigilia do Matki Boskiej, nie mogła bym jeść sarniny, proszę cię powiedz Cesi.... Ledwie, że mogłem odzepić się od bany, drapnąwszy przed nią do męzkiego po

koju. Starszyzna gra w karty, a pan Ozupurek jakby nie miał co lepszego do roboty na swoim balu, przechadza się od stolika do stolika i gapi się, zaglądając w karty grającym.

— Feliksie! — słyszę głos ze drzwi od jadalnego pokoju — Feliksie !

Ozupurek, jakby po nagłym przebudzeniu, puszcza się ku żonie, a przeciskając się przez krzesła grających, wytrąca karty z rąk starego Jogle, i o mało co go z krzesłem nie przewraca.

— A cóż to za sowizdrzał — mruknienie tenże, zbierając karty z podłogi... — Miałem siedm bez atuta....

— Tst — szepnie mu sąsiad — to sam gospodarz.

— Tembardziej, w domu swoim powinien być uważnym.... Ale gdzie tam u nich szukać jakiegoś poszanowania dla urzędu i wieku. Inny przynajmniej przeprosiłby, a ten

letkiewicz przeleciał jak uragan.
— Zmiłuj się Feliksie — szepcze je
dnocześnie pani do męża — czego ty tu sie
dzisz, a nie ma kto gości zabawić !... Gdzież
jest więcej wina? — Patrz, młodzież nie
tańczy, ten pan przy fortepianie grać nie
chce, powiada że zmęczony.... Ruszże się, fe,

gospodarz taki.... Spojrzno, ta lampa czegoś
kopci , gdzieżeś podział trybuszon?
— Idę, idę moja duszko, myślałem, że
wszystko w porządku, a i tu wypadło... tego...
— Paule Konradzie — zwraca się do
mnie zakłopotana pani Cecylia — na miłość
Boską pomóż mu.... A propos, dlaczego pan
nie tańczy ?
— Nie mam z kim....
— Bardzo grzecznie z pańskiej strony!
Tyle ślicznych panienek, tyle młodych męża
tek siedzi.... Idźno pan do doktorowej, patrz
nudzi się i nosem krzywi....
— Dobrze, pójdę — odpowiadam filu
ternie — ale wprzód przetańczę z panią obie
canego walca.
Zamiast odpowiedzi, położyła mi lewą
rękę na ramieniu, i w ten dość poufny spo
sób dostaliśmy się do salonu. Nie wiem, czy
walec był tak ochoczy, lub też w duszy mo
jej było zanadto gorąco, dość że tańczyłem
podobno bardzo zapalczywie, wywijając tan
cerką z bezprzykładną energią.... Daję słowo
nie czułem ani widziałem tego, aż dopiero
gdy się wyrwała z moich objęć, przybiega
ciotka Owczyńska:
— Jakże można panie Konradzie! Patrz,

uderzyłeś suknią Cesi w oko doktorową...
patrz jak trze chustką, a idź że przeproś!
Biegnę więc bez tchu i z całym usza
nowaniem sumituję się za moją nieuwagę.
Pani doktorowa jest osobą dość jeszcze mło
dą i bardzo dobrze wychowaną, przyjmuje
tedy grzecznie moje przeprosiny.
— Czy pan zawsze tak energicznie tań
czy?— zapytuje z uśmiechem, trzymając chu
stkę przy oku, i robiąc mi obok siebie miejsce.

— Zawsze.... To moja zasada: jeżeli co robić, to robić z energią, a jak bawić się, to bawić ochoczo. Jednak proszę, niech pani nie sądzi, że za każdym razem wybijam oczy siedzącym damom.... nie, tu więcej winna suknia pani Czupurkowej, aniżeli ja....

— Prawda, że śliczna suknia — rzecz sąsiadka, obcierając ostatnią łzę z chorego oka. — Zazdroszczą jej też wszystkie panie, ale to od pierwszej do ostatniej....

— Ma się rozumieć, z wyjątkiem pani.

— Naturalnie, dowód, że to panu mówie.... Przyznam się, nie rozumiem zazdrości dla zazdrości, i owszem cieszy mię jak ktoś pięknie wygląda. Cesia jest tak miłutka i dobra kobieta, a mąż tak ją kocha, że choć pozwoli sobie małego zbytku, to jej ujdzie, zwłaszcza jeżeli mężowi nie robi to różnicy.

A tym paniom z kanapy zaraz wszystko szkodzi: zbytnica, rujnuje męża, a taka suknia najmniej sześćset reńskich, a jak to można... Wie pan, brzydę się taką obmową!

— Serdecznie pani dziękuję za obronę pani Cecylii — odzywam się rozrzuwiony taką szlachetną wyrozumiałością. — Rzeczywiście u nas wyjątkowo tylko — recytuję dalej z zapp*em — można się spotkać z tak po błaznącą opinią jak pani. Nie jestem ani brat ani swat żaden pani Czupurkowej, jednak irytują mię tego rodzaju żółciowe spostrzeżenia.

— Ha, cóż pan chcesz, świat jest złośliwym, i nic pan na to nie poradysz.... Co do ranie, to Cesię stawiam jako wzór dla młodych mężatek. Uważałeś pan, jak ona jest uprzejmą dla wszystkich, jak o nikim nie zapomnie, a jaka przytem ładniutka, miłutka, jaki ma wdzięk....

Byłbym ucałował szanowną sąsiadkę, choćby była tak brzydką jak Owczyńska. Ot — pomyślałem — jak Cesia nie umie poznać się na ludziach i cierpi coś do tej doktorowej, która jest najszczerzą jej przyjaciółką.

— A słyszałam — mówi dalej ze słodczą — że swoją drogą jest bardzo oszczędna w domu, że sama wszystko robi, sama szyje.... Naprzykład i tę suknię, za którą tak

na nią krzyczą, podobno zrobiła własnymi rękami.

— Nie pani, co prawda to prawda, zda je mi się, sprowadziła ją z Wiednia.

— Ej, czy się pan nie mylisz? — mówi z figlarnym spojrzeniem. — Ozupurek nie jest tak rozrzutnym, aby pozwolił, a i ona by nie chciała...

— Ma pani rację, zanadto jest ona rozsądna; to też mimo, że suknia sprowadzona z Wiednia, jednak nie kosztuje tak drogo, jak pani sądzi.... Pani Cecylia potrafi, że będzie to piękne a tanie.

— Więc co też może kosztować?

— Podobno mniej niż sto reńskich.

— Nie żartuj pan! To byłby cud, bajka z tysiąca nocy.

— Daję pani słowo, tak jest....

— No, muszę tylko podziwiać jej rozum, a choć to i my z siostrą potrafimy sztukować, choć nieraz dwa dni medytujemy, aby tylko było oszczędnie, to jednak nie podjęłabym się tej sztuki, żeby sprawić suknię akşamitną z takimi szerokimi koronkami, z takim garniowaniem za sto reńskich. Albo jest czarodziejką, albo już nie wiem co....

— Niech się pani zapyta Ditermanowej, zapewne zna pani tę wekslarkę z ryn-

ku, bo ja wiem od niej, że tak jest — do wódz z intencją przekonania pani doktorowej o zasługach pani Cecylii na polu rządności. Ditermanowa powiedziała mi pod sekretem, a jej mogę wierzyć, bo to żydówka sprytna — że ona właśnie sprowadzała tę suknię z Wiednia.... Pani Czupurkowej nie śmiałem pytać, pani wie, jak ona jest skromna i chwalić się nie lubi.

— Powiedziałeś mi pan rzecz niezmiernie ciekawą, za co jestem mu nieskończenie wdzięczna. Dobrze czasami skorzystać z takiej okazji....

— Spodziewam się — mówię nato, po wstając — że wdzięczność pani nie skończy się na słowach, i że będę miał przyjemność przetańczenia z nią jednego walca....

— Służę panu — odpowiada zdejmując okrycie — tylko nie wybijmy komu oka....

— Pani sądzi, że zawsze mam być tak niezgrabnym?

— Powiedz pan lepiej, że nie każda tancerka wpływa na jego niezgrabność....

— I to być może; dlatego tańcząc z panią, bierze mię chęć powtórzenia tej operacji z okiem choćby na osobie pani Joglewej. Przetńczyliśmy walca tak samo ochoczo jak z panią Cecylią, lecz jakoś bez wy-

padku, za co otrzymałem grzeczną pochwałę, że jestem perłą tancerzy—a gdy w tej chwili zaczęto ruszać się do kolacji, podałem rękę uprzejmej pani, i asystowałem jej przez cały czas siedzenia przy stole.

Kobiety z początku dosyć ponuro zajądały, z poważnych min ich i zamienianych między sobą spojrzeń znać było, że obserwują wszystko, i potrawy, i nakrycie, i porcelanę, które trzeba przyznać, nie harmoniowały bardzo z sobą — zwyczajnie jak zbierani na. Dopiero gdy poczęto wznosić toasty, gdy jedna, druga i trzecia pękła butelka z szampanem, a pan Czupurek z wycalowaniem rączek zdrowie dam zaproponował, rozweseliły się oblicza młodzieży, powstał gwar, a z nim i serdeczność niezwykła.... Biedna pani Cecylia już upadała ze znużenia, gdy przeciwnie Owczyńska jadła i jadła bez końca, z tak forsownymi ewolucjami twarzy, że czepek na głowie formalnie się poruszał.

— Kochana ciociu dobrodziejko — mówię, pokazując jej zegarek — już wpół do drugiej.... wigilia dawno minęła....

— Któż asana prosi, abys mi o tem mówił — rzeczce zirytowana, odwracając głowę. — Niewiadomość grzechu nie czyni; brzyd

ki asan jesteś.... Teraz jak wiem, już jeść nie mogę....

Po kolacji poszedł mazur, prowadzony z różnemi figlami przez Gerwazego, który wymyślał same tylko figury z winem i przy klękaniem. Mimo tak uroczyście wygłoszonej opinii, że młode panny znajdują tu samo zgorzenie, pani Gerwazowa dotrzymała z niemi placu do samej ósmej godziny z rana. Przy pożegnaniu, nikt serdeczniej nie wycalował gospodyni, jak poczciwa doktorowa, i proszę państwa, ktoby się spodziewał, że to wszystko był fałsz od a do z. I te czułości, z którymi się przedemną wywnętrzyła, i te

pochwały, i ta troskliwość o nią — wszystko obłuda, o czym się wkrótce przekonamy.
Już reszta pań była ubraną w przed pokoju, już nawet doktorowa trzymała za klamkę odedrzwi, gdy nagle jakby sobie coś przypomniała, odzywa się głośno:
— Ale kochana Oesieńku, bądź też tak dobra, i daj mi adres tej poczciwej wekslar ki.... panie Kołasiński, jak to się ona nazywa?
— Nie wiem, o której pani mówi?
— No tej, co to sprowadza tanie suknie z Wiednia dla Cesi.... tej, tej Miter... czy Ditermanowej....

Pani Czupurkowa zrobiła tylko wielkie oczy, i naraz zbladła jak ściana, a ja zmiarkowawszy, o co idzie, nie wiedziałem co z sobą zrobić....
— Nie koniecznie dzisiaj, moja Cesiuniu — mówi dalej, jakby bez cienia złości wości — ja wiem, jesteś znużona, ale jutro, pojutrze.... Widzisz kochanie, chciałybyśmy z Malwinką korzystać z takiego pośrednictwa... Dobrze? przyszłe o to pojutrze....
Wyszli wszyscy, i zaraz w sieni, słyszałem, rozpoczęła się generalna indagacja pani doktorowej, co to wszystko ma znaczyć. Czupurek zajęty podawaniem futer damom, wcale nie słyszał pytania doktorowej, więc zamknawszy drzwi na klucz, pobiegł, aby się położyć na pierwszej lepszej kanapie.
— Panie Kołasiński co to jest? — rzecze do mnie pani Cecylia z miną nadzwyczaj poważną. — Ozy pan mówiłeś z tą panią coś o mojej sukni i o Ditermanowej?...
— Tak jest, mówiłem — odpowiadam spuszcżając oczy — ale to w innym znaczeniu... to jest....
— A zżąd pan wiesz o tem?
— Wspomniała mi Ditermanową....
— Więc pan zajmujesz się dozorowaniem moich czynności, czy tak? — pan mię

szpiegujesz? — powtarza zbliżając się ku mnie z dziwnie przeszywającym spojrzeniem swych czarnych oczu.

— Dowiedziałem się przypadkiem... — bąkam, stanąwszy jak winowajca jaki przed zagniewaną Junoną.

— I nie miałeś pan nic lepszego jak, wypaplać zaraz to wszystko przed największą moją nieprzyjaciółką?... Wstydz się pan ta kim być plotkarzem!

— Daruje pani — mówię zamierzając wziąć ją za rękę — nie spodziewałem się...

— Przepraszam, bardzo przepraszam! — woła, chowając za siebie ręce — kobieta plotkarka jest bardzo mizerną osobistością dla mnie, ale mężczyzna i niby to przyjaciel...

Wstyd, wstyd panie!

Chciałem się jeszcze tłumaczyć i wy powiedzieć jak to było, lecz obrażona mocno nie dała mi przyjść do słowa, ale odwróciwszy się prawie z pogardą, wyszła do swego mieszkania, zamykając drzwi na klucz....

Ot, dałem sobie też chleba dałem! — myślę, chwytając się za głowę. — I potrzebne mi takie niedorzeczne wywnętrzanie przed tą niegodziwą kobietą, która za pomocą udanej życzliwości dla pani Cecylii, wyciągnęła odemnie tajemnicę.... Wierzcie mi

czytelniczki, tak byłem przerażony, zmartwiony i przygnębiony tym ciosem, jaki mię spotkał, że gdybym miał wtedy pod ręką pistolet lub inne śmiertelne narzędzie, już by mię dziś nie było na świecie. Szczęściem dla mnie i dla was, że w byłym salonie do tańca prócz kanapy i krzeseł, któremi przecież zabijać się trudno — walały się po podłodze odarte szczątki fälbau, kawałki wstążek, jedna rękawiczka i kilka przydeptanych orderów kotylionowych, na których powiesić się nawet niepodobna. Wszakże i takie fałszyki trują czasami zawiedzionych kochanków, w znaczeniu moralnym, lecz dla mnie w tej chwili były nieużytecznymi.

Mimo takiego znużenia i bezsennie straconej nocy, ani pomyślałem o spoczynku. Piorunująca postać pani Cecylii z tym Jowiszowskim wzrokiem, z tem spazmatycznym drganiem wybladłej twarzy — gorzej jeszcze niż wyrzut sumienia stały mi przed oczyma....

Nawet nie mogłem porządnie zebrać w skołataną głowę swych myśli, i zdecydować się na coś takiego, coby mię uspokoić a pa

nią Czupurkową przebłagać mogło.... Dumałem, chodziłem po pokoju, przyciskałem go ręką czoło do zapoconej szyby — i nic... Jednak powoli, przypomniał sobie, z ja

kiem szyderstwem i dyrektorską powagą egza minowała mnie ta pani niby studenta iakiego — poczułem pewną obrazę w sobie, która niedługo przemieniła się w prawdziwe obrażenie.... Cóż to, zbrodnię jaką popełniłem czy co?... Wielka historia, że wydała się tajemnicą starej sukni aksamitnej.... Przyznam się, impertynentką jest pani Cecylia.... Gniewa się — niech się gniewa.... i tak służę jej rok cały dyabli wiedzą za co i po co.... Skierowawszy w ten sposób na właściwą drogę rozdrażniony prąd myśli, zaspo kołem nieco własne sumienie, i z przybraną hardością oczekiwałem dalszych następstw tego wypadku.

Jak było do przewidzenia, już na drugi dzień całe miasto formalnie trzęsło się, rozpowiadając o wczorajszym balu. Podług tego co mówiono, wszystko tam było pożyczane, i nie tylko suknia aksamitna, ale nawet czomber sarni sprowadzony od tande ciarży z Wiednia. Próżność pani Czupurkowej została aż nadto zdemaskowana. Gdyby popełniła rzeczywiście jaką zbrodnię, naprzykład skradła komu sześćset reńskich, i za sprawiła nową suknię, mniejby jej miano za złe, niż takie oszustwo salonowe, że za swoje własne pieniądze sprowadziła ją z tande

ty. Skandal, hipokryzja, nadużycie zaufania i Bóg wie nie co wygadywano. Wszystkie znajome panie patrzyły już na nią z ukosa, jedna tylko ciocia Owczyńska pokazała się wyższą nad przesady, nie zerwała znajomości z panią Cecylią, lecz przeciwnie dwa razy na dzień odwiedzała swoją ślicznośc, zno sząc wszelkie szczegóły rozmów i opinii, jak po mieście krążyły.

Co do mnie, byłem rzeczywiście za wstydzony, tak że przez dwa dni z rzędu nie odważyłem się pokazać na ulicy. Na drugi dzień zaraz, patrząc, wchodzi do mnie pan Ozupurek z nadzwyczaj etykietalną i zaambarasowaną miną, wręcza mi pożyczone na ten bal pieniądze i jeszcze etykietalnie dzie

kuje za grzeczność.

— Bo widzisz — mówię do niego —
chciałem się wytłumaczyć przed tobą....

— Eh, dajmy temu pokój — rzeczy,
zabierając się do wyjścia — to są babskie
sprawy, niech je załatwiają między sobą.

— Jednakże, proszę cię, posłuchaj, jak
to było....

— Darujesz, ale postanowiłem sobie
nic o tem nie wiedzieć i do niczego się nie
mieszać.... Poróżniły się — pogodzą się, czy
nie znasz kobiet? A tak jeszcze gorzej.... Ja

zawsze ci będę wdzięczny za twoją, dla nas
życzliwość.... przejdzie to, przejdzie.... No do
widzenia, mój kochany.

Nie było co atakować go dłużej w tej
materii, więc ucałowaliśmy się dyplomatycznie,
tak na powietrzu, a ja zmiarkowałem
z tego, że to się zanosi na kompletne zerwa
nie stosunków. Ha! trudna rada — powie
działem sobie — jak nawarzyłeś piwa , tak
wypij bratku. — Więc też piłem go, gryząc
się wewnątrz przez cały post wielki.

Awantura z aksamitną suknią wprawdzie
przebrzmiała na bruku krakowskim i poszła
w zapomnienie jak wszystkie rzeczy na świecie
— jednak pani Cecylia w gniewie swym
była nieubłaganą. Bywało, spotkamy się przy
padkiem na schodach czy na ulicy — od
kłoni się, to prawda , ale tak sztywnie, tak
pompatycznie, że mnie o mało dyabli nie
biorą, dlaczego ja jej się dotąd kłaniam. Ozu
purek również jest chłodnogrzecznym, roz
mawia to niby ze mną, ale o rzeczach obo
jętnych i ani wspomni, żebym ich odwie
dził.... Ja też z tej niełaski tak wiele znowu
sobie nie robię, i aby to pokazać pani, śpie
wam codzień w moim pokoju, zapraszam
znajomych, z którymi prowadzę bardzo we
sołe rozmowy, co wszystko ona doskonale

słyszysz przez drzwi. Zresztą przyznam się pań
stwu , jak się rozpatrzyłem bliżej do koła,
straciłem kompletnie illuzję do tej kobiety.
Wielka zasługa, że jest piękną, ale przytem

najzwyczajniejsza w świecie kokietka, inte-
resowna i próżna do ostatecznych granic, cze-
go dowodem historia z tą nieszczęśliwą su-
knią. Wszystko co robi — to tylko dla oka
ludzkiego, a za tem okiem skapstwo i chci-
wość. Dobrze powiada stare przysłowie, że
niedaleko jabłko pada od jabłoni, i jestem
przekonany, że na starość będzie taką samą,
jak jej szanowna mama Drachowska.
Zdaje się wspomniałem już, że mój sy-
pialny pokój dotyka' do kuchni, z którą łą-
czą go drzwi obecnie na klucz zamknięte,
przez które jednak słycać wszystko, co się
tam mówi, a nawet czuje się nieraz, co go
tuja na obiad. Z początku jeszcze, kilka razy
mówiłem Czupurkowi: „każ pan te drzwi
albo zamurować, albo czemś zabić”; on po-
wiada dobrze, dobrze, ale tego nie zrobił —
więc cóż ja temu winien, jeżeli nieraz słu-
chać muszę takich rzeczy, które, mówiąc sło-
wem ustawy gminnej — przekraczają własny
zakres mojego słuchania.
Co rano, już od godziny siódmej, roz-
poczyna się prawdziwa wojna z kucharką, a

wspomnę tu nawiasem, że tych kucharek
zmenił się najmniej dwie na miesiąc, Sza-
nowna sąsiadka ma ten zwyczaj, że jak tyl-
ko służąca powraca z koszykiem z targu, już
czatuje na oia w kuchni, i niech tylko próg
przestąpi, odbiera jej portmonetkę z resztą
pieniędzy.

— Teraz się rachuj, coś wydała ! — mó-
wi, oglądając skrupulatnie przyniesione wi-
ktuały.

Słyszę, dyktuje się: śmietanka tyle a
tyle, mięso tyle, włoszczyzna tyle, i tym po-
dobne ingrediencye, co summa summarum
stanowi tyle. Czem dłużej się kucharka namy-
śla, tem bardziej pani się niecierpliwi, i jeżeli
skonfiskowana reszta z portmonetki nie zga-
dza się z ogólnym rachunkiem, następuje in-
dagacya z zarzutami nierzetelności.

Nigdy przedtem nie zauważyłem tak u-
porczywey zrzędności w pani Cecylii. Teraz
wszystko jej złe: mleko zaprawione, mięso
zanadto kościste, masło gorzkie, mąka za tę
cenę za gruba — więc odnoś napowrót, od-
mieniąj, lub rób sobie co chcesz, bo ja tego
nie wezmę. Wiadomo wszystkim gospodyniom
miejskim, że zawsze kucharki na punkcie
tego odnoszenia mają za wiele honoru, na
mocy którego nie śmia naprzykrzać się rze

źnikom i innym tego rodzaju powagom ze sklepików, ztąd oponują jak mogą, i doprowadzają taką panią Cecylię do ostatecznej niecierpliwości.

— Eh, proszę pani, mam już tak od pani skołataną głowę, że nie wiem, czy żyję... Matko najświętsza, służyłam już nie u takich państwa, bo u hrabiów, u konsyliarzy różnych, i u pani prezesowej, a nikt tak nie zmędził....

— Proszę cię, bądź cicho !

— Co ja mam być cicho, kiedy mię pani posądza — mruczy, stukając ze złości rondlami po kominie.

— Widzisz przecie moja kochana, jaka ja jestem słaba, że ledwie mogłam się zwlec z łóżka, a ty jeszcze kłócisz się ze mną?...

— Kto chory, to niech nie wstaje — mówi kucharka, i zaraz potem słyszę huk i krzyk na całe gardło: „o rany Boskie!” Widocznie choroba sąsiadki zostawiła jej tyle jeszcze siły, aby rzucić garnkiem w oblicze kłócącej się Marysi, która licząc na to, że wszystko słyhać u mnie, uważa za właściwe drzeć się, o ile sił starczy.

Na to wpada z wielkim oburzeniem

Ozupurek ze swojej kancelaryi :

— Co to jest ?

Obie kobiety jednocześnie mówią, pani Cecylia jęczącym głosem, a sługa szlochając przeraźliwie, z czego dolatują mię słowa:

— Nie do wytrzymania, jak ciebie ko cham....

— O moja głowa, moja głowa!

— Nic sobie nie da powiedzieć....

— Aż cały garnek rozbił się w kawałki.... Pójdę, cisnę wszystko....

— Mój Feliksie, proszę cię, każ jej milczeć — widzisz, co ta niegodziwa ze mną wyrabia....

Ozupurek energicznym tupnięciem nogą o podłogę wstrzymuje deklamację Marysi.

— Uspokój się moja duszko — powiedz co chcesz ?

— Zapłać jej , proszę cię, niech sobie idzie natychmiast.... Nie chcę jej widzieć na oczy.... Nie chcę żadnego gotowania, woię nie jeść, sama gotować.... niech idzie precz!
— No, no, uspokój się Cesiulku...
— Tak, tobie najlepiej mówić uspokój się____ Dobrze ci, że zamkniesz się w swoim pokoju, i cały świat cię nie obchodzi, a ja opuszczona, słaba kobieta....
— Dobrze, odprawię ją natychmiast — mówi prędko Ozupurek.... — Zabieraj się z manatkami ty przebrzydła kłótnico....

Oslabioną małżonkę odprowadza pan do pokoju, służąca się wyprowadza, a stróż Wojciech idzie do restauracji po obiad. Naturalnie, że pan Feliks musi tego samego dnia postarać się w kantorze o inną służącą, a po dwóch tygodniach, z takiego samego lub innego powodu, np. złego wyprania kołnierzyków, następuje sprzeczka w podobnym guście , i Franciszkowa wynosi się z kuchni forsownym sposobem....
Przyznam się państwu , że i mnie do żywego dojadły takie sąsiedzkie awantury, tembardziej, że pani Cecylia należy do klasy gderających o jedno i toż samo czasem całutki dzień boży aż do znudzenia.... No i powiedzcie mi , czy nie można stracić illuzji choćby pani Cecylia piękniejszą jeszcze była od Zofii Potockiej ?...

*

Wśród takich kłopotów domowych, za pomniałem trochę o ciotce, i wzięciu się do czegoś na seryo, gdy w sam wielki piątek odbieram piorunujący list w rodzaju ultimatum : „Pamiętaj Konradzie, że jeżeli mi się w tym roku ostatecznie nie ożenisz, albo nie weźmiesz do gospodarstwa na wsi, podję drę testament, jak ciebie kocham podję i

cofnę posyłanie procentów...." Było tam da lej wiele jeszcze poważnych reprimend o stosunkach moich z panią Czupurkową, o czem bardzo niedokładnie ktoś ją poinformo

wał — ale te opuszczam, gdyż czytelnicy
moi bardzo dobrze wiedzą, że jestem naj
niesłuszniej posądzony.
List ten zakłopotał mię bardzo. A co?
ona gotowa to zrobić, znam ją, jest dosyć
arbitralną i lubi rządzić się fantazyami. Więc
tedy przyciśnięto mię do muru — z rozkazu
mam się żenić, lub zakopać na wsi. Okropna
alternatywa ale i zasłużona dla człowieka, któ
ry w tych latach nie potrafił sobie zdobyć
samoistnego stanowiska.
Chodzę po plantach, biedzę się, namy
ślam, kombinuję, czy wieś czy zona, lub czy
jedno i drugie razem, gdy czuję chwyta mię
któs za rękę.
— Złoto, srebro widziałem panie do
brodzieju, a kochanego pana Konrada zastać
w domu nie mogę.
Oglądam się — Kostuś, dziedzic Sob
kowa w swej własnej sapiącej osobie, ubra
nej w sutą lisiurę z jasnożółtymi wylogami....
— Cóż się z jegomością dzieje? — mó
wi dalej, biorąc mię pod rękę — ani słychnu

ani dychu o tobie, żebyś przynajmniej co
napisał....
— Nie chciałem trudzić pana.... dzie
kuje, zdrów jestem chwała Bogu.
— Jakiego pana? — krzyknie mi szła
chcic, zatrzymując się w miejscu.... — prze
cież daliśmy sobie słowo na ty a ty.... Jakoś
mi kiepsko wyglądasz, hę? Cóż popstrzyka
liście się z Cesią, co? Nie uważaj na to....
pluń panie dobrodzieju.... Ja jej już dobrze
nakiwałem.... głupstwo, kobiece gadania....
— A pan dobrodziej....
— Żaden dobrodziej.
— Więc jakże się ty masz? — mówię,
aby przerwać zbyt głośne wynurzenia pana
Konstantego, którym przechodnie zaczynają
się przysłuchiwać.
— Nie tego, mój kochany.... oto klacz
mi padła przed tygodniem, ta białonóżka ze
strzałką, pamiętasz?....
Nie widziałem ani słyszałem nigdy o
jego białonóżce, więc też litując się nad ta
kiem nieszczęściem, zapytuję o szczegóły tej
straty.
— Wystaw sobie.... ale ty może nie
masz czasu, może tu czekasz na jaką mar
mozełę, hę? No przyznaj się, wy z miasta

to tylko o figlach myślicie.... Szczęśliwi ludzie !

— Owszem, mam zanadto czasu, proszę cię, mów.

— Dyabli nadali, że mię tam zrobili tym członkiem wydziału powiatowego. Ani człowiek tego chciał, ani pragnął, ale powiadają : nie wypada się takiemu znacznemu obywatelowi usuwać.... usługa krajowi, uważasz — no i musiałem przyjąć. Prawda, trzeba coś i dla kraju zrobić, choć Bogiem a prawdą mam dosyć i swoich spraw na głowie.... Tęgiego mamy sekretarza panie dobrodzieju w wydziale — uważasz, literat jakiś, pisze ci panie dobrodzieju powieści takie, które drukują we Lwowie, jak honor kocham, sam czytałem — ale jednak co głowa sama to głowa.... Klacz panie kochany już była coś mi tak.... uszy miała gorące, a jak Wałek powiada i zreć bardzo nie chciała, gdy ja dostaję ekspedycję z Wydziału krajowego do własnych rąk panie dobrodzieju. Jaśnie wielmożny panie, piszą mi, zlituj się jaśnie wielmożny pan, jedź do Sękocina i zrób sam dyscyplinarkę na tego burmistrza.... Panie dobrodzieju kradzieże, nieporządek, nadużycia, herezye całe mówię ci, a pan burmistrz jest także członkiem rady powiatowej; trze

ba, żebyś jaśnie wielmożny pan osobiście to sprawdził.... Delikatna materyą, uważasz, jak tu, co tu robić, skarga jak wół czarno na białem.... wydali na reperację jakiejś starej budy sześćset reńskich, a nową możnaby za połowę wystawić.... pobierają opłaty od kobylic i od bud na rynku podczas jarmarku, a w kasie miejskiej panie dobrodzieju ani słychu o tem.... Musisz jechać, jaśnie wielmożny panie, piszą z Wydziału — więc jadę, akta zabieram, i tak panie dobrodzieju wpadam ci jak bomba do magistratu.... Przez drogę klacz jeszcze szła, ale łeb trzyma na dół.... ja mówię Walentemu: czemu jej nie przyfasujesz ? a on powiada : jaśnie panie sfasowana, tylko jej się tak eni, opila się dużo wody.... więc jedź.... W kancelaryi u burmistrza, mówię ci Konradku, koniec świata ! Krętanina, latanina, szukają książki kasowej — jak kamień w wodę nie ma.... Więc piszą się protokoły, jak, co było, wzywa się

świadków — burmistrz panie dobrodzieju kre
ci się niby wąż, bo ja zawsze tak, choć to
mój znajomy, to kochajmy się jak bracia , a
rachujmy się jak żydzi.... Piszą tedy i piszą,
ze mnie aż pot się leje, no i głodny byłem
dyabelnie.... Co to jest? od dziewiątej z rana
do piątej popołudniu siedź panie dobrodzieju

kamieniem — a tymczasem moja białonóżka
kładzie się w stajni.... Posyłaj po konowala,
posyłaj do apteki; sprowadzili jakiegoś ko
wala , co to się niby zna.... ale wszystko na
nic się nie zdało.... kaput panie dobrodzieju,
wyciągnęła kopyta !... Oto masz Konradku słu
żbę publiczną, trzysta reńskich jak obszył
wyrwało ci z kieszeni, i dlatego właśnie
przyjechałem do Krakowa, aby dobrać parę
do mojego łyska....

Chciałbym się pozbyć szlachcica, ale
on ani myśli mię uwolnić...

— Masz czas, prawda? więc chodź ze
mną na Kleparz , pomożesz mi do kupua....

— Bardzo mało znam się na koniach —
odpowiadam — i to jeszcze co z dzieciństwa
zapamiętałem....

— Nic nie szkodzi, chodź , chodź —

u nas każdy szlachcic już rodzi się konia
rzem.... Ho, ho, nie chwałąc się , mam ja do
bre oko panie dobrodzieju — i żeby mi żyd
nie wiedzieć jak krygował konia, to ja mu
swoje....

Powlókł mię tedy na targowicę końską,
gdzie otoczyło nas grono pejsatych faktorów,
prezentując na wyścigi różnych kandydatów
do nabycia. Walenty już tam był z łyskiem,
do niego więc przystawiano różnej maść

rozmaitego wieku i różnej wielkości konie —
a wszystkie podług zapewnienia faktorów jak
raz pasowały.

Żałuję mocno, że ramy opowiadania mo
jego nie pozwalają rozpisać się szczegółowo
nad całą manipulacją kupna koni po jarmar
kach — odłożę to na kiedy indziej, nadmie
niając, iż pan Konstanty po trzech godzinach
trzymania mię na placu kupił wreszcie jakąś

wyranżeiowaną z wojska grandrygę, i był ogromnie uszczęśliwiony z tak wybornego kupna.

Po tak szczęśliwie przez godzin trzy od bywanych targach, znaleźliśmy się na przełęczach w handelku razem z Czupurkiem. On na mnie patrzy z ukosa i ja również trzymam się z daleka, jednak za interwencją kochanego Kostusia i dwóch butelek wytrawnego węgryzyna — dzielące nas przestrzenie nie zaczęły się zmniejszać tak, że przy trzeciej znaleźliśmy się w objęciach jako najserdeczniejsi przyjaciele....

— Musisz przyjechać do mnie na święta, nic nie pomoże panie dobrodziejku, musisz.... — rzecze pan Konstanty. — Oni dziś jadą, Cesia z Feliksem, i Owczyńska też za prosiłem....

Wymawiałem się z początku, ale gdy i Ozupurek przyłączył się do niego, zapewniając że musi nas ze swoją żoną pogodzić — przystałem z warunkiem, że dopiero w drugiej święto koleją wyjadę.

— A konie już będą czekać na stacyi....

Zobaczysz jak ten dzisiejszy pójdzie z łyskiem. Dalibóg dawno mi się taki dobry koń nie zdarzył, bo to pierś panie dobrodziejku jak piec, a nogi z kutego żelaza...

— I pieścidełko zobaczysz — szepnie mi przy pożegnaniu z dawną serdecznością Ozupurek — istne kociątko a nie dziewczyna.... mam przecucie, że z tego coś będzie.

*

Nie bardzo to ja lubię te wyjazdy na wieś, bo za każdym razem albo przejadam się i potem choruję, albo wróciwszy do zwykłego trybu życia w mieście — ciągle jestem głodny. Tam, przynajmniej sześć razy na dzień zasiadało się do jedzenia, a tu jak przyjdzie kontentować się superfinowem i porcykami w traktyerni, robi się cokolwiek przykro. Poczciwy gospodarz restauracyi, gdzie się stołuję, widząc jak po każdej takiej wybieżce każę dublować porcy, bierze się za

głowę z desperacji, jak mię też tam wsi zagłodzili.

W tym roku przynajmniej, że wiosna

była wczesna i piękna, a ja temi awanturami z Czupurkową skwaszony, zatem wybie rałem się do Sobkowa z niejaką przyjemnością. Jedna rzecz tylko frasowała mnie dosyć, to jest owe przeprosiny; nie lubię tych wszystkich uroczystych ceregieli, w których każdy mężczyzna bardzo niefortunna ma minę. Dlatego pocieszyłem się wielce, odebrawszy na drugi dzień list szanownego adwokata już ze wsi, w którym jak za dobrych naszych czasów, widocznie z polecenia żony, daje mi różne komisa do kupna i przywiezienia z sobą niektórych rzeczy. No — myślę sobie — de facto jesteśmy już po przeproszeniu, więc dla większej zasługi z mej strony, staram się jak najlepiej zlecenia owe załatwić. Prócz rozkazu odebrania dwóch pudełek z jednego magazynu, jednego ze sklepu nowości — mam kupić dwie pary rękawiczek jasnych nr. , w cukierni tort wielki z cyfrą W. D. i jeżeli można z piramidą, z której buchała by fontanna — dalej tacę suchych ciastek i trzydzieści sztuk beze.... Wyraźnie stoi w liście beze i to mnie intryguje, co to może być.

Wiadomo, że w święta wielkanocne wszystkie sklepy w mieście bywają zamknięte, więc, o ile rai sił starczyło, w wielka sobotę biegam, jeżdżę fiakrami, aby te sprawy pozgromadzać i co trzeba zamówić, lub uprosić, aby były na wtorek. Pudełka z magazynów gotowe już mam, z tortem nie trudna sprawa, bo w cukierni mieli na święta zapas tych przysmaków i tylko wypadło dorobić ową piramidę z fontannami i cyfrą. Lecz co do tych beze — właściciel cukierni robi wcale niecukrową minę. — „Święta, nie mogę zajmować ludzi, to dużo roboty” i t. p... Proszę więc, molestuję, zapewniam oddzielne wynagrodzenie dla subiekta, dość, że na wtorek obiecano z pewnością.

Wnosząc ze sprawunków, które mi kazano kupić, jak ów tort i jasne rękawiczki — domyślałem się, że tam będzie u pana Konstantego jakaś wielka feta, zapewne z tańcami. Odpowiednio więc do tego musiałem zabrać więcej ubrania, z czego uformował się pakunek na dwa dość spore ilumoezki. Z magazynów zamiast pudełek przysłano mi trzy duże pudła — torf. miał swoje pomieszczenie w jakimś przetaku, piramida także oddzielne pudło — to już mamy, po galicyjski! mówiąc, siedm kawałków. Brakowało je

szeze pudełka z suchemi ciastkami, pudełka z owemi beze, pudełka z kapeluszem, nie mówiąc o parasolu i lasce, bez których nie puszczam się w drogę, tudzież o futrze, ple dzie i poduszce skórzaney. Mrowie mię prze szło, pomyślawszy, gdzie ja to wszystko za biorę — chyba wypadnie nająć cały prze dział wagonu dla siebie...

Wiadomo, że pociąg w głąb kraju odcho dzi z Krakowa o godzinie jedenastej z rana, zatem, umieściwszy w dorożce moje mater klasy, po tort i owe beze zajechałem o dzie wiątej do cukierni. Upakowano mi tort, upa kowano ciasta, lecz proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy powiedziano, że owe beze nie dadzą się przewozić.

— Takie rzeczy panie na miejscu się zu żywiają— mówi, pokazując mi gromadę bia łych kulek, które za dotknięciem rozsy pują się w kawałki.... — jakże to pakować?

— A czemużeś mi pan tego dawniej nie powiedział?

— Wszakże pan nie mówił, że mają iść w drogę.... od razu byłbym od tego od radzał....

Miał rację, pomyślałem w duchu — żenując się przyznać, że nie znam tych spe cyfików, kazałem robić nie objaśniewszy, że

mają iść w drogę. Medytujemy więc. co tu robić, obwijamy każdą z osobna kulkę w gru by papier — a te dopiero wśród obfitego po desłania zżynkami papierowemi, umieszcza my w ogromnem pudle.

— Jednak niech pan dobrodziej trzyma go w rękach, bo od trzęsienia w wagonie mogą się pokruszyć.

Wziąłem na ambit, aby pani Cecylii zrobić przyjemność, i zdecydowałem się na tę ofiarę. Gdyby mi przyszło własną moją duszę wieźć nie do Sobkowa ale do kró le stwa niebieskiego, nie obchodziłbym się z nią delikatniej niż z owem pudełkiem z bezami, podczas jazdy koleją żelazną. Przez cały czas trzymałem je w rękach, nie śmiejąc ani

chustki dostać z kieszeni, ani papierosa za palić, bo zdawało mi się, jak tylko postawię je na ławce — „całuski” się utrzęsą i za wiozę łupiny.

Szanowne czytelniczki, w tem miejscu nie mogę wytrzymać, aby nie zwrócić waszej szczególniejszej uwagi na moją zasługę. Po wiedźcie same, czy słusznemi są narzekania wasze na brak uszanowania, delikatności i usłużności ze strony mężczyzn dla kobiet — boć przecie nie ja jeden taki na świecie. No, uderzcie się w piersi i przyznajcie, że tego

rodzaju opinia, jaką słyszę ciągle o niegrzeczności dzisiejszej młodzieży, jest tylko czarną z waszej strony niewdzięcznością, tem bardziej, jak się dowiedzie, w jaki sposób pani Cecylia za to wszystko mi odpłaciła!

Ciężko doprawdy pomyśleć o tem, a jednak trzeba prowadzić rzecz dalej jak było...

Wysiadając z wagonu, zawsze z owym pudłem przed sobą, odszukałem ekwipaż z Sobkowa wraz z dowodząca jego, mizernej postawy i w mizerniejszym jeszcze kostymie fornałem Ignacym, który kuląc się i dreptając od zimna, podał mi list od jaśnie pana Konstantego. Czytam, na stojący przed dworem żółty dziwnego kształtu wehikuł spooglądam, i wierzyć nie mogę, abym ja ze wszystkimi materklasami mojemu miał się w nim nietylko sam pomieścić, ale jeszcze zabrać z sobą jakąś kuzynkę Joasię, która oczekuje na mnie u doktora w miasteczku, a jej walizka już jest przywiązana postronkami z tyłu owego cudaka zwanego wolantem.

— A pamiętaj też o niej w drodze, mój panie Konradzie, żeby się nie zaziębiła i nie bałamuc jej.... Czekamy was z obiadem.

Gdyby nie to, że pociąg do Krakowa aż w nocy idzie, i gdyby mi nie było żal owych cukrów, z którymi się już tyle namę

czyłem, dowiózłszy tu w porządku, byłbym odprawił konie i pozostał na stacy, tak mię rozgniewało lekceważenie mojej osoby.... Dziwny sobie szlachcic, zapraszać gwałtem, mo

lestować, a potem przysłać figę zamiast po
wozu, jakiegoś obszarpanego fornala w nie
bieskiej wojskowej czapce, i kazać mi pilno
wać Joasi, żeby się nie zaziębiła. Cóż to ja
bona jestem, czy co?

— Jakże ci na imię człowieku? — py
tam mojego chudeusza.

— Ignacy, proszę jaśnie pana.

— Któż ma jechać z nami. dorosła
osoba, czy panienka z pensyi?

— Kiedy ja jej nie widziałem proszę
jaśnie pana — tylko wyszedł dochtór i po
wiedział: przywieziesz tego pana tutaj z kolei.
Tymczasem wyniesiono moje pakunki
z dworca i jak je złożyli na ziemi, zajmo
wały one więcej miejsca na objętość, niż cały
wolant z koźmi. Robimy tedy naradę, ja,
Ignacy, posługacz kolejowy i portyer, coby
tu z niemi zrobić. Chciałem już nająć od
dzielną furmankę, ale że to święta, żywej
duszy nie było przed dworcem — więc pa
sujemy z przodu i z tyłu, ustawiamy, aż
wreszcie poprzywiązywawszy to wszystko je
dno na drugim, to z boku to w nogach,

to na koźle, wsiałem do środka trzymając
moje „całuski” przed sobą. I śmiać mi się
chciało, widząc siebie jakby na wozie mię
dzy koszykami, z którymi żydzi jeżdżą na
sprzedaż po jarmarkach i zły byłem nie
mogąc sobie dać rady z pudłem w rękach,
albowiem peregrynując po sterczących ka
mieniach bruk imitujących, skakaliśmy do
do siebie jak dwaj zapaśnicy. W miasteczku
wszyscy żydzi stawali po ulicach, przypatru
jąc się, kto to tak kopiasto jedzie, a kocha
ny Ignacy, pragnąc się popisać ze swoją sztu
ką powożenia, po tych dołach i górach le
ciał jak na złamanie karku.

— Wolno! wolno! — krzyczę na niego.

On tylko się obejrzy, usłyszawszy mój
głos, ale widocznie wśród tego turkotu nie
rozumie o co idzie, bo uśmiecha się głupo
wato i jeszcze lepiej konie podcina.

Stanęliśmy wreszcie przed dworkiem
owego doktora. Kilka twarzyczek kobiecych
mignęło mi w oknie, ja się winduję jak mo
gę, żeby wysiąść, a na ganku pokazuje się
dobrej tuszy, łysy, z ogromną szpakowatą
brodą mężczyzna, wyglądający bardziej na
kupca lub fabrykanta jakiego aniżeli na do
ktora medycyny. Jegomość ów z rozpromie
nioną twarzą, widocznie oderwany przyja

zdem mojem od święconego, bo jeszcze rusza ustami dojadając resztki, z całą serdecznością zaprasza mię do salonu, w którym znajduje się kilka osób z miasteczka. Wymawiam się, że jestem w podróży, przepraszam za strój, ale on nic nie pyta, czapkę mi z rąk odbiera, na fortepianie lokuje, a przy prowadzwszy przed oblicze również korpu lentnej małżonki, zapytuje ciszej o godność, i prezentuje całemu towarzystwu.

Jak się ci panowie i panie nazywali, trudno mi dziś zapamiętać, bo mię ich nazwiska nie obchodziły, lecz gdy mię zarekomendował owej Joasi, przyszłej towarzysze podróży, spojrzałem na nią uważniej. Nie szpetna sobie bruneteczka o brzoskwiniowej twarzy z małym pieprzykiem koło nosa, tylko zerknęła na mnie, lecz z tak wstrzymując się od śmiechu miną, że o mało się nie obraziłem za to.... Wcale nie brzydka, widać żywa i wesoła, lat może mieć dwadzieścia dwa, trzy najwyżej; figurka zgrabna, strój nie pretensjonalny, a jednak bardzo gustowny, i żeby nie te półksiężycowe złote kolczyki w uszach, które jej się przy nieustannym kręceniu głową bimbają na wszystkie strony — możnaby ją nazwać szykowną ko bietką z rodzaju miłych, jakto powiadają, ko

zaków. Nie pozwoliwszy mi jednego słowa przemówię, gościnny doktor podszedł z butelką i nalawszy do kieliszka jakiegoś zielonego oliwkowego gęstego eliksyru, przepił do mnie. — Niech się pan nie straszy — mówi, podając mi napełniony z czubem kieliszek — że ma tak niepozorną minę; to panie orzechówka własnego wyrobu i własnego pomysłu....

Jakkolwiek najwięcej się boję używania tych własnych pomysłów, jednak wychyłam ów szatańskiej mocy eliksyr, gdy pał gospodarz tylko patrzy mi w oczy, i czeka niecierpliwie co ja też powiem.

— No jakże ?

— Wyborna ! — mówię — arcy wy

borna !

— Jeżeli mię pan dobrodziej pięknie poprosisz — mówi, podsuwając mi talerz do jedzenia — to go nauczę, jak się orzechowa nalewka przyrządza.

I podczas tego, gdy sama pani kładzie mi na talerz massami różnego rodzaju wędliny, on bez proszenia opowiada, jak to się biorą w lipcu niedojrzałe orzechy włoskie z łupiną, jak się je moczy przez trzy miesiące w francuzkim spirytusie, jak potem zlewa się ostrożnie do butelek, jak się kor

kuje, przewraca, odwraca, a potem przez lat pięć trzyma w piwnicy, aby wódka zdatną była do picia.

— Proszę cię Tadeuszu — odzywa się żona, podsuwając mi talerz z plackiem — dajno pokój panu.... Proszę, niech pan będzie łaskaw spróbować tego ciasta z marchwią, jestto mojego wynalazku...

— Nie słuchaj pan — przerywa obrażony gospodarz za lekceważenie jego pomysłu orzechowej nalewki — gdzie tam jej wynalazku, to niemiecka sztuka....

— Przepraszam, bo z mojej własnej głowy, a przeciwnie ksiądz gwardyan od Reformatów nauczył cię robić orzechówkę....

— Mój drogi panie poborco — mówi obrażony doktor, zwracając się do wychudłego jegomości z białymi wąsami — proszę cię, byłeś przy tem, kiedyśmy z gwardyanem rozmawiali, i powiedz tak sumiennie, kto kogo uczył, on mnie, czy ja jego ?

Nim szanowny poborca mógł otworzyć usta zatrudnione jedzeniem, już i panna Hortensya, córka gospodarstwa, przystąpiła do mnie z talerzem, polecając mazurek tak że swojego pomysłu, którego jeden kwadrantik wzięty przez grzeczność, ważył pewnie pół funta.

Wobec córki, widocznie faworytki, do której ustąpił ze swoją nalewką, a zaczął chwalić mazurki Hortensyi.

— No, co do tego, to jej koncept, daję

słowo honoru; nazwaliśmy je raczkami, i zobaczy pan, w całej okolicy pieką te ma zurki podług jej przepisu...

Czytelniku, widzę z twej fizjonomii, że litujesz się nademną, przekonawszy się, jak rodzina szanownego doktora wzięła mój żołądek za pole doświadczalne dla swoich wynalazków. Pod tym względem i ty i ja wolilibyśmy do śmierci zostać skrajnymi konserwatystami, ale co poradzić przeciw uświęconej wiekami grzeczności towarzyskiej? Trzeba jeść i pić i chwalić — nic nie może... Robiłem toż samo, i gdyby nie serdeczna gościnność, tryskająca z każdego spojrzenia i słowa szanownego gospodarza, gotów byłem podejrzewać, że jako lekarz inteligentny umyślnie truje swoich gości, aby następnie leczyć.

Po tem wszystkim podali wino, szczęściem że już nie własnego pomysłu, chociaż własnej konserwacji, o którym całą historią kupna beczki na spółkę z panem prezesem rady powiatowej, następnie przywiezienia go przez Nowy Sącz, Limanową i jeszcze jakieś

miasto, potem dzielenia tej beczki itp. manipulacji, musiałem wysłuchać szczegółowego sprawozdania. Widząc, że co wypróżni się jedna butelka, stawiają drugą coraz lepszych przymiotów, odwołuję się do mojej towarzyski, że czas nam jechać.

— I owszem, ja jestem gotowa — mówi dzwicznym głosem — niech tylko panowie skończą.

— Ba, myśmy dopiero zaczęli — rzecze gospodarz — a kiedy ja wymawiam się jak mogę, że mamy trzy mile drogi, że noc przyjdzie i trudno będzie z damą jechać od krytym wolantem, szanowny doktor na wszystko znajduje lekarstwo, zapewniając, że w jego dworcu znajdzie się jeszcze nocleg dla tak drogocennych gości...

Nie wiem z kąd się zrobiłem drogocennym dla pana gospodarza, bo daleko nam się dzieliśmy pierwszy raz w życiu, chyba, że ciągnąłem dobrze węgrzyna i śmiałem się serdecznie ze wszystkich conceptów jego.

Konie tymczasem stały przed oknami, spuściwszy melancholicznie głowy ku ziemi, a Ignacy dreptał tam i napowrót, chodząc koło wolanta i bił się rękami na krzyż, choć wcale mrozu na dworze nie było. Nareszcie wysuszywszy ostatnią dobrze zakopconą bu

*

telczyń, którą gospodarz dla takiego drogiego jak ja gościa, wydobył, po ucałowaniu się najserdeczniejszym po kilka razy, ruszyliśmy w drogę.

Mimo niesłychanej ciasnoty w owym wolancie, bo pakunki moje i panny Joanny, jak wyrzuty sumienia wszędzie były obecne, nie zapomniałem o swoich „beze” i trzymałem uroczyście wielkie pudło na kolanach. Jednocześnie z szalonymi podrygami bryczki na nierównym bruku miejskim napadła i nas żyjących i wszystkie manatki nasze tak że niepomierna chęć skakania, co wytwarzało nader komiczne sytuacje. Ratując pudełko, mimo że odsuwaliśmy się ile można ku brzegom siedzenia, nie obeszło się bez częstych karamboli naszych osób.

— Rzućże pan u licha to pudło gdzie w nogi — rzecze mi sąsiadka, zasłaniając twarz chustką.

— Proszę pani, nie moge — tam są „beze”, któreby się potłukły na miazgę.

— Co za beze ?

— Jakieś ciastka delikatne z pianki.

— A pocóż pan to wiezie ?

— Pisał mi Czupurek, żeby kupić trzy dzieści sztuk.

— I pan usłuchałeś ?

— Prosili, cóżem miał robić....

— Zapewne Cesia? ona ma takie ekscentryczne pomysły.

— Pani zna panią Czupurkową?

— Czy znam ? Wszak to moja cioteczna siostra, z którą się razem wychowywałam.... Prawda że piękna?

— Bardzo piękna — powtarzam.

— Ale despotyczna za to, jeszcze więcej odemnie.

Spojrzałem na moją sąsiadkę, czy to na serio utrzymuje, co ona dostrzegłszy mówi dalej:

— Tak, tak, jestem despotyczna, nie masz pan czego mi się przypatrywać, passya mi lubię rządzić, a wszelki upór kompletnie mię rozdrażnia.... Za pozwoleniem, dlaczego pan przysuwa się tak blisko?

— Przepraszam panią, to nie ja, ale

bryczka mną podrzuca...

— Cóż to z pana za mężczyzna, że bryczka nim rządzi — rzecze, skrzywiwszy noskiem.

— Zdarza się to i pani, gdy wolant podskoczy....

— Nie panie, ja umiem panować nad sobą, a jak trzeba, to i nad drugimi, dla

tego proszę, złóż pan to pudełko w nogi lub gdzieindziej.

— A gdybym też nie posłuchał ? — odpowiadam pół seryo, pół żartem, aby podrażnić trochę moją sąsiadkę, która widocznie postanowiła sobie odebrać mi z rąk to pudełko.

— Chyba że chcesz pan na złość mi robić ? — mówi z zadąsaną miną.

— Nie pani, intencji tej nie mam, tylko żal mi ciastek.

— Cha, cha, cha — mówi, śmiejąc się panna Joanna — nie to że żal, ale boisz się pan Cesi ?

— Nie boję się, tylko chcę zrobić jej przyjemność.

— Mój panie — rzecze już seryo spojrząc na mnie — albo jesteś szalenie w niej zakochany, albo chcesz pan być niegrzecznym.

Mimo że policzki moje były dość rumiane skutkiem wielkanocnej libacji u do ktora , jednak czułem , że nowa serya tych rumieńców posuwa mi się ku czołu. Nie odpowiadam nic na tak złośliwą zaczepkę , ale myślę sobie, poczekajże moja jejmość, podroczymy się trochę.

— Ignacy! — woła na stangreta, widząc że ja się nie odzywam — stój!

— Co pani sobie życzy ? — pytam, gdy zatrzymała się bryczka.

— Wysiądę — mówi odpinając fartuch z pewną stanowczością. — Mam być potraćcau przez pańskie pudełko, to już wolę iść pieszo.

— Ja na to nie pozwolę — odzywam

się, przypomniawszy, że mię proszono o opiekę nad nią.

— Czy ja potrzebuję pytać się pana o pozwolenie ?

— Przepraszam, oddano mi panią pod opiekę.

— Śliczna mi opieka, robić na złość i to dla jakichś tam ciastek. Możesz pan so bie jechać sam , skoro więcej ich całość ce nisz od całości mej osoby.

To się zawzięła na swoim postawić, myślę sobie, widząc, że gotowa wykonać gro żbę, bo spuszcza już nóżkę na stopień i za biera się do wyjścia.

— Ignacy, weź tam gdzie to pudło na kozieleł... — mówię, rozstając się z moim pupi lem, co widocznie zadawalnia panią, i rzecz pozostaje po dawnemu.

— A co, Die postawiłam na swoim ? — odzywa się zapinając fartuch wolanta — oto masz pan próbkę kobiecego despotyzmu. Już nic nie odpowiadam, bo przyznam się, rozdrażniła mię cokolwiek ta scena, więc odwróciwszy się lekko w przeciwną stronę, zaczynam jak to mój zwyczaj, gdy zły jestem, nucić sobie pod nosem.

— Czy i to leży w programie opieki pańskiej nademną?—zapytuje szczerbiotliwie sąsiadka.

— Daruje pani — odpowiadam żywiej— lecz sądząc po jej usposobieniu , zdaje się najprzyjemniej zejdzie nam podróż, jeżeli za czniemy się bawić każde na swój sposób.

— To bardzo źle pan sądzisz. W cha rakterze moim leży właśnie nieustanna chęć sprzeczeki i dokuczania. A powiedz pan sam, czy może zdarzyć się lepsza okazyja, jak pod czas podróży, kiedy przeciwnik uciec nie mo że? Wtedy już nie żałuję sobie, i nie myśl pan , abym mu dała pokój....

— Żąda więc pani zupełnego poddania z mojej strony ?...

— I to nie — rzecze z naturalną swo bodą. — Pomyśl pan, jakby to było nudno atakować kogoś bez oporu z jego strony.... A choć podług zdania Cesi, pan pod tym

względem stanowisz wyjątek bezprzykładnej uległości, to ja mam nadzieję obudzić w panu nowe siły oporu....

— Jaktó? — mówię trochę zaintrygowany wzmianką o Cesi — rzeczywiście tak powiedziała pani Czupurkowa.

— Daleko dobitniej, tylko ja nie śmiem tego powtórzyć.

— I owszem, proszę, jestem zaciekawiony.... niech pani będzie łaskawa nie obwijać w bawełnę....

— Wyraziła się o panu, że jesteś mazgaj!

— Co? — Tak powiedziała?

— Mazgaj, daję panu słowo, tym razem razem powiedziała.... Dobry człowiek, grzeczny, usłużny, ale nie mężczyzna.... Tylko proszę nie dąsaj się pan, fe, to brzydki.

— Ale proszę pani, jestem oburzony....

— Powiada, ma się rozumieć Cesia a nie ja — ciągnie dalej moja towarzyszka — od trzech lat szuka sobie jakiegoś stanowiska, i nic nie może wynaleźć.... Powiada, od trzech lat ciotka każe mu się żenić, a on nie wie, jak się wziąć do tego....

— Pani Cecylia pozwala sobie za dużo...

— Mniejsza o to, co ona sobie pozwą

la, jednak powiedz mi pan otwarcie, czy to prawda, że ciotka kazała mu się żenić?

— No, prawda — odpowiadam mimo woli — bo rzeczywiście jestem trudny w wyborze....

— A masz pan wolną i nieprzymuszoną woję przyjąć na siebie te ciężkie obowiązki małżonki?

— No, przypuścmy, że mam.

— W takim razie, trzeba żebyś mi się pan wypowiedział, jak to jest zwyczaj przed ślubem.

— Za pozwoleniem — odzywam się, czując, że rozmowa ta zaczyna przekraczać granicę żartobliwej w drodze rozmowy — zkąd pani przybiera na siebie rolę spowiednika?

— Passyami lubię kojarzyć małżeństwa....

— Pani? osoba tak młoda?...

— Cóż pan chcesz, czuję do tego nieprzewyciężony pociąg, prawie że powołanie.

— Nawet z zapomnieniem o sobie? — dodaję, patrząc na ożywioną twarzyczkę są

siadki...

— Nie zawsze. W tym względzie za patruję się na postępowanie wszelkiego rodzaju domów pośredniczących, które stręcząc interesu drugim, dla siebie kupują najko

rzystniejsze. Widzisz pan, że jestem szczerą, a szczerść ta powinna obudzić jego zaufanie.

— Skoro tak — mówię, coraz bardziej wciągany w dowcipną rozmowę z wesołą są siadką — racz mię pani objaśnić, za jaki rodzaj towaru zechcesz pani przyjmować moją osobę, czy jako komis dla innych, czy ten drugi ?...

— Ho, ho — mówi, kręcąc figlarnie główką — za wiele pan żądasz jak na początek, a to dla interesu małżeńskiego nie jest dobrą wróżbą.... Szanowny mój kliencie.... bo sądzę, oddasz mi się pan w opiekę — w sprawach sercowych na bok muszą iść wszelkie rozumowania. Przyznasz pan, z osobistej praktyki tyloletniej, że tam, gdzie idzie o miłość, wszelkie rozumowania idą na bok.... Podoba się co — rzecz skończona, żadne ale, żadne wątpliwości. Musisz pan znać przysłowie ludowe : „śmierć i zona od Boga przez znaczone".

— Więc najlepiej zamrużyć oczy i tak na oślep pierwszą lepszą....

— Naturalnie, tem bardziej w pańskim położeniu i w pańskim wieku....

— Wybornie I — zawołam, udając obrażonego. — Już pani zdemaskowałaś swoją

opinię o mnie. Dziękuję, bardzo dziękuję.... jestem stary, jestem przymuszony zenie się....

— Przypuśćmy że tak sądzę — odzywa się wcale niezrażona panna Joanna — ta właśnie obraza pańska, którą czytam na jego twarzy, bardzo mi pochlebia, i dużo daje do myślenia....

— W jaki sposób ?

— Że pan miałeś na myśli moją osobę....

— Na miłość Boską — mówię, zapomniawszy o pudełku z „bezami", które tym czasem na kozle obok Ignacego odprawia szatańskie skoki — z panią bardzo niebezpieczna jest rozmowa.... pani czytasz w myślach, pani

jesteś osobą bardzo a bardzo....

— Niebezpieczną.... — odpowiada za mnie — ja wiem o tym , ale przyznasz pan szczerą.... i w imię tej szczerości wzywam pana, abyś mi wyjawiał swój gust co do przyszej małżonki.... Wiele rzeczy już znam, na przykład lubisz pan blondynki....

— Przepraszam — znowu ja przerywam z zamiarem posunięcia naszego żartu jeszcze dalej — zmieniłem gust, przepadam za brunetkami o cerze śniadej , oczach żywych niewielkich , bo te duże, powłóczyste, nabawiają mię strachu.

— To niby takie jak Ozupurkowej ?....

— Dajmy na to, że takie. Lubię temperament żywy i wesoły, otwartość, trochę kokieterii, nawet maleńki pieprzyk na twarzy, i tylko nie znoszę kolczyków, które uważam za barbarzyństwo....

— Ależ to szanowny panie — mówi, kręcąc się niespokojnie w siedzeniu — lo jakby do mnie pite ?

— Pozostawiam pani swobodę domysłów, choć naprawdę jeszcze się pani nie przypatrzyłem tak dobrze, aby to wszystko do niej stosować się mogło.

— Tak — odpowiada ze szczególniej szym błyskiem oczu — bardzo grzecznie z pańskiej strony....

— Szczerść za szczerść; w kwestii gustów nie można się obrażać ani dysputować.

— Tu nie idzie o gust — mówi z najnaturalniejszą miną — ale jako kobieta moge być obrażona zapewnieniem pana, że dotąd nie miałeś czasu przypatrzeć się dobrze mojej osobie. To uważam za ułbiżenie.... Ale mniejsza, prowadźmy rzecz dalej: co do powierzchowności wiem , a jakież pańskie zdanie co do wewnętrznych przymiotów ?

— A gdzież tu czas do tak niezgłębionych badań ! — mówię wesoło — zamykam

oczy podług rad pani, i niech się dzieje co chce.... Śmierć i zona od Boga przeznaczona....

— Wie pan, w takim razie nie jestem zbyt daleko od bliższego porozumienia się. Mam już dla pana żonę, jakiej chcesz....

Jakby na złość dla przerwania tyle zajmującej dla mnie rozmowy, zatrzymała się bryczka nasza przed rzeką, którą wypadało w bród przebyć, co pozwoliło mi zastanowić się trochę nad dotychczasową dyskusją. Do brze ludzie mówią, że to nieraz z żartów, tak niby bez żadnego celu, przychodzi się do pewnych rezultatów na seryo, i takie nie winne rozmowy prowadzą często człowieka dalej, niż sam chciał. Z tego względu ja zawsze nazywam je tyralierskim rekonesansem, w którym rozpatrując nieprzyjacielskie siły, przychodzi nagle ochota zaatakowania go naprawdę. Coś, coś... ta kozakowata juna kierya panny Joanny zaczęła mi się podobać — przynajmniej jest sama sobą, a skutkiem tego po głowie przebiegała iskrą myśli: „kto wie...”

— Czego ty się namyślasz? — pytam zniecierpliwiony Ignacego — Jedźmy już!...

— Eh, proszę jaśnie pana, trza temu krakowiakowi ukrócić postronki.... On widać

nienauzezony do wody, bo jak przejeżdżałem rano, ino stawał i stawał.

Ignacy, któremu przy każdym pospiechu wszystko wypadło z ręki, coś długo majstrował koło orczyków, a my tymczasem, trawiąc spokojnie wrażenie ostatniej rozmowy, obliczaliśmy własne siły. Kiedy niekiedy panna Joanna zerknie boczkiem ku mojej stronie niby od niechcienia, lecz z tego rodzaju uśmiechem, który mimowoli daje widomy znak niewidomego wewnątrz zadowolenia.

— Pani się nie boi przejeżdżać przez wodę? — odzywam się aby przerwać zadługie milczenie.

— O nie, tyle razy już przejeżdżałam tędy, zresztą liczę się do kobiet odważnych. Nareszcie wgramolił się przecie na koźiel nasz Ignacy, obejrzał na pudełka, czy trzymają się dobrze, i podciął energicznie owego konia z Krakowa.... Otoż to podcięcie musiało być zanadto niespodziane dla niego, bo szarpnąwszy nagle postronkami, zerwał je od razu.... Nowa bieda, znowu się za trzymuj i rozpoczynaj wiązanie. Ignacy włożył między konie, wymyśla krakowiakowi na czem świat stoi, syczy, majstruje, a tu już

słońce ma się ku zachodowi, i dobra mila do Sobkowa.

Widząc, że nie będzie końca utyskiwaniom naszego stangreta, schodzę i ja z bryczki, pomagam, znoszę kawałki szpagatu, które skręcamy w kilkoro, a panna Joanna występuje z morałami.

— Widzisz, jaki z ciebie furman? któż to się puszcza w drogę z tak porwaną uprężą?...

— Ale, kto się puszcza — powtarza zły już Ignacy. — To niechże pani wskóra co u naszego pana! Przyjdiesz do niego, że trza dać nowe postronki, to on się ino pyta, a ile tam starych?... Powiesz mu trzy, to on gada zawiąż bratku czwartą, zawiąż, ciężkie czasy, nie ma za co kupić.... no idź z Bogiem....

— Prawda — odzywa się do mnie sąsiadka — to Kostusia zasada, o ile można, nie wydawać pieniędzy. Powiada, że dla naszych ludzi wszystko jedno, czy stare czy nowe, oni jedno i drugie zepsują....

Nareszcie wyrzuchtowaliśmy owe postronki, spróbowali czy będą mocne, a Ignacy już nie tak z impetem puścił się w wodę. Bród z początku jest dosyć płytki, jedziemy tedy z szumem, konie parskają, a koła bry

czki tylko dudnią po kamieniach. Lecz ku drugiemu brzegowi jakoś zaczynamy się pogłębiać, mój Ignacy już staje u koźle, a ja poczuwam coś zimno w nogach. Rzeczywiście woda dostaje się do bryczki, moja odważna sąsiadka w krzyk i z nóżkami na siedzenie, a tu krakowiak ma chęć zatrzymania się w wodzie. Widząc, że źle może być z nami, czołgam się na kolanach do koźła, wyrywam bicz z rąk Ignacego i dalejże z całej siły po koniach.... Już nie patrzę, że wody coraz więcej nabiera się do bryczki, że zaczyna przez wierzch się dostawać, ale bijemy konie, krzycząc, bez ustanku: a wio, a wio!
— Moja waliza, moja waliza! woła rozpaczliwym głosem panna Joanna, chwytając mnie oburącz za szyję — wszystko zamoknie!...
Tu panie konie już dosięgły brzegu i nie mogą się nań wygramolić, tu chcę wy

skoczyć aby im dopomóż, popychając bryczkę , a odważna pani z całej siły trzyma mię z tyłu za szyję.... Otrząsam się tedy przez mocą i jakoś wydobywamy się na ląd bez piecznie. Woda strumieniami leje się z bryczki , konie ledwie dyszą , życie ocalone — ale pudełko z bezami jako nieprzymocowane na koźle, patrzę, płynie sobie z wodą do Gdańska....

— Przepraszam panią — mówię, wysadzając do połowy przemocłą kobietę z bryczki — że niezbyt grzecznie pozwoliłem sobie ją opuścić, lecz sytuacja była groźna, mogliśmy utonąć....

— Nie mam żalu — odpowiada, wyszymając wodę z dołu powłóczystej sukni, lecz z tak powolnopłaczliwą miną, że na ustach moich zaigrał uśmiech złośliwy co do mnie manej odwagi....

O pakunkach naszych, o pudełkach pani Cecylii, nie było co mówić—wszystkie pływały jak pęcherze na powierzchni , a teraz sączyła się z nich woda ; najbardziej jednak ucierpiała waliza panny Joanny jako przywiązana mocno z tyłu wolanta....

— Ja muszę otworzyć — rzecze, szukając kluczyków w kieszeni — ja muszę zobaczyć, co się z rajem kwiatami stało....
Perswaduję, przekładam , że zmokły nie zawodnie, że ona sama jest zziębniętą, że noc się robi i trzeba jak najprędzej zdążyć do domu , żeby się przebrać — nic nie pomaga. Odwiąż walizę, otwieraj , potem desperuj z załamaniem pięknych rączek, a wreszcie zamykaj i przywiąż napowrót....
Moja wesoła towarzyszyca, owa junacka despotka, straciła całkiem humor. Pled, kto

ry miałem na ramionach, jakoś ocalał od przemoczenia , więc rozścielam go w siedzeniu dla niej, jedziemy dalej jak pomartwione sieroty z pogrzebu.... Widzę, drży od zimna, więc przy pierwszej karczynie namawiam, aby się napiła wódki; nie opiera się wcale, a wychyliwszy nie kobiety już kieliszek, nabiera

trochę poprzedniej wesołości
Zbliżając się ku Sobkowi , zaczynamy
powoli żartować z naszej awantury, a mnie
coraz większa napada chęć wznowienia po
przedniej rozmowy....

— No spodziewam się, że pani nie za
pomni danej mi obietnicy?

— Jakiej ?

— Owego swatania.... Obecnie mam
już lepsze prawa do pani wdzięczności.... mo
gę głosić a nawet myśleć, że uratowałem jej
życie....

— Wolałabym, żebyś pan był uratował
życie mojej walizy — rzecz z uśmiechem,
podając mi rękę. — Żart żartem, jednak bar
dzo jestem panu wdzięczna za wszystko...
Jesteś pan więcej niż dobrym....

Eączkę ucałowałem ogniście, a że jakoś
przybywało mi odwagi, posuwam się dalej
z moją intencją.

— Więc teraz jako po należytem ochło
dzeniu się — mówię nie puszczając jej rączki —
pozwoli pani mieć nadzieję, że przyjdziemy
kiedyś do owego porozumienia się, o którym
pani wspomniała, że jest niedalekiem ?...

Ona patrzyła mi seryo w oczy, jednak
wysuwając rękę z mych dłoni — popatrzyła,
trochę się roześmiała, pokiwała główką i
milczy...

— Ozy moge mieć nadzieję...

— Pan to mówisz na prawdę ?

— Na najprawdziwszą prawdę...

— Kiedy tak, to będę pana swatała...

mara śliczną dla pana osóbkę, młodą, bogatą...

— Ale podobną do tej, którą pani o
pisałem ?

— Najzupełniej, a nawet bez tych wad,
które się panu nie podobały... nie będzie
miała kolczyków...

Czytelniku, możesz sobie wyobrazić, w
którem ja byłem niebie, słuchając tego wszyst
kiego, mimo, że bryczka wjeżdżała na dzie
dziniec Sobkowskiego dworu, a od pani Ce
cyltii czekała burza wymówek przy spodzie
wanych przeprosinach. Jeszcze gdyby spra
wunki, które wiozłem dostały jej się w po
rządku, gdyby nieszczęśliwe „beze", za do
dowieszenie których w całości mogłem li

czyć na pewne zmiłowanie, nie popłynęły z wodą — sprawa mogła się upiec jako tako. Ale teraz ?... Eh pal licha... mniejsza zresztą o panią Cecylię... kogo i nu ego mam ja teraz na myśli!

*

Znaną jest powszechnie definicya So kratesa , dla kogo to pszczoły miód robią ; a choć nie mam szczęścia przed nazwiskiem Kołasińskiego kłaść doktor filozofii, to jednak pozwoliłem sobie podchmielić się komplotnie ową słodyczą słodszych niż miód przyrzeczeń panny Joanny. Z tego powodu przebaczą mi czytelniczki, iż straciwszy wzrok, słuch, powonienie i resztę przymiotów dla porządnego powjeściopisarza niezbędnych — nie widziałem ani samego gospodarza, ani żony jego, ani dzieci jego, ani dworu , ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest — a tylko pieściłem się myślą przyszłych szczęśliwości obok panny z brzoskwińową cera twarzy.

Coś jakby przez seu przypominam so bie, że pan Konstanty zanadto głośno burczał Ignacego za sprawienie nam tak chłodnej kąpieli, że pani Cecylia aż płakała, oglądając potopione w pudełkach stroiki, że pani

gospodyni domu kazała w jakibądź sposób połatać nadwyreżoną podstawę wielkiego tortu , a kochany mój Czupurek co pięć minut trąbił mi w uszy, że takiej śmietanki jak w Sobkowie, nie znajdzie na całej kuli ziemskiej.

— Daję ci słowo honoru, jak przyniosą rano do kawy garnuszki, to go do górą dnem przywrócisz, a kropla się przez kozuch nie wydostanie.

Na drugi dzień , wysuszywszy się jako tako z przypadkowej kąpieli, ubrany w składkowe odzienie Kostusia i Czupurka — pokazałem się towarzystwu. Nad podziw, pani Cecylia była więcej grzeczną, niżeli się spodziewałem , a lubo trzymała się na stopie etykietalnej, to jednak uważałem , iż przeprosiny uroczyste będą już zbyt zbytecznymi. Za to panna Joanna udaje chorą wskutek wczorajszej kąpieli, i widzę że dziś nie jest tą

wesołą, zaczepiającą i zuchwałą towarzyszką podróży, wobec której ledwie mogłem się utrzymać na odpornym stanowisku. Po śniadaniu, tym razem bez żadnych specjałów własnego pomysłu domowego, przy siadam ja się do niej, próbując rozpedzić chmury osiadłe na inteligentnej twarzyczce panienki. Rozpoczynam i tak i owak , pu

szczam się na dowcipy — nic nie pomaga. Odpowiada wprawdzie, ale tak konwencjonalnie zimno, jakbyśmy pierwszy raz z sobą rozmawiali. Zachodzę w głowę, z kąd taka przyczyna zmiany, lecz pocieszam się zarazem dostrzegłszy, iż w uszach nie ma owych półksiężycowych kolczyków, które tak nieliścieście wczoraj mię raziły....

Naraz ktoś zajeżdża przede dwór, i wszystko co żyje, wybiega do ganku, wołając: „Wojciech, Wojciech przyjechał !u Zbliżam się tedy i ja do okna, patrzę, wy siada z powozu jakiś wysoki, z piegowatą twarzą mężczyzna, a za nim gęstą woalką osłonięta kobieta, którą nasze panie po kolei chwytają w swoje objęcia. Twarzy nie mogłem widzieć, lecz z ruchów i cieniutkiego jej głosu domyślam się, że musi być młodą osobą. A to co znowu?... moja pauna Joanna jak pijawka zawisła na szyi przybyłego mężczyzny i całują się, całują bez końca.... odpoczną chwilkę i znowu się całują. Nie wiem dla czego, ale przyznam się czytelnikom , zrobiło mi się niedobrze; coś serce zaczyna bić żywiej z niepokoju , a po całym ciele przechodzą pewne dreszcze, zwane po spolicie ciarkami.

Cała gromada witających i witanych wśród wesołego pisku kobiecego wtoczyła się do przedpokoju , a ja stoję jeszcze w oknie z oczami wlepionymi w ten sam punkt, gdzie się odbywały tak serdeczne całowania Joasi z tym panem.

— Panie Konradzie — słyszę naraz głos pani Cecylii po za sobą — nad czym się to pan tak zadumał, że nic nie widzisz i nie

słyszysz ?...

Wytrzeszczyłem tylko oczy na stojącą obok mnie z dziwnie uśmiechniętą miną Czu purkową, jak człowiek, którego nagle ze snu przebudzono.

— A odezwijże się pan choć słowo ! — mówi dalej — co panu jest, masz tak prze rażoną minę ?...

— Kto jest ten pan ? — rzekłem na pół przytomnie.

— Ten , co przyjechał ?

— Tak jest, ten wysoki blondyn ?

— Którego Joasia tak serdecznie cało wała?

— Nie uważałem, czy go kto cało wał— mówię, odwracając twarz moją na bok.

— Szkoda, że pan nie uważałeś — do daje ze szczególniejszym błyskiem swych

czarnych oczu — możeby ta scena czułości małżeńskiej oddziałała na pana zachęcająco...

— Jaki ?... panna Joanna....

— Ależ pani Joanna—przerywa mi. wymawiając słowo „pani” z przyciskiem—zona pana Wojciecha Dębickiego, który dopiero przyjechał i którego jutro obchodzimy imie niny.

Byłem jakby piorunem rażony na tę wiadomość, jednak tyle wymogłem na sobie, że udając obojętnego, powiedziałem troszkę niby zdziwiony :

— Tak , nie wiedziałem....

W salonie nie było nikogo, mnie tu o mało dyabli nie biorą ze złości, a pani Cylia w najlepsze rozsiadłszy się na kanapie, ze swoim sarkastycznym uśmiechem, zdaje się pastwić nad moim niespokojem.

— Widzę, że mimo panowania nad sobą, wiadomość ta nieprzyjemne zrobiła na panu wrażenie — odzywa się słodziutkim głosem.

— Dlaczego ? Myli się pani; bardzo mało mię obchodzi, czy pani Joanna ma męża lub nie ma.

— Eh , nie zmyślaj pan — mówi dalej, grożąc mi palcem — bo zdaje się, że pan Konrad ma jakiś grzech na sumieniu względem Joasi.... Coś, coś słyszałam, że pan

podczas wczorajszej podróży miał podobno za wiele odwagi.... Co tam, przyznaj się pan lepiej....

— Upewniam panią, że moje sumie nie czyste....

— A jeżeli ja wiem wszystko ?

— Tem gorzej dla pani Joanny....

— A jeżeli ona chciała zażartować z pana ?...

— To przyznam się — przerywam z pełną goryczą, wstrzymując gwałtowne oburzenie — nie najlepiej to świadczy o charakterze tej pani.... Wszelka kokieterya ma swoje granice.

— Jednak co byś pan powiedział już nie o niej, ale o tej, która ją do tego pod mówiła, która cały ten planik ułożyła, jako małą zmatę za pewną niewstrzeżność języka dawnego przyjaciela ?...

Milczałem, spuściwszy oczy ku ziemi, nie ze wstydu, broń Boże, lecz z pogardy nad tyle wyrafinowaną zemstą kobiecą za aksamitną suknię. Pani Ozupurkowa śmiała się milczenie to zrozumiała, bo wzięwszy mnie za rękę powtórzyła pytanie :

— Cóżbyś pan powiedział?

— Powiedziałbym — mówię prędko, wysuwając rękę z jej dłoni — że każda zemsta

jest brzydka, a tembardziej tak pięknej jak pani kobiety. Jeżeli zrobiłem pani przykrość, to daję słowo honoru uczciwego człowieka, bez żadnej intencji, ot poprostu z gadulstwa wyciągnięty na słowo przez fałszywą kobietę — ale żebym miał jakie plany układać....

— No, no — przerywa znów ona, lecz innym już tonem i z innym spojrzeniem — zanedo seryo te rzeczy pan bierze.... Cóż, żart niewinny nic więcej, o który tak grzeszny i dobry kawaler, jakim pan jesteś, gniewać się nie powinien.... Chciałam mieć za jego niedyskrecję pewne zadośćuczynienie — no i mam je.... Niechże będzie między nami zgoda... dobrze, zgoda?... proszę, podaj mi pan rękę.

Cóż miałem robić? podałem ową rękę, a w dodatku, czego się wstydzić powinienem, jeszcze ucałowałem podwakroć jej paluszek.

Jak raz w trakcie tych przeprosin, otwierają się drzwi salonu, i wchodzi z wesołą

miną ów wielki z piegowatą twarzą pan Wojciech, pani Joanna, i trzecia, bardzo podobna do niej, lat może dwudziestu panienka.
— Przedstawiam panu mojego męża —
rzecze z uśmiechem pani Joanna, zbliżając

się ku mnie. — Opowiedziałam mu, jak pan byłeś dobrym w czasie podróży....

Pan Wojciech zrobiwszy czule oczy, ścisnął mi tak mocno rękę, że o mało nie krzyknąłem.... A to siłacz, niech go licho porwie !....

— Pan Konrad Kołasiński.... a to moja siostra Florentyna....

Ukloniłem się pani siostrze Florentynie nie bardzo etykietalnie, a na panią starszą siostrę spojrzałem bardzo surowo.

— A co? — szepnie mi, biorąc bez ceremonii pod rękę i prowadząc na bok — nie dotrzymuję słowa? Proszę, przypatrz się pan Florci, czy nie podobna zupełnie do pańskiego ideału? Takie oczy, taka cera, takie włosy jak pan chciałeś, a nawet pieprzyk jest i kolczyków nie nosi... Fe, czegoż pan stoisz tak zamyślony i nie spojrzysz w tamtą stronę? kompromitujesz mnie wobec niej, przed którą podnosiłam pana pod niebiosa.... Ej panie Konradzie, proszę mi się nie dąsać — mówi dość filuternie — bo gotowa jestem raz jeszcze wybrać się z panem w drogę, ale już tyle mu nadokuczam, że mię po pamiętasz....

— A gdzież jest Konrad? — woła wbie

gając w tej chwili do salonu roztargniony jak zwykle Ozupurek....

— Jestem — odzywam się, idąc ku niemu.

— Pójdźże, niechże cię przedstawię panie Florentynie.... Oto jest właśnie to pięciodelko — mówi ciszej, ciągnąc mię do zażenowanej panienki....

— Spóźniłeś się trochę, już poznałam pana Krasińskiego — odpowiada panna Flora, spuszcżając oczy.

— To nic nie szkodzi, ja powtórzę swoje, że to jest mój serdeczny przyjaciel, choć nudziarz i bałamut.... Florciu kochanie moje trzymaj się ostro, albo go tak oplataj w swoje sieci, żeby tylko leżał ci u nóg i

wzdychał jak wrona, kiedy jej się pić chce...
— Ignasiu — mówi Ozupurkowa — ple
cie ci się...
— Nie, nie, moja kochana, ja wiem co
mówię; wy tylko tak lubicie, żeby mężczyzna
umierał z uczucia, leżąc jak długi u nóg wa
szych — tak wzdychał, tak ciężko wzdychał...
aż strach.....
Cesia zatkała mu usta ręką... a ja ko
chane czytelniczki na tem muszę zakończyć
część pierwszą moich pamiętników.....

Wierzę zupełnie słowom pana Czupur
ka, które dopiero wygłosił, a że nie mogę
tak prędko wyleczyć się z zawodu czy żartu,
który mi pani Joanna sprawiła, więc daru
jecie, jeżeli po takim przejściu bolesnem,
nie mam ani głowy ani sensu prowadzenia
dalej opowiadania. Muszę naprzód to wszy
stko w sobie przetrawić, nagryźć się, namar
twić, żeby to dostrzegły obie lekkomyślne
kobiety i powiedziały sobie, że nie godzi się
tak nieuczciwie igrać z sercem mężczyzny.....

koniec tomu pierwszego

Mam ten wielce praktyczny zwyczaj, że ile razy
zrobię jakie głupstwo, a zdarza mi się to dość często,
idę do mego pokoju, stoję przed lustrem i wymyślam
sobie, co tylko się zmieści, ale wymyślam na seryo. Pod
wielu względami operacyę tę uważam za daleko prakty
czniejszą od cichych wyrzutów sumienia, bo zawsze
inny to ma skutek reprimenda w cztery własne oczy,
kiedy jeden ja przed drugim ja musi się żenować, wy
trzymując groźne spojrzenie. Częstokroć, doprawdy, aż
mi żal tego biedaka w lustrze, kiedy widzę że tak się
kręci, wierci, wywija i unika prostego wzroku, że nieraz
machną ręką i powiem:

— Ha! widocznie, mój drogi Konradku, tobie już
przeznaczono umrzeć starym osłem!

Tym razem po owej niefortunnej rozmowie z pa
nią Czupurkową, z której pokazało się, że dwie młode
kobiety, bez wielkiego wysiłku złapały starego wróbla
na plewę, pobiegłem do gościnnego pokoju i dalejże do
lustra. Zatrzymuję się z groźnym spojrzeniem, potrzą
sam głową; lecz wystawcie sobie, zamiast irytacji opa
nowuje mię śmiech raptowny. Lustro pokazywało tak fa
talnie krzywo, że drugi ten ja, któremu miałem wymy

ślać, wydał mi się najkomiczniej szą w świecie karykaturą.

Spotykałem ja nieraz po żydowskich zajazdach różne fałszywe zwierciadła, ale żeby które mogło ze zwyczajnego człowieka zrobić prawdziwą maskarę, tego sobie nie wyobrażałem. Cała twarz była ukośnie zgniecioną z nieproporcjonalnym powiększeniem jednej połowy, skutkiem czego gdy jedno oko było jakby u woku, drugie zwężało się i oddalało od niego na pół łokcia. Z nosa zrobił się jakiś zakrzywiony młotek czerwony z rączką; połowa wąsa miała kształt miotły, gdy druga przemieniała się w różgę, i toż samo było z łysiną, z brodą, z ustami, a ile razy zmieniałem pozycję, lub roześmiałem się na dobre, to miałem przed sobą Mefi stofela, którego szatańskie chichoty, zdawało mi się, że słyszę za zwierciadłem.

Wiadomo, że człowiek do samej śmierci jest dzieckiem, więc zapomniawszy w tej chwili o wszelkich sercowych udręczeniach, o reprimendzie, dla której tu przyszedłem, bawię się przystrajając twarz w rozmaite grymasy, którym lustro coraz potworniej przyświadcza...

— Konradku, serce — słyszę głos poza sobą — stłuczno mi parę orzechów. Patrz jaki oni tu mają gatunek, jak Lorcię kocham, nigdzie takich nie widziałam. Teklusię macie wszyscy za sławną gospodynię, a ja ci powiadam, ona nie ma wyobrażenia o porządkach domowych. Imaginuj sobie, w całym domu niema dziadka...

Oglądam się, pani Owczyńska w swej własnej ma lutkiej osobie stoi przedemną, podając pełną rękę włoskich orzechów.

— A, moja pani — rzeknę, udając obrażonego — cóżto ja mam być dziadkiem pani do tłuczenia orzechów!

— Serce ty moje, nie gniewaj się — mówi, gładząc mię po kamizelce — no, no stłucz te dwa, wiesz przecie, że ja nie mam siły, a ja zato powiem ci coś tak przyjemnego, ale to tak przyjemnego — kończy, ruszając pociesznie swoją rudawą peruczką i figlarnie patrząc mi w oczy.

Ciocia Owczyńska, która razem z Czupurkami i najmłodszą córką swoją Lorcią bawi tu przez całe święta, dzień po dniu ubiera się od samego rana w ak-

mitną haftowaną mantylę koloru zwiędłego buraka. Mantyla skrojona z tyłu w kształcie półksiężyca, obszyta długą sznelkową frędzlą, z przodu ma długie, wąskie języki, i w przekonaniu szanownej cioci jest czemś tak strojnem, tak dystygowanem, że zdaje jej się, prawdziwy zaszczyt przynosi salonowi w Sobkowie. Z pod owej mantylki widać szlafroczek do figury, z perskiej wypłowiałej materyi w palmy, które na szwach stanika wykrzywają się na różne strony. Szlafroczek podług odwiecznej mody, jest bardzo gesto na biodrach sfałdowany, a że pani Owczyńska chodzi zawsze z pewną kręcącą się gracją, więc fałdy te, niby zwoje pijawek po suwają się z tyłu falowato.

— Co pani mi możesz powiedzieć przyjemnego, o czembym już nie wiedział...

— Mój drogi, słuczno mi te dwa, a przekonasz się... Pasyami lubię orzechy jeszcze z dzieciństwa... Masz pewno scyzoryk, to mi daj... uważasz, ja sobie posiekam, posiekam drobniutko... Imaginuj sobie, jak jem orzechy, zdaje mi się że to są kokosy, a ja na wy

spie Robinzona... Tobie, Konradku, pójdzie to łatwiej, weź dwa w rękę i zgnieć jedno o drugie, tylko uważasz, nie masakruj bardzo...

— Niech też pani da mi pokój!...

— No, nie chcesz, nie? to pozwól, że ja będę strzelać...

— A niech pani strzela — odpowiadam, zajęty oglądaniem suszącego się na krzesłach ubrania.

— Zrobiłeś ogromną konkietę, Konradku—mówi za mną, majstrując coś koło drzwi wchodowych — Te klusia mówi: jaki to dystygowany...

— Co to jest? — krzyknę, odwracając się w tej chwili, bo właśnie jakby z pistoletu strzelono.

— No, coż, stłukłam orzech między drzwiami.

"Wszak pozwoliłeś... Joasia tylko o tobie mówi, cóżto za miły człowiek, Florka toż samo, i moja Lorka choć to jeszcze dziecko, przepada za tobą... No, a co do Cesi, to mówię ci, zazdrość ją pali... Dajże mi teraz scyzoryk, patrz jakie to olbrzymie ziarno... Chcesz spróbować, co? dam ci... Figlarz z ciebie, Konradku, słyszałam, costam dokazywał z Joasią w drodze... ale pamiętaj, że ten Wojciech to nie Czupurek, to Otello, jak Lorcię kocham... Imaginuj sobie, nic nie mówi, a tylko pokręca węża i patrzy białkiem z podelba...

Widząc, że ja nic na to nie odpowiadam, lecz udaję zajętego moją garderobą, pani Owczyńska, chrupiąc orzechy na podobieństwo starej wiewiórki, prowadzi rzecz swoją dalej:

— Wiesz, że dziś pierwszy raz byłam w ich kuchni... bardzo jest nieporządna... czarno, brudno... Robią pasztet ze zwierzyny w francuzkiem cieście, jak Pa na Boga kocham prawdziwy pasztet... I galareta be

dzie jak na wielki wieczór... Ale co kucharz, to mówię ci prosto, rozbójnik; ty wiesz, Konradku, jak ja nie lubię się wtrącać do spraw cudzych, ale imaginuj sobie, z dobrego serca pytam go, czy weźmie żelatynę czy też nóżki cielece... Powiada, wezmę to co potrzeba... Gbur... A nóż ma taki wielki, błyszczący, niby kat, i ciągle go o fartuch obciera... Pyszne orzechy, proszę cię, spróbuj choć kawałeczek.

Paplanina pani Owczyńskiej, zwyczajnie nigdy mi nie przeszkadza do myślenia. Ona swoje papla niby małe dziecko w kołysce, ja słucham piąte przez dziesiąte i swoje robię co mi wypada. Tym razem jednak owe salwy orzechami zaczynają mię niecierpliwie.

— Proszę pani — rzeknę — czyby pani nie mogła przenieść się gdzieindziej z tem strzelaniem?

— Ciekawa jestem, gdzie? W salonie przecież nie wypada, do kancelaryi Kostusia nie pójdę, bo tam ktoś jest, a ty, serce moje, jako mężczyzna, powinienesz być ostrzelanym... Ot, widzisz jak to źle, że nie służysz w wojsku! Nieboszczyk nasz ojciec pułkownik, to umyślnie kazał nam palić nad głowami... daję ci słowo, strzelali nam ułani z pistoletów, żeby kaprysy powypędzać... Wiesz, zdałoby się Tekluni, żeby jej tak strzelano, okropna planetnica... A ja, przyznaj sam, czy mam jakie grymasy, no powiedz, dostrzegłeś co? Wszystko mi dobrze i wszędzie dobrze, i moja Lorcia tak samo... kto ją weźmie, będzie miał żonę jak małe ja gniałko...

— Czy i panna Laura jest już tak ostrzelaną ze wszystkimi?—zapytuje, śmiejąc się z dowodzeń Owczyńskiej.

— Tylko proszę cię, nie bądź dowścipnym—rzecze

już trochę urażona. Ja ci powiadam, nie dufaj bardzo i w swój rozum... Florka ma aż trzech konkurentów i sprzątną ci ją z przed nosa ani się spostrzeżesz... Słyszałam zjadą się wszyscy na świętego Wojciecha, jeden aż ze Lwowa, uważasz, ze Lwowa; drugi syn obywatelski i bogaty, a trzeciego przywiezie prezes, nie wiem tylko czego on prezes czy od drogi, czy od banku, dość, że to jest jego kuzyn bardzo zdolny, preparator czy inżynier.

Udaję bardzo zajętego moimi sukniami, prostuję, składam i nic się nie odzywam, myśląc, że babina się znudzi i pójdzie. Ale gdzietam! I orzechy wszystkie

skonsumowała, i szczyryk wyczyściła, i mantylkę zrewi
dowała, a swoją drogą buzia się jej zamknąć nie może.
Zniecierpliwiony odzywam się wreszcie dość kwa
śno:

— Daruje pani, ale ja muszę się przebrać. Wi
dzi pani, dotąd chodzę w pożyczonym ubraniu, bo moje
wszystko przemokło...

— A przebieraj się, przebieraj, serce ty moje, ja
ci nie przeszkadzam. Widzisz, ja z temi paniami nie
mam przedmiotu do konwersacji... One są bardzo mi
łe, ale imaginuj sobie, tylko o kurach, o służach, o na
siadkach i tych zwierzętach, z których szynki się robią...
Gdyby nie kuchnia i ta kawa przepyszna, jużbym była
w Krakowie... Prawda, ciekawa jestem bardzo tego
pasztetu, choć jestem przekonana, że coś zepsują, albo
farsz, albo sos... Chciałam Tekluni poradzić...

Widząc, że w dobry sposób nie pozbędę się kocha
nej cioci, zaczynam się rozbierać na dobre. Zdejmuję
buty z hałasem.

— A, bardzo ładnie z twojej strony—odzywa się na

to staruszka, rej teruj ac ku drzwiom od kancelaryi. —
Tak, bez ceremonii przy damie!

— Wszak ostrzegąłem...

— Bardzo grzecznie — mówi wciąż, kłaniając mi
się ręką.—Jesteś, Konradku, impertynent, jesteś niede
likatny; pamiętaj, ja ci to przypomnę...

Otóż i poszła przecie, a ja odetchnąwszy trochę,
począłem się zastanawiać nad położeniem mojem w tym
domu... Zostać, czy jechać? I to źle, i to nie dobrze.

A jednak gorzej będzie, gdy skapituluję przed dwoma
kobietami, bo mię wezmą za studenta i jeszcze bardziej
dokuczają. Nie — zostanę i również sobie z nich zażar
tuję... Ho! ho! moje panie, pokażę i ja wam też, co
mogę...

Skoro tak postanowiono, i skoro wy czytelnicy ma
cie mi w dalszych sobkowskich przygodach towarzyszyć,
to proszę was, miejcie tę cierpliwość, i rozpatrzenie się
razem ze mną w całym otoczeniu szlachcica, które
go sława rozchodzi się, jak sam powiada, na sześć mil
dokoła.

Bogiem a prawdą, to co się tyczy powierzchwości
i wewnętrznego urządzenia sobkowskiego dworu, sława,
o której głosił pan Konstanty, nie była niczem uspra
wiedliwioną. Był to sobie dom starego autoramentu,
o wysokim dachu, już dobrze zdezelowany. Jedna po
łowa murowana, trzymała się jeszcze jakotako, ale dru
ga drewniana, wypychała się już dość, wyraźnie na ze
wnątrz, gdy okna coraz bardziej spuszczały się ku zie
mi. Do ganku oszklonego wchodziło się po kilku scho
dach na to tylko, aby znów po tyłuż stopniach spuszczać
się z niego do sieni. Z własnego doświadczenia wiem,
że połowę drzwi w całym domu było takich, które nie

chciały się dobrowolnie zamykać, gdy przeciwnie reszta nie dała się bez pewnej forszy otwierać... Mnie samemu zdarzało się parę razy na dzień wrywać klamki z zamków przy otwieraniu, a w gościnnym pokoju, gdzie naznaczono mi rezydencję, musiałem drzwi zawiązywać na sznurek, bo ile razy ktoś mocniej stuknął na drugim końcu dworu, albo pan Konstanty kichnął w swej kancelaryi, otwierały się same na rozcież, a ja zrywałem się z krzesła sądząc, że ciocia Owczyńska prowadzi się do mnie na konwersację. W tym miejscu przyznać muszę, że w życiu mojem nie słyszałem tak hałaśliwego kichania, jakim się odznaczał pan Konstanty. Kiedy echnął w swej kancelaryi, to zdawało się, że to jest strzał z pistoletu w jakiejś pieczarze, taki słyhać było trzask, łomot, huk i gruchotanie. Jeżeli nie z czego innego, to z owego echania mógł być głośnym na sześć mil w około.

W całym domu sufity są jeszcze z płótna bufiasto opuszczające się na pokój, a że je na przyjazd gości świeżo wybielono, zatem cieniutkie plasterki wapna lecą mi nieustannie na łysinę. W dzień jeszcze z tym sufitem było jakotako, choć nie mogłem pozbyć się obawy, że lada chwila te bufy mogą się zwalić na człowieka, a gdy przyjdzie wieczór i hałas domowy nieco się przyciszy, poza tem płótnem rozpoczynają się prawdziwie dyabelskie harce. Zdaje się, że nietylko miejscowe, ale wszystkie okoliczne myszy obrały dwór sobkowski za arenę do swoich igrzysk. Trudno sobie wyobrazić, jakie to rozkoszne odbywały się tu gonitwy z piskiem, skrobaniem i gryzieniem. Zaopatrzony w szczotkę do zamiatania, co kilka minut przerywałem im tak niewinną zabawę, stukając po płótnie sufitu, a choć za każdą

taką operacją sypały się na mnie jakieś trociny z plasterkami wapna i gwar na moment ustawał, to za chwilę zaczynało się toż samo. Kiedy wspomniałem panu Konstantemu o tej pladze, tylko uśmiechnął się lekceważąco, zapewniając, że do tego można się bardzo łatwo przyzwyczaić.

— My na wsi, uważasz, mamy nerwy jak postronki... Proszę cię, kto tyle płaci podatków i dodatków od podatków, to na wszystko się zahartuje... Ja mogę spać choćby tu z armat bili, ale jeżeli ci to przeszkadza, to ja ci jutro zaradzę...

Jakoż słyszałem wieczór, że dawał ekonomowi dy

spozycyę, aby ze wsi dostarczono mu tylu kotów, ile do stać można.

— Powiedz asan, że płacę piętnaście centów za jednego, i niech chłopaki przynoszą.

Na drugi dzień zatem do samego wieczora znoszono owe koty ze wsi, pan Konstanty płacił po piętnaście centów, a wieczór wpuszczono ich razem na górę. Mimo to gonitwy nocne wcale nie ustały, choć podług obliczeń jego powinno być na strychu trzydzieści pięć kotów.

— Co to jest?—motywował pan Konstanty—cały dzień nic im jeść nie dawali, toć z samego głodu muszą się brać do myszy... Wiesz co Konradzie, pójdziemy zobaczyć.

Poszliśmy z latarnią na strych, i coż się pokazało?

Oto nie było ani jednego kota. Służący źle przymknął okienko dymnika, koty pouciekały na wieś do swoich chałup, z czego korzystając przemyślni chłopaki wiejskie, po kilka razy tego samego kota panu Konstante mu sprzedawali. Śmiechu było co niemiara z tego po

wodu, czem urażony pan Drachowski, wziął na ambit i wytoczył sprawę przed wójtem o oszukaństwo... Jak to wszystko skończyło się potem, już nie wiem, bo wyjechałem z Sobkowa, a nie było końca temu śledztwu; widziałem tylko, jak sprowadzano chłopaków z kotami dla naocznej konfrontacji, i przekonano się, że kiedy w całej wsi było tylko ośm kotów, pan Konstanty za płacił za trzydzieści pięć.

Wszystkich pokoi we dworze nie widziałem, bo do kobiecych sanktuaryów mię nie wpuszczano; mogę więc tylko opisać generalny salon i pokój jadalny, do których wchodziło się z głównej sieni. Salon miał trzy okna i dwa wielkie lustra, których złożone ramy zimą i latem powleczone były muślinem. Wielka mahoniowa kanapa z zakręconymi w trąbkę bokami, stoi przy jednej ścianie; przed nią na dywanie takiż stół z opuszczonymi kłapkami, którego trzymają się zawsze cztery, bardzo chudej konstrukcji fotele, gdy dwanaście wykrygowanych, niby posznurowane panny krzesel, wałęsają się po różnych miejscach, nie wiedząc co z sobą robić. Garnitur ten wybity safianem kiedyś w różne kolory i złoceń, dziś już jest tak wyszarzały, że tylko gdzieś z boków można było ten safian rozpoznać. Naprzeciw tej kanapy, przy drugiej ścianie stoi długi, płaski, jasno orzechowy fortepian, pospolicie zwany tu instrumentem. Jestto zabytek po rodzicach czy dziadach pani Konstantowej; na klawiszach ma wyżłobione już od użycia dołki, a z powodu dziwnie wykręconej formy, przypomina rekina morskiego z wyszczerzonymi zębami. Rze czywiście prócz zewnętrznego podobieństwa ma on i we wnętrzu coś zwierzęcego, bo niechno kto zbliży się do niego z zamiarem grania, to jak zacznie syczeć, brzę

czyó, warczeć, trzeba uciekać, zatykając sobie uszy. W domu państwa Drachowskich nikt nie gra, a tylko ośmioletnia Marynia ma się uczyć, skoro jej muzykalną guwernantkę wy najda; tymczasem zaś pan Konstanty, kiedy jest w dobrym humorze, dla zabawy gości siada czasami przy tym instrumencie, i dobrawszy sobie akordy, śpiewa bardzo pocieszne aryjki. Jedną z nich pamiętam, że zaczynała się od słów:

Dawniej królowa w dziadu się kochała...

Boże drogi, co to było uciechy podczas tego śpiewania! Panowie i damy, i dzieci i sługi, zaglądając z jadalnego pokoju, wszystko to pokładało się od śmiechu, gdy pani Tekla, zakrywając twarz chustką, z obawy aby taka niepomierna wesołość jakich złych skutków na słuchaczy nie sprowadziła, podchodziła do fortepianu i spędzała z krzesła wesołego małżonka.

Ba, ale to nie łatwo poskromić zapał rozśpiewanego Kostusia. Rozozochocony do żywego, jedną ręką broni się Tekluni, a drugą uderzając o klawisze, ciągnie nosowym tonem, naśladowującym drżący głos działowski:

Żaden też ziandar nie pójdzie do nieba,
Dziad go nie puści, bo by se dał chleba,
A tam go w piekle będą. dyabli łoić,
I smołą, poić!

Powiedzcież czytelnicy, jak tu nie całować krotko chwilnego śpiewaka! To też po skończonym koncercie szlachta nie omieszkała wycalować dobrze pana Konstantego, chichocząc mu resztkami śmiechu do ucha,

a dzieci tylko wieszały się rąk jego, prosząc, aby jeszcze o jakimś Bartku zaśpiewał.

Prócz fortepianu, stała tam przy drzwiach kozetka nowego fasonu, już dobrze wysiedziana, a w dwóch kątach trójgraniaste stoliczki, dźwigające jedną lampę z osadzonym na szkiełku żółtym włóczkowym kanarikiem, drugi szwajcarski domek, jako schowanie na cygara, których tam nigdy nie było. W oknach wisiały firanki jeszcze roboty nioboszczki matki pani Tekli, a na podłodze stały czarno pomalowane schodki z wazonami kwiatów po większej części bez liści, albowiem jak za pewniała gospodyni, miała ona złą rękę do wszelkich roślin pokojowych.

Jadalny pokój, wielki, ciemny i ponury jak kordy garda, jeszcze niedbałej się przedstawiał. Dla podtrzy

mania wyginających się zanadto belek, trzeba było dać przecznice, którą się na dwóch słupach do ścian żelazne* mi śrubami przytwierdzonych osadziło. Z tej poprzecznej belki spuszczała się lampa z blaszaną lakierowaną umbrelką, pod którą znowu stał wielki czworokątny stół ciemny dębowy, z wstawionymi na środku białymi blachami. Dokoła stołu wielka ilość siatkowych, bardzo chwiejnej natury krzesel, albowiem krzesła te w godzinach wolnych od jedzenia, służą młodej generacji Dra chowskich do konnej lub powozowej jazdy pokoju. Lecz najważniejszym meblem jest tu kolosalnych rozmiarów szafa kredensowa, w której dwoje drzwiczek nie zamykając się wcale, pokazują gościom otwarte swoje wnętrze. Mimo że kolos ten, zajmujący całą ścianę, stoi na murowanych nogach z cegły, jednak, przy żywszem chodzeniu trzęsie się cały, a z nim razem

brzęczą i warczą wszystkie szklanki, talerze, kieliszki i inne tego rodzaju stworzenia, tamże przemieszkujące... Nie obejdzie się i bez zapachów gryzącego temperamentu, jako to: musztardy, różnego ziela, octu, wanilii, a szczególnie olejku kreozotowego, do którego pani Tekla, jako nieustannie cierpiąca na zęby, po kilka razy na dzień zaglądała...

"Wyobrażam sobie, co tu musi być latem much, skoro ich ślady jeszcze teraz widać na belce, na lampie i po gzemsach kredensowej szafy. Czupurek powiada, że po całych dniach gonią ich obaj z panem Konstantym wielkimi gałęziami z topoli i, że polowanie takie sprawia mu wiele przyjemności...

Oprowadzając mię po tych pokojach, szanowny gospodarz powiada:

— A co, rudera, prawda?

— No—mówię—stary dom...

— Ale za to stodoły i owczarnie nowe i murowane, i dzięki Bogu, długów ani grosza,.. Ja, panie do brodzieju, po staremu — dwór na ostatku... proszę cię, co mi po wielkich landarach?... Ciepły, wygodny, a głowa spokojna... Od czego inni zaczynają, ja na tem skończę. A i w tej chałupie, dzięki Bogu, nie zabraknie mi gości i przyjaciół... Ja ci mówię pod słowem, drwię sobie z tych panków, co to sadzą się na pałace, a w kieszeni pustki...

Może i ma rację pan Konstanty, choć zdałoby się więcej porządku i czystości, ale on na tym punkcie jest niewzruszony...

— Na złość nie dbam o takie rzeczy, bo to wszyst

ko jest głupstwo te świecidełka, te jakieś nowomodne graty, na które ludzie majątki tracą, w długi się wprowadzają, a wszystko to, niucha tabaki nie warto... Jak ja mam tu!—mówi, klepiąc się po kieszeni—to wszystko mam, i honory, i ukłony, nawet w takiej budzie... Wypadałoby nam poznać się przecie i z panią go spodynią, choć to cokolwiek trudniejsza sprawa, bo pani Tekla niby to jest w domu, niby jej niema—tak od rana do nocy biega po całym gospodarstwie. Powiadają, ja ki pan, taki kram—i naodwrot, z kramu poznać można pana, a szczególnie gospodynię domu. Jak Kostuś nic sobie nie robi z tego, że mieszka w starej ruderze, tak pani Tekla nie dba o swoją powierzchowność. Ubrana w jakiś brązowy, dobrze wymięty i poplamiony szlaf rok, uczesana byle jako, bez kołnierzyka, bez mankietów, opalona, z pogrubiętymi rękami uwija się po pokojach, z brzękiem kluczyków. Jestto kobieta lat może trzydziestu kilku, średniego wzrostu, dość jeszcze świeża, lecz na pierwszy rzut oka, bardzo surowej powierzchowności. Prawda, że i nos jej niepomiernie wielki i nieco spuszczaający się ku ustom, wiele dodaje ponurości, ale też nieustanne rozbijanie się i strofowanie służących wpływa bardzo na jej humor... Głos ma donośny tak dalece, że dość jest stanąć przed gankiem i chwilkę nadstawić ucha, aby się dowiedzieć, gdzie jej szukać wypada. Nigdy jej nie widziałem siedzącej dłużej na jednym miejscu nad minutę: na wet przy obiedzie, niema dla niej nakrycia, zupeje, stojąc z talerzem w ręku, mięso kraje gdzieś na kredensie, leguminę spożywa na oknie, a gniewa się na każdego, kto jej chce podać krzesło.

— Tylko proszę na mnie nie uważać... ja najlepiej sobie pamiętam.

Zastanawiałem się nieraz, myśląc nad tem, jak tej kobiecie nogi wystarczą. Dopiero była w pokoju, krąjąc bułkę do śniadania, przy czem zawsze z pośpiechu musi się skaleczyć, już, patrząc przez okno, w męskich butach, podkasana cokolwiek za wysoko, brnie po błocie dziedzińca do piwnicy, będącej pod oficyną. Niedługo słyszę jej głos na strychu, gdzie łapie głośno gdaczące kury, to znowu łaje dziewczkę w piekarni, że nierówno przedzie—to jest w inspektach i przerywa rzodkiewkę, aż raptem, z zagniewaną miną, poprawia ubranie Ignasia, któremu nie tę sukienkę co ona kazała—włożono. Pani Tekla jest nadzwyczaj żywą i prędką jak iskra, dla której osobisty kaprys jest alfą i omegą całego postępowania. "W jednej chwili gotową jest wykrzyzczyć mało znanego gościa za zrobienie plamy na obrusie, a potem zaraz podać mu własnoręcznie świecę do zapalenia cygara... Patrząc, całuje swoją ośmioletnią Marynię z całą namiętnością rozkochanej matki, a w dwie minuty potem, słyszę, też sama Marynia dostała klapsa

i płacze gorzko wypchnięta do sieni. Jest despotyczna, a zarazem litościwą i dobrego serca, tylko, że jej łaska i niełaska zależy od kaprysu. Jak sobie powie, że tę osobę lubi, to jest dla niej z poświęceniem bez granic, pomimo nawet niegrzeczności z jej strony; a jak znowu przyjdzie jej do głowy nienawidzić kogo, to zapomina o wszystkich względach kobiety i gospodyni domu, i cza sami zbyt dotkliwie dokuczają.

Miałem to szczęście od razu podobać się pani przez czas jakiś, i doprawdy, cały dzień boży chodziłem za

nowany jej wyszukaną troskliwością moją osobę i o moje wygody. Co ona sobie do mnie upatrzyła do brego—dalibóg nie wiem, ale ta łaska nadzwyczaj mi ciążyła, zobowiązując do grzeczności i kilkakrotnego całowania jej niezbyt estetycznych rączek. Za to Owczyńska i jej córka, panna Laura, ledwie, przeledwie, i to przez wzgląd na Czupurkową, która ich brała w swoją opiekę, były w Sobkowie cierpiane...

Szanownej cioci całego świata nie bardzo i żal mi było, bo rzeczywiście lubiła się wtrącać do wszystkiego, wszystkim mówić, ciągle radzić i swoją osobą narzucać, ale ta biedna Lorcja, dziewczynina tyle nieśmiała, taka przyzwoita i dobra panienska, za co była prześladowana przez gospodynię—to trudno sobie wytłómaczyć... Lorcja, jakkolwiek ma już rok dziewiętnasty, choć jeszcze w krótkich sukienkach, i przez matkę uważana jest za dziecko. Okrągłutka, pulchna i rumiana blondyneczka, byłaby nawet ładną panienką, gdyby stara pozwoliła jej choć raz ubrać się i zaczesać po ludzku. Ale ciocia Owczyńska, jak względem wszystkich jest uległą i schlebającą do poniżenia nawet, tak względem córki jest despotyczną i niepobłażliwą... Każe tej dziewczynie zaczesywać włosy do góry, spinając je dziecinnym grzebieniem na środku głowy, sukienki kraje sama podług odwiecznego fasonu i to zapięte pod samą brodę — broń Boże, aby miała szerokie rękawy aby część ręki mogła być widziana... Wyobraziwszy sobie, że ma niezgrabną figurę, każe jej nosić gorset i ten sznurkuje tak mocno, że dziewczyna ledwie oddycha; trzewiki ma płytkie, z bandażami nakrzyż przezwiązane, a każdy ruch monituje, każde słowo przez nią wymówione poprawia i śledzi ją krok w krok; daje jakieś tajemne znaki i chrząka, ubranie poprawia — że

biedna ta ofiara troskliwości macierzyńskiej pod ciągłym strachem i nadzorem, straciła wszelką woję i świat

domość własnego istnienia. Co rano, kiedy spojrzę jak Lorcja przychodząc na śniadanie, ociera chusteczką łzy po płaczu, taka mię złość porywa na tę starą, że ledwie powstrzymać się mogę. Jakto można w ten sposób tyranizować własne dziecko, i chwalić się, że się ją nadzwyczaj kocha... Śliczne mi kochanie!

Teraz słówko o pannie Florentynie, o tem pieści dełku, którem mię wszyscy od roku tak zachęcająco częstowali... Przyznaję, że właśnie to zachęcanie wywołało przeciwny skutek: Florcia zrobiła na mnie wrazenie towaru do zbycia, czyli panny na wydaniu, dla której każdy nabywca jest pożądanym. Uprzedziłem się, przyznaję to, dlatego, mimo że Florcia była bardzo ładną panienką i nadzwyczaj podobną do starszej siostry pani Joanny, pomimo, że śmiała się bardzo miłutko, pokazując ładne perłowe ząbki, że była wesołą, gadającą i z dołkami na twarzy, za którymi przepadam—spoglądałem na nią okiem krytyka, który sobie postanowił wynaleźć ciemne strony tego obrazu.

I naturalnie, że znalazłem. Florcia, niestety, całą wartość swej osoby zasadza na powierzchowności; nie przejdzie przez pokój, żeby ukradkiem nie spojrziała w zwierciadło i nie obdarzyła swego wizerunku powłóczystym wejrzeniem. Nieustannie poprawia coś ze swego ubrania: to prostuje mankietki u rękawków, to reguluje kokardę na piersiach, gładzi włosy na głowie; sia dając drapuje fałdy sukni, wstając potrząsa niemi, a wszędzie ma tylko złoto i złoto, że aż łuna bije. We włosach szpilka z błyszczącą kulą, pod szyją brosza z bombelkami, na szyi łańcuszek z zegarkiem, na pal

cach pierścienie, niżej szerokie bransolety... słowem, tak mało liczy na powab swej własnej osoby, że tej osobie musi dodawać tyle różnych akcesoryów, aby zwrócić na siebie uwagę... Wśród najbardziej zajmującej rozmowy, niech tylko spostrzeże jakąś nieprawidłowość w ubraniu, już traci przytomność i przemyśliwa, jakby tu wymknąć się do drugiego pokoju i upiąć feston od sukni, który się odczepił...

Być może, obserwowałem Florcię z uprzedzeniem, ale że taką jest, i że podobnych do niej, wiele w życiu spotykałem, przeto wyrodiło się we mnie to przekonanie, że pod tą błyszczącą powłoką nie może być nic innego, jak tylko pustki w sercu—i pustki w myślach, od których zwykli uciekać rozsądni mężczyźni... Kto Florcię na tego rodzaju elegantkę salonową wykierował, ciężki rachunek odda Panu Bogu; nie chcę być złym prorokiem, ale widzę, powiększy ona liczbę tych lalek, dla których wymagań poświęcają nierozważni mężowie spokój domowy, majątek, a bardzo często i honor. Dla zaspokojenia ciekawości czytelników, cośmy też robili cały dzień w Sobkowie, my darmozjady miejskie,

opiszę wam jeden dzień takiego pobytu. O której godzinie wstawali nasi gospodarze, tego już nie wiem, ale co się tyczy nas, gości, czyniono wszelkie usiłowania, abyśmy mogli spać jak najdłużej. Co się naprosiłem Nastusi, pękatej i jędrnej jak rzepa wiejskiej dziewczyny, żeby nie zamykała okiennic w moim pokoju—nic nie pomogło; nietylko, że nie słuchała, lecz przeciwnie, po zatykała sianem serduszka wyrżnięte w tej okiennicy, abym, obudzwszy się rano, nie domyślił się nawet że to już dzień boży.

— iy —

Pani Tekla, jakkolwiek sławna gospodyni na sześć mil wokoło, potrzebowała kilka godzin czasu, nim zdążyła na dziesiątą godzinę przygotować wszystko, co po trzeba do kawy. Skoro więc wpuszczono światło do pokoju, a ja zobaczyłem na zegarku, że dziesiąta, strach mię ogarnął i zerwałem się na równe nogi. Patrząc, moje rzeczy do ubrania ani ruszone, a choć przez ścianę dolatuje mię gwar w sąsiednim pokoju kredensowym, choć około okien migają się różne postacie męskiego i żeńskiego rodzaju, znoszące rozmaite mat er klasy do śniadania z oficyny—o mnie nikt ani pomyśli. Pukam na kucharza, który w nieckach na ramieniu dźwiga jeszcze dymiące się bułki i proszę go, aby tu kogo przyśłał, on tylko kiwa głową i odpowiada: dobrze — ale nikt nie przychodzi... Zaczepiam Nastusie, drepczącą czerwonymi nogami po błocie, lecz i ta chichocze się, trzymając z ostentacją garnuszki ze śmietanką i ucieka, jakby ją kto chciał gonić... Stary, siwowłosy i przygarbiony ogrodnik w granatowej kamizeli i z kozikiem wiszącym u pasa na rzemyku, niesie z tryumfem pęczek świeżej rzodkwi, i widocznie jest głuchy, skoro mojego walenia pięścią w szybę nie słyszy... Idzie, ani spojrzysz w tę stronę, tylko porządkuje rzodkiewkę, zatrzymuje się, obcina korzonki i coś sobie gada i głową sensacyjnie porusza... Zbliżam się do drzwi kancelaryi pana Konstantego, graniczącej z moim pokojem, otwieram—pusto. Wielki wyżeł spoczywający na kanapie, zrywa się na równe nogi i zaczyna przeraźliwie szczekać wyszczerając zęby, co mię zniewala zamknąć drzwi na tychmiast. Ha, myślę sobie, niema co, trzeba się ubierać jak można, i właśnie, gdy się zabieram do tej operacji, pokazuje się stary ogrodnik z naręczem drzewa,

które z wielkim łaskotem składa obok pieca i wyrywa

mi bez ceremonii kamaszki, które wciągałem na nogi.
— Proszę panicza, ja sam wypucuję, ino zapalę
w piecu—mówi, stawiając je obok drzewa; a wyjąwszy
zapalnik z kieszeni kamizelki, pociera o ścianę i usiłuje
rozpalić maleńkie luczywo.

Coż mam robić?... czekam wlazłszy napowrót do
łóżka, gdy stary, prowadząc rozmowę z wiórami, które
mu się zapalić nie chcą, dłubie tam coś w piecu i dmu-
cha, nachylony w pozycji klęczącej.

— To, to, to—gwarzy staruszek — nie chcesz się
zająć, co? zobaczmy, jak ja cię rozedrę na dwoje, to
musisz... Widzicie ją, co ona to chce—mówi, przełupu-
jąc nożykiem drewnianko — nie takich ja uczyłem rozu-
mu... A to psia kość słoniowa jaka twarda... A widzisz,
co, rozłupałem cię, teraz idź na ogień... palisz się, he...
Pójdźno ty druga do niej... tak, nie bój się, nie bój,
ogieniek cię zje... ho, ho! ogieniek jest mocny, on cię
tak pooblizuje het!... A ty wielgasie—prawi do grube-
go drewna, przykładając go na wierzch palących się
wiórów—tylko mi ich bardzo nie przyciskaj, a zasię...
Zaczynasz syczeć, dobrze ci tak, sycz, bratku, sycz... Ha,
jak mu to łzy leżą... ciepło ci, he?...

Bawiła mię ta gawędka starego z drzewem, ale
widząc, że temu niema końca, zaczynam się przypomi-
nać o buty... Ogrodnik, który tylko słyszał głos a nie
rozumiał wyrazów, podnosi naiwnie głowę i śmieje się
do mnie, pokazując, jak to elegancko pali się w piecu...

— Widzi panicz, ja mam swoje smolaki, schowane
w inspektach pod gnojem... Co się ta Nastka naszuka,
a nie może znaleźć... Powiadam jej: idź do lasu i na

kop sobie... Widzi panicz, ja sobie tak na jesieni udzió
bię naręczko, wysuszę, i mam na całą zimę do pokoju...
A oni toby chcieli tak psim śwędem brać cudze... Ja
nie dam, o nie dam, choćby sama imość kazała... Szy-
mon nie taki... Potem w zimie to zkad wziąć? czy to
pójdiesz do lasu w śnieg...

— Mój Szymonie, ależ buty, bo ja chcę wsta-
wać!—krzyknę mu na całe gardło...

— Zaraz, paniczu, zaraz...

I zabiera się stary z moimi butami i wychodzi do
sieni obok... Słyszę przez ścianę, trze, trze i gada do
szczotek, gada do butów, a tu już niosą szklanki do ka-
wy, i dzieci się kręcą, zwołując na śniadanie... Nare-
szcie przyniósł i pokazał mi do światła, że się to bły-
szczą niby lustro; potem zajął do pieca, a zobaczywszy
że pali się dobrze, wyszedł, nie słuchając mojego we-
zwania o wodę do mycia. Uchyliam tedy drzwi od się-
ni i czatuję, czy kto nie będzie przechodził. Jak raz
Nastusia niesie, trzymając końcami palców, jakiś koł
nierzyk damski świeżo wyprasowany.

— Moja kochana, daj mi też, albo każ przynieść
komu wody do mycia.

— Dobrze, proszę pana — mówi, uciekając z chi chotem.

Jakoż za chwilę, otwierają się drzwi i patrzę, idzie stołek z miednicą i wodą, za nim czerwone ręce Nastusi, a za niemi i sama Nastusia z chustką na głowie, za krywającą jej twarz całą... Nie zamykając drzwi za sobą, stawia czempredzey to wszystko koło pieca i ucieka.

— A proszę jeszcze o szklanę wody — wołam za nią.

Dostaję szklanę wody, którą mi uchylając drzwi podaje.

— Nastusiu — wołam znów za uciekającą — ręcznika!

Tym razem czekam nieco dłużej, myję się raz, myję drugi, nareszcie podaje mi owa Nastusia ręcznik w tenże sam sposób.

— Czego ty tak uciekasz?—pytam ją zdziwiony. Zamiast odpowiedzi, pękata Naścia tylko się chichocze, robiąc pocieszne miny, i rejteruje się ku drzwiom.

— No powiedz, czy mię się boisz?

— A juści, że się boję...

— Czego?

— Pani pedziała, co pan są z miasta...—mówi, ją kając się i krygując dziwacznie przedemną.

— To coż, że z miasta?

— Pani pedziała, nie chodź, bo cię wyśmieje... ty głupia Nastka, uciekaj...

— He, he, he, Konradku!—woła z drugich drzwi pan Konstanty, pokazując się z fajką w ustach. — Już romanse, romanse, a bodajże cię Bóg kochał...

Nastusia frunęła jak kuropatwa, zobaczywszy pana, a on klepiąc mię po ramieniu, mówi:

— Daj no sobie pokój, daj, bo jak zona się dowie, to uważasz, palnie ci reprimendę... U nas, panie do brodzieju, jak w klasztorze—dokończył wzdychając.

— Cóż znowu—odzywam się nato—wołałem ją, aby mi przyniosła wody do umycia.

— Ta, ta, ta, bratku, znam ja was wszystkich z miasta jak zły szeląg... Bój się Boga, to już wpół do jedenastej, oj spisz, bo spisz tęgo!... Gdzie ja to, panie

dobrodzieju, nie byłem, i w lesie cechowałem drzewo na mosty, i w polu i na folwarku...

Tłóńczę się że to nie moja wina, że ja dawno już nie śpię, tylko ciemno było w pokoju i nikt do mnie nie zajrzał, ale pan Konstanty śmieje się z tego wszystkiego powtarzając swoje:

— Oj leniuchy, leniuchy...

Idziemy na kawę do jadalnego pokoju, a tam wszystkie panie siedzą jakby powarzone; jedna tylko Florcia ma ten sam stereotypowy uśmiech na twarzy, muskając sobie włosy nad czołem, gdy Czupurkowa z panią Joanną szepczą coś do siebie, zapijając kawę. Jedna Owczyńska udaje dobry humor, chrupiąc sucharki i co kilka sekund zbliża się do przestraszonej Lorci aby jej coś z ubrania poprawić.

Patrzę — nos gospodyni spuszczonej niżej niż zwykle, wargi bardziej odęte, a chód niespokojny i oczy czerwone od płaczu. Na moje słodkie „dzień dobry pani,” ledwie że raczy odpowiedzieć, a gdy z najlepszym sercem zapytuję, czy nie jest słabą, stawia mi z impetem szklanicę kawy na stole, mówiąc:

— Niechno pan pije, a jak nie słodka, proszę sobie wziąć cukru...

Mówię państwu, zdumiałem się, zażenowałem, nie wiedząc co z sobą robić—zdawało mi się bowiem, że te wszystkie fochy są na mnie. Liczę się ze swoim sumieniem, czy przypadkiem nie zrobiłem coś złego, kawa nie chce mi iść do gardła, a cienkie placuszki czerstwe go chleba w środku posmarowane masłem, połykam ni by żarłoczne zwierzę. W pokoju cisza, tylko pan Konstanty nie traci miny, a szepcze coś żonie do ucha, a krę

ci się koło niej i zachodzi ze wszystkich stron, aby ją w szyję pocałować.

— Mówię ci, idź sobie precz! — burczy szanowna małżonka, odpychając go bez ceremonii.

— Teklusi, pamiętaj, że gniew piękności szkodzi...

— Chcesz żeby ztąd poszła? Proszę cię, nie do kuczaj! — ofuknie dość szorstko pani Tekla, nalewając na watę kilka kropel olejku kreozotowego, którego do kuczliwy zapach apteczny rozchodzi się po całym pokoju.

— Ha, kiedy nie łaska, to dąsaj że się, dąsaj— mówi, siadając przy stole, a ciszej jakby do siebie—mu siała źle wstać, nie tak jak potrzeba...

— Ja zaraz obudziwszy się rano — odzywa się ni ztąd ni zowąd, chrupiąc rzodkiewkę Owczyńska — po wiedziałam, będzie dziś nieszczęście. Imaginuj sobie Teklusi, śniło mi się, że chodziłam bez głowy... ale to formalnie czułam zimno w szyję uciętą... Chcę iść z pokoju, patrzę w lustro, ja nie mam głowy, a ona leży w łóżku i śmieje się do mnie... "Wracam się, imaginuj sobie, biorę moją głowę..."

— Eh, moja ciociu — rzecze na to pani Tekla, wkładając sobie watę do zęba—lepiej było nie brać.

— A serce ty moje, jakżebyś szła na kawę bez głowy... Imaginuj sobie, w senniku czytałam, że brak głowy znaczy nieszczęście, i do loteryi stoi jako dzie wiatka.

— Mnie się zdaje, że brak głowy dla cioci byłoby szczęście...

— Czy rzeczywiście przytrafiło się co takiego?— mówię, zwracając się do zadąsanego również sąsiada.

— At, głupstwo, babskie grymasy!—rzecze, wsta

jąc gwałtownie od stołu. — Bułki się nie udały, wiesz, bułki się nie udały! — powtarza wolno, nachyliwszy się nademną, udając wielce przerażoną minę.

— Tak, dla ciebie głupstwo—odzywa się ze łzami w oczach p. Tekla, zasłaniając usta ręką.—Niech się ca ły dom zawali, niech powiedzą, że twoja zona nie potrafi gości przyjąć, i że każe im jeść suchy chleb zamiast buł ki, to nic... Wy tylko o wielkich sprawach myślicie, o radach, zjazdach, sejmach, a że się zona napracuje jak ostatnia klucznica, i że jej przykro, jak niema co podać, to głupstwo...

— Każ Feliksowi, niech upiecze inne.

— Każ, każ—powtarza zirytowana—spróbuj, każ ty... Wam się zdaje, że bułki upiec, to jest toż samo co fajkę sobie nałożyć... albo się ogolić... Drożdży nie ma, mąka nie wygrzana...

— Posłać Józefa do miasta...

— Ja wiem, że posłać, ale czy to nie szkoda tyle mąki, masła, jaj? A temu wszystkiemu to tylko pan winien—mówi, zwracając się ku mnie.

— Ja?—zawołam zdziwiony.

— Tak, tak, pan dobrodziej—ciągnie dalej już ze spojrzaniem weselszem, wskazującym, że promyk słońca zaczyna się przedzierać przez chmury.—Lubicie być hoj nymi, każdemu zaraz reńskiego dawać, tak po pańsku...

O, o, bardzo to było potrzebnem...

Sumituję się, że ja nawet z kucharzem jednego słowa nie mówiłem, że o niczem nie wiem i pierwszy raz widziałem go dziś, jak niósł owe bułki koło mojego okna.

— A Ignacemu kto dał reńskiego?

— No, ja, ale przecież Ignacy bułek nie piecze...

— Ale zaprosił sobie wczoraj do karczmy wszyst kich, całą noc tam balowali, a kucharz spił się jak nie boskie stworzenie. Wiesz, Kostusiu — mówi dalej do

meża—Nastusię także wyciągnęli, i tę twoją siostrę eko-
nomowej, tę... tę Karolinę...

— Dlaczegoż moja? — przerywa, pokręcając węża
pan Konstanty.

— Nie bój się, ja wiem... Ta twoja porządna, co
ją tak wychwalasz, Karolka tam była; wino nawet mie-
li... Ja rano przychodzę do kuchni, wszystko śpi jak
zabite, a Feliks ani rozczynił na bułki, ani ognia nie
ma. Dopiero nagle łapes capes i masz, jakie są bułki!..
Proszę pana, niechno pan zobaczy—mówi, rzucając owe
mi bułkami po stole.

Zobaczyłem: prawda, bułki jak placki, po wy dyma-
ne, ze spaloną skórką.

— A w środku co? prawda, jakieś pieczary jak
w Wieliczce... Naturalnie, nie miały czasu wyrósć...

I gospodaruj że tu z takimi ludźmi!...

— Wiesz serce moje—wtrąca na to, zbliżając się
do stołu Owczyńska—pokrajać je w cieniutkie plasterki,
posypać cukrem i cynamonem i wsadzić do pieca, a będą
wyborne sucharki... Jak ciebie kocham, u naszej ma-
tki tak zawsze robili, jak się co nie udało. Widzisz, my
po wojskowemu ciągle na kwaterach, gdzie nie było pie-
ców porządnych, a oficerowie to potem chrupali te su-
charki przy herbacie i chwalili, jak Lor cię kocham,
chrupali...

— Niech też ciocia da sobie pokój ze swojemi ra-
dami! Dzięki Bogu i my tu w Sobkowie mamy swój
rozum, choć oficerów nie przyjmujemy... Otóż widzi

pan, jak tu się nie martwić i nie gniewać... A Kostuś
powiada, co tam...

I oglądając te nieszczęśliwe bułki, pani Tekla za-
czyna się na nowo rozdrażniać coraz bardziej, to rzuca
niemi, to jeszcze raz ogląda, próbuje, spluwa — gdy na-
wija się Nastusia z chustką narzuconą na głowę.

— Ot i ten latawiec włóczy się już po karczmach
z mężczyznami: poczekaj, dam ja ci te bale...

— Ja, proszę pani, tylko wleciałam do arendarki,
czy nie będzie miała kaczek na jutro... bo pani powie-
działa, z kąd tu kaczek dostać?...

— Czego kłamiesz!... A jak to chodzi zasmolone,
oberwane—ciągnie dalej pani Tekla, szarpiąc i pokazu-
jąc jej ubranie. — Zrzuć mi zaraz tę chustkę z głowy..
Widzę, uczesać się nie było czasu... Kostusiu, trzeba
porozpędzać tę zgrają oberwusów... I tego Icka z kar-
czmy wyrzucić... Nastka, Nastka!—woła za odchodzą-
cą dziewczyną—weź mi te bułki i zanieś Feliksowi; po-
wiedz niech sobie zje sam...

— Dobrze, proszę pani...

— Rozumiesz, powiedz, że dla psów lepsze się
robi...

— Rozumiem.

Gderanie to zadąsanej jejmości przerywa gwałto

wny krzyk w sąsiednim pokoju kredensowym.
— Michaś, o Matko Bożka, Michasiowi coś się stało!—zawoła przelękniona matka, wybiegając z prze strachem ku dziecku.
Ciocia Owczyńska, która wszędzie być musiała, ja znowu z grzeczności, a panna Florentyna, już nie wiem dlaczego, pośpieszyliśmy za nią.
Najmłodszy Benjaminek rodziny, pulchniutki Mi

chaś, trzymając w jednej ręce ponsowe taśmy upręży w które niby konia ubrał czternastoletnią piastunkę Maryską, ćwicz ją zajadle bacikiem po nogach i krzyczy na całe gardło, dlaczego nie chce ruszać z miejsca.
— Coś ty mu zrobiła złośnico? —pyta przerażona matka, chwytając z impetem za ramię szlochającą dziewczynę.
— Nic mu nie zrobiłam—bąka wśród płaczu owa Maryśka, chowając instynktowo głowinę swoją między ramiona. — Michaś każe mi latać, a ja nie mogę, i bi je mię.
— A czego ona nie chce być koniem!—odzywa się zuchwale z opuszczonym nosem sześcioletni pan Michał, nie przestając podcinać batem dziewczyny...—Ano, wio, wio... a na!...
— Biegaj mi zaraz, kiedy on chce; patrzaj, jaka delikatna... A od czegoż ty tu jesteś?... Ruszże się, ty grymaśnico!
Dziewczyna, która rzeczywiście kuleje na jedną nogę, zaczyna chodzić po pokoju wolnym krokiem, a chłopak, trąbiąc przeraźliwie w mosiężną trąbkę, trza ska z bata i nagli, aby biegła prędzej, naśladując ga lopa...
— Widzi pan—mówi pani Tekla zwracając się ku mnie—jak tu się nie irtować! Wzięłam to z litości do dworu, bo to ani ojca ani matki nie ma, a jak się odży wiła trochę, zaczyna pokazywać swoje fanaberye... Maryśka! mówię ci raz, bądź mi cicho, słyszysz...
— Zdaje mi się—przerywam oburzony tem wszystkim—że Michaś nie powinien ją bić tak mocno. Niech pani spojrzy, że on na seryo smaga biczkiem... a przy tem dziewczę jest kaleką...

— At, naprawdę, że panu się zdaje — odpowiada mi z przekąsem pani Tekla. Co jej tam może zrobić taki dzieciak... Pan nie znasz, co to są za ludzie, to taki chłopski upór, nic więcej... Umyślnie udaje przy ob

cych, że ją boli.

— Jednak daruje pani—ciągnę dalej z całą ogle dnością,—Michaś nie powinien znęcać się nad biedną sierotą, bo to wyrabia złośliwość charakteru... Micha siu! — mówię, wyrrywając mu bacik z ręki — wstydz się, jak można bić Maryskę, kiedy ją to boli i kiedy płacze... Miłoby ci było, żeby kto ciebie okładał?

— Ba, jeszcze czego! — bąknęła już cała w ogniu pani Konstantowa.—Dosyć tego bawienia. A ty brzydka złośnico idź precz do kuchni... Florciu, pójdźmy—mówi, biorąc ją pod rękę—bo pan Kołasiński i nam jeszcze gotów jaką reprimendę powiedzieć.

Florcia z tym samym miłutkim uśmiechem na twarzy, zawróciła do jadalnego pokoju, nie zapomniana wszy z gracyą zawinąć fałdów powłóczystej swej sukni, a ja zły i zawstydzony wybiegłem do sieni z zamiarem pakowania manatków i wyjechania natychmiast do Krakowa. Przy wejściu do mojego pokoju spotyka mię Ko stuś, ubrany w żółty, poplamiony kozuszek.

— A gdzie to tak pilno?

— Chcę jechać do Krakowa—mówię zaczerwieniony jak burak.

— Co znowu, dostałeś list jaki?

— Nie, ale uważam, że jestem dla pani domu nie miłym gościem.

— Et, głupstwo — rzecze, biorąc mię pod rękę — pewnieście się poprzytkali o co, he?... Nie uważaj na to... Gust kobiet, pogody jesienne, tego, ale... są rzeczy

zmiennie czy nie wiesz?... Moja Tekla jest niesłuchanej dobroci kobieta, ale ma swoje, uważasz... jak ją tam co podleci, to narobi gwałtu, a za minutkę już co innego... Słyszałem, poszło wam o Michasia, co? O, bo jak idzie dzieci, to ona, panie dobrodzieju, jest lwica... Takiej matki drngiej ze świecą nie znajdziesz... dałaby się porąbać w kawałki. Gadajże, o co wam poszło?

— O nic, tylko zrobiłem uwagę, że Michaś nie powinien z piastunką swoją obchodzić się bez serca. Proszę cię, wobec matki ćwicz tę biedną kalekę...

— No, bo to i wy z miasta jesteście teraz wielcy filantropowie... Nic, tylko wam w głowie lud i lud, szkoły, oświata... dobrobyt... ochrona od żydów, od szlachty... a ja ci powiem, panie dobrodzieju, że nie macie zacząć rozbijać sobie głowy. Chłop zawsze leniwy, głupi, uparty... Ja, panie dobrodzieju, wcale inaczej*, skrzywdzić nie skrzywdzę, dam co się należy, ale czułości żadnych. Dlatego zobacz, jak u mnie gospodarstwo idzie—posłuch jest, bo ja się nie pytam, czy wolno czy nie wolno, i jak wypadnie, kropnę... Nie bój się, chłop nasz doskonale czuje, czy zasłużył lub nie zasłużył, i się dzi cicho, sza... Mój drogi, wy siedząc zdaleka przy biurku, Bóg wie co sobie myślicie o tym ludzie, ale w praktyce, przyjdź tu na wieś i pogospodaruj trochę,

to zobaczysz, że my tu chłopów nie pożeramy... Dajże pokój z tą jazdą... Teklusia ma swoje szusy, ale w gruncie rzeczy, to anioł kobieta... ja, panie dobrodzieju, jak widzę że chmura nadchodzi, czapkę na uszy i z domu... Ot, pójdz ze mną, pokażę ci gospodarstwo, może ci się na co przyda, a wieczór, jak wrócą Dębowski z Czupurkiem, zrobimy sobie partyjkę preferansa... pewnie ktoś i z sąsiedztwa przyjdzie...

Wyszliśmy tedy na dziedziniec, zmierzając ku oborom, gdy na ścieżce ku piekarni, patrząc, stoi pani Tekla, a przy niej owa Maryśka w nowej jedwabnej chusteczce na szyi. Dziewczyna ociera oczy fartuszkami i całuje panią w rękę, a ona głaszczy ją po głowie, i coś mówi, widocznie wyprawiając napowrót do pokojów.

— Panie Konradzie!—woła za mną.

Zawróciłem się niechętnie w jej stronę, a widząc, że przez błoto zmierza wprost ku mnie, pobiegłem na spotkanie.

— Spodziewam się, że pan nie gniewasz się na mnie?

— Nie mam prawa gniewania się, albo nie gniewania, jestem jej gościem.

— Widzisz pan, już się przeprosiłam z Maryską.

— A co, nie powiedziałem, he? — przerywa z tryumfującą miną Konstancy — to złote serce u mojej Tekluni.

— Rzeczywiście, byłam zirytowaną o te bułki, i niesprawiedliwie postąpiłam z Maryską... Możesz pan tryumfować... Przeprosiłam ją—dodaje ciszej—a panes myślał pewnie, co to za herod baba, ta Dra chowska...

— Ale nie... gdzież jabym... — tłómaczę się nieco tą sceną zażenowany...

— Chciał jechać... — dorzuca Kostuś — ale nie dałem.

— Tak?—mówi markotnie, jakby zawstydzona pani—przykro mi bardzo... przepraszam.

Nie wypadało jak tylko pocałować w rękę szanowną gospodynię, i wyprzeć się wszelkiej myśli wyjazdu.

— A więc zgoda między nami...

— Najkompletniej zgoda...

— Proszę więc do salonu, bo panie same siedzą i nudzą się i czegoś podobno wstydzą... Ale ja was

wszystkich pogodzę...

Jednakże pan Konstanty już mię nie popuścił,
wlokąc za sobą dla obejrzenia owego gospodarstwa.

— Niech się tam trochę ponudzą—dodaje, biorąc
mię pod rękę... Każ tylko, Tekluniu, przygotować ja
ką przekąskę przed obiadem, a my tam wrócimy niedłu
go... Uważasz, coś gorącego...

Zeby mię tak naprawdę bardzo obchodziło go
spodarstwo wiejskie, tego nie powiem, jednak chciałem
zrobić przyjemność Kostusiowi, i poszedłem z nim brnąć
po błocie w nowiuteńskich lakierkach. Jemu dobrze by
ło w grubych myśliwskich butach, nie pytał więc nic,
a prowadził mię po różnych nawozach, kałużach, roz
powiadając o urządzeniu na swój sposób gnojowników...

— Krzyczą na mnie sąsiedzi: głupstwa robi, bu
duje jakieś pompy, zwozi torfy, kupuje witryole, a ja,
panie dobrodzieju, dwa tysiące fur wywozłem i to ja
kich fur...

— Prawda, doskonały nawóz...

— Co to doskonały... wyborny! To nie nawóz, to
masło, jak Boga kocham, czyste masło! Zobacz—mówi
podnosząc z ziemi bryłę takiego kompostu, którą roz
miażdżywszy w palcach, podsuwa mi przed oczy.

— Tak, rzeczywiście...

— Ale proszę cię, weźno w rękę i spróbuj, jak to
jest nawskróś zmacerowane!

Chcąc nie chcąc musiałem brać kompost, spra
wdzać jego znakomite zalety.

— Nawóz, kochany panie, jest grunt dla gospo
darza; bez nawozu, mówię ci, pole jak ciało bez duszy...

— Są podobno i sztuczne nawozy mineralne—od
zywam się, aby coś powiedzieć.

— A niech ich tam wszystkie licha wezmą!—krzy
knie Kostuś, zapalając się bardzo...—To oszustwo, pa
nie dobrodzieju, to błaga, to rozbój na publicznej
drodze!

I zaczyna mi rozpowiadać ze wszystkimi szcze
gółami, jak on przed kilkoma laty przeczytał jakąś
książkę o sztucznych nawozach, jak sobie sprowadzał
różne sole erfurckie, fosfaty, dybłaty, saletry, jak to
wszystko lepiej od aptekarza spreparował, rozsiał na
dwu morgach, a w rezultacie pokazało się, że pszenica
urosla daleko gorsza od tej, która była na gruncie bez
nawozu.

— Mówię ci, sto pięćdziesiąt reńskich, ten szelma
Vidal, czy Virej, bo go już nie pamiętam, wyrwał mi
z kieszeni. Od tego czasu powiedziałem sobie: haus!
kochany Kostusiu, basta! Żadnych książek gospodar
skich, żadnych nauk postępowych... Błagier... każe mi
sypać szczyptami pod każdy ziemniak, niby tabakę,
i powiada, że będziesz miał ośmnaście ziarn... A ty,
rzejmieszku jakiś — krzyczy mój gospodarz, machając

groźnie laską w powietrzu, ty, oszuście wierutny... dał
jabym ci powąchać tej tabaki, niechby ci rozum
urósł...

Widocznie miał nieprzeblaganą anse do owego
autora o nawozach sztucznych, bo aż mu twarz posinia
ła z gniewu, aż podskakiwał w błocie, trzymając mię
za rękę z taką zapalczywością, iż obawiałem się, czy za
A. Wilczyński. Tom XI.

pomniawszy się na dobre, nie wymłóci mię zamiast
owego Vidala...

Jakoś szczęśliwie dostaliśmy się do obory: dwoma
rzędami ustawione krowy przy ścianach, w niezbyt przy
zwoitej względem nas pozycyi, chrupały słomę pomie
szaną z sianem, którą z pewnym szelestem wyciągały
z za drabin... Pan Konstanty, niby dowodzcą jaki na
wielkim przegładzie, postępował wśród nawozu, opisu
jąc mi przymioty każdej z krów, któreśmy mijali...

— No, zobacz, jaki ma krzyż, he? A to dopiero
trzylatka. Niechno ona się rozbucha po drugim albo
trzeciem cielęciu, co to będzie za krowa?... Albo ta wi
śniowa, spojrzij jakie wymię... A wszystkie, jak tu wi
dzisz, mojego własnego chowu... Co, nie wierzysz? da
ję ci słowo honoru, mojego chowu, jak Boga Kocham...
Nie miałem powodu wątpić o prawdzie słów pana
Konstantego, ale że wyziewy zaczęły mię drapać po
gardle, musiałem tedy chrząkać od czasu do czasu, za
tykając sobie usta. Otóż chrząkanie to wziął on za nie
dowierzenie i sprowadził pasterza Józefa, powołując się
na jego świadectwo, że wszystkie krowy stojące w tej
oborze, są jego własnego chowu.

Obszedłszy sumiennie pięćdziesiąt dwie sztuki
owej rogacizny, myślałem, że tej ofiary będzie dość
z mojej strony; ale niezmordowany gospodarz zapropo
nował obejrzenie jałownika... Tu wymowa jego znala
zła jeszcze obszerniejsze pole do przekonywania mię, że
tylko rasa krajowa dobrze żywiona, może być do chowu
naj przydatni ej sza.

— Proszę cię, zobacz to cielę?

— Bardzo ładne...

— Głupstwo, co tam ładne, to fenomen... Zga
dnij, ile ono ma?

Namyślam się, oglądam z udaniem zajęciem pstro
katego feniksa krowiego rodu, ale nie mając najmniej*
szego wyobrażenia o wieku bydła, mówię na chybił

trafił:

— Trzy tygodnie!

— Paradny jesteś!—krzyknie mi nad uchem, ude rzając ręką po ramieniu.—Jakto? taka jałoweczka, której się już rogi wydobywają, może mieć trzy tygodnie?

— No, to może pięć miesięcy...

— A widzisz — szepcze mi tajemniczo do ucha — jeszcze dwóch nie ma...

— Szczególna rzecz...

— Mało szczególna! powiedziałbyś cudowna, gdy byś wiedział co waży... Proszę cię, tylko ją podnieś... No, nie bój się, weź wpół i próbuj — dogaduje, pokazując mi, jak się brać do owego cielęcia...

A widząc, że ja niewielką mam ochotę do tej operacji, nalega:

— Mój drogi, spróbuj... co ci to szkodzi, zrób to dla mnie...

Ha! wiele rzeczy robi się w życiu dla przyjaźni, a skoro on tak prosi, więc jakkolwiek bardzo mi żal nowego tużurka, który mam na sobie, podszam się jakoś pod owe cielę, i unoszę z wielką forsą do góry. Widać, że manipulacja ta nie bardzo podobała się jałowce, bo naraz jak się nie wypręży, jak nie wierzgnie nogami, a ja nie mogąc utrzymać równowagi, przewracam się wznak, a cielę na mnie... A niechże cię kaduk porwie i z wagą — pomyślałem, gramoląc się z pod jałowki, całutenki od stóp do głów obryzgany, cielę bo

wiem energiczniejsze odemnie, nie oszczędzało kopytka mi mojego ubrania...

Pan Konstanty, zamiast mię ratować, jeszcze się śmiał, dogadując:

— A co, jaka bestya mocna... i to nie ma jeszcze dwóch miesięcy...

— Teraz przejdźmy do stajni...

— Dziękuję unieżenie—mówię, oczyszczając się ze słomy—już mam dosyć tego gospodarstwa...

— Eh! co tam — śmieje się Kostuś, biorąc mię bez ceremonii pod rękę—musisz zobaczyć konie... Za ręczę ci, nie będziesz żałował... Cożeś ty za mężczyzna, żebyś koni nie lubił?... Ja się nie chwale, jednak zapytaj się na sześć mil wokoło, czy jest gdzie lepsza stajnia?... Ten Siódmacki z Barączy, chwali się że ma arabskiego konia. Ale gdzie jemu do mojego karego... Daję ci słowo, Konradku, ten jego niby arabczyk wygląda jak wieprz przy moim... Chodź a zobaczysz... Nieboszczyk książę z Siedliszcza przysłał do mnie nie raz, nie dwa, różnych a różnych, i gwałtem: sprzedaj mi tego ogierka...

— Czemuż nie sprzedałeś—mówię—pewnieby do brze zapłacił...

— Czy ty drwisz, czy o drogę pytasz, co?—rzecze oburzony Kostuś, puszczając moją rękę. — Co, ja, ja

Drachowski Konstanty z Sobkowa, ja, miałbym sprzedać karego?

— Dlaczegożby nie?

— Eh! mój Konradku, jesteś chyba partacz, a nie amator koni, kiedy możesz tak gadać... Prędejbym sobie dał oko wyjąc, ząb wyrwać, niżbym sprzedał ka

rego... Marcin!—woła, uchylając drzwi stajni—wyprowadź karego!

Słyszę, robi się jakiś szmer wewnątrz, i za chwilę pokazuje się ów kary, zwyczajny sobie koń jak inne. Marcin, wyuczony widać do tego rodzaju prezentacji, trzyma uzdzenie krótko przy pysku, i ustawia mu przednie nogi, i wykręca nim na wszystkie strony, kiedy ja, pamiętając o aferze z cielećkami, rejteruję się jak można najdalej...

— No, chodź bliżej; nie bój się; to jak dziecko...

— Mój drogi, cielećka było jeszcze mniej jak dziecko...

— Jakże ci się podoba?

— Śliczny koń, tylko powiedz mi, dlaczego on ma grzbiet taki wygięty?

— Gdzie?

— No, na środku, jakby miał wklęsnięcie od siodła?

— To ze starości, proszę wielmożnego pana — wtrąca nieproszony Marcin.

— Głupi jesteś! — ofuknie zły już pan Konstanty—jaki on stary?

— Ha, będzie miał już, da Bóg doczekać, na Zielone Świątki albo czternaście, albo piętnaście... rychtyk, tyle co moja Kaśka. Pamiętam, jakoś to moja urodziła się w piątek, bo jeszcze byłem na jarmarku w mieście...

— No, no, nie rozgaduj się — przerywa mu Kostus—i wprowadź konia do stajni. A czemu to nie za plotkę grzywy, ty stary?... Ostrożnie przez próg... jeszcze mu nogi popsujesz...

— Eh! proszę jaśnie pana, onta i tak już podu

padł na te nogi. W niedzielę, jakem go założył z siwym do kościoła, to, het, potykał się na równej drodze...

— Pokażę ci moją stadninę—mówi na to, udając, że nie słyszy gadania Marcina i prowadzi mię dość żywo ku drugiej stajni. Ale szczęściem, że nadbiega Nastusia z doniesieniem, iż śniadanie gotowe...

— To drugim razem pokażę ci młodzież... Pa, pa, pa, co to za młodzież... Jedne klaczkę mam taką, że w Tarnowie na jarmarku, jak się zapalił do niej rot mistrz od ułanów, to byłby dał trzysta reńskich. Daję ci słowo, cały dzień chodził za mną jak cień, i męczył i molestował... sprzedaj radco, sprzedaj...
Weszliśmy na dziedziniec dworski: ja byłem kontent, że ta gospodarska prezentacja się kończy, gdy za stepuje nam drogę sama pani.
— Obejrzałeś pan gospodarstwo Kostusia — odezwała się pani domu—proszę, obejrzyj i moje...
— Daj no mu pokój, kto tam ciekawy waszej babskiej papraniny...
— Kostusiu, nie bądź dziecinny — mówi trochę urażona pani — i nie chwal się bardzo ze swoją oborą...
Proszę pana, jemu się zdaje że to on wszystko tak pro wadzi, a ja panu mówię, niechbym sześć razy na dzień nie zajrzała wszędzie i nie dopilnowała, aby jeść dali w swoim czasie, napoili, oporzadzili, to te jego krowy, którymi się tak chwali, dawnoby śpiewały Tadeusza...
— Pleciesz, Tekluniu—rzecze, machając ręką pan Konstanty.
— Dobrze: zapytajmy pasterza, zapytajmy ekonoma, niech powiedzą, ile ty razy jesteś na tydzień w oborze albo w stajni... Czego to się chwalić i wiel

kiego gospodarza udawać, a co zona robi, to papranina..
W mowie to wy wszystko umiecie...

Widocznie, że szanowny Kostuś musiał w tym rodzaju mieć coś na sumieniu, bo zakręcił się jakoś, a zrobiwszy dziwny ruch ramionami, powiada:

— Niechże i tak będzie jak mówisz... No, idźcie sobie gdzie chcecie, a ja wracam do domu, bo widzę oto, że czeka przed gankiem Icek z rachunkami, i jakiś posłaniec z powiatu... pewnie znów delegacja... Jak Bogę kocham, już człowiek głowę traci z temi koinisiami. Skaranie Boże czy co?... Mają w wydziale tylu innych, a wszystko do mnie... Czy ja się rozerwę?!

— Mój Kostusiu—rzecze pani Tekla, klepiąc go na pożegnanie po ramieniu — tylko mi też do konfitur nie zaglądać!

— Ale moje życie...

— Ooo, ja cię znam... Wie pan, taki jest lako my na wszelkie słodyczne, że łyżkami by jadł, a potem jak trzeba dla gości, to niema... Widzisz, żałujesz dać na cukier...

Z grzeczności, z tej ślamazarnej grzeczności naszej, zmuszony byłem odbyć kompletną inspekcję kobiecego gospodarstwa w Sobkowie. Prowadząc mię po różnych wertepach i zaułkach, pani Tekla z wszelką skrupulatnością pokazała kurniki dolne i górne, kojce, gdzie siedzą na jajach gęsi, indyki i kaczki, wykładając przytem cały systematyczny kurs hodowli ptactwa domowe

go, na własnym doświadczeniu oparty.

Żałuję mocno, że przy tej prelekcji myślałem
więcej o przemoczonych nogach i zniszczonych na nic
lakierach, niż o przedmiocie wykładu, albowiem dzi

siaj mógłbym pisywać bardzo zajmujące artykuły o tem
do pism rolniczych.

Po odbyciu inspekcji działu skrzydlatych, przy
syła kolej na nierogaciznę. Stojąc na progu chlewka,
zobaczyłem młodą kwiczącą generację zarytą w słomę,
która wytykając z niej różowe ryjki, przypatrywała mi
się z niezwykłą prosięcą ciekawością, gdy rozciągnięta
pod ścianą matka, tylko chrząkała poważnie, wietrząc
niespokojnie obcego przybysza. I tu kazano mi brać do
ręki ową milutką młodzież dla przekonania się o wa
dze, lecz pamiętając niedawną aferę z cieleciem, mimo
zachęcań pani Tekli—odmówiłem.

Następnie podnosiliśmy klapę od jadalnych apar
tamentów, karmiących się osobników tego samego ga
tunku.

— Poczekaj pan, każę ich wypuścić na podwór
ko—mówi do mnie rozochocona zajęciem mojem go
spodyni—Nastusiu!—woła na przechodzącą — pójdzno
tu otworzyć...

Tłómaczę, przekładam pani, że ja je bardzo do
brze widziałem, że jest błoto, że później trudno je bę
dzie napowrót zapędzić — nic nie pomaga. Nastusia już
pospuszczała wrzeciędzie.

Niby lamparty w dawnych cyrkach rzymskich, wy
padły z impetem dwa zaokrąglone karmniki, a dmucha
jąc nosami i brykając niezgrabnie, wyprawiały pocie
szone charce. Spojrzę na panią Teklę, jej tylko oczy
świecą się z radości, któremi wodzi za niemi powta
rzając:

— Jeszcze ziarnka zboża nie widziały, słowo pa
nu dają, plewy i kartofle jedzą...

Miły ten i arcyzajmujący widok zepsuły wkrótce

trzy podwórzowe kundysy, którym się zachciało popisać
z talentem wyprowadzania za uszy szkodników. Sztuki
tej na chłopskich egzemplarzach, zakradających się do
ogrodów, z małego już wyuczył ich stary ogrodnik—
zobaczywszy więc brykające swobodnie karmniki, puści
ły się jak strzała z pod stajni, a dopadłszy niespodzia
nie przeciwników za uszy, narobiły takiego gwałtu, krzy

ku, pisku i ujadania, że mi się zdawało, iż mam przed sobą odtworzony w rzeczywistości jeden z obrazów Wo uwermana, przedstawiający polowanie na dzika. Pani Tekla krzyczy w niebogłosy; macha chustką — ale to nic nie pomaga, gdy przeciwnie kundysom przybywają z różnych stron nowe szczekające posiłki, ba, nawet faworyt pański, ów wyżeł sypiający na kana pie, bierze czynny udział w rozprawie. Dziedzińczyk ogrodzony jest dokoła żerdzianym płotem, brama zamknięta; więc napadnięte odyńce, tłukąc się z desperacją po całej arenie, nie mogą za krwawionych uszów uwolnić od tych psich ataków. W życiu mojem nie widziałem większego przerażenia, jakie podówczas malowało się na twarzy pani Tekli. Zapomniawszy o wszystkim, a nawet o długim ogonie sukni, którego już nie podtrzymuje—nie uważając na błoto, rzuca się z zapamiętałością między walczących... Ale psy zażarły się już tak bardzo, że nawet głos pani nie odnosi żadnego skutku. — Ratusz pan!—krzyknie, przybiegając do mnie— one je zagryzą! No, biegnij pan... prędko... — A pójdziesz! — wołam — a pójdziesz! —jednak nie ruszam się z miejsca. Dziękuję uniżenie, nie głupim leżę tam między walczących... Wtem karmniki owe, dobywszy ostatnich sił z ką

ta, gdzie ich zatarasowano, puszczają się cwałem wprost na nas... Nie chcę się przed czytelnikiem chwalić odwagą, ale zobaczywszy, że cała ta z piekielnym hałasem tocząca się fala już blisko — począłem uciekać, nie zważając na błoto, i nie wstydząc się zostawić bez opieki damy, która zdemoralizowana moim odwrotem, równie szybko zaczęła się cofać z niebezpiecznej po zyciu.

Niezwykły hałas, jaki ta batalia wywołała na podwórzu dworskim, wywabił cały personel dam, sług a nawet i dzieci przed ganek. Można sobie przeto wyobrazić, co się tam działo między niemi, kiedy nas obryzanych błotem zobaczono zmykających ku sobie. Po rwany ogólnym szaleńcem śmiechu, jaki nas przywitał, śmiałem się i ja serdecznie, toż samo robiła i pani Tekla z tą różnicą, że była zła na seryo; ostatni bowiem galowy czepek do gości poszedł na nic, kluczyki gdzieś wyleciały jej z kieszeni, a nawet loczki w sekrecie przyprawione nad czołem, w temże samem miejscu grób swój znalazły.

— Kostusiu!—krzyknie wpadając na schody ganek—strzelaj do tych łajdaków...

Ale poczciwy Kostuś już na nogach utrzymać się nie może ze śmiechu, i tylko trzepie rękami i pieje jak kogut, a brzuszkiem tak mu się trzęsie, jak pytel w skrzyni młynarskiej.

— Strzelaj mi zaraz!—powtarza z pasyą, porywa

jąc za klapę kożuszka.

— Do.brze... strze...e...e...lam—bąka zapłaka
ny i znowu: ehi, ehi, ehi... bez końca.

Nie wiem, kochani czytelnicy, czy to wam wyda
się wszystko tak śmiesznem, jak było podówczas dla ca

lego dworu sobkowskiego. "Wiem tylko, że nawet te
raz, opisując tę scenę i przypomniawszy sobie, jak pę
dziliśmy ku gankowi, nie mogę pióra w ręce utrzymać
ze śmiechu.

Nie ma co obwijać w bawełnę: dzięki uprzejmości
pani Konstantowej, z jaką chciała mię wtajemniczyć
we wszystkie drobnostki swego gospodarstwa, przez trzy
dni następne nie mogłem się pokazać w salonie, żeby nie
wywołać na twarzach wszystkich śmiechu z trzymaniem
się za boki, z tupaniem nóżkami i innymi oznakami ta
kiej niepomiernej wesołości. Dziś jeszcze, po kilku la
tach, ile razy jestem w Krakowie, i idę odwiedzić panią
Czupurkową, to jak przypomnimy sobie ową przygodę,
śmiejemy się przez kilka minut, nim przyjdzie zmienić
przedmiot rozmowy.

Wpadłszy do mego pokoju, już nie wiem co się
tam z panią domu działo; słyszałem tylko, jak obok
kancelaryi pan Konstanty nabijał strzelbę, jak zapo
mniawszy w pośpiechu założyć kapiszon, wypadł na ga
nek, gdy tymczasem nadbiegła służba zdołała roz
broić walczących, i strzelanie już stało się niepotrze
bnem.

Ma się rozumieć, że całe ubranie moje poszło na
nic, że nie mogłem doprosić się wody do umycia, i gdy
by nie poczciwa Lorcja, która sama pobiegła do kuchni
po ogrodnika, byłbym tak siedział w pokoju do wieczo
ra. Stary Szymon ze szczególnie rozweseloną twarzą
wniósł mi znowu miednicę, i nie mógł wytrzymać, aby
się nie pochwalić, że jego pieski dobrze się spisały.

— He, he, ten Zagraj nie puści; widzi panicz, on
jak chwyci za ucho, choć go zabij, nie puści. A i Bu
rek taki sam... Co ja miał z niemi od małości, ni

mem tego ich wyuczył... A teraz żaden szkodnik ze wsi
ani się pokaże... dobre pieski, o dobre pieski...

Pani Tekla dnia tego była w szczególniejszym
złym humorze, a za co na mnie, tego doprawdy nie poj
muję... Śniadania już nie widziałem, ale zato przez
ścianę dolatywały mię nieustanne płacze turbowanych
dzieci i częste ich wyrzucania za drzwi. Nastusia do

samego wieczora chodziła z nabrzękłemi od płaczu oczyma, i Maryśce coś się dostało, a Owczyńska nie mogąc rad swoich nikomu udzielać, złowiła w sieni kucharza, wykładając mu sposób zatamowania krwi płynącej, za pomocą chleba zmieszanego z pajęczyną.

— Mówię asanowi, nałożyć tego na chustkę od nosa, i przywiązać im do ucha.

— Jakżeto nierogacznie przywiązywać? — odpowiada dość opryskliwie, śmiejąc się kucharz.—Co też to pani wygaduje?...

— Mój panie kucharzu, u nas w domu tak zawsze robili... A trzeba ci wiedzieć, że ojciec mój był pułko wnikiem od szaserów... więc o rany nie było trudno... W wojsku, panie kucharzu, nie żartują, czasem jest taka, imaginuj sobie, siekanina gorsza od zrazów... jak Lorcę kocham, na ordynans do ojca przychodził jeden żołnierz, który się nazywał Michalski, wiedziałam nawet z kąd on był rodem, ale zapomniałam; to miał głowę rozplataną i tak, i tak, i tak...

— Rany Boskie!—przerywa zastraszony kucharz, widząc jak pani Owczyńska pokazuje ręką na swojej twarzy owe płatania od ucha do ucha—i on mógł żyć?...

— Żył, proszę cię, bo to wszystko tak mu pięknie, ładnie pozszywali...

Z drugiej strony, znów słyszę w kancelaryi pana

Konstantego niezwykle głośną rozmowę z arendarzem Ickiem.

— Co ty mi tu będziesz protegował tego Sisma na!—krzyczy z impetem Kostuś.—Pójdzie do kryminału jak amen w pacierzu... Ja będę w tem, rozu miesz, ja!

— Niechno, jaśnie pan, chce wislucaó...

— Nie potrzebuję nic słuchać... mam tu czarno na białem. Co to jest, panie dobrodzieju, porwać się na obywatela? Straszne rzeczy, co to się u nas dzieje w Galicyi... Co wy to łapserdaki myślicie, że tu jest Palestyna czy co?

— Jaśnie panie, on jest brmistrz!

— Dam ja jemu burmistrza... Poczekajże! Za się mi od obywateli... zasię...

— Niech jaśnie pan się nie gniewa, bardzo pięknie ja proszę... On powiada, co teraz dziękować Bogu jest stytucye, co każdy jest równy.

— Idźże ty do milion... z waszą równością!

— Niech jaśnie pan pozwoli...

— Proszę cię, mój kochany Icku, daj ty sobie pokój ze swemi protekcyami! Urząd nie jest rzecz bagatelna. Wiesz, jak to powiadają: służba służbą, družba družbą. Pojutrze jadę do Leszczynowa na śledztwo i jaki tam zrobię porządek, to mię ten Sisman i cała Rada miejska popamięta... Hola, mości panowie, hola...

Zaciekawiła mię bardzo ta dysputa i podniosły ton urzędowej mowy Kostusia; ubieram się więc prędko i niby o niczem nie wiedząc, wchodzę do kancelaryi. Pa trzę, mój Kostuś, nie na żarty jest rozgniewany: oczy tylko mu błyszczą, twarz jak pons czerwona, a chodzi

i chodzi po pokoju, cmokając cybuch, choć ogień w fajce już zagaśł. Przy drzwiach w atłasowym chałacie stoi z kłopotliwą miną stary Icko, arendarz sobkowski, wzdając niespokojnie oczami za panem Konstantym i po prawia sobie aksamitną myckę na czole i poprawia pa sa, który mu się zanadto na dół opuszcza.

— Ot, dobrze, żeś przyszedł — mówi, zwracając się ku mnie — straszne rzeczy u nas się dzieją... Masz, czytaj i przekonaj się do czego to prowadzi wasz libera lizm dziennikarski... No, weź, czytaj, co mi tu przysłali z wydziału...

"Wziąłem arkusz papieru widocznie zirytowaną ręką zapisany, bo tu i owdzie były plamy atramentu, a mnóstwo zamaszystych ogonów od liter wysuwało się nad każdym wierszem.

— Proszę cię, czytaj głośno, bo ja nawet nie mo głem dojść końca, a ty protektorze słuchaj — dodaje zwracając się do arendarza... Korybuta wsadzić do aresztu... horrendum!

Kostuś zapanowawszy nad gniewem swoim, jak na wysokiego urzędnika przystało, usiadł głęboko w fo telu, nogi przed siebie wyciągnął, wąsy najeżył, oczami mrugał, gdy splecione palce rąk jego założone na brzu szku, szybkim kołowym ruchem naśladowały ruch wiatraka.

— „Wysoki Wydziale powiatowy! — zaczynam czytać z owego arkusza, ale trudno mi idzie z powodu tych esów i floresów, zachodzących na drugie wiersze, głównie zaś z powodu szczególniejszej ortografii, wido cznie miejscowego zakroju.

— „Ponieważ instytucja administracyjna krajo wa dla dobra ogółu postanowiona jest, która atoli

w mieście Leszczynowie górnym przestrzegana nie by wa, jest w pokorze podpisany przymuszony podać nastę pujące faktum do wiadomości wydziału powiatowego, zanim publiczne głosy podniesie. Jestem obywatelem dóbr, i pochodzę z rodziny Sążnickich, matka moja zaś z Kory butów się rodzi...

— No, słyszałeś Icek—przerywa Kostuś, mruga

jąc oczami—zapamiętaj to sobie.

— Z przeproszeniem jasnie panów—mówi z przy miłającym się uśmiechem Icko — jakto mogą być buty z kory? ja jeszcze o takich butach nie słyszał...

— No, widzisz? — odzywa się do mnie pan Kon stanty, wzruszając ramionami.—Gadaj tu z nim, kiedy on nie ma pojęcia o Korybutach, a wy ich po gazetach nazywacie Polakami mojżeszowego wyznania... Tfu, tacy mi Polacy!

— Korybut—tłómaczę z powagą Ickowi—to nie był żaden but z kory, lub coś podobnego, ale przydo mek rodziny Wiśniowieckich, z których jeden był kró lem polskim.

— A, a, a, bardzo przepraszam jasnych pa nów, co ja głupi żyd mógł wiedzieć, co on taki był kró lem... Bardzo przepraszam, u panów jest takie różne przezwiska, ale żeby sam król...

— „Nigdy ani indygowany—czytam znowu—ani poszlakowany nie byłem. Nadto kocham bardzo moją ziemię rodzinną i wskutek tego zajmuję się produkcją widel do nakładania gnoju, z drzew bukowych obficie w moim lesie się znajdujących, które za granicę wysy łam, przez co daję sposobność ziomkom naszej ojczyzny uczciwie zarobkować... Przed pięciu atoli dniami, kie dy jak zwykle towary na kolej do Leszczynowa górnego

przywiozłem, zostałem przez pisarza gminnego Gotlieba Millera w Leszczy no wie, o godzinie jedenastej minut sześć w nocy sromotnie napadnięty i pobity. Następnie kazał mię pisarz gminny Gotlieb Miller na drugi dzień przez policyanta gminy aresztować, a bijąc mię, i na odwołanie się, że jestem obywatelem — całe obywatel stwo polskie wraz z porozumieniem się z burmistrzem w Leszczynowie, z żydem Jojną Sismanem, kazał pod policyjną strażą do sądu odprowadzić i do aresztu zam knąć...

— Jak, jak? całe obywatelstwo i z żydem ra zem?—zawoła Kostuś, zrywając się z fotelu i zagląda jąc do owej prośby.

— Ja nie wiem, ale tak stoi—mówię, przebiegając oczami ten ustęp.

— Ależ ten rozbójnik, jak go tam zwał: Seidel czy Miller, chyba z wary o wał!... No i czegoż ty chcesz Icku; słyszałeś, on i twego protegowanego Jojnę zapa kował do kozy!

Arendarz, jakby uszom swoim nie wierzył, poki wał tylko głową ze zdziwienia, a ja czytam dalej:

— „G. k. sąd w Leszczynowie uznał mię atoli nie winnym, i z aresztu uwolnił. Z przyczyny więc zhań bionego imienia obywatelskiego, tudzież z przyczyny zhańbienia obywatelstwa całego, a to publicznie w kan celaryi gminnej Leszczynowa górnego, gdzie żyd bur mistrz z Gotliebem Millerem urzędują, domaga się

w pokorze podpisany od łaski wysokiego wydziału powiatowego dochodzenia tej sprawy i ukarania winnych ogólnie, a szczególnie atoli, żeby ta szanowna spółka żyd burmistrz i Gotlieb Miller, rozpędzoną była... Jan Kanty Sąznicki, obywatel Trzaskowca m. p".

Gdy odczytałem to szczególne zażalenie pana Sąznickiego, odezwał się pan Konstanty po chwili milczenia:

— A zatem, panie Icku, wiesz wszystko i odczep się ze swoją protekcją odemnie... Sąznicki... co to za Sąznicki, dalibóg nie znam... tylko mi jakoś nie pasuje ten Korybut ze Sąznickimi... Bądź co bądź obywatel, a prezes sam do mnie pisze: jasnie wielmożny delegacie, na miłość Boską jedź do tego Leszczynowa i zrób porządek!... Nie ma się tu co namyślać, tylko Millera won, Sismana także... Ale uważasz, Konradku, jak to jest z tym burmistrzem? Czy on wsadził tego Sąznickiego, czy też ich obydwóch Miller zapakował?

— Naprawdę, to i ja nie rozumiem, ale w konkluzji stoi, żeby tę spółkę rozpędzić,...

— Ha, to rozpędzić! pal ich licho, czego mam żyć da żałować, dosyć oni nam już dojedli... Mój kochany, leży tam gdzieś za tobą ustawa gminna, weźno ją i od szukaj paragraf na takie rzeczy... Bogiem a prawdą, to ja się w niej tak dobrze połapać nie mogę: jedno po wiada do starosty to należy, kiedy przepisy naruszone, drugie znowu, że wydział powiatowy ma prawro... No, i orientujże się tu jak chcesz...

Zacząłem przerzucać papiery na biurku, które na podobieństwo siana w miłym nieładzie razem z gazetami, listami i notatkami gospodarskimi wały się po wszystkich przedziałkach; gdy naraz otwierają się drzwi od sieni, a w nich pokazuje się naprzód odarta ze skóry noga wołowa, a potem cała ćwierć mięsa, potem zgarbiony pod jej ciężarem ogrodnik Szymon, a wreszcie pani Tekla z obliczem Junony.

— Zobacz, Kostusiu—mówi, zbliżając się do biurka niby wiatr jaki—Icko takie mięso przywozi... Ale pan Konstanty, zostający jeszcze pod wrażeniem zhańbionego honoru antenatów królewskich pana Sąznickiego, nie raczył spojrzeć nawet na zylastą ćwierć mięsa, którą jejmość na Szymonie, jakby na jakimś kołku obracała, gdy główny winowajca pan Icko, aren

darz, bardzo zręcznym ruchem wsunął się za piec.

— Proszę cię, to same kości i żyły...

— Moje życie — odpowiada na to małżonek — ja teraz nie mam czasu na oglądanie, bo oto robimy ważną bardzo sprawę.

— Komedye...

— Bardzo przepraszam, to nie komedye, ale oby watelski nasz honor pohańbiony... rozumiesz, oby watelski!

— Mój drogi, dałbyś już raz pokój tym obywatelskim honorom, bo tu ważniejsza rzecz, z czego ja jutro obiad ugotuję... Z tym Ickiem nie do wytrzymania; myśli, że mięso daje z łaski... Zabije co najgorszego, jakieś chude, schorowane krowisko... No, przekonaj się sam, z czego tu będzie rosół, z czego pieczeń? Sa me gnaty... Łój cały obdarł, połówkę wyjął, i śmie przysyłać takie mięso do dworu. Jak dzieci Kocham, ten Icko przyprowadzi mię do rozpaczki... Ja mu odeślę to wszystko...

— Moje życie, rób jak chcesz, to rzecz twoja...

— Tak, najlepiej powiedzieć, rzecz twoja — po wtacza, irytując się coraz bardziej pani Tekla.—A twoja spraszać nieustannie gości, abyś się mógł przed nimi wygadać... Ja wiem, panu bardzo dobrze bawić się w delegacye jakieś, w serwituty, katastry, drogi, a ty

moja żono susz sobie głowę, co dać tym katastrofom i delegacyom na obiad... Nie wyśpij się, wysługuj się i jeszcze się żenuj... O, mój kochany, powiem ci otwarcie, że tego wszystkiego już zanadto...

— Nie grymasz, Tekluniu, nie grymasz! Mięso nie jest takie złe...

— No, kiedy niezłe, i kiedy to mają być moje grymasy—przerywa mu z ogniem pani Tekla—to weźże sobie to mięso, weź Icka, i gotujcie razem obiad i gospo darujcie, i rządźcie sami, ja się do niczego mieszać nie chcę... Masz klucze, masz wszystko — dodaje rzucając mu po kolei na biurko trzy pęki świecących kluczyków— a jutro rano jadę sobie do ciotki na cały tydzień, jak ciebie Kocham tak jadę, i niech się tu robi co chce...

Widząc, że historia ta zaczyna przybierać coraz drażliwszy obrót sprzeczki małżeńskiej, przy której obecność moja może być zbyt ciekawą, wysuwam się delikatnie do swego pokoju. Słucham, pan Konstanty podnosi głos pana domu, do dysputy wtrąca się nawet Icek, jako mediator, pani zaczyna płakać gorzkiemi łzami; więc, żeby nawet nie być tajemnym świadkiem awantury małżeńskiej, biorę za kapelusze i dalej na dziedziniec. Iść do salonu nie mam chęci, raz, że mię trochę żenuje ta ranna rejterada z placu boju, a powtóre, że z temi paniami jestem niby na bakier i nie mam chęci wysilać się na bawienie ich wtenczas, kiedy sam nie jestem w humorze...

Patrzę, za domem ciągnie się dość spory ogród,
a choć na ścieżkach trochę mokro, to puszczam się
w ogołocone z liści ulice, i dumam nad rozkoszami mał
żeńskiego pożycia, do którego kochana ciotka moja tak
mię natarczywie przynagła...

Zapusiłem się w drugą aleję na lewo, zszedłem
po kilku stopniach na niższą kondygnację, aż tu na ła
weczce wśród suchych liści siedzi jakaś kobieta i płacze.
Z razu wydawało mi się że to Owczyńska, bo taki sam
płaszczyk wyszywany sieczką ma na sobie, ale gdy usły
szawszy mój chód, zerwała się i zaczęła szybko biedź
naprzód, poznałem że to panna Laura. Zal mi się
zrobiło tej dziewczyny, i nie wiem dlaczego, ale ten
jej płacz nadzwyczaj mię poruszył, przyśpieszam więc
kroku, aby ją dogonić i o przyczynę tej samotnej prze
chadzki zapytać; lecz panna czując zapewne, że idę za
nią, oddala się jeszcze prędzej, pokazując wykrzywione
bardzo i wyszarżane trzewiczki...

— Panno Lauro, co pani tu robi? — mówię dope
dziwszy uciekającą...

— Głowa mię boli — odpowiada, nie patrząc się
na mnie, a jednocześnie obciera zaczerwienione od pła
czu oczy. — Mama pozwoliła mi trochę przejść się po
ogrodzie...

— Zdaje mi się że pani płakała?

— To tak z bólu—rzecze zakłopotana, zwróciwszy
ku mnie wybladłą swoją twarzyczkę w tej chwili, otulo
ną ciemnofiołkową wełnianą chusteczką.

— Ej, panno Lauro, to nie z bólu głowy... Sły
szałem głośnie łkania; pani masz jakieś zmartwienie...
Proszę mi darować że jestem trochę natrętny, ale ob
serwując panią przez kilka dni, zdawało mi się, że ja
kieś nieszczęście jej się przytrafiło...

— O, mylisz się pan — rzecze mi z pewną ironią,
przywołując wymuszony uśmiech na twarzy: ja jestem
bardzo szczęśliwa... Zkąd panu takie myśli mogły
przyjść do głowy... Cierpię na migrenę i nic więcej...

Przepraszam pana, ale muszę już wrócić, bo mama
będzie niespokojna, pan zapewne jeszcze pochodzi po
ogrodzie...

— Chcesz pani mnie się pozbyć, prawda?

— Bynajmniej, tylko siedzę tu już dość długo...

— A gdybym ja też nie został i wrócił z panią?

— Tego pan nie zrobi—rzecze, spoglądając boja

źliwie swemi niebieskimi oczyma.

— Dlaczego?

— Bo jakby mama zobaczyła mię idącą z panem—

— Coż?... gniewałaby się na mnie...

— Nie na pana...

— Więc na panią?

— Może... Pan zna mamę, że jest tak wymaga
jącą pod względem przyzwoitości... A zresztą jaką pan
może mieć przyjemność rozmowy ze mną: ja jestem so
bie biedna dziewczyna, ot tak...

— A, bardzo ładnie—mówię żywiej—powiedzia
łaś mi pani komplement, za który kto inny mógłby się
naprawdę obrazić. Jakto można tak siebie poniżyć!

— Ach! mój Boże — przerywa zawstydzona pa
nienka—ja już nie miałam intencji zrobienia panu przy
krości, sądziłam tylko...

— Proszę powiedzieć otwarcie, co pani sądziła?—
nalegam, widząc, że zatrzymała się wahajaco na tym
wyrazie.

— Ze pan, bywając w lepszych towarzystwach...

— Coraz lepiej!—zawołam z intencją wprowadze
nia jej w zakłopotanie.—A z jakiego tytułu siebie pani
zaliczasz do gorszych?

Biedna panienka nie wiedziała co z sobą zrobić,
tak ją moja argumentacja zmieszała. Widzę, kręci się,

oczy spuszcza ku ziemi, i kto wie, czyby nie uciekła,
gdybym stanąwszy na samym środku ważkiej ścieżki, nie
zagroził jej powrotu...

— Eh, proszę, niech mię pan uwolni od tej odpo
wiedzi. Pan dobrze wie, co ja chciałam powiedzieć.

— Przepraszam panią, nic nie wiem, i dlatego
nie uwolnię. Jestem obrażony, zrobiłaś mi pani zarzut
bardzo niedelikatny...

— Jak mamę kocham—sumituje się skrzywiwszy
twarz jakby do płaczu — nie miałam takiego zamiaru,
niech mi pan daruje... Boże mój drogi, jaka ja jestem
nieuważna...

— Otóż nie daruję, dopóki mi pani całej prawdy
nie powie, dlaczego pani płakałaś, kiedy tu przysze
dłem. Panno Lauro — mówię już łagodniejszym to
nem — nie trzeba być tak skrytą dla swoich przyjaciół.
Jeżeli ośmieliłem się zapytać o przyczynę zmartwienia
pani, to proszę mi wierzyć, zrobiłem to z dobrego serca
i życzliwości, a nie przez prostą ciekawość.

Ton głosu, z jakim wypowiedziałem te słowa, wido
cznie ośmielił trochę panienkę, bo spoglądając już innym
wzrokiem na mnie, zdawała się namyślać, czy powie
dzieć lub nie powiedzieć. Co do mnie, to nie wiem dla
czego, ale zebrało mi się na jakąś szczególniejszą czu
łość w tej chwili, że nie zważając na dotychczasową,
bardzo obojętną znajomość naszą, zacząłem nalegać,
aby się wypowiedziała przedemną.

— I nie powie pani?

— Doprawdy nie wiem, co ja mam panu powie
dzieć... Płakałam, to prawda, ale ja tak często płacze,
że mama nawet gniewa się o to, i nazywa mnie płaksą...

Coż ja temu winna, że łzy w oczach moich są na zawo
łanie...

— Jednak przed chwilą, musiała pani mieć szcze
gólniejszą przyczynę.

— Eh!—rzecze, schylając głowę, a nóżką przyde
ptaj ac uporczywie suchy liść, leżący na ścieżce — wszy
stko się tak składa, że muszę płakać, bo jestem bardzo
a bardzo...

— Nieszczęśliwą—odpowiadam.

— Tak dalece może i nie — mówi, podnosząc na
mnie zażawione oczy—ale też nikt mi szczęścia nie po
zazdrości... Mama chce, żebym była inną niż jestem,
a ja się nie mogę przerobić... Proszę pana, na co mi to:
czy dla mnie świat, towarzystwo, ludzie i jakieś nadzie
je? Cóż dziwnego że jestem smutna, znużona i przy
gnębiona, że w sercu pusto i gorzkie myśli chodzą po
głowie. Boże mój, drogi Boże! — zawoła, z rozpaczą
załamując ręce — żebym ja mogła mieć trochę od
wagi, żebym ja mogła mniej kochać tę nieszczęśliwą
matkę!

— To cóżby pani zrobiła? — pytani zatrwożony
takim desperackim stanem panienki.

— Co? Rzuciłabym wszystko, i poszłabym w świat
gdzieś daleko, i przepadłabym na zawsze...

— Czy pani sądzisz, że i tam daleko tak samo
nie ma ludzi, że i tam nie trzeba czemś być, coś
robić?...

— A pan przypuszcza że ja chcę przed pracą
uciekać?—rzecze z uśmiechem żalostnej ironii. — W ta
kim razie mylisz się bardzo... Nie, panie, ja dziś jestem
gotowa zaprzędnąć się do najcięższej roboty, pójść do
służby za co bądź: za pokojówkę, niańkę, praczkę, aby

tylko raz wyrwać się z tego fałszywego stanowiska,
w jakim z matką jesteśmy... Czy pan sądzi, że ja nie
rozumiem i nie czuję tej litości towarzyskiej, tego upo
korzenia, z jakim nas wszędzie przyjmują?

— Przesadzasz pani—mówię z powagą—tak zno
wu źle nie jest; potrzeba tylko zachować swoją godność
i nie stawiać się tak nisko... Ludzie o tyle nas cenią,
o ile my sami cenić się potrafimy...

— Tak samo i mama mi powtarza, chociaż zupeł-
nie w innym znaczeniu. Powiada, że jestem zanadto
dumna i podejrzliwa... każe mi być wesołą, rozmowną,
uprzedzającą, bo takie panny tylko podobać się mogą...
Czasami, żeby jej zrobić tę satysfakcję, staram się
i przymuszam, ale jak przyjdzie taka chwila, głos for-
malnie zamiera mi w gardle, łzy stają w oczach i uie
mogę... Kto ciebie weźmie, mówi mama, komu się mo-
żesz podobać z takim ponurem usposobieniem, z takim
milczącym uporem?... Codzień słyszę: jesteś niezgra-
bna, bez wdzięku, bez uprzejmości... Ja zapewniam,
że nie mam pretensyi, aby mię kto brał, że nie chcę
się podobać, że mnie i tak dobrze, niech tylko dadzą mi
pokój... No, proszę pana, osądź sam, co takie życie war-
te, i czy to nie jest męczarnia bez końca!...
Zaczęła biedna znów płakać głośno, a ja mam ta-
kie baranie serce, że mi się niedobrze robi, gdy pa-
trzę na to...

— Niechno się pani uspokoi, panno Lauro — od-
zywam się, biorąc jej drobne rączki w swe dłonie —
nieśmiałość pani nie jest znów taką zbrodnią, jak mama
sądzi. Co do mnie, to powiem pani otwarcie, że ja wo-
lę milczącą godność kobiety, niż te bezmyślne szasta-
nia się, tę gadatliwość bez sensu i ten wieczny uśmiech

wesołości... Są mężczyźni, którym się to podoba, ale
wierz mi pani, źle trzymam o ich skali umysłowej..
Otrzej pani łzy i bądź taką jak jesteś...

— Więc naprawdę tak pan sądzi.

— Mówię pani szczerze. Nie szukając daleko,
Florentyna ze swoim stereotypowym uśmiechem, z tą
manierowaną pozą dobrze ułożonej panny, z tem drapo-
waniem sukni, robi na mnie efekt początkującej artystki
na scenie.

— Co też pan mówi — odzywa się na to z niedo-
wierzącym spojrzeniem.—A mama ciągle mi ją stawia
za wzór i powiada: bądź tylko taką jak Florcia... Więc
naprawdę ona się panu nie podoba?

— Powiedziałem pani szczerze co o niej myślę.
Tam dusza śpi, poobwijana koronkami, ubrana w świe-
cidełka, zaklęta w najnowszy numer dziennika mód
paryzkich...

— Szczególniejsza rzecz — przerywa mi, pokręca-
jąc figlarnie głową—jak panowie lubicie udawać!

— Nie rozumiem, co pani przez to chce powie-
dzieć?

— No, przecież pan jesteś...

— Czem jestem?

— Starającym się o Florcię — mówi zwolna, pa-
trząc badawczo.

— Ani myślałem o tem.

— No, no... a tu wszyscy tak są pewni tego, że
nawet moja mama jest przekonaną, iż to rzecz ułożona

jeszcze w Krakowie z panią Czupurkową... Nawet już o wyprawie myślał...
Wiadomość ta zdziwiła mię niezmiernie i zatrwożyła zarazem. Rachuję się z sumieniem, czy nie dałem

przypadkiem jakiej do tego okazji. Ale nie... to chyba kompozycyja pani Owczyńskiej, wszak ledwie parę słów dotąd z nią zamieniłem... Straszne rzeczy, jak te kobiecy umieją stawiać zamki na lodzie.

Kiedy się tak biedzę, a Lorcia już z weselszą miłą obciera troskliwie zapłakane oczy, przybiega Nastusia z zaproszeniem na obiad.

— Mój panie — rzecze z błagającą miną panienka — niech pan tu chwilę zostanie, a ja pójdę na przód.

— Czy pani mnie się wstydzi? Właśnie pójdźmy razem, jak najlepsi przyjaciele, bo sądzę, zechcesz mię pani za takiego uważać: proszę wziąć mię pod rękę...

Wymawiała się zażenowana dziewczynina, że będą śmiać się z niej, ale ja się uparłem, i tak z wielką paradą przeszliśmy koło okien salonu, z których patrzące się nam trzy pary oczu, miały wielką ochotę zjeść nas za jednym zamachem. Poczekajcie — myślę sobie—pokrzyżuję ja wasze plany.

Jakoż przy stole zająłem wstępny bojem miejsce przy Lorci i to naprost panny Florentyny, a przez cały ciąg obiadu starałem się być dla niej, o ile można grzecznym i uprzedzającym. Stara Owczyńska aż to pniała z radości, a Florcia, poprawiając dwie potężnych rozmiarów fiołkowe kokardy, które się pod szyją i na włosach na kształt motyla porozkładały, zatraciła już zwyczajny uśmiech na twarzy. Szczególniejszy też i obiad był dnia tego; między małżonkami widocznie jeszcze nie przyszło do zawarcia pokoju z powodu owej ćwierci mięsa; Kostuś, dmuchając ustami, oddychał ciężko, węża pokręcał, ale mimo to jadł za trzech. Pani

z opuszczonym nosem i iskrzącymi oczyma, rzucała tałerzami, tarmosiła dzieci, gderała na służbę i od czasu do czasu wzdychała głośno. Czupurkowa z panią Joaną rozmawiała półgłosem o formie sukni, która się miała krajać po obiedzie, a wreszcie Owczyńska, wyrwawszy się parę razy z konceptem jakimś, niby Filip z kopci, zamilkła, widząc, że z niskąd nie doznaje poparcia. Za to nie żałowała sobie leguminy, co oczywiście

wywołało dziwne wzruszenie ramion gospodyni. Po obiedzie, wypadało już przez grzeczność udać się z paniami do salonu. Przyznaję, że siedłem tam jak za pańszczyznę, a raczej na odrodek za spożyty obiad. Szczęściem, że panie zajęte były krojem sukni dla Florci, wiadomo zaś, że ta ważna chwila w życiu kobiet jest w stanie zaabsorbować naraz wszystkie ich pięć zmysłów z zapomnieniem o innych sprawach świata tego. Stosy poskręcanych w trąbkę i skrawkami po wiązanych form papierowych wydobywa się wtedy z różnych schowanek, i rozkłada po wszystkich miejscach wolnych; z ryciną mód w ręku, nachylone nad wzorami kroju, śledzą one kierunek pewnych linii krzyżujących się i gmatwających na wielkim żółtym arkuszu. Pani Cecylia jako mieszkająca w Krakowie, miała głos sta nowczy i rodzaj prezydencji. Co chwila rozwija się co raz inne pakiety z dawnymi formami, i te prostując, przykłada do rozłożonej na głównym stole materyi— to znowu mierzy się łokciem tę materyę, zapina bryty szpilkami, debatuje, namyśla—i pokazuje się, że nie wy starczy. Nowy kłopot, nowa narada, czy dokupić, czy szukać innego fasonu... Staje na tem, że wziąć inny: pannę Florentynę wysyła się po stare gazety do kance lary pana Konstantego, i zaczyna się wykrawywanie

różnych części stanika, jako to: przodów, boczków, piec, rękawów i t. p., które znowu kolejno przykłada się do materyi. Teraz wystarczy; chwała Bogu, pierwsze lody złamane...

JSTie wiem, czy komitet obradujący nad budową gmachów wystawy paryzkiej miał tyle trudności do przewyciężenia, co moje panie nad owym stanikiem Florci. Można było strzelać im z armat nad głowami, a żadna nie zwróciłaby na to uwagi, pokazało się bo wiem, że pozszywawszy te wszystkie części papieru ra zem, zamiast stanika wyszło jakieś monstrum, w które nie jedno ale trzy Florcie naraz zmieściłoby można...

"Widząc, że w inny sposób niepodobna mi zwrócić uwagi tych pań, że jestem i egzystuję jeszcze na świecie, zbliżam się wprost do prezydującej:

— Przyjmijcie mię panie za sekretarza swego koła.

— Albo pan się zna na kroju sukien? —pyta we soło pani Joanna.

— Lepiej jak my wszystkie — odpowiada za mnie pani Czupurkowa. — Za dawnych dobrych naszych cza sów, był moim jedynym doradcą.

— A zatem jeżeli panie przyjmą wierne i trzeźwe służby moje, jestem gotów.

— Zgoda! — zawołały obie naraz — mianujemy pana sekretarzem, trzymającym nożyczki.

— Projektuję zatem porządek dzienny: najprzód proszę mię objaśnić, co to ma być i dla kogo?

— Suknia jedwabna czarna dla Florci — rzecze pani Joanna.
— Ha! w takim razie wypada przedewszystkiem

obejrzeć model. Farmo It lorentyno, prosimy tu bliżej do apelu—mówię żartobliwie, zwracając się do niej. Lecz panna Flora, która widocznie nie mogła mi jeszcze darować szczególniejszej grzeczności dla Lorci, uważała za właściwe zadąsać się nieco.

— Nie rozumiem takich parlamentarnych wyrażań.

— Więc niech będzie do prezentacji...

— I tego nie wiem...

Właśnie na to wchodzi z fajką w ustach ale już z rozkosznie uśmiechniętą miną pan Konstanty.

— Ja cię nauczę prezentacji—odzywa się, chwytając nagle pannę Florentynę za rękę, i gwałtem wyciągając na środek pokoju.

— Wujaszku, co też wujaszek robi! — woła z pełnym grymasem wyrывая się panienska.

— Proszę cię, patrz na mnie.

A zrobiwszy komicznie skromną minkę, mój Kostuś staje ze spuszczonej oczyma, sznuruje usta, ręce zakłada w pierniczek, i robi tak pocieszny dyg, że wszyscy nie możemy wstrzymać się od śmiechu.

— Czy traktat pokojowy stanął? — pytam go ciszej.

— Zapewniony — odpowiada półgłosem — punkta przedugodne podpisane, staruszkę musnąłem trzy razy w łapkę...

— Ej, wujaszku — rzecze na to pani Joanna — jak powiem cioci, że ją wujaszek staruszką nazywa, będzie źle...

— Żeby miała takiego świeżego buziaka i taki zadarty nosek jak ty, tobym ją sto razy na dzień

przepraszał, i całował jak ciebie oto... — To mówiąc, chwytając ją wpół, i dalejże do całowania.

— Wujaszku!—krzyczy broniąc mu się pani Joanna—klujesz wąsami! — gdy Florcia i Cesia przybiegają jej na ratunek.

— Za karę wszystkie wycaluję!—mówi, chwytając jedną po drugiej wesoły mój gospodarz, a panie krzyczą, uciekając po kątach, a formy papierowe tylko fruwać, zlatując ze stołów. Słowem, robi się pocieszny barmider i bieranina po salonie.

— No, no, no, czego się tak drożycie! — myślałby
kto, że one tego nie lubią.
— Wujaszku!...
— Jak Boga kocham tak lubią... szelma jestem
jeżeli kłamię, czego to udawać! A mówię ci, Konradku,
jakie to słodkie buzie! Co, idzie ci ślinka?—mówi, bio
rąc mię pod rękę, gdy pomęczone kobiety zbierają pa
piery po podłodze i poprawiają stargane fryzury na
głowach...—No, powiedz, masz ochotę, to ja ci pozwolę...
Na moją odpowiedzialność całuj!
— Jeżeli... tego...—bąkam nieśmiało.
— Cóż znowu, wujaszku... jakże można... Nie,
nie, nie!—krzyczą wszystkie trzy naraz...
— A szczególniej tę małą srokę z pieprzykiem,
tę... — woła pan Konstanty, puszczając się w pogoń za
Florcia...
Zrobił się krzyk jeszcze większy. Florcia jak wie
wiórka jaka ucieka po krzesłach, po kanapie, a starsze
panie bronią jej, chwytając Kostusia z tyłu za rękę; on
to niby się wyrывa, i przekomarza, gdy ja nieprzywykły
do tego rodzaju obywatelskich figlów, stoję ze śmiejącą
się twarzą na środku pokoju. Nareszcie wydobyły się

jakoś z uścisków wujaszka i frunęły jak ptaszki do ja
dalnego pokoju.
— Et, fafuła z ciebie — rzecze, obracając się ku
mnie i zapalając napowrót wygaśniętą fajkę...—Czemu
żeś nie całował?
— No, jakżeż można...
— Co to jakżeż... Złapać, pocałować i kwita.
Mówię ci, fafuła jesteś. Ja dawniej to tak zawsze, a wy
co dzisiaj?
— Wujaszku, ej, wujaszku — rzecze, uchylając
drzwi pani Joanna—czego wujaszek psuje pana Konra
da. On i tak za wiele umie. Niechno go wujaszek
wyegzaminuje co on wyrabiał podczas podróży...
— Takiś to ty ptaszek, he? cicha woda, panie do
brodzieju... Ja też sobie kalkuluję, z miasta, a taki
skromny niby, tymczasem jegomość udajesz baranka...
No—mówi mi do ucha—ale przyznaj, że ta Florka jest
dzielna dziewczeczka, he?
— Bardzo przyjemna...
— Bardzo przyjemna—powtarza i przedrzeźnia
jąc głos mój.—Oj ty śledziu krakowski, ty śledziu! Jak
Boga kocham, u was już niema krwi za trzy grosze
w żyłach, jak ja byłem w twoich latach, to, panie dobro
dzieju, anim pytał...
— Mój wujaszku — niechno sobie wujaszek gdzie
idzie... mamy pilną robotę.
— Na złość nie pójdę!
— Bo poprosimy cioci, i wujaszka ze wstydem
wyprowadzi—dodaje pani Joanna.
— No, no, no, tylko mi nie dogaduj. Niechno

Wojtuś przyjedzie, oskarżę ja cię, coś z panem Konra

dem w drodze dokazywała. Nie bój się, mówił Ignacy, jakęś go chwytła za szyję.

— Nie prawda!

— Coś tam było w tym guście, prawda Konradzie?—a nieco ciszej—odezwij się, że tak było!

— Przypominam sobie, kiedyśmy się topili...—mówię wolno.

— Bardzo proszę pana Kołasińskiego nie zmyślać.

— A widzisz, a widzisz, mam ja na ciebie kreskę...

— Mój wujaszku—wtrąca, podnosząc głowę Florcia—niechże wujaszek idzie.

— A ty sroko mała, i ty na mnie!

— Bo suknię musimy skrajać... mój drogi wujaszku.

— No, to chodźmy, kiedy tak ładnie proszą—ręce, obracając się do mnie pan Konstanty — pokażę ci stadninę, której nie widziałeś!

— O, dziękuję bardzo za wszelkie oglądanie, już mam dosyć tego gospodarskiego widowiska,

— No, to chodź do stodoły, pokażę ci kapitalną młocarnię, jakiej tu niema na sześć mil wokoło. Na raz młóci, wieje, czyści, sieczkę rżnie. Pójdź, pójdź, to cacko nie maszyna!

— Przepraszam wujaszku, pan Konrad nie pójdzie—rzecze rezolutnie Czupurkowa, zastępując drogę, gdy Kostuś bez ceremonii ciągnie mię za rękę, — Pan Konrad jest nam tu potrzebny do narady i wcale na maszyny wuja nie ciekawy.

— Rzeczywiście, ja zostanę...

— To zostań, zostań, ty fafuło babski. Jak Bo

ga kocham, co wy dziś za mężczyźni! Nic, tylko gruchać koło nich i służyć na dwóch łapkach. Oho! bratku, jak się ty ożenisz, dopiero będą cię wodzić za nos.

— A wujaszek co?

— Mnie wodzi kto, mnie? — pyta na seryo Kostuś.

— A ciocia?...

— Pa, pa, pa, daleko jeszcze do tego! Ze tam czasami dla spokoju zrobię ceremonię i niby przeproszę, to jeszcze daleko od wodzenia za nos. A dziś nawet, sama, panie dobrodzieju, przyszła do mnie... tylko

o tem cicho, sza — kończy, oglądając się na wszystkie strony.

Nareszcie wytoczył się z pierwszego pokoju, lecz jak na złość spotkał po drodze idącą do salonu Owczyńska.

— Żałuj pani, o żałuj, żeś tu nie była!

— A to dlaczego?

— Hm, dlaczego? Mieliśmy generalne całowanie wszystkich kobiet. Byłoby się i pani co dostało...

— Pan Konstanty zawsze dowcipny!

— Jak panią dobrodziejkę szanuję, w tym chaosie możeby się kto i omylił...

Dopiero po ustąpieniu tego figlarza, zaczęliśmy na nowo porządkować nasze sesyjne akta. Panie wróciły, ale nim poskładano rozrzucone i pomieszane formy, nim odszukano ryciny żurnalowe, z pod stołu wydołyby nożyczki, przyniesiono igły i napastrki, dał się słyszeć turkot bryczki przed gankiem, a Nastusia przybiegła z okrzykiem:

— Jacyś panowie przyjechali!

Na tę wiadomość wszczął się niezmierny popłoch

między kobietami, które na podobieństwo młodych kuropatw, gdy się trafi w polu na ich gniazdo, porozbiegały się na wsze strony, chwytając z sobą różne materkiasy, przygotowane do krajania sukni.

— Biegnij pan do przedpokoju przyjąć ich, bo nie ma wujaszka—zawoła Czururkowa.

— Tylko ich zatrzymaj, dokąd nie posprzątamy—dodaje pani Joanna.

Rozkaz był tak wyraźny, że nie wypadło mi jak tylko wyjść na ganek, i w nieobecności gospodarza powitać przybyłych.

— Konrad Kołasiński— mówię, kłaniając się jednemu.

— Delegat Wtorkiewicz—odpowiada, trąbiąc po tęźnie w kraciastą chustkę od nosa.

— Jan Tenczyński!—dodaje drugi, ściskając bardzo serdecznie moją rękę.

Otóż pan delegat Wtorkiewicz jest sobie już podtatusiały szlachcic z dobrą siwą czupryną i takimiz jak szczotka sterczącymi wąsami, wzrostu małego, ale pękaty, o wątrobianej cerze twarzy. Zdjąwszy z ramion wyrudziałe futro niedźwiedzie, przedstawił mi się w czarnym, dawnego kroju i nieco za ciasnym tużurku, w aksamitnej kamizelce w szerokie kraty, i z grubym łańcuszkiem u zegarka. Na palcu ma sygnet z pieczątką wyciętą na krwawniku, a w tylnej kieszeni tużurka szczoteczkę do włosów z lusterkiem, którą właśnie porządkuje do góry stojącą czuprynę.

Drugi, ten pan Jan Tenczyński, który nazwiskiem swoim nadzwyczaj mi zaimponował, może mieć lat

trzydzieści kilka. Mocny brunet, średniego wzrostu, szczupły, wybladły, z nosem nieco na dół podkrzywio

nym, oczami czarnymi jak węgiel i bródką w rodzaju hiszpańskiej czy napoleońskiej. Kiedy zdjął czapkę, pokazała się głowa już dobrze łysa, z dość wyraźną na roślą na samym czubku. Ubiór pana Tenczyńskiego ni by zakiet, niby frak z pasiastego materiału, wyłożone szeroko kołnierzyki i szafirowa w azur krawatka na szyi, dały mi poznać człowieka obznajmionego z bieżącym kursem paryzkiej mody.

— Ja gdzieś pana dobrodzieja miałem przyje mność już widzieć — mówi, przypatrując się uważnie mej fizynomii.—I nazwisko pańskie nie jest mi obce.

— Być może—odpowiadam—choć i twarz pańska coś mi znajomego przypomina.

— To nic dziwnego — rzecze z uśmiechem—moja fotografia wystawiona jest zawsze na wałach Hetmań skich we Lwowie.

— Nie znam Lwowa...

— A więc z kądże pan dobrodziej, bo widzę, że nie ze wsi.

— Z Krakowa...

— W takim razie bardzo mi przyjemnie, i serdecznie się cieszę z tego spotkania... Dawno już pragną łem poznać jakiego bogobojnego Krakowiaka.

— Przepraszam pana, nie jestem Krakowianinem, pochodzę bowiem z Królestwa, i tylko czasowo tam mieszkam...

— Ach! to na jedno wychodzi, zawsze ze święte go miejsca. Co do mnie jestem nateraz prawdziwym lwowskim warchołem, jak nas w Krakowie nazywacie... Ale za pozwoleniem, nie wie pan, gdzie mię ulokują?— przerywa widząc, że głuchy Szymon zdejmuje z bryczki pakunki...

Nie umiałem ua to odpowiedzieć, ale że właśnie w tej ch wili nadbiegł ze stodoły sam Kostuś, i słysza łem jak dawał dyspozycję Szymonowi: „do gościnnego pokoju” — zaofiarowałem się pokazać temu panu przy szłą jego kwatere.

Mój gospodarz z otwartymi rękami uściskał szanownego delegata, który przedstawił mu owego pana Tenczyńskiego.

— Bardzo mi przyjemnie, panie dobrodzieju, bar

dzo tego — mówi, wstrząsając po kilkakroć ręką młodego człowieka, który przeprosił, że na chwilę musi odejść, aby ulokować swoje rzeczy, pobiegł przez sieni do wskazanego pokoju.

— Powiedz mi, łaskawy sąsiedzie — rzecze ciszej pan Konstanty, obejmując wół i całując raz jeszcze delegata—co to za jeden? Czy to nie jaki piwowar z bractwa tenczyńskiego?

— Ale co znowu — mówi klarynetowym głosem oburzony delegat — to jest dyrektor czegoś ze Lwowa i przyjaciel mojego syna. Tenczyński, to stara jak świat familia, chociaż, mości dobrodzieju, kompletnie wygasła, on mówi, że tylko jakimś cudem ocalał... Po wiadom sąsiadowi, łeb, ale to jaki łeb, zobaczysz... Gdzie on nie był, co on nie widział?... I w Ameryce ci, mości dobrodzieju i w Syberii... i tam gdzie jeleniami jeżdżą; a bestya ma spryt!... Co on tu chce u nas zrobić, to usłyszysz... Koński gnój będziemy teraz na wagę zło ta sprzedawać... jak Boga kocham, nie śmieję się, nie... on ci rachunkiem pokaże, że tak jest...

W salonie zamglonym nieco od pyłu ze świeżego zamiatania, pokazała się już pani Konstantowa, którą

tez pan delegat mlasnął po dwakroć w rękę i rozpoczęła się zwyczajna obywatelska rozmowa.

— Jakże tam u pani dobrodziejki gęsi? — pyta się moja gospodyni, wysłuchawszy relacji o zdrowiu wszystkich członków rodziny Wtorkiewicza—czy też łęgną się dobrze?

— Ot, mościa dobrodziejko, bieda z temi gęsiami, coś kradnie z pod nich jaja. Moje Basisko już i sypiać po nocy nie może i różne znaki robi, i kadzi, i na kłódkę zamyka, a co rano nie ma dwóch, nie ma trzech... Wczoraj robiliśmy z wójtem rewizję po wsi, bo posądza li Jagnę że wynosi, ale jaj ze znakami nie było.

— O, jaka to szkoda — rzecze z kondolencyjną miną pani Tekla — a u mnie się już dwadzieścia osiem wylęgło.

— Ha, takie to nasze szczęście we wszystkim.

Wystaw sobie sąsiedzie, łysek mój poszedł na owsisko... Na to wszedł właśnie pan Jan z Tenczyzna, w długim czarnym surducie, wyświeżony, wypachniony, z podkręconemi do góry wąsikami. Sąsiad delegat przedstawił go pani Tekli, która zmierzwiwszy nowoprzybyłego od stóp do głowy, dość chłodno prosiła, aby usiadł i dała jej prowadzić rzecz o gęsiach.

— Ależ to ciekawa historia, zabiłeś mi sąsiad klina, co to być może? Czy to nie tchórz?

— Żeby tchórz, toby zostały skorupy, a tu nic, tylko brakuje...

— Za pozwoleniem, o co to idzie? — wtrąca pan Jan.

— Mojej żonie coś jaja kradnie z pod gęsi—odpo

wiada wzdychając delegat...

— A nie uważaliście państwo — prowadzi swoje

pani Tekla—czy przez powałę kto nie włazi, bo to z naszymi ludźmi wszystko może być...

— Poważa jak się należy, ani ruszona...

— A czemuż mi też państwo nie powiedzieli o tym jak byłem u was—odzywa się pan Jan, niezrażony obojętnością pani gospodyni— więc zpod gęsi giną jaja, prawda?

— No, tak?...

— I to już przed samym lęgiem?

— Akurat mają się wykluwać.

— To nikt, tylko szczury?

— Szczury?—zawołali wszyscy naraz z uśmiechem niedowierzania.

— Słowo honoru daję, szczury!

— Ależ z kojców, panie, gdzie wysokie są brzegi, zresztą i gęśby nie dała...

— No, o co idzie? Jeżeli pani dobrodziejka pozwoli, gotów jestem się o niewiedzieć co założyć... U mojej matki toż samo było: posadzali wszystkich, pilno wali, zamykali, aż ja kazałem jednego wieczora posypać grubo popiołem podłogę.

— Ciekawam, co tu popiół pomoże? — przerywa, wzruszając ramionami pani Tekla.

— Popiół nie pomoże, ale rano zobaczyliśmy na nim ślady ap szcurek i ślady jaj, jak one taczały je do nory... Odbiliśmy podłogę, a tam całe stosy skorup...

— At, widzisz — mówi delegat, robiąc znaczącą minę ku Kostusiowi — komu by to przyszło do głowy. "Wiesz, że bym miał posłańca pod ręką, posłałbym na tych miast do Basi, żeby posypała..."

— No i co z tego, że szczury, ale trzeba się ich pozbyć.

— I na to jest sposób — mówi niezrażony Jan z Tenczyna—ponarzucać tylko na podłogę słomy z anyżu, a szczury wyniosą się natychmiast... Przynajmniej widziałem, że tak robią chłopcy na Wołoszczyźnie...

— Zbawcą będziesz mój drogi, jeżeli to prawda!— zawoła uszczęśliwiony delegat, prosząc o papier i pióro,

aby do Basi parę słów napisać. — Mości dobrodzieju, ozłoci cię moja nieboga.

— Ale też, panie dobrodzieju — rzecze, trąc czoło pan Konstanty — i te szczury, żeby mieć taki rozum, he?

— Proszę pana, one coś lepszego potrafią! Że bym ja państwu opowiedział historią, jaka mnie się trafiła z rewolwerem, tobyście nie uwierzyli, a jednak prawda!

— No, powiedz łaskawco, powiedz!

— Nie wiem czy państwu wiadomo, że jestem ciągle w podróży, i dość znaczne sumy przewożę z sobą, więc dla obrony kupiłem taki pugilaresowy rewolwer, ot ten—mówi, wydobywając z bocznej kieszeni pudełko w kształcie portmonetki.

— Proszę, niech pan nie otwiera! — krzyknie zrywając się nagle pani Tekla.

— Ależ nie nabity...

— Ja bardzo proszę, niech pan nie otwiera...

Boję się wszystkich strzelających rzeczy... Mój drogi panie, niech go pan położy gdzie zdaleka... bardzo pana proszę...

— I owszem—mówi pan Jan, umieszczając rewolwer za lustrem—choć daję pani słowo honoru, że nie nabity. Otóż kładąc się spać, zawsze ten rewolwer

umieszczam na krześle przy łóżku... Mieszkałem jakiś czas w Gałaczach, a tam, mówię państwu, jest stolica szczurów; w biały dzień chodzą sobie po ulicach tak gęsto, jak naprzykład żydzi po szkarpach we Lwowie. Budzę się jednego dnia rano, patrzę, mojego rewolwera nie ma... Co się to znaczy? Drzwi na klucz zamknięte, w pokoju nic nie ruszone, pieniądze pod poduszką są... Medytuję więc i patrzę dokoła, a mój rewolwer leży na podłodze tuż przy framudze od pieca... Hm, może mi wczoraj upadł... Jednak na drugi dzień toż samo, rewolwer znów zdjęty z krzesła i w tym samym miejscu... Ooo, to już wyraźnie ktoś tu chodzi po nocy; postanawiam przeto pilnować... Byłem jakoś znużony, więc mimo całych usiłowań po dwunastej usnąłem... Aż tu naraz budzi mnie wystrzał... Jezus Maryja! krzyknę zrywając się z łóżka i zapalam świecę. Pierwsza rzecz, chcę złapać za rewolwer, nie ma... Próbuję drzwi, zamknięte; więc zaczynam szukać ze świecą rewolwera, i przy tej operacji nadeptuję na coś miękkiego i ciepłego... Przypatruję się, ogromny szczur z rozplataną głową leży pod ścianą i jeszcze porusza nogami.

— Szelma, zastrzelił się! — mówi, klasnąwszy w dłoń nasz Kostuś.

— Słowo honoru państwu daję, tak prawda, bo przy nodze krzesła leży wystrzelony rewolwer z odwiezionym cynglem... Widocznie trzymając lufkę w pysku, ciągnął go do pieca i zawadził cynglem, który się

łatwo otwiera, o nogę krzesła... A że mocna była be
sty, więc rewolwer wypalił...

— A to ci, panie, szczególniejsza historia, he?...
rzecze delegat, spoglądając ze strachem na lustro, gdzie
właśnie spoczywał ten śmierciodajny instrument—Ha!

gdyby mi to kto inny powiedział a nie pan dobrodziej,
tobym nie wierzył...

— Daję państwu słowo honoru, że prawda... Na
wet jeszcze na końcu lufki są ślady od zębów szczura,
jak ją ciągnął...

— A czyby nie dobrze było — odzywam się z po
wagą do piszącego delegata — żeby pan dobrodziej po
słał ten rewolwer żonie; niech go położy w kurniku,
gdzie siedzą gęsi, to przynajmniej ze sześć szczurów
przez noc w łeb sobie wypali.

— Czy pan nie wierzy?

— Wierzę, zupełnie wierzę...

— No, jeżeli pan dobrodziej chce, napiszę do przy
jaciela mego, który jest konsulem w Gałacz, a przy
szle autentyczne świadectwo, że tak było... On pier
wszy, kiedy przyszedł do mnie rano i zobaczył szczura
samobójcę, to aż się za głowę wziął... Daję panu słowo
honoru, zaraportował rządowi francuzkiemu, i mówili
mi, że był artykuł o tem w Monitorze... nawet ten nu
mer miał mi przysłać...

Niedługo pokazały się i nasze panie, i rozmowa
przybrała ogólny charakter... Przyznaję się czyteln
kom, że wobec tej nowej gwiazdy lwowskiego bruku, mo
ja osoba poszła w ką... Jan z Tenczyna tak umiał za
absorbować uwagę całego towarzystwa, tak opowiadał
bez wytchnienia, że moje panie oczu zeń nie spuszczały.
Nawet stara Owczyńska przyznała, że więcej widział
świata niż ona, kiedy się przenosiła z nieboszczykiem
ojcem pułkownikiem z kwatery na kwaterę...
Gdzie ten człowiek nie był, czego nie widział, ko
go nie znał i czego nie umiał?... A wszystko, o czem
mówił, szło mu tak gładko, tak naturalnie, że nikt i po

wątpieć nie mógł o prawdzie... Rozповідаjąc
o Ameryce, pokazywał fotografię swoją wykonaną przy
wodospadzie Niagary. Rzeczywiście, ponad kurzawą
pary wodnej siedział tam jakiś jegomość na brzożowej
ławeczce z nasuniętym białym kapeluszem na oczy.

— Jakże podobna — mówi Florcia, przenosząc
z fotografii wzrok swój na pana Jana — tylko dlatego

ten szalik zasłania panu twarz całą, i dlaczego oczy są przymrużone?

— Łaskawa pani raczy zauważyć, że to się dzieje nad Niagarą, gdzie zimno przejmuje człowieka do kości, a słońce... tylko co zaszło. Przez tumany mgły wodnej, odbijającej tęczowe barwy, niepodobna tak śmiało spoglądać.

— A jabym patrzała,..

— Pani co innego, takie oczy, jakie ma pani, wszystko mogą zwyciężyć...

Zarumieniła się trochę dziewczyna, ale się nie obraziła, gdy rozpromieniony delegat tylko trącał łokciem Kostusia ze znaczącą miną.

Nawet pani Tekla, która z powodu używanych przez pana Jana, jak mi to objaśniła później, jaśminowych perfum, uczuła z razu niepomierny wstręt do niego, wkrótce zmieniła opinię. Już ta anyżkowa słoma na wypędzenie szczurów bardzo ją zainteresowała, ale dopiero przy opisywaniu maszyny do wylęgania kurcząt, kompletnie przeszła na jego stronę.

— Kto, proszę pani, za granicą dziś sadza kury albo kaczkę na jajach... To tylko w Galicyi dopuszcza ją się takiego barbaryzmu nad biednymi ptakami.

— Ale, panie dobrodzieju! — odzywają się naraz delegat z Kostusiem...

— Proszę się nie obrażać — mówi żywo, zwracając się ku nam Jan z Tenczyna — Galicyę kocham nad życie jako kraj mój rodzinny; ludzie są tu choć do rany przyłożyć, ale trudno zaprzeczyć, że zastój we wszystkim, że zacofanie, że niedbalstwo przechodzące wszelkie wyobrażenia... Poczciwa i zacna z kośćcami szlachta nasza, przyjmie, ugości, rozplacze się, wyczuje, ale w niczem sobie radzić nie potrafi...

— Et, nieprawda, panie dobrodzieju! — rzecze na to, ruszając się na krześle mój Kostuś...

— Są wyjątki, ale bardzo rzadkie wyjątki — odpowiada na to pan Jan. — Naprzykład gdy cała Europa jest zdrenowaną jak stare sito, gdy w Niemczech najmniejsze dziecko powie, że dreny to bogactwo kraju, to u nas co?

— Otóż mam honor powiedzieć panu dobrodzieju wi—mówi powstając pan Konstanty—że i ja jestem zdrenowany!

— A to wiesz... prawdziwie panu dobrodzieju wi wiesz! — zawołał orator, wstrząsając po trzykroć rękę gospodarza... Pan dobrodzieju stoiś na stanowisku... tego...

— Tak jest — powtarza z dumą Kostuś — stoję, ja wiem, że stoję i stać będę choć moi sąsiedzi, panie dobrodzieju, mieli mię za głupca...

— Ale sąsiedzie, co znowu! — wtrąca delegat, umaczawszy swe usta w kieliszku wina, zapomniałem

bowiem powiedzieć, że stała przed nami butelka wina i parę małych talerzyków z konfiturami, które Kostuś, mimo nieustannych chrząkań małżonki, zmiatał bez li tości.

— No, już ja wiem, co mówię. Był taki, co przy wyborach do sejmu powiedział: co nam po takich głupcach, którzy topią pieniądze na skorupy...

— Nie może być! — rzecze zadziwiony pan Jan z Tenczyna.—I był taki zacofaniec?

— Był, jak Boga kocham, był i jest... Sąsiad delegat zna go bardzo dobrze...

Sąsiad delegat potwierdził tę okoliczność desperackim skinieniem głowy, obtarł wąsy i wzniosł zdrowie za pomyślność przyszłego posła, naszego drogiego Kostusia.

To jednak nie rozbroiło pana Konstantego, i wi dać było, że nie mógł strawić owej rekuzy wyborczej, bo przysiadłszy się do delegata sąsiada, zaczął mu ci szej rozwodzić swoje żale, jak się zdaje na bliskiego kuzyna pana "Wtorkiewicza... Była to jedna z najslabszych stron Kostusia, owo wspomnienie wyborów, dla którego mógł nie słyszeć nawet tak zajmującego opowiadania jak pana Jana o drobiu.

— Ale niechże pan powie o tych kurczętach?— przypomina zaciekawiona pani Joanna, która również ma pretensję do nazwy dobrej gospodyni...

— Jest to sobie elegancka komoda mahoniowa z metalowemi antabami, i może stać nawet w budoarze damskim. W szufladach między przegródkami leżą, na wacie poukładane jaja, ot i wszystko!

— Awantury, jak matkę kocham, czyste awantury!—rzecze na to, poruszając głową pani Tekla.

— Nie, pani dobrodziejko, daję na to słowo honoru, sam oglądałem w Paryżu takie komody.

— I któż tam wysiaduje?

— Ciepło, pani dobrodziejko, ciepło, puszczone

gutaperkową rurką z pieca do komody... Po trzech dniach, wysuwa się szufladę, a tam są już gotowe kurczęta...

— Jakto po trzech dniach, kiedy kura potrzebuje siedzieć trzy tygodnie?

— Nic nie znaczy, co kura potrzebuje... — mówi niezrażony pan Jan—maszyna robi to w trzy dni...

— Słyszysz Kóstusiu—przerywa pani Tekla, szar

piąc za rękaw męża — komedye, co ci Francuzi nie wyrabiają... kurczęta lęgną się w komodzie za trzy dni i to bez nasiadki... Mój drogi panie, a ileżto kosztuje taka komoda?

— Sądzę nie więcej jak trzysta franków.

— To na nasze pieniądze wyniesie?...

— Tak około sto trzydzieści reńskich. Jeżeliby pani dobrodziejka sobie życzyła, ja mogę sprowadzić dla niej taką maszynę... Mam stosunki z tylu domami francuzkiemi, że to bagatela dla mnie; napiszę parę słów...

— Co do mnie — odzywa się Kostuś — to ja tym Francuzom nic a nic nie wierzę... Jeden hultaj okpił mię na mineralnych nawozach, ale to okpił bez miłosierdzia. Niech tu przywiezie komode, niech mi się kurczęta powylęgają—to zobaczymy...

— Paradny jesteś, Kostuleczku!—rzecze na to klepiąc go po ramieniu Teklusia—myślisz, że Francuzi to jak nasi żydzi z miasteczka, co ci przysyłają różne rzeczy do wypróbowania.

— Oni, panie dobrodziejku, jeszcze gorsi od żydów. A ten ich sam Napoleon nie oszukiwał nas, co? nie oszukiwał?... Ale, tędy, owędy, noty, sześć punktów, a potem, panie dobrodziejku, ręce umył jak Piłat i po

wiada, ja nic nie radziłem... Tfu, do milion dyabłów z taką polityką!... A z naszym żydem, panie dobrodziejku, jest jakaś rzecz. Okpi czasem bo okpi, ale mam tę satysfakcję, że jak chcę, to go bez ceremonii za drzwi wyrzucę i cicho sza! Ale uważasz, łaskawy sąsiedzie—mówi zwracając się już dalej do śmiejącego się pod wrażeniem kieliszka delegata — i nasi żydkowie już zaczęli ci pokazywać rogi. Mam tu taką skargę na jednego, który jest burmistrzem w Leszczynowie, że włosy na głowie stają...

Pan Konstanty zaczął powtarzać sąsiadowi znaną już czytelnikom historię z Sążnickim, gdy pan Jan cu da opowiadał kobietom o dalszych losach kurczęt wylęgających w owej komodzie.

Właśnie w tej chwili pokazał się w salonie Czupurek z Dębickim, którzy dopiero co powrócili z sąsiedzkich odwiedzin. Mąż pani Joanny, dzierżawca większe go majątku nad Wisłą, jak powiedziałem naszym czytelnikom przy pierwszej prezentacji, jest wysokiego wzrostu i atletycznej budowy mężczyzną, wyglądającym na zawadykę. Przy prezentacji z panem Janem, le dwie że podał mu rękę, lecz zato przymilał się bardzo pani Tekli, oświadczając, że głodny jest jako wilk po wysiedzianym areszcie. Skutkiem czego wyprowadzili się oboje do jadalnego pokoju, a w towarzystwie naszym szła dalej gawędka, lecz już nie o gospodarstwie. Czupurek jako czystej krwi Krakowianin podnosił wszystko co krakowskie pod same obłoki, a pan Jan opono

wał, dowodząc, że tylko Lwów ma pełne życie i wszelkie warunki postępu. W trakcie tego przyszła kolej na Matejkę...

Gdzie pan w Europie znajdziesz większego artystę?

— Nie zaprzeczam, że jest znakomitością, i ja mu sam to sto razy powiedziałem.

— Pan dobrodziej zna Matejkę? — pyta zainteresowana tem Cesia.

— Czy znam?... jestto mój najserdeczniejszy przyjaciel...

— Więc pan i Kraków zna?

— A znam, pani, bardzo dobrze znam, kiedyś nawet mieszkałem przez parę lat w Krakowie. Otóż kiedy Matejko malował swojego Batorego, powiadam mu: dlaczego twój Batory ma zamknięte oczy, i wygląda jakby spał? Król zawsze powinien ostro patrzeć. Ale jemu się zdawało, i zresztą któryś tam z naszych historyków inaczej mu poradził, dość, że z Batorego zrobił się obraz już nie to... Najznakomitsi krytycy zgadzili się ze mną, że król wygląda jakby drzemał, i on sam mówił mi potem: „Szkoda, Jasiu, żem cię nie posłuchał.”

Zamilkliśmy wszyscy wobec takiej krytyki artystycznej pana Jana i kardynałnych z mistrzem stosunków, a Czupurek nawet zdawał się przyznawać mu rację co do drzemki Batorego. Przyszła mowa o literaturze; pan Tenczyński i tu był wyrocznią. Wszystkich autorów zna osobiście, u Kraszewskiego w Dreźnie dwa razy był na obiedzie, a trzeci raz to ledwie się wymówił, bo go nieboszczyk Wielopolski gwałtem do siebie zaciągnął. Dzieckiem będąc, ze swoim ojcem był u Mickiewicza i pamięta doskonale, jak ich częstowano kołdunami litewskimi.

— Mówię państwu, byłem zgorszony podówczas, że taki wielki poeta jadał pierogi baranie z łojem... Do Zygmunta Krasińskiego namawiali go parę razy, kiedy uczył się na uniwersytecie w Heidelbergu, ale, powiada, nie poszedłem, bo wcale nie podzielałem jego opinii arystokratyczno-mistycznych... Co się znowu tyczy Lwowa, to tam nie ma ani jednego człowieka, któryby miał choć odrobinę zdolności.

— Wszystko to, razem wzięwszy, są niedouczeni, krzykacze i samochwalcy. Zdaje się, że ja wiem, co

człowiek może umieć, i czego mu brakuje, a jednak, da
ję słowo honoru, nie robię z siebie wielkich rzeczy; tu
zaś w Galicyi wszystko się pnie, nadyma i zdaje się ka
zdemu, że jest wielkim historykiem, wielkim poeta,
wielkim filozofem, a w rezultacie pokazuje się, że to
błaga! Takich bogactw naturalnych, jakie tu są w Ga
licyi—mówi po niejkiej przerwie—żaden kraj niema na
świecie; dość tylko schylić się i podjąć, a u nas powiedz
cie panowie sami, co zrobiono? Jeżeli żydzi albo niem
cy do czego się nie wezmą, to my co?... Dlatego też
wszystko się marnuje, a kraj co roku upada, gdy cię
żarów przybywa. Ci, co powinni stać na czele, tylko
chowają się po kątach i „dajcie mi święty pokój.”

— Oj, że prawda, to prawda—odzywa się, ledwie
już językiem władając delegat.

— Nic się nie robi, panie dobrodzieju, co tu obwi
jać w bawelnę—dodaje wzdychając Kostuś.—Ja jeden
tylko że się zdrenowałem na całą okolicę i pracuję
w urzędowaniu jak wół. Niech poświadczy Teklunia,
że jak czasem wyjadę, to i tydzień w drodze jestem,
i żołądek sobie zepsuję w tych nędznych restauracyach

naszych, a już co do kataru, to tego nigdy się nie
pozbywam.

— A jednak—odzywam się nieśmiało—przecież
jakoś żyjemy i idziemy powoli naprzód...

— Powiedz pan lepiej wtył!—przerzywa mi z ener
gią pan Tenczyński. — Co pan nazywasz życiem? czy te
ślamazarne narzekania na ciężkie czasy, czy borykanie
się z biedą i szukanie banków, gdzieby pieniądze poży
czyć!

— Prawda, bo prawda— dorzucą kiwając głową
Wtorkiewicz—a to jakbyś łaskawco z książki czytał.

— A proszę, zobaczcie zagranicą, jak tam wszy
stko wre, kipi, kotłuje się i kłębi; jaki tam dobrobyt,
jak tam fortuny rosą prawie na poczekaniu! A u nas
co? Jakaśmy się sparaliżowali krachem wiedeńskim,
tak wszystko opuściło uszy, czekając zmiłowania Boże
go... Panowie, na miłość Boską, trzeba się raz otrzą
snąć z tego, i jak dojrżeli mężowie, zakasawszy rękawy,
wziąć się do pracy produkcyjnej... poruszmy nasze zasoby,
panowie, weźmy się za ręce.

Wszyscy umilkli jakby na komendę po tak gorą
cych słowach pana Jana, a pani Owczyńska rzeczywi
ście chwyciła mię pod stołem za rękę, i zaczęła ścisnąć
na znak braterskiego pojednania. Przyznaję, że była
to wzniosła chwila wewnętrznego rachunku sumienia,
w którym wasz unizony sługa, jak wiadomo, kapitalny
próżniak, wydał się startym na drobny proszek.

— Ja, panie dobrodzieju — odzywa się po pewnej
chwili mój Kostuś — zawsze byłem za postępem i stoję
tego, przy postępie. Chciałem, żeby mnie do sejmu
wybrali i program napisałem, żeby, panie dobrodzieju,

drogi powiatowe kraj wziął na siebie, żeby w każdej

wsii kazać postawić gromadzie dom szkolny, żeby je dność była między obywatelstwem co do cen najemnika, żeby do rozkładu prestacyi drogowej przyjąć za zasadę ilość koni albo wozów... ale, panie dobrodzieju, pisarze gminni inaczej sobie ułożyli i wzięli proboszcza... Ja wójtom i pisarzom kłaniać się nie będę... a wyborcy nasi to barany.

Zaproszono nas na kolację, pan Konstanty kazał dokończyć butelki, co jakoś rozweseliło trochę umysł pana delegata, bo słyszałem, jak prowadząc się pod rękę z gospodarzem, mówił doń półgłosem.

— A co, otwarta głowa u niego, czy nie?

— Gada dużo...

— Ba, ba, ale jak gada. Bestya ma łeb, oj ma...

Gdyśmy już siadali do stołu, nadjechało jeszcze dwóch panów: jeden delegat drogowy z sąsiedniego powiatu, niejaki Wurstman, człowiek lat średnich już ze szpakowatą brodą, a drugi mały, pękaty, z różową twarzą, konduktor dróg krajowych, którego przez grzechność tytułowano inżynierem. Pan Wurstman wyglądał na dystyngowanego obywatela, uśmiecha się etykietalnie, słówka cedzi przez zęby i w ogóle ma pretenzję do pańskich manier. Za to pan inżynier w szaraczkowym surducie i wielkich palonych butach jest nadzwyczajnie unizony dla wszystkich; nie chce usiąść do stołu i nieustannie kieruje tak swoją osobą, żeby, czego Boże uchroni, nie stanął czasem tyłem do którejś z osób znajdujących się w naszym towarzystwie. Dla tego nadzwyczaj komiczne są jego ruchy, jeżeli przy padkiem jest z dwóch stron zaczepionym, to rej teruje się ciągle, nadeptując kogoś za sobą, potem się odwraca nagle i przeprasza na to tylko, aby znowu innemu zro

bić toż samo... Panów delegatów tytułuje jasnemi paniami, a kobiety wszystkie dobrodziejkami; nieustannie przytem zaciera ręce. kłania się, powtarzając: pokornie dziękuję, pokornie proszę, pokornie służę a czasami dla odmiany zamiast pokornie, unizenie.

Z przybyciem tych panów, ochłodziła się nieco towarzyska rozmowa nasza; pan Wurstman przypatrując się każdemu przez błyszczące okulary, spowodował pewne liczenie się ze słowami, skutkiem czego Tenczyński oddał się całkiem na usługi dam, którym z niepo

równaną zręcznością nadszkakiwał. Patrząc na to, zda wało się, że człowiek ten ma przynajmniej sześć par oczu, a domyślności zapas niewyczerpany. Ledwie, że pani Tekla uderzy ręką po kieszeni, on już zrywa się szukać kluczyków, które gdzieś tam leżą na kredensie; niech pani Cecylia spojrzy na karafkę z wodą, on w tej chwili napełnia jej szklankę. Nawet stara Owczyńska nie uchodzi jego uwagi, i tej podsuwa solniczkę zmiarkowawszy, że słono lubi jadać. A już co do podnoszenia chustki od nosa pannie Laurze, to chyba ma dar jasnowidzenia, bo nie mogłem pojąć, w jaki sposób się dząc po drugiej stronie stołu, przeczuwał każdym razem, gdy ona spadała na podłogę. "Wdawszy się w ulubioną paniom rozmowę o modach, pokazało się, że zna daleko lepiej wszystkie jej tajniki niż sama pani Czupurkowa; wymieniał różne nazwiska matery i kostymów, opisywał kształty i krój sukien, kołnierzyków, mankietów i innych części damskiego ubrania—układał kombinacje odpowiednio do wzrostu, cery i ruchów osoby.

Zkąd pan te rzeczy zna tak doskonale?

— Zkąd—odpowiada, uśmiechając się znacząco—terminowałem u Wortha w Paryżu.

— Na seryo?

— O tyle, o ile towarzyszyłem tam znajomym damom i przypatrywałem się wszystkim ceremoniom... Zrozumiecie to łatwo, szanowni czytelnicy, że byłem zły na siebie, spotkawszy kogoś, który mię wobec kobiet w ten sposób zakasował. Bądź co bądź człowiek ma miłość własną, ale znowu trzeba przyznać, że nie wart jestem być uczniem w tym względzie pana Jana Tencyńskiego. Proszę was, on nawet zna się na fryzjerstwie; po kolacyi, daję wam słowo, własną swoją ręką uczesał Florcię podług ostatniej mody, zrobiwszy jej jakieś kręcone na wierzchu głowy kukuryku, i dali bóg ta dziewczyna zupełnie teraz inaczej wygląda. Pan delegat Wurstan, dotknąwszy ledwie podawanego jedzenia, zaraz po kolacyi poszedł z Kostusiem do jego kancelaryi na naradę, a my razem z tacką i nową butelką wina wróciliśmy do salonu.

— Proszę pana — odzywa się do Tencyńskiego Czupurkowa — dlaczego pan tyle pięknych talentów i wiadomości marnuje?

— Jak to pani rozumie?—pyta cokolwiek zażenowany.

— Powinien pan coś pisać... dać się poznać szerszym kołom...

— Alboż ja nie piszę? — mówi na to, udając pewne zdziwienie.

— Przynajmniej z nazwiskiem pańskim dotąd nie spotkałam się nigdzie ani w gazetach, ani w literaturze.

Hm... — rzecze ze znaczącym uśmiechem pan Jan—a jednakże ja piszę i wiele piszę...
— To chyba bezimiennie albo pod pseudonimem jakim...
— Może... niech panie się domyślają...
— Zaciekawiasz nas pan! — zawoła Cesia, robiąc wielkie oczy, a zaciekawienie to udziela się naraz wszystkim obecnym w przekonaniu, że mamy do czynienia z jakąś nieznaną potęgą literacką.
— Więc jakież pana pseudonim?
— Nie mogę powiedzieć.
— Czy to tajemnica pana?
— I tego mi nie wolno powiedzieć.
— Ależ łaskawa pani dobrodziejko—wtrąca na to delegat Wtorkiewicz., kiwający się już dobrze na kanapie — pisze, jak honor kocham, pisze. W kuferku ma tyle książek, i niektóre, ot, takiej wielkości—mówi, pokazując ręką na pół stołu. — Moja Basia, która przy padkiem widziała jedną, to powiada, że jest angielska. Pan Jan, powodując się zapewne właściwą wielkim ludziom skromnością, nie oponuje, a mnie już nie wiedzieć co się robi, że nie mogę dojść, jaki to pseudonim ukrywa się pod tem nazwiskiem Tenczyńskiego. Przechodzę myślą różne znakomitości literackie osobiscie mi znane, spoglądam na pana Jana, przypominam sobie portrety, lecz wszystko to jakoś nie pasuje. Wiadzę, że i panie moje trapi ta sama niepewność, bo atakują go z wielką grzecznością i czułem przymilaniem—ale on pozostaje niewzruszony i powtarza ciągle toż samo:
— Domyślajcie się panie, ja nic więcej powiedzieć nie mogę.

Szczyściem, że pan Dębowski, ukończywszy szczęśliwie spożywanie kolacy, przerywa tę nieznośną, syntuację domysłów, proponując maleńkiego walczyka. Nowe zdziwienie! Jaktó, ten kolos o grubym czerwonym karku, który ledwie, że suwać może swojemi łokciowemi pedałami po podłodze, ma tańczyć? Dalibóg, o wiele rzeczy mogłem go posądzać, nawet o ciągnięcie w danym razie karety, ale nigdy o upodobanie do walca. A jednak mój pan Wojciech obtartszy skrupulatnie świecące policzki, z udaną afektacją zbliża się do Owczyńskiej, całuje babunię po rękach i molestuje, aby zagrała maleńkiego walczyka. Naprózno wymawia się

staruszka, że już dwadzieścia lat nie grała, że z pamięci ci nic nie potrafi, że niedowidzi, on wyciąga ją gwałtem z krzesła i z tryumfem prowadzi pod rękę do fortepianu. Owczyńska uderzyła w klawisze, instrument za syczał, jakby się kto dotknął najboleśniej jego rany, a wkrótce wsłuchawszy się dobrze, można było odróżnić tempo starodawnego walca, znanego powszechnie pod nazwą: Mein Heber Augustini Uszczęśliwiony Dębowski chwyta prawie za szyję drobną postać panny Fio rentyny i z niezwykłym zamachem puszcza się na środek pokoju. Nuta walca i gorący animusz olbrzyma, snać oddziaływa zachęcająco na innych, bo i nasz wielki nieznajomy zrywa się także z krzesła, a odbywszy gwałtowną rewizję w tylnych kieszeniach surduta, wynajduje tam jedną rękawiczkę, naciąga ją do połowy i ofiaruje z gracyą ramię swe przechodzącej przez pokój ze szklanką w ręce gospodyni.

Przyznam, że gdybym był na miejscu pani Tekli, w takim wieku i w takim negliżowym ubraniu, obraziłbym się na taką propozycyę, ale widać, że na wsi lu

dzie nie czują jeszcze w tych latach starości, bo pani Tekla idzie, jakby miała lat dwadzieścia najwyżej, i da je wykręcać sobą na wszystkie strony, i nie gniewa się, gdy uprzejmy tancerz robi do niej bardzo karesową minę.

Pan Jan jest również znakomitym tancerzem, i gdyby nie to, że brzęk kluczyków w kieszeni pani do mu sprawia mu pewną dystrakcyę, a harcujący z Florcia Dębowski, z zamachem Farysa na pustyni psuje mu takt, potracając co chwila—talent jego mógłby obudzić uwielbienie i zachwyt obecnych.

Niedługo patrzą, pędzi i mój Kostuś ze swej kancelaryi, stawia niedopaloną fajkę w kącie salonu i z oczami promieniejącemi szczęściem zaprasza panią Cecylię. Kostuś już rolę swoją przyjmuje z nieco figlarnej strony, albowiem podparłszy się z fantazyą pod bok, to puszcza tancerkę chwilami, to chwyta ją z entuzjazmem napowrót, gdy cienkie jego nóżki wyrabiają bardzo pocieszne ewolucyę.

W parę minut prowadzą się i obaj delegaci drogowi, którym wesołe tony walca nie pozwalają prowadzić urzędowej rozmowy, a tuż za nimi pokazuje się przystrojony we frak o krótkich połach, różowy pan inżynier.

— Proszę pokornie, pana dobrodzieja — mówi, zaczepiając mię z miną zaferowaną — kto jest ta panna?

Ruchem głowy pokazywał na Florcię, którą do piero co posadził Czupurek obok panny Laury, okutą jakby podczas mrozu w białą, staroświeckiego kroju pelerynkę.

— Panna Florentyna, siostrzenica gospodarza.

— Aha, to ta! Nieszpetna, wcale nieszpetna, jak babcię Kocham. Prawda to, że ma dziesięć tysięcy, i że można tego?...

— Nic nie wiem czy ma co, i czy można—mówię obojętnie...

— Ze można, panie Dobrodzieju, to ja wiem, bo zapewniała mię jedna osoba, a nawet powiem panu do brodziejowi otwarcie zachęcała mię. A jak pan myśli, ie dziesięć tysięcy pewne, czy nie? Podobno złożone są w banku, czy u wuja lokowane na Sobkowie... Sobków zdaje się, panie Dobrodzieju, dobra wieś, co?

— Dobra—powtarzam bez myśli.

— A możeby mię, pan Dobrodziej przedstawił, he? Nazywam się Izidor Kaczykowski, inżynier bez egzaminu, ale już mam odnośne pozwolenie od Namie stnictwa... daję słowo, mam...

— Na co panu przedstawiania — odzywam się na to — skoro gospodarz zarekomendował pana przy ko lacyi...

— Tak pan powiada, że nie potrzeba...

— Naturalnie.

— No, to ja sunę do niej... Prawda panie, że naj lepiej śmiało, i że kobiety tak lubią?

— Ale ma się rozumieć.

Puścił się więc w tę stronę, ale czy odmówiła mu Florcia, czy też ja nie zrozumiałem, o którą pannę on się dopytywał, dość, że widzę, wysuwa się z Lorcią na środek pokoju. Mimo niekłamanego zapału i energii, z jaką zabierał się do swego dzieła, muszę przyznać, że ciężko szedł ów taniec jeszcze nieegzaminowanemu inży nierowi. Albo Lorcia nie umiała dobrze tańczyć, albo stara Owczyńska zapatrzywszy się na córkę, gubiła ta

kty, dość, że szamotało się to biedactwo, niby dwoje wróbla uwiązanych na nitce. W żaden żywy sposób nie mogli oni utrzymać głów swoich na jednym poziomie; co się pokaże jego rumiane oblicze, to Lorci błada twa rzyczka gdzieś zginie i na odwrót, a swoją drogą pan Kaczykowski nie ustaje, miny nie traci, lecz owszem dla dodania sobie lepszego szyku, wybija hołupce, szarżując do upadłego.

Prócz starej Owczyńskiej, lubującej się widocznie sukcesami córki, wszyscy inni tylko sobie zatykają usta, aby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Nawet stary delegat Wtorkiewicz, który z przymrużonemi oczyma

ledwie że walczy z Morfeuszem, od czasu do czasu uderzy ręką po stole, powtarzając:

— Partacz, gości dobrodzieju, partacz!

I mimo to partacz ten, upodobawszy sobie i taniec i towarzystwo Lorci, przez cały wieczór nie opuszczał jej ani na chwilę. Kiedy przestaną tańczyć, siada przy niej i coś prawi bardzo zajmującego, bo księżycowa twarz jego tylko się śmieje, a przysuwa się coraz to bliżej, a ręce zaciera z wielkim zadowoleniem, powtarzając od czasu do czasu: „Niech mnie tu zaraz szlag trafi, jeżeli to nie prawda!”

Z maleńkiego walca, rozpoczętego na żarty, zrobiły się formalne tańce. Gdy Owczyńskiej opadną ręce ze zmęczenia, siada Czupurkowa do fortepianu, lecz tę przez grzeczność spędza potem gospodarz. Kostuś właściwie grać nie umie, lecz dobrawszy sobie odpowiedni do taktu akompaniament, albo wygwizduje ochoczą polkę, albo też wykrzywiwszy w pocieszny sposób usta, naśladuje z ogromną werwą głos trąbki lub żydowskiego klarynetu.

Domyślacie się czytelnicy, że cała ta zabawa ze wszystkimi szlacheckimi figlami i że tak powiem, za nadto familiarną poufałością, nie szłaby tak ochoczo, gdyby co pół godziny nie zjawiała się wstydliva Nastusia z nowym zapasem węgryzna, a Kostuś, muszę mu to przyznać, jest nadzwyczaj gościnnie i niewyczerpany w wynajdywaniu coraz to innych pozorów do wypicia czyjegobądź zdrowia. Kiedy już dobrze mieliśmy w czubku, dla różności zaproponował śpiewające toasty; ustawił nas kołem przed panem Wtorkiewiczem z kieliszkami w rękę i miną zawadyacką, i zanuciliśmy chórem następującą zwrotkę:

Siedziały gołębie

Na dębie,

I skubały mech!

Kto nie kocha Wtorkiewicza i t. d.

Nie był to zbyt salonowy toast, ale w tak podniesionej sferze powszechnej wesołości i panie nawet nie bardzo się gorszyły, tem mniej, że ululany inżynier bez egzaminu, gdy chodziło o zdrowie którejś damy, klękał na oba kolana z tak serdecznie pokornym wylaniem swych uczuć, iż za każdym razem musieliśmy go podnosić. Nasz wielki nieznajomy wybornie dotrzymywał placu, i coraz to energiczniej dobierał się do serca panny Florentyny. Wszystkie kobiety jak jedna były już za nim, co przyznam się państwu nadzwyczaj mię rozza liło. Jak wiecie, nie miałem żadnej pretensji do tej panny, jednak takie raptowne odsunięcie mojej osoby na drugi plan niezmiernie mię ubodło.

— Coż ja tu mam być piątem kołem u wozu, czy co? — powiedziałem sobie, i przywołałwszy resztę

przytomności, jaka mi jeszcze do dyspozycji pozostała, skierowałem chwiejne kroki swoje do gościnnego pokoju. Ale niestety i tutaj spotkała mnie nowa konfuzyja! Toż oni dla tego lwowskiego fircyka, pościel z mojego łóżka przenieśli na jakąś twardą i skrzypiącą kanapinę, na której aż strach się położyć, żeby się nie rozleciała. Patrząc, na jego łóżku atlasowa kołdra, poduszki haftowane z falbanami, pod spodem puchy... Oho! do milion... tego już moi państwo zanadto! Więc też nie namyślałem się wiele, tak napół rozebrany pakuję się na owe atlasowe parady i tonę z rozkoszą w puchowych miękkościach...

Dobrze mi, ciepło ale usnąć nie mogę, bo w uszach ciągle brzęczy ten ślamazarny walc Owczyńskiej, myszy harcują nad sufitem, jakby cały dom chciały roznieść, a na końcu języka płaczą się ciągle owe gołębie, co to siedziały na dębnie i skubały mech. Niby drzemię, niby marzę, a cały pokój kręci się koło mnie i kręci, kanapa tańczy z inżynierem, piec zamienia się w Dębowskiego, a stary parasol, niby pan Tenczyński chwytając pogrzebacza i hasa z nim w przekonaniu, że to jest Florcia... Śmieję się serdecznie, chcę bić oklaski, ale jakoś ręce nie słuchają, gdy zaperzony pan Jan, niby kogut jaki staje obok mojego łóżka i zaczyna mię bez ceremonii spychać na podłogę. Rozpoczyna się między nami walka na dobre; on całymi siłami stara się wyrugować mię, ja się nie daję, ale wreszcie czuję, że jestem zepchnięty na samą krawędź, chwieje się i naraz buch na podłogę. Nie mogę sobie zdać sprawy, co w tem jest snu a co prawdy na jawie, choć rzeczywiście leżę na ziemi, jak długi, a na łóżku, słyszę, ktoś przewraca się tylko i mruczy.

— A to ładaco, upił się jak bela... poczekajże ty, Maćku, jeżeli ja cię nie wypędzę jutro! Zakwaterował się do mojej bryczki, i jeszcze mię za łeb bierze... Dopiero na drugi dzień dowiedziałem się, że to nie był Tenczyński, a tylko przyjaciel mój inżynier bez egzaminu, którego już w stanie porządnego strąbienia Dębowski z Czupurkiem zanieśli do gościnnego pokoju. Szanowny technik, zobaczywszy pierwsze lepsze łóżko, kładzie się w przekonaniu, że to jest bryczka jego, na której zwykle podczas podróży sypiał w miasteczkowych zajazdach... Nic dziwnego, że i moja osoba wydaje mi się furmanem Maćkiem, a dalej łatwą do wytlómaczenia złość i zawziętość, z jaką rugował mię ze swej mnie

manej własności, aż wreszcie bez ceremonii wyrzucił na podłogę.

Czy spali i gdzie spali inni panowie tej nocy, tego dokładnie już nie wiem, tyle jednak pamiętam, że obu dziwny się nazajutrz, zobaczyłem, że jasno w pokoju, że w piecu ogień trzeszczy, a tuż przedemną ubrany już kompletnie do podróży siedzi na krześle mój Kaczykowski i coś pisze... Głowa mi ciężka, jakby miała z pięć dziesiąt funtów ołowiu; chciałbym spać jeszcze, ale kochnany współlokator zrywa się z łomotem co chwila od stołu, drze zapisany papier, i medytuje i czoło pociera i rozkłada rękami, widocznie jakby mu olej nie chciał nadpływać do głowy.

— Czego pan tak latasz jak wary at i spać nie dajesz?—odzywam się, przecierając oczy.

— A łaskawy panie dobrodzieju! — mówi, zatrzymując się przedemną — jak to dobrze, że pan się nakońiec obudził; ja tak czekałem tego jak kania deszczu... Toć to już jedenasta i wszyscy wstali... Mój drogi pa

nie, nie mogę sobie w żaden sposób przypomnieć, kto to kogo napisał, czy Goethe Szyllera, czy Szyller Goethego?

— Na cóż panu ta wiadomość?

— Potrzebna mi, bardzo potrzebna: piszę tu jezną rzecz i jak utknałem na tem, tak ani rusz... Pokornie też proszę łaskawego pana, jak to było?

— No Szyller Goethego — mówię, udając po wagę...

— Unizenie dziękuję... Rychtyg tak samo myślałem, ale nie byłem pewny; a pan dobrodziej przyzna, że jeżeli się pisze coś, co i kobiety czytać będą, nie wypada strzelić takiego bąka...

Siada tedy znowu, i już gładziej mu pismo idzie, choć co minuta zatrzymuje się jeszcze, papier podnosi do oczu, do mnie się obraca, niby z chęcią przeczytania tego co napisał, ale widzę, że waha się, bo dokończywszy listu, składa go we czworo, pakuje do koperty, załepia, a położywszy adres, oddaje mi do ręki.

— Zrobi mi pan dobrodziej jedne łaskę?

— Zrobię.

— Otóż, proszę pokornie, aby pan list ten oddał samemu panu Drachowskiemu, jak ja ztąd wyjadę.

— Zdaje mi się, że on już nie śpi — mówię — ot, słyszę jego głos w kancelaryi... czemuż pan nie odda mi sam, lub się nie rozmówi...

— A, nie wypada! To bardzo drażliwa i dla mnie decydująca sprawa... Lepiej jak to pójdzie przez piśmo... Ja zaraz wyjeżdżam dla odbioru szutru, i do piero wieczorem tu wrócę... No, odda pan, co, do własnych rąk?

— Oddam, dlaczego nie — rzeknę przyjmując

list, choć niezmierna ciekawość mię pali, co to może być takiego, czego on powiedzieć nie chce, a z czym ma związek Szyller lub Goethe... Próbuję więc mego inżyniera i tak i owak, aby się wygadał, ale on tylko uwiija się, pakując plany do teki, zaciera ręce i śmieje się pociesznie, powtarzając: dowie się pan dobrodziej, do wie i przekonana, że ja tak zawsze: raz, dwa, trzy, śmiało i odważnie!

Zajechała bryczka przed boczne drzwi dworskie, na koźle siedzi ów Maciej, jakieś przygarbione i niepočasne chłopisko, którego to ja miałem tej nocy reprezentować, pan Kaczy ko wska całuje mię z wielkim ani muszem w oba policzki, (dalibóg nie wiem, z kąd tak rąptem wzięło mu się na taką przyjaźń) wskakuje na ową bryczkę i jedzie z Panem Bogiem.

Zabił mi klina z tym listem, myślę sobie ubierając się czempredzey, aby oddać Kostusiowi i dowiedzieć się, co ten Goethe ma za związek ze sprawami drogowymi. Ma się rozumieć, że ani wody do mycia niema, ani rzeczy moich od wczoraj nie ruszono, więc kłopotząc się, w jaki tu sposób złowić przechodzącą Nastusię, słyszę, że w sąsiedniej kancelaryi gospodarza toczy się bardzo poważna dysputa o kierunek nowej drogi powiatowej, dla której właśnie pan Wurstan delegat sąsiedniego powiatu przyjechał...

— No, no, nie stój darmo wójcie i nie czekaj!— słyszę głos Kostusia.—Ja się, panie dobrodzieju nie rozerwę... Co tam most, głupstwo, tu mamy ważniejsze rzeczy...

— Bo to ino, żeby jaśnie pan dał kartkę do leśnika na to drzewo...

— Mówię ci, teraz nie mam czasu! Zabierz wój

cie radnych i cieślę Kownata i idźcie tam do mostu a my zaraz przyjedziemy...

— Jaśnie panie, tylko żeby to niedługo, bo szkoda mitręgi; dziś jarmark w mieście, to jaki taki ma sprzedać éwiartkę, drugi soli kupić, a Fajbuś także chce jechać z arendarzem.

— Niech jedzie, na co nam Fajbusia.

— Jaśnie pan wie, że ja jestem niepiśmienny wójt, a Fajbuś, na to mówiący, jest pisarzem gminnym, to jakby co wypadło...

— Ale też nudzisz, niech cię Bóg kocha!—mówię idźcie do mostu i poczekajcie... Widzisz przecie, mam gości i tego... Dziwny bo człowiek z ciebie, wójcie, zda

je ci się, że ja niemam nic więcej na głowie, tylko ten głupi most pod Krzykawką...

— Ludzie łamią wozy i ze Starostwa już gadali...

— Niech gadają, niech łamią...

Na to ja wszedłem, więc wójt pokręciwszy kilka razy czapką w rękach, podrapawszy się po głowie, wyszedł, wzdychając ciężko.

Między obradującymi przy dużym stole w kance laryi pana Konstantego, był i pan Wojciech Dębowski, a że to dziś jego imieniny, więc choć nie bardzo sympatyzowaliśmy z sobą, jednak złożyłem mu dość etykietalnie moje życzenia, napomykając żartem o synu, któryby mu się przydał...

— Eh, panie dobrodzieju, co tam!—mówi, dziękując mi dość obojętnie—ot, lepiej, żeby pszenica podniosła się w cenie...

— I to potrzebne, i to się zda —rzecze uśmiechając się delegat Wtorkiewicz, zatopiony w rozpatrywaniu wielkiej mapy, rozłożonej na stole.

_ A ja tu mam do ciebie bardzo ważny list, Ko stusiu —odzywam się, podając mu pismo.

— List, od kogo?

— Od inżyniera. Wyjeżdżając, prosił mię, aby ci go oddać do rąk własnych.

— Sfiksował naprawdę. Toć przed godziną rozmawiał ze mną i po obiedzie wróci; prosiłem nawet żony, żeby mu tam co zostawili.

— Ma to być jakaś ważna sprawa, o której nie śmiał mówić.

— A niech go tam kaduk porwie z jego ważnością! To czysty sowizdrzał, wczoraj oto skompromitował dziewczyninę...

— Którą? Coż on takiego zrobił?

— Nie umie tańczyć, a rwie się... Z Lorcją w tańcu upadł: całe oko ma dziś zasiniałe i płacze biedactwo...

— No, ale przeczytaj — mówię zmartwiony przy godą Lorci—może właśnie przeprasza...

— Gdzie ja mam czas na czytanie jego listów! —zawoła kładąc nierozpieczętowany list na biurku. — Sam widzisz, odkąd tu jesteś, czy ja mam czas nawet do utarcia nosa... Człowiek publiczny, panie dobrodzieju, to u nas tak: od rana do nocy tylko jakieś sprawy, kominy, delegacje, mosty, drogi, aż głowa mi pęka!

— Obowiązek obywatelski, służba krajowi — odzywa się na to jakby z drwiącym uśmiechem Wurstman, zdejmując szkła z nosa.

— No, ja też nie tego, służę, panie dobrodzieju; ale fakt faktem, że nie mam czasu.

— I zasługa jest — dorzuca Wtorkiewicz — cała

okolica z wielkim tego... dla sąsiada, jak się to mówi... uznaniem... bardzo...

— Ładne mi uznanie — rzecze już trochę zadąsa ny Kostuś z pewną ironią w głosie — a kiedy szło o wy bór na tego głupiego posła, to, panie dobrodzieju, nie. Ty haruj, ty rozbijaj się po powiecie, pisz, indaguj, ale do sejmu to ksiądz ma lepszy rozum; jakby tam samych tylko cymesów wysyłano. Nie bójcie się, na drugi raz stanę jaz mych posiadłości i przejdę, jakem Drachowski tak przejdę, ale wtedy zaleję wam, panie dobrodzie ju, sadła za skórę; popamiętacie, co to Drachowski de mokrata!

— Tego nie zrobisz, Kostusiu—przerzywa mu Dę bowski, obcinając sobie scyzorykiem paznokcie — dość mamy już tych demokratów z miasta...

— Zrobię, jak Boga kocham, zrobię, i będę krzy czał na całe gardło w sejmie za ludem. Najprzód, pa nie dobrodzieju, dyety poselskie won! szkoła w każdej wsi, a prestacye drogowe od konia albo wozu...

Widząc, że rozmowa ta zaczyna przybierać kieru nek sporu o rzeczach publicznych, do których mieszać się nie lubię, zabieram się do wyjścia.

— Gdzie idziesz? — mówi chwytając mię za rękę.

— Na kawę, jeszcze nie piłem.

— Kazałem tu przynieść śniadanie. Uważasz, tam w jadalnym pokoju straszny chaos... Teklunia prosiła żeby was nie puszcząć... a zresztą zdasz nam się przy naradach o tej nieszczęśliwej drodze...

— Sądzę — odzywa się Wurstman, zawsze z tym ironicznym uśmiechem,—że tego pana znudzą nasze dy sputy drogowe, do których trzeba mieć specjalne wia domości i upodobanie.

— Ho! ho! nie bój się delegat, on się zna dobrze na drogach, dwa lata, panie dobrodzieju, mieszkał w Zurychu, a tam przecie jest najslawniejsza szkoła in żynierska.

— To prawda, że jest—mówię—ale ja do niej nie chodziłem.

— A co to znaczy, że nie chodziłeś, zawsze to wszystko objęło ci się o uszy. I ja, panie dobrodzieju, nie słuchałem prawa, ale że mam do czynienia z rozma itemi ustawami, to się z niem poznałem na wylot... No, zostań, zostań!

Nie bardzo to zostanie moje podobało się panu Wurstmanowi, jednak zamilkł i założywszy szkiełko na

nos, z wielką powagą zaczął rozpatrywać się w kierunku różnych linii narysowanych na mapie. Pan ten, marszcząc brwi i czoło, to znowu wygładzając je chwilą, od czego cała skóra razem z włosami na głowie rusza mu się jakby na sprężynach, robi na mnie efekt dystygowanego urzędnika autonomicznego, który lekceważąc szlacheckie opinie, raczy z konieczności fatygować się, rozmawiając z nimi.

Snać w ten sam sposób pojowali jego znalezienie się i wszyscy obecni, bo Kootuś wzięwszy na kiel szlachecki, postanowił kontrować mu we wszystkim.

— Więc jakże panowie sędzicie, możemy liczyć na przychylną uchwałę w naszej radzie co do połączenia tej drogi?

— Ja za nikogo nie ręczę, ale co do mnie, to otwarcie powiem, że będę przeciwny — rzecze Kostuś, wstając z krzesła i wkładając z fantazją ręce do kieszeni. — Nam ta droga niepotrzebna.

— Proszę zauważyć, żeśmy ją doprowadzili do

granic naszego powiatu, ma więc zakończyć się na Skoblewicach?... Chciejcie panowie zrozumieć, że droga musi mieć łączność przynajmniej ze stacją kolejową laznej.

— Cóżto, droga jest wodą, czy co, żebyśmy ją musieli przyjąć! Jakaście zaczęli, tak róbcie dalej.

— W waszym powiecie?

— Choćby w naszym... My potrzebujemy drogi szutrowanej, to sobie ją zrobimy, ale nie od Skoblewic... Nasza pójdzie na Bożęcina, bo to jest, panie dobrodzieju, punkt handlowy...

— Tak — rzecze z sarkazmem Wurstman — przez Sobków.

— I przez Krzykawkę — dorzucą dobroduszenie Wtorkiewicz. — Ja od Krzykawki nie odstąpię, dość już tyle lat czekamy. Basia mi zawsze powiada, co ty za delegat drogowy, żebyś innym drogi budował, a sam je żdził po błocie.

— Jest racja — przerywa, czerwieniąc się Kostuś — ja nie jestem gorszy od drugich i, panie dobrodzieju, jak wół pracuję dla powiatu; niechże mi też zrobią tę dogodność, że będę miał dobrą drogę do Bożęcina. Trzeba panu wiedzieć, że Sobków produkuje i wywozi przeszło dwa tysiące korcy zboża! To nie bagatelka, panie dobrodzieju, dwa tysiące to jest zasługa wobec kraju; więc dlaczego ja mam za to wszystko za bijać konie, łamać wozy po takich wertepach, drzeć luprząż...

— Tylko te góry, te góry, sąsiedzie! — odzywa się Wtorkiewicz, drapiąc po głowie — coby to kosztowało?... U mnie w Krzykawce można ominąć...

— Wielka rzecz góry! przekopie się. Nie takie

rzeczy gdzieindziej robią, na przykład w Szwajcaryi, prawda Konradzie, tyś tam widział. Zresztą przez pan skie Zabłocie idzie szutrowana droga?—mówi, zwracając się do Wurstmana.

— Tak, idzie.

— I przez Nowinkę waszego prezesa?

— Także.

— Więc niechże idzie i przez Sobków!... Pałaców nie mam, oanzeryj nie mam, ale, panie dobrodzieju, pszenicę mam...

— Darujecie panowie, żądania wasze są cokolwiek dziwne—mówi Wurstman, pokazując palcem na mapie. Gdzież tu Skoblewice a gdzie Sobków? Przypuśćmy nawet, żeby i tak było jak chcecie i droga szła do Bożęcina, to my zamiast trzech mil z Skoblewic do kolei, mielibyśmy osiem... To niepodobna! zresztą i prezes wasz zgodził się na ten kierunek.

— I to nieprawda.

— Przepraszam—mówi, wstając od stołu Wurstman—ja tu pokażę panom protokół...

Szuka pan Wurstman owego protokołu między papierami, leżącymi na biurku Kostusia, aręcemu się trzęsą, a skóra na głowie lata, lecz jakoś znaleźć go nie może.

— Co to jest?... wczoraj miałem i położyłem razem z kosztorysem... Pamięta pan, na siwym grubym papierze... czytaliśmy wczoraj...

— Prawda, czytaliśmy—dodaje Kostuś, przerzując także swoje szpargały. — Nie powinien tu zginać.

— Widocznie ktoś zabrał, a jednak to bardzo ważny dokument.

Szukają znowu, przewracają arkusz za arkuszem,

Kostuś wydobywa nawet rejestra gospodarskie ze szuflady, plondrują, rozrzucają...—niema.

— Może przypadkiem służący...

— Niepodobna, jednak się zapytam — mówi już niespokojny Kostuś. A otworzywszy drzwi do przedpokoju, krzyczy na całe gardło: — Nastka, Nastka, a pójźno sam!

Przybiega owa wstydząca się Nastusia, więcej niż zwykle zabrudzona, i powiada, że jako żywo nie widziała, nie słyszała, chyba że Szymon, bo on raniusko zapalał tu w piecu.

— Wołaj Szymona! — krzyknie pan Konstanty,

zaalterowany tem, że bardzo być może, Szymon podpa-
lił w piecu protpkółem.

Idzie więc ów Szymon z kuchni folwarcznej, idzie
przystrugując nożem jakiś kijek, i gada z bardzo roz-
koszną miną do siebie. Kostuś już czeka na niego przy
drzwiach i wprowadza za kołnierz do kancelaryi.

— Powiedz mi prawdę!—krzyknie nad uchem sta-
rego—spaliłeś w piecu papier?

Przestraszony Szymon tylko podniósł wyblakłe
ze starości oczy na pana, a otworzywszy szeroko usta,
kręci głową, że nie.

— Kłamiesz stary!

— O laboga, a nie mam ja to swego łuczywa, he?

Nie bój się panicz, schowałem ja przed Nastką w in-
spektach.

— Ot taki siwy papier jak ten — dodaje Wurst-
man, pokazując mu podobny arkusz.

Zapisany?—pyta z głupowatą miną starszek.

— Zapisany.

— Dobry papierek, o, dobry na szczepienie, galan
to się zrazy obwija... Taki zapisany to mam.

Ma się rozumieć, wyprawiono go natychmiast po
ów zapisany, który z małym naddarciem oddając, zape-
wnia naiwnie, że wziął go dlatego jedynie, iż calusieóki
był zapisany...

— Niech mię Pan Jezus zachowa, jaby ta czy
stego nie ruszył... Stary Szymon nie tknie tego, co po
trzebne.

A skończywszy sprawę z papierem, korzysta ze
sposobności, aby prosić o trochę oliwy do maści, bo to
czas już drzewka szczepić.

— Koniecznie trzeba po nowiu — rzecze, rozkła-
dając szeroko rękami, W ile dni po nowiu się oszczepi,
to na tyle lat będą drzewka rodziły, jaw tem praktyk.

Ledwie, że Kostuś odsyłając z żądaniami oliwy
do pani, zdołał się pozbyć starego gaduły, a przy tej
sposobności zaczął Nastusię, która właśnie przecho-
dziła, niosąc całą baterie garnuszków ze śmietanką.

— Dacie wy raz tę kawę, czy nie?

— Zaraz, proszę pana, ino pani wróci z piwnicy,
gdzie siedzi z tym panem?

— Z jakim panem?

— A no z tym, co ma taką gulę na głowie. Stra-
sznie tam penetrują z panią po piwnicach, bo ta mają
jakieś grzyby robić czy co. Pani wołała już Ignacego,
żeby duchem leciał po stolarza, co ma skrzynki zma-
strować takie jak u ogrodnika w inspektach i w to nad-
łożą pono ziemi...

— Powaryowali...

— Kucharz, proszę pana, ino się też śmieje, co ta
robota jest po próżnicy.

Ko, biegnij po panią i powiedz niech dają ka wę, bo my tu z głodu poumieramy.
— Wiem ja, wiem, zakładają hodowlę sztucznych pieczarek—odzywa się delegat Wtorkiewicz. — I moja Basia póty mi suszyła głowę, póki nie dałem desek na skrzynie... Pan Jan powiada, że jak raz zasieje pie czarki, to same będą się rodzić przez kilka lat zimą czy latem...
— Na dyabłażto tyle pieczarek?
— A, panie dobrodzieju, on powiada, że za to grube pieniądze się weźmie we Francyi, i w słojach się będzie robić jakieś soje... i het, to pójdzie za granicę. Tymczasem pan Wurstmán rozczytując się w owym protokóle, doszedł, że prezes Rady powiatowej był przed dwoma laty na naradach, gdy szło o kieru nek nowej drogi.
— Bardzo tam był potrzebny—przerywa mu Ko stuś.— Jużto nasz prezes uczciwa i zacna dusza, panie dobrodzieju, ale nieraz takiego wyrżnie bąka, że dalej nie idzie... Żebym ja był na jego miejscu, nie takby rzeczy szły u nas... trzymałbym cugle, mości dobro dzieju...
Nareszcie zjawiła się tyle upragniona kawa. Na stusia cała w ogniach ze strachu, żeby nie upuściła ta cy, suwa krok za krokiem, a pani Tekla jeszcze w papi locikach nad czołem, prowadzi ją za rękę z miną nad zwyczaj ożywioną. Procesyę tę zamyka pan Jan z Ten czyna, trzymając z pewną tajemniczością obie ręce za sobą.
— Kostusiu, dziękuj panu! — mówi, odwracając się do pana Jana. A widząc, że ten się jakoś namyśla,

nie wiedząc za co ma dziękować, powtarza z uniesie niem:—A dziękujże, kiedy mówię!
— A! bardzo, tedy... panie dobrodzieju—bąka za kłopotany małżonek, wyciągając do niego ręce.
— Pokaż mu pan! — dodaje pani Tekla — pokaz! Widzisz, co jest w tej buteleczce—mówi dalej, odbiera jąc z rąk pana Jana trzymaną w tyle flaszkę i podając mężowi...
Kostuś patrzy, a wzruszywszy ramionami ze zdzi wienia, stawia ją obojętnie na stole.
— Ale powąchaj!
Kostuś wyjmuje korek, przykłada butelkę do nosa:
— Czuć naftą!

— Prawda, czuć. A wiesz z kąd ta nafta?

— Nie wiem.

— Otóż, niech ja pierwsza oznajmię panu, że to jest nafta sobkowska, ze zdrojowiska, które leży pod naszym spichlerzem. Kto nie wierzy, niech idzie się przekonać...

Zrobił się niesłychany rumor między obecnymi, wszyscy się zerwali z krzeseł, chwytając po kolei ową butelkę do wąchania, a Kostuś kompletnie oniemiał i tak przerażająco wytrzeszczył cebulaste swe oczy, że byłem w obawie, czy mu czasem na stół nie wyskoczą. — U mnie nafta! — zawoła, chwytając się zagłowe. — Rany Boskie, to jest sobkowska nafta!... Ja chyba zwaryuję! Konradku, serce ty moje, panie dobrodziej — mówi, chwytając mię wpół z największą czułością — lećmy zobaczyć naftę... W Imię Ojca i Syna, prędzejbym się śmierci spodziewał, niż nafty w Sobkowie... Zmiłuj się, trzymaj mię, bo upadnę! I

Zapomniawszy o kawie, wszyscy z niezmierną ciekawością rzucali się do drzwi i na dziedziniec. Pani Tekla unosząc cokolwiek zawysoko swą suknię jedną ręką, drugą chwytając stojący w przedpokoju rydel i brnąc po błocie dziedzińca idzie naprzód. Za nią pan Jan, pan Wojciech, jeden i drugi delegat, wreszcie my z panem Konstantym biegniemy na wyścigi ku spichrzowi. Z bocznej sieni dworu pokazuje się w swej aksamitnej mantylce, niby w ornacie kościelnym, stara Owczyńska; z oczu jej widzę, że namyśla się czy iść, czy nie iść tam gdzie i drudzy, a za jej ramionami wyglądają głowy innych znajomych nam pań, które nie mogą pojąć, co to za ważna sprawa tak nas pędzi ku spichrzowi.

— Co to takiego?—pytają naraz.

— Źródło nafty odkrył pan Jan! — odpowiada krótko pani Tekla i idzie dalej rozpowiadając Wtorkie wiczowi, jakto urządzając miejsce na przyszłą hodowlę pieczarek w piwnicy pod spichrzem, pan Jan poczuł za pach nafty, jak nic nie mówiąc poszedł za spichrz, obejrzał źródłisko, sączące się z tamtej strony, jak spróbowawszy przekonał się, że to jest najprawdziwsza ropa naftowa; potem jak krzyknął z radości i zawołał, żeby mu dać rydel...

— Mówię sąsiadowi, ażem struchlała, bo tu mu się ręce trzęsły, a wołał rydla, na miłość Boską, rydla i butelki... Wziął na jeden sztych ziemi, i naraz w tem miejscu wystąpiła woda; nabrał do flaszki, i powiada: wąchaj pani...

Damy stojące w sieni dworu, których dolatują urywane słowa opowiadania pani Tekli, już nie mogą wytrzymać dłużej, lecz chwyciwszy chusteczki na głowy,

za przykładem Owczynskiej, przebierając misternie nóżkami, śpieszą za nami.

Cel naszej podróży, ów spichrz drewniany z podmurowaniem, stoi niedaleko cugowej stajni na wzgórku, którego lekki spadek ku ogrodowi stanowi grzędka, przejęta zaskórnymi zdrojowiskami kępina. Kostuś zobaczywszy wykopany tuż za ścianą spichrza dołek, przy którym zatrzymała się Teklunia, puszcza raptem swoją rękę, przeciska się przez otaczających go panów, a nie zważając na błoto, przykleka nad tym dołkiem. Oparłszy obie ręce na mokradli, śmiało zapuszcza obywatelski swój nos do wody zebranej w dołku, a przekonawszy się, że wodę tę rzeczywiście czuć naftą, zrywa się nagle i zabloconymi rękoma chwyta w objęcia zdumionego swą własną wielkością Tenczyńskiego.

— Bóg cię tu przyniósł, łaskawco! Nafta, jak Boga kocham, prawdziwa nafta!... Sąsiedzie, powąchaj, jeżeli mi dobrze życzysz, powąchaj!—mówi zwracając się do Wtorkiewicza.

Zakłęty i proszony w ten sposób delegat, z rezygnacją powtarza to samo co i Kostuś doświadczenie, ale że ma trochę zaciąsny tużurek, więc przy raptownym schyleniu się nad dołkiem, pęka mu gdzieś na plecach koło rękawa.

— A bodajże cię, bodaj — mówi po chwili, wstając — a tom sobie rozwałił surdut.—I wykręciwszy rękę w tył, zaczyna macać ową ranę na plecach, a drugą uciera wąsy zamoczone w wodzie naftowej.

— Nie turbuj się, nie! — rzecze, klepiąc go Kostuś—dziewczyny ci tu zaraz zaszyją.

— No, panie Janie, wiedziałem tego... że masz tego łeb, ale jak ja widzę teraz, to masz jeszcze cięższy

nos... To ci nos, jak Boga kocham, żeby w piwnicy przez ziemię poczuć naftę!

Rozentuzjuszony Kostuś już rady sobie dać nie może ze swoją radością, a nie mogąc ani pana Wurmana ani mnie namówić do sprawdzenia na gruncie zapachu nafty, zwraca się z propozycją do Owczynskiej, każe jej przynieść na podesłanie trochę z bryczki grochowin i dopóty prosi, dopóki ta zacna dama nie przekonała się o prawdziwości odkrycia pana Tenczyńskiego. Nawet tyle jest uprzejmym Kostuś, że podczas operacji trzyma nad nią owe długie języki aksamitnej mantyli, aby się nie zamaczały.

— A teraz, Tekluniu moja—rzecze, obcierając ręce o jej gospodarski fartuszek—wypijemy sobie zdrowie naszego Jasia; każno, duszyczko, przynieść tego z No

wego Sącza.

— Dobrze, tylko idźcie panowie do pokoju.

— A nie, nie, tu wypijemy na gruncie przy źródle.

Kiedy szanowna gospodyni, szukając po kieszeni kluczyków pobiegła do dworu, gospodarz zastąpiwszy nam drogę na ścieżce, nikogo nie wypuścił. Mokra i chłodno było na dworze, kobiety zaczęły się krzywić, przebierając nóżkami po błocie, Wurstman w lakierowanych trzewiczkach ulokował się na leżącej obok źródła łopacie, gdy rozgorączkowany Kostuś zwoływał ludzi, aby natychmiast znieść koły dębowe na ogrodzenie przyszłej naftowej studni...

— Co chcecie, to tałałajstwo ze wsi, jak się tylko dowie że to nafta, to ich tu kijem nie wypędzisz; będą drapać...

Stał więc, dysponując, jaki zająć teren na ogro-

dzenie, aż wreszcie pokazała się Nastusia z tacką i z dwoma omszałymi butelkami węgrzyna, tego samego, którym Kostuś chwalił się przed nami w Krakowie.

Wypiliśmy po dwa kieliszki za zdrowie pana Jana i za pomyślność kopalni naftowej, gdy Wtorkiewicz jak zwykle zaproponował zdrowie pana Konstantego, przysłał go posła...

— Przepraszam szanownego sąsiada—mówi rezolutnie—ja teraz, panie dobrodzieju, drwię sobie z wasze go poselstwa; słyszysz, drwię i basta! Panie dobrodzieju, mając naftę, ja zacznę grać po swojemu...

Zmieniliśmy tedy na gospodarstwa zdrowie, i czując dreszcze przechodzące po ciele z zaziębienia, ruszyliśmy ku gankowi. Niedaleko od wejścia, wysuwa się do mnie jakiś posłaniec, prowadzący za sobą konia na uździenicy, a oddawszy czapką ukłon ku ziemi, rzecze:

— Jaśnie wielmożny elegancie, przysłał mię też pan omentra, żeby jasny pan elegant przyjechali do mostu pod Krzykawkę.

Panie roześmiały się na głos, usłyszawszy z taką pompą wygłoszoną nazwę eleganta, lecz ja zmiarkowa wszy że to idzie zapewne o delegata, zwróciłem się do pana Wtorkiewicz a.

— Mój człowieku, to ten pan jest elegantem a nie ja...

— No, no, przyjedzie się tam, przyjedzie —odzywa się pan Wtorkiewicz wycierając nogi o słomiankę.

— Ale proszę jaśnie pana, bo ta i wójt i radni i pan omentra czekają od rana.

— Wielka rzecz—wtrąca Kostuś—niech czekają Mój przyjacielu, służba urzędowa to nie zabawka;

trudno, i ja nieraz muszę czekać. Jedź sobie napowrót i powiedz, że my tam zaraz będziemy. Pan inżynier niech robi swoje, panie dobrodzieju, a gospodarze niech dobrze wyrachują, ile trzeba drzewa... Jakże tam stare belki, zdadzą się na co?

— Bogaćta, jasnie panie, het wszystko zgniło...

— U was to wszystko zgniło, aby tylko niszczyć pańskie lasy... "Wiesz sąsiad — mówi, zwracając się do Wt orkiewicza—trzeba nam znieść te mosty drewniane, kamienne będą daleko lepsze... Panie dobrodzieju, ja już nic mogę wystarczyć drzewa, a teraz uważasz, stundnia naftowa będzie jadła sosny, oj będzie jadła...

— Słuchajno Kostusiu — wtrącam, przypomniasobie o liście inżyniera — a przeczytajno jego pismo, może on tam co żąda...

— Dajże mi pokój z jego listem...

— Co to za list? — pyta z ciekawością pani Tekla.

— Ten pan, odjeżdżając dzisiaj, zostawił mi list, prosząc, aby go do własnych rąk Kostusia oddać..

— A dobrze, dobrze moja Teklusi, przeczytaj, bo sama widzisz, czy ja mam czas... Co to będzie teraz, jak mi jeszcze ta nafta przybędzie...

Pani Tekla, jak każda kobieta, nadzwyczaj była zadowolona owym listem inżyniera, dowiedziawszy się zatem gdzie leży w kancelaryi—wyrzuciła nas, i gdyś my weszli do pokoju, już kończyła czytanie...

— A to wyborne, a to doskonale!—mówi, śmiejąc się i ciągnąc na stronę Kostusia. — Paradny sobie ten pan Kaczykowski! — szepnęła mu potem coś do ucha, on się roześmiał, a w końcu machnąwszy ręką, powiada, — A nie mówiłem ci, że to sowizdrzał...

— No i coż ty na to?

— Moje życie, gdzież ja mam czas zajmować się takimi rzeczami! Poradz się tam wspólnie, i zróbcie jak chcecie... Ja, panie dobrodzieju, mam tyle do myślenia z tą naftą, bo to i bali nie mam na cembrzynę... i... korby trzeba...

Pan Wurstman, widocznie znudzony tem wszystkim, i przekonawszy się że nie dojdzie żadnego ładu z tą drogą, prosił aby kazano jego służącemu zaprzęgać. Kostus niby to zapraszał na obiad, ale znać było, że rad byłby jaknajprędzej pozbyć się gościa; skoro więc wyprowadziwszy go na ganek pożegnał ceremonialnie, mówi do nas:

— Nie cierpię, panie dobrodzieju, takich mumii...

Proszę was, z czego tu dać... Wurstman, to niby coś...

panie tego... a wioszcyna tez nie tęga i to obdłużona, a gwałtem chce mu się być panem. No, a teraz kiedy jesteście sami, powiedz mi kochany panie Janie, co ty myślisz o mojej nafcie?

— Myślę—rzecze pytany—że wziąć się do eksploatacji i kopać studnię. A ponieważ, pan dobrodziej nie zna się na tem, to sądzę najlepiej przystąpić do naszego stowarzyszenia.

— A jakież to wasze stowarzyszenie?

— Jakto, pan dobrodziej nie wie?

— Łaskawco, człowiek żyje tu za górami, i wi dzisz tak zajęty różnemi sprawami i swemi i urzędowe mi, że tam na świecie Bóg wie co może się robić, a ja nic nie wiem...

— Więc i dzienników panowie tu nie macie?

— Mamy we trzech jedne gazete, ot i sąsiad de legat jest do spółki, ale nim przyjdzie do mnie, to, pa

nie dobrodzieju, już taka podarta, że nic nie można wy czytać... Kobiety tam mają jakieś z powieściami i mo dami, a ja przyznam się panu, tych romansów nie lu bię... Numa poszła za Pompiliusza i basta... Więc jakież to wasze stowarzyszenie?

— Zakładamy we Lwowie, i już jesteśmy zorganizowa ni Towarzystwo zewnętrznego i wewnętrznego domo wego przemysłu...

— A, zapozwoleń, słyszałem, jak raz słysza łem o tym domowym przemyśle. Nie pamiętam, kto mi to mówił, zdaje się że doktor, że będziecie garnki le pić, różgi sadzić... coś jakieś szkoły, koszyki i inne hi storyę... Szanowny panie, alez to podobno niucha ta baki nie warte...

— Wiesz Kostusiu — odzywa się śmiejąc Wtor kiewicz — te różgi to możeby się i na co przydały... bo od czasu jak ich zabrakło do szkół, to chłopaki tylko na wisusów wyrastają... Ale szanowny sąsiedzie to nie to... pan Jan czytał mi statut... i prospekt na pismo peryodyczne. Oni ci, mości dobrodzieju, będą korzy stać ze wszystkiego, co w gospodarstwie na nic idzie... Przy tych słowach pan Jan, wydobywszy z wa lizki plik zadrukowanych papierów, odczytał dwadzie ścia ośm paragrafów ustawy nowego towarzystwa, na lktórą zgodziło się już siedemdziesiąt dwóch obywateli wiejskich, złożywszy na ręce delegata po pięćdziesiąt reńskich wkładki, a co do nowego pisma, które będzie Inosić tytuł Trąba, takowe ma już dwustu prenumera torów.

— Ja, panie sąsiedzie, podpisałem się na dwie akcye... jak Boga kocham na dwie — mówi Wtorkie wica, Fabrykę pieczarek zakładam; wyrachował mi

pan Jan, że funt nawozu wypadnie mi na pięćdziesiąt krajcarów z czemś i jeszcze go na pole wywożą... Na zimę, mości dobrodzieju, zaprowadzam fabrykę dywanów... a wszystkie gałgany, skorupy, rogi, papierki i wióry nawet już się składa do skrzynek, bo to het pójdzie za granicę...

Tu pan Jan uznał właściwem wobec wahającego się Kostusia rozwinąć w szczegółach wszystkie plany nowego towarzystwa. Stając przy stole jakby na trybunie, a rękami chwytając się krawędzi, zabrał głos w następujące słowa:

— Panowie, oto są nasze relacje z domami za graniczne mi, z którymi weszliśmy w stosunki: we Francji mamy dom braci Bardet et Companie, kapitał zakładowy dwa miliony franków...

— A co on kupuje?

— Wszystko: skórki cielęce, szapiony, drzewo, zrzynki papierowe, zboże... co pan chce... Dalej w Anglii mamy—rozpowiada z entuzjazmem—dom ten a ten, następnie w Szkocji, Irlandji, w Niemczech, Włoszech, potem w Ameryce, w Indyach, a nawet w Madagaskarze... Panowie, siejąc i młóćąc samo tylko zboże nic nie zrobicie; potrzeba wziąć się do przemysłu i wyzyskać wszystko, co dziś się marnuje, a za co grube pieniądze będą...

— Po całym kraju — ciągnął dalej pan Jan Tenczyński—rozzrucimy agencję; mówiłem już o tem z ministrem handlu; powiedział: Panie Tenczyński i owszem, rząd przyjdzie z pomocą, Galicya tego potrzebuje, to kraj zacofany... Macie tam przyrodzone bogactwa, a o nich nie wiecie, zmiłuj się rozbudź ich, panie Tenczyński... Rozpytywał mię potem o amerykańskie ko-

palnie nafty, a gdy mu powiedziałem, że tam ropa sama rurami idzie do dystylarni, to się za głowę wziął...

— Jakto łaskawco?—przerywa Kostus.

— Poprowadzone są rury pod ziemią z kopalni mil kilkadziesiąt aż do portu lub stacji kolei, pan do brodziej nalewasz przez lej, a nafta płynie sobie sama od razu na okręt albo do wagonu, i transport nic nie kosztuje i beczek nie potrzeba...

— A niechże ich kaczki zdepczą, co to za mądry naród, panie dobrodzieju! To ja z Sobkowa tak sama zrobię do kolei.

— U sąsiada—rzecze na to delegat—to może tak nie będzie, bo to góry.

— Dzieciństwo, co dziś góry znaczą wobec przemysłu! — odpiera, uśmiechając się z litością mój Ten-

czyński.— Gór nie ma, bo zakłada się świder i w parę godzin góra dur eh przewiercona jak cybuch!

W zapale oratorskim nasz wielki nieznajomy wpadłszy na tor opowiadań o nafcie, zajechał na Kaukaz do Baku i tam wykrzyczał jakiegoś księcia Butakowa, że tak marnuje ropę, która całą rzeką płynie do morza, a którą kozacy dla pociechy zapalają na wodzie całe morze Kaspijskie naraz goreje od brzegu do brzegu... Powiedziałem mu: Mości księżę, jesteś osioł, jak można puszczać na wodę takie bogactwa!

— A on co na to?

— Nic, schylił głowę i powiada: Wasza prawda—winowat.,

— Ale pan śmiało z nim...

— Eh, co to znaczy tak śmiało, ja kedywowi egipskiemu jeszcze coś lepszego powiedziałem. Kiedyśmy z Lessepsem otwierali kanał sueski, a trzeba pa

nom wiedzieć, że ja byłem prawą ręką u Lessepsa, na wet małżeństwo jego doprowadziłem do skutku, jak honor kocham... Ona młoda, śliczna kobietka, a Lesseps to już starzec siwy jak gołąb, ale zakręciłem się koło dziewczyny i mówię: Pani dobrodziejko, sława, sława nigdy się nie starzeje...

Wszyscy z otwartymi ustami słuchaliśmy opowiadań pana Jana, skutkiem czego takeśmy spokornieli, że małości naszej wobec niego ledwie mikroskopem dojrzećby już można. Jeden tylko Kostuś, włożywszy ręce do kieszeni, chodził jakoś dziwnie uśmiechnięty po kancelaryi, i kiwał głową i medytował, jakby czuł pewną wątpliwość co do prawdy słów szanownego podróżnika. Tylko gdy przyszło na to, jak pan Jan wykradał prześliczną sułtanekę z haremu w Konstantynopolu, a ona jak baranek niewinny tuliła się ze strachu do niego, podczas przepływania kaikiem Bosforu, to mu się oczy żywiej zaświeciły i zapytał:

— Podobno te Turczynki to nie tego... he?...

— Za tłuste—mówi, krzywiąc się orator—ale to już u nich taki gust... Szczupła kobieta w Turcyi jest rzadkością, i centa za nią nikt nie da...

— Wiesz sąsiedzie, to naszych nie byłoby tam po co wysłać.

— Ej, daj pokój mojej Basi — odpowiada Wtoriewicz — dobra to kobiecina... wiecznie się martwi o wszystko...

Nie pozwalając, aby rozmowa o towarzystwie, które popierał pan Tencyński, zesłała na inny przedmiot, zwrócił uwagę, że największą trudność mają w wyszukaniu agentów na prowincyi.

— Bo to żydzi się cisną—mówi dalej—dwunastu

już i to cymesów zapisało się do nas, a każdy zaraz proteguje swoich.

— Jakto, i żydzi przystępują?—zapytuje Kostuś.

— Niech pan dobrodzieju spojrz na listę: Haskiel z Brodów, Weinsztejn, Liberman, Siskind...

— No, kiedy żydzi idą, to i ja idę, panie dobrodzieju, — rzecze na to Kostuś, zapisując się na pięć wkładek... Te bestye mają nos dobry... No, no, już zgoda między nami, skoro żydzi należą.

Widząc, że rozmowa dalsza już zaczyna się kręcić około przyszłej eksploatacyi kopalni sobkowskiej a pan Jan wydobywa fotografie różnych zakładów na łożowych w Ameryce, gdzie pośród wysokich gór i dy miących kominów sterczą lasy drewnianych rusztowań i wiaduktów, podniosłem się, aby wyjść do pań siedzących samotnie na drugiej stronie mieszkania.

— A pan dobrodzieju nie przyjmie udziału?—pyta mię Tęczyński na wychodnem.

— Nie, łaskawy panie, mam zamiar kupić jakąś wioskę i wziąć się do gospodarstwa, zatem fundusze moje tam zwrócę.

— Co panu po gospodarstwie? Gospodarstwo to kłopotarstwo, a w przedsiębiorstwie takim jak nasze, pieniąż pewny i procent mogę panu zaręczyć najmniej piętnaście...

— Więcej będzie—rzecze z głęboką wiarą Wtor kiewicz.

— Jednak daruje pan, nie mogę...

— To przynajmniej niech pan zaprenumeruje Trabe... ośm reńskich na rok, wychodzić będzie raz na tydzień z rycinami, a przy gospodarstwie to się zda.

— No, weź, weź, Konradku, coż tam osiem reńskich na rok... zrób to dla mnie—mówi Kostuś... Cóż było robić, wziąłem, i wziąłem jeszcze dziesięć biletów do rozprzedania znajomym.

— Nie sprzedasz, to odeślesz! Tylko się nie na myślaj... panie dobrodzieju, trzeba nam się wziąć za ręce... Nie wiedziałem żeś ty taki ostrożny... Na co innego to się nie żałuje...

Zawinąłem w papier owych jedenaście złotych biletów, zapłaciłem za swój osiem reńskich i wymknąłem się do kobiet. Wchodząc do salonu uważałem, że pa nie dawały sobie jakieś znaki tajemne, aby mi czegoś nie mówić, zbliżam się tedy do pani Czupurkowej i proszę o wyjaśnienie sekretu.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła, wiesz

pan—mówi pani Cecylia zajęta szyciem, gdy reszta oto czyła stół, debatując jeszcze nad krojem owej sukni dla Florci. — Dalibóg, panie Konradzie, pan coraz bardziej przestajesz być mężczyzną...

— Jato sam czuję—odpowiadam wesoło, zajmując obok niej miejsce na krześle — że zbliżam się coraz więcej do kobiet...

— Ooo, prawda, ani pana widzieć, ani słyszeć o nim...

— Ja mówię w tem znaczeniu, że przybieram charakter kobiety... Nawet mam zamiar proszenia pań, że byście mi dały co do szycia...

— Chyba że tak jest—odzywa się na to—bo inaczej jak wytłómaczyć wczorajszą ucieczkę pana z salonu? Powiedz mi pan, co mu się stało?

— Nic, tylko czułem się trochę w przebranym humorze.

Ja sędzę, że nie w humorze... Wiem, wiem, mielibście jakąś przeprawę z inżynierem... Musiało to być doskonale, jak on pana wyrzucił na podłogę...

— A z kąd panie już wiedzą o tem?

— Opowiadał nam Tenczyński, i tak opowiadał wybornie, że aż nie mogliśmy sobie rady dać od śmiechu...

— Plotka z niego.

— Ale przyjemna plotka... Przyznasz pan, że to jest miły bardzo człowiek, co?

— Być może, choć mnie się zdaje, że pływa...

— Niech pływa, ale pływa przyjemnie... I ostrzegam pana, panie Konradzie, ostrzegam... Pan znasz to przysłowie łacińskie, jakże to: Dla spóźnionych gości, tylko kości...

— Tarde venientibus ossa! Ale ja tłómaczę to inaczej, że śmiałków psy gryzą...

— Nie zawsze, panie, nie zawsze; gdybyśmy się zapytali Florci, możeby się nie zgodziła na takie tłómaczenie. Wstydz się, panie Konradzie, zrobiłeś nam za wód. Ja i Joasia, znając pana z innej strony, myślałyśmy, że pan się nie dasz nikomu wyprzedzić, a tym czasem może być zapóźno...

— Panie Konradzie—rzecze Owczyńska, pokazując się we drzwiach jadalnego pokoju — proszę na mi nutkę.

— Idź pan, idź, poradzisz Lorci jakie lekarstwo na oko — mówi ciszej — pan lubisz się bawić w filan tropię...

— Imaginuj sobie, Konradku — prawi Owczyńska, biorąc mię pod rękę i wyprowadzając do pierwszego go pokojuten inżynier, widziałeś go wczoraj?

— Widziałem.
— Szaleje za moją Lorcią...
— Tak, wiem, podbił jej oko...
— Brzydki jesteś ze swojemi dowcipami... Wy padek, pośliznął się... ale żebyś widział jak zbladł po tem, to proszę cię, jak ta ściana... wszystko w nim dygotało, kiedy przeproszał. Mówcie sobie co chcecie, jednak to dzielny chłopiec i zakochany, ale to mówię ci, potąd zakochany... Ja się znam na tem, bo widzisz miałam swoje czasy, każdy adjutant ojca musiał się we mnie zakochać, a nieboszczyk Owczyński to, z pozwoleniem, chodził jak baran...
— Do samej śmierci?—pytam naiwnie.
— Et, koncepista z ciebie!—rzecze uderzając mię z gracyą po ręce. — Taki niby poważny człowiek, a tylko ci się same niedorzeczności trzymają. Więc chciałam, Konradku, poradzić się, jak myślisz?
— O czym?
— Czy mu dać Lorcię, czy nie?
— A oświadczył się?
— Jeszcze nie, ale to lada chwila nastąpi. Ja się znam na mężczyznach: cały wieczór, imaginuj sobie z nią tylko, a oczu to nie spuszczał z niej, i tak z rozmowy, o ile mogłam przy fortepianie usłyszeć, już, już nie wiele brakowało. Zresztą co ci tam będę o wszystkich szczegółach rozpowiadać, na których tylko my, kobiety, znamy się przewybornie, dość, że jestem pewna swego...
— Jeżeli już jest pewność—odpowiadam cioci Owczyńskiej—to czegoż więcej trzeba?
— Mnie tylko idzie o to, co on za jeden, i czy co ma?

Jednego i drugiego nie wiem...

— Imaginuj sobie, próbowałam dziś rano wyegza minować jego człowieka Macieja, ale powiadam ci, to prawdziwy Maciek... Mówię do niego i tak i owak, i chciałam mu już dać na wódkę, a on jak drzewo „Mentra jest, nazywa się Kacykowski, powiada, pilnuje my drogi, żeby siutru nie kradli i dziur wielkich nie było...” A dobry twój pan?... „Tak ta, odpowiada, zwy czajnie jak pan: raz dobry, raz zły, jak się trafi...” No i dojdź tu co z takim bałwanem!... Jak Lorcię ko cham, ten nasz lud jest bardzo jeszcze zaniedbany... Chciałam się dowiedzieć przynajmniej jak mieszka, ile ma pokoi, to jest czy nie jest krucho koło niego... a on tylko krzywił się i drapał w głowę, mówiąc: „Niech mi ta imość dadzą spokój święty; ja pilnuję koni i do poko

jów nie chodzę." Wszystko com się dowiedzieć mogła to tyle, że jedna klacz ma dziewiąty rok i strasznie le niwa, a druga srokata jest podpalona i musi nie mieć pięciu, bo jeszcze jej żrebięce zęby nie leciały, że z oku ciem bryczki jakiś Dyszłowski sfusirował i że samowar im się zepsuł wczoraj, bo się w dzióbku coś zatkało...

— Przypuśćmy, że on rzeczywiście ma jakieś za miary...

— Proszę cię, Konradku, nie przypuszczajmy — przerywa mi staruszka — ja jestem pewna, tem mię nie zrazisz. Mężczyzna inaczej się bierze do panny z grzechności, tak na żart, a inaczej na seryo.

— Ale cóż panna Laura?

— Lorcja zwyczajnie jak każda panna: nie chcę, nie chcę, moja marno, niech mi mama o tem nie mówi— ale jakby się oświadczył, toby poszła.

— O ile znam pannę Laure, to wątpię...

— Konradku, wierz mi, duszo moja, każda kobie ta jest ua to, żeby poszła za męż. A zresztą, proszę cię, cóż ja jej będę książąt czy hrabiów szukać... Mię dzy nami mówiąc—dodaje, wspinając się na palce i szepcąc mi do ucha — nie ma nic, i skończyła dwadzieścia dwa...

— Nie może być, tak młodo wygląda...

— Tak, tak, wierz mi, w listopadzie jak raz na Wszystkich Świętych będzie miała dwadzieścia trzy... Wygląda dobrze, bo to widzisz, w naszej rodzinie wszyscy tak długo dobrze się trzymają. Powiedziałbyś na mnie, że ja mam sześćdziesiąt osiem, co?

— Powiedziałbym — mówię, spoglądając na pomarszczoną twarz staruszki i cokolwiek odstającą nad czołem rudą peruczkę.

— Et, figlarz z ciebie! Ale wracając do Lorci, powiadam, że nie mogę szukać jej księcia. Gdyby jeszcze żył nieboszczyk ojciec pułkownik, to co innego. Najprzód do tego czasu byłby co najmniej generałem piechoty, mielibyśmy salony, choć i jak był pułkownikiem, nigdy nie było mniej jak osiem pokoi, no i trzech ordynansów .. A teraz powiem ci prawdę, Konradku, nie wiem nawet, z kąd wezmę na wyprawę dla niej...

Imaginuj sobie, jestem prawie bez grosza... Chyba wy padnie sprzedać brylantową broszę po matce, którą ojciec nieboszczyk kazał przerobić z pierścienia, jaki do stał od cesarza... Dadzą może ze czterysta reńskich, jak ci się zdaje?...

— Nie znam tej broszy...

— Jakto nie znasz?... Miałam ją na balu u Czu purkowej tu, tu pod szyją wpiętą... Dziwna rzecz, Konradku jaki ty jesteś nieuważny... Imaginuj sobie,

toż wszyscy za mną tylko wodzili oczami... żywy ogień
bił od niej...

— Proszę pani—odzywam się, widząc, że tak ła
two mnie nie wypuści — najprzód wypada zapytać się
panny Laury, czy ona chce, a powtóre jest wielką kwe
stya, czy on chce...

— Masz rację, idź do Lorci, mój złoty Konradku
i wybadaj ją... Ona ciebie tak szanuje jak rodzzonego
ojca; powiedziała mi kiedyś: wie mama, że ze wszystkich
mężczyzn jakich znam, jeden pan Kołasiński co jest
prawdziwym człowiekiem... Z powodu tego oka nie
chce się pokazać w salonie, pójdź, zaprowadzę cię do
niej...

Wiodąc mię po różnych zaułkach, pokojach, ko
rytarzach, kładła ciągle w głowę, abym wpłynął na cór
kę, żeby nie odrzucała szczęścia. Przyzwoity chłopiec,
rumiany i bardzo wesoły... A co się tyczy jego zamia
rów, to słyszałam jak mówił wczoraj: „pani, jutro roz
strzygnie się mój los!...” Nie bój się, ja nibyto grałam,
ale moje ucho było przy nich... Jakonto jeszcze po
wiedział, czekaj że, tak po galicyjsku: niech mię coś trafi,
smak czy coś innego na s, ale co po naszymu ma zna
czyć apopleksyę...

Owczyńska kazała mi wejść do pokoju, a sama
cofnęła się oświadczając, że pójdzie do Wtorkiewiczza
jeszcze dowiedzieć się o konduicie pana inżyniera...

— Żeby tylko nie pił, bo wczoraj zanadto brał się
do kieliszka... no, ale to przy zabawie...

Panna Laura stała właśnie przed lustrem, przy
kładając sobie płatek umoczony w zimnej wodzie na
oko, kiedy wszedłem do pokoju. Zobaczywszy mię, za
żenowała się bardzo, splonąwszy rumieńcem, o co przy

jej nadzwyczaj delikatnej białej cerze nie było bardzo
trudno. Ubrana była nie do wyjścia, a zatem bez pre
tensyi i tych różnych kokard, paciorków, fryzek, pele
rynek, któremi stroiła ją matka w przekonaniu, że dale
ko lepiej się prezentuje... Tymczasem przeciwnie, wy
dała mi się teraz bardzo przystojną a nawet ładną blon
dyneczką o przejrzystej cerze, z pod której łagodnym
błękitem przebijały delikatne żyłki, niby rzeki na mapie
geograficznej.

— Pewnie mama tu pana przysłała — odzywa się
już spokojniej, gdy niezwykle zrazu rumieńce zaczynają
opuszczać twarz i szyję dziewczęcia, a szafirowe i wil
gotne jej oczy starają się wybadać z mej twarzy cel nie
zwykłego poselstwa.

— Zgadła pani—mówię, siadając z drugiej strony

toalety, przed którą stała.

— Widzi pan, jak jestem roztargniona, że nawet nie prosiłam pana siedzieć... Daruj pan, ale rzeczywiście jestem tak zmartwiona, że o wszystkim zapomniałam... Zapewne uważał pan wczoraj, jak ten pan konstruktor czy inżynier, na moje nieszczęście wybrał mnie na ofiarę swych grzeczności.

— Musiała mu się pani podobać — mówię, obserwując jak czerwony obłok zakłopotania pomyka się na gładzie po jej twarzy — i nie wiem dlaczego to pani nazywa nieszczęściem?...

— Bo mama, jak pan ją zna, uczepliła do tej pajączyny prowincjonalnego kawalera cały gmach przy szłego szczęścia naszego... Do samego świtu prawie kładła mi w głowę, że powinnam iść za niego, że powinien mi się podobać, że to dla mnie los, i tym podobne

zapatrywania, gdy tymczasem wszystko to są mrzonki mamy, jak to już nieraz bywało.

— No, ale gdyby tak naprawdę prosił o rękę pani?

— Pan wie co o tem?—rzecze, blednąc z pewnem przerażeniem—może co mówił panu?

— Nie, pani, nic nie wiem, daję słowo, tylko za pytuje się na wypadek w imię przyjaźni naszej, którą pani przyjęłaś, czy on podoba się pani?

— Tak mało go znam...

— I ja nie bardzo, ale mówią, że to porządny chłopiec i zdolny i dobrze się prowadzący, a choć sytuacja jego podobno bardzo skromna teraz, jednak widoki ma przed sobą. Zdaje mi się tylko, że cokolwiek za szorstki... to jest, że ma coś, coś...

— Więc i pan zauważyłeś toż samo, prawda?...

Ja panu powiem, może być, że jest fachowo wykształcony, ale tak w towarzystwie razi...

Panna Laura zamilkła, odmieniając znowu zmoczony płateczek do oka, a ja przyznam się państwu, również nie wiedziałem co mówić dalej... Licho mi nadało, pomyślałem sobie, przyjmowanie takiej misy i, ale że to obopólne milczenie zaczynało być kłopotliwem, ośmieliłem się powtórzyć zapytanie:

— Więc gdyby się oświadczył...

— Wątpię, czy to zrobi.

— No, jednak dajmy na to, że zrobi, to coż pani?

Lorcja znowu macza płatek w wodzie i przykłada go do oka, gdy drugiem widzę spogląda na mnie z bólem, jakby chciała wprzód dowiedzieć się, co ja o tem myślę... Udałem, że nie widzę tego badania i zdo

bywam się na odwagę doprowadzenia poruczonej misji do końca.

— Przepraszam panią — mówię, zwracając oczy na ogród i bawiąc się łańcuszkiem od zegarka—ale czy nie wypadałoby pomyśleć o przyszłości mamy i pani...

— Niestety — przerywa z ciężkim westchnieniem—wiem o tem.

— I dlatego zastanowić się dobrze, czy wypada odrzucić propozycję człowieka uczciwego, który zapewnić może jaki taki byt mamie... A niech pani uważa, coby się stało z nią i młodszą siostrą na wypadek śmierci mamy... Przepraszam za mimowolną przykrość, jaką ta mowa prowadzi za sobą, lecz wszyscy jesteśmy ludźmi, i mama pani jest już w tych latach...

— Wiem, wiem, niech pan da pokój!... O mnie tu nie idzie ani o siostrę, ja sobie zawsze i wszędzie dam radę; powiedziałam panu, że gotowa jestem przyjąć najcięższą służbę, aby pracować, ale mama... Dziwna rzecz—mówi dalej, już urywanemi słowy, jakby do siebie—jako czasem ciężar losu przyczepi się dziwnie do swojej ofiary... Zadać gwałt sercu, jest bardzo boleśnie; a znowu z drugiej strony... także boleśnie... Co warte życie takie... ofiara za ofiarą dla wątpliwego pożytku... Panie Konradzie! — rzecze prędko, chwytając mnie za rękę z pewną desperacją — pan jesteś człowiekiem więcej doświadczonym odemnie, pan znasz życie i obowiązki, ulituj się nad mojem położeniem i poradź tak jak rodzonej siostrze... Daję panu słowo, ja już nie mogę odszukać logiki żadnej w myślach, i wszystko tak mi się płącze w głowie, że nic nie wiem... Ostatecznie zrobię, co pan powiesz, zamknę oczy jak człowiek, który ma lecieć w przepaść i rzucę się...

Spojrzałem na Lorcę, rzeczywiście delikatna jej twarz bledsza teraz niż zwykle, miała w sobie coś de sperackonerwowego. Oczy błyszczały szczególniejszym blaskiem, a usta i mięśnie na czole drżały, formując drobniutkie fałdy, przemykające niby zmarszczki na wzdzie przy lekkim wietrzyku... Gdym coraz bardziej zastanawiał się, czy mogę brać na sumienie przyszły los tego dziewczęcia, i od czasu do czasu spoglądał na nią nieprzytomnym wzrokiem, zdawało mi się, że ten szczególniejszy blask jej oczu, o którym wspomniałem, zaćmiewa się powoli, przybierając charakter niespokojno badawczy...

— Trudnej rzeczy i bardzo niebezpiecznej wymaga gasz pani odemnie — mówię wolno, niepewny, co dalej wypada mi powiedzieć, albowiem i we mnie jakiś dziwny zapanował rozstrój, bardzo podobny do tego uczucia, jakie musi być w umyśle sędziego, kiedy mu po raz pier

wszy przyjdzie dać wyrok na karę śmierci.
— To choć wskaż mi pan, od kogo mam żądać tej rady, czy od mamy?
— No, mama już oświadczyła swe zdanie.
— A zatem usłuchać mamy, poświęcić się dla niej? Pojmujesz pan, że tego pana nie Kocham a na wet nie obiecuję sobie w przyszłości...
— W takim razie—mówię, wstając—radź się pa ni swojego sumienia i serca...
Prosiła jeszcze idąc za mną, żebym się wrócił, ale ja nie obejrzałem się wcale i drapałem do swego po koju... Otóż dałem sobie chleba z tą przyjaźnią! Czy mię lichy skusiło, czy co, do ofiarowania podobnych usług młodej kobiecie... O, nie! póki życia mego, nie chcę żadnych kobiecych przyjaźni, ani starych ani mło

dych nie chcę, i wyrzekam się raz na zawsze jak ducha złego i wszelkich spraw jego... Śliczna mi sprawa! po radź, żeby poszła za męż, to jak będzie potem nieszczęśliwą, a z tym sowizdrzałem niezawodnie taką będzie, do samej śmierci będę sobie miał tę radę do wyrzucenia. I słusznie... Zdaje mi się, że wywinąłem się dyplomacyjnie; sumienie i serce, powiedziałem, niech wybiera!... Ale czy to tak się godzi?—szepcze mi toż samo moje sumienie. — Narzuciłeś się dziewczynie z przyjaźnią, przyjąłeś mandat od matki i tak wykręciłeś się sianem... Jakiż to z ciebie człowiek, gdzie tu uczciwość i obowiązek tej uczciwości?...
— Słuchaj no Konradzie! — mówi ktoś do mnie, wchodząc na to do kancelaryi Kostusia — coż ty sobie myślisz?
— Ja? co? — odpowiadam, i dopiero wtedy spostrzegam Czupurka.
— No, ty, stary bałamucie...
— Gdzie, co? jak bałamucie...
— Mój Kochany, co tobie się stało, jesteś nieprzytomny... No, czegoż patrzysz na mnie jak stant sowa... przebudź się, to ja, Czupurek...
— Mój drogi, toż widzę, że ty.
— A czegoż tak oczy wlepiłeś we mnie?...
— Myślałem o różnych rzeczach i zamyśliłem się.
— Zapewne, zapewne, jest nad czem się mamy ślać! Wierz mi, żebym był na twojem miejscu, kazał bym się położyć na podłodze i tak bez dywana palnąć...
— Za co?
— Udajesz, że nie wiesz za co? — mówi, klepiąc mię dobrodusznie po ramieniu.—A czego to pan dobro

dziej tak się zasepił, co? a co go tak gryzie, he?... Bió
ra ci pannę z przed nosa?...

— Jaką pannę?

— Mój drogi, nie udawaj, proszę! Irytujesz się
tem, że Tenczyński ubiegł cię do Florki... Wstydź się,
Konradku, taki stary wyjadacz jak ty, dać się odsądzić
takiemu blagierowi!

— Więc i tobie się zdaje że to blagier?

— Nietylko mi się zdaje, ale jestem pewny. Do
piero wracam od pani Tekli, klóciłem się z nią do osta
tka o niego... Ale mówię ci, tak im wszystkim od pier
wszej do ostatniej pozawracał głowy, że poszalały.
A z tą naftą Kostuś już rozum traci... piszą, rysują,
liczą, debatuja, a mnie się zdaje że to wszystko jakiś
figiel... Ale co gorsza, że Florcia przepada za nim,
a moja zona i Joasia słowa sobie nie dadzą powiedzieć...
Będąc na twojem miejscu nie ustąpiłbym usque ad fi
nem, znasz mię. Pamiętasz, co ja wyrabiałem z tą sta
rą Drachowską, pamiętasz? i widzisz postawiłem na
swojem!... Radzę ci, wyzwij tego obieżyświata, albo
palnij mu słowa prawdy tak przy wszystkich.

— Eh, daj mi pokój, niech sobie robią co chcą...

— Bardzo ładnie, fe, wstydź się ustępować, jaki
z ciebie mężczyzna... Zresztą rób jak chcesz, ja ci z du
szy serca życzyłem, bo to i ładna i dobra dziewczyna,
i tak do ludzi, uważasz, wstydu ci w najpierwszym salo
nie nie zrobi... I posag ładny, gotówką zaraz dziesięć
tysięcy, a po śmierci babki wieś na ich dwie, wartująca
ze sześćdziesiąt...

Nic się nie odzywałem na to, więc też popatrzył
się na mnie, machnął ręką i poszedł... Jeszcze nie zani
knęły się drzwi za nim, gdz patrę idzie Owczyńska, ale

idzie z miną nadzwyczaj poważną, wargi przygryza, pe
ruczkę poprawia, oczami mruży i mówi:

— Pięknieś się spisał, Konradku, myślałam że ty
jesteś człowiek rozumny...

— Albo co?

— Tymczasem przekonałam się, że jesteś...

— Czego się pani wahasz dopowiedzieć, no, prze
konałaś się że jestem półgłówek... Tak jest, przyzna
je to.

Zaimponowałem babinie taką odpowiedzią, za
pomniła języka w ustach, widzę kręci się i nic nie
mówi.

— Tak, nie powinienem podejmować się misyi
w podobnym rodzaju, jaką mi pani narzuciła — mówię
z furją, chodząc po pokoju... Co mię obchodzić mają
cudze sprawy? Żeńcie się, zabijajcie, nie żeńcie, a co
mnie do tego... Cóż panna Laura?

— Nic, imaginuj sobie, płacze, i słowa od niej wy

dobyć nie mogę...

— Niech płacze...

— Impertynent jesteś i bez serca, Konradku; pa miętaj sobie, jak będziesz miał córki...

— Ja mam mieć córki? A niechże mię Pan Bóg od tej plagi zachowa...

— Prawda, że to jest plaga — mówi żałośnie Owczyńska—ale trudna rada z niemi, jak są... I to stowienie Boskie, choć nieszczęśliwe. Nieboszczyk ojciec pułkownik, zawsze mówił, wolałbym mieć jednego syna niż pięć córek...

— Wierzę, wierzę i jabym wolał...

— Ale koniec końców co radzisz?...

— Radzę, szanowna pani, spakować swoje mana

tki i jechać do Krakowa, co też i ja natychmiast zrobię. Przepraszam panią, że nie mam czasu do dalszej dysputy, bo oto, widzi pani, tyle mam rzeczy, a nim to zbiorę i upakuję...

— Jakto, więc ustępujesz?

— Kogo albo czego mam ustępować?

— No, Florci...

— Ustępuję, ustępuję — powtarzam już zły, prze drzeźniając Owczyńskiej.

— Osobliwszy z ciebie człowiek — rzecze, biorąc za klamkę—sam nie wie czego chce... To jedźże sobie z Panem Bogiem, my tu i bez ciebie urządzimy...

— Ot, właśnie, będzie to najlepiej...

Podano obiad, Lorcia nie wyszła, bo jak matka zapewniała, dostała silnej migreny. Ja milczałem jak słup, Czupurek tylko wzruszał ramionami, kobiety jak gdyby nic, śmiały się wesoło, słuchając dowcipnych opowiadań Tenczyńskiego, jak onto z angielskimi lady polował na lisy w górach szkockich. Po obiedzie zapropomował Dębowski maleńką pulkę preferansa, i nie pa miętam jakim sposobem wetknął mi karty do ręki.

— Ależ ja nie będę grał...

— Pójdź, pójdź!—mówi, biorąc mię za ramię Ko stuś—zabraknie nam kompletu... Jasia zostawimy ko bietom, niech pytluje językiem; biedaczek napracował się ze mną całe przedpołudnie... To tylko maleńka pulka ze stu, tak na odpoczynek.

Zaciągnęli mię przeto do gabinetu, gdzie przynie siono czarną kawę, i zaczęliśmy owego preferansa. Ko stuś gra jak można najfatalniej, licytuje do upadłego, zżyma się, namyśla, nigdy nie pamięta jakie karty wy

szły, a jak wpadnie, to się gniewa na wszystkich i na wszystko, byle nie na siebie.

Pamiętam, był na rękę i zadeklarował siedem bez atuta, gdy wśliznął się cichutko wójt, ten sam, którego dziś rano wyprawiał z radnymi do obejrzenia mostu pod Krzykawką. Kostuś patrzy i namyśla się z czego by tu wyjść, boi się albowiem czwartego treflowego waleta, gdy szanowny zwierzchnik sobkowskiej gminy, aby dać znać o sobie, zaczyna przestępywać z nogi na nogę i chrząkać coraz to głośniej.

— Kostusiu—mówi Czupurek, ktoś przyszedł do ciebie.

— Żebym wiedział, Konradku, że nie masz czwar tego waleta... Słuchajno, masz czy nie masz?...

— Bo ja wiem?...

— No, powiedz, co tam: masz?...

— Cóżto gramy w gadanego, czy co? — ofuknie Dębowski, który jest zapalonym amatorem preferansa... Pan Konstanty zaaferowany niepewnością owego czwartego waleta, patrzy po nas, bada, uśmiecha się, robiąc bardzo pocieszne ruchy na krześle, a złożony karty na stół, zaczyna pukać w palce...

— Jaśnie panie—odzywa się wójt, nie mogąc inaczej zwrócić na siebie uwagi dziedzica.

— A coż tam?—odwraca się Kostuś.

— Jaśnie panie, czekamy wszyscy od rana przy moście...

— Żebym ja duchem świętym wiedział, że ty nie masz, hę? Ale to, panie dobrodzieju, mruć, ani drgnie... Dziej się wola Boża, jadę z trefli!

I z werwą niezwykłą klapnąwszy asem na stół, pa trzy z natężeniem czy spadną trefle. Czupurek nie od

dał, Dębowski nie oddał, a gdy ja wyrzucam siódmkę, Kostuś łap za swego asa napowrót.

— Przepraszam —woła Czupurek, chwytając razem z nim za drugi brzeg karty—padło!...

— Padło! — powtarza Dębowski, padło i przy bite...

— Ale co tam, że padło, panie dobrodzieju... ja nie to zagram... No, no, nie róbcie głupstwa...

— Ja nie ustąpię!—woła Czupurek.

— Żarty czy co?—dodaje Dębowski...

— Więc chcecie żebym wpadł?

— Naturalnie—mówię i ja.—Po co się palisz, po co licytujesz, zepsułeś mi dziewięć...

— Ale bójcie się Boga — molestuje Kostuś trzy mając owego asa na wspólnkę z Czupurkiem — ja będę bez trzech... macież wy sumienie?...

— Jaśnie panie — wtrąca, posuwając się o krok dalej na pokój wójt—jakże będzie z tem drzewem?...

— Mój drogi, zatrzymaj się tam trochę w ganku, ja ci zaraz dam asygnację... Więc tak koniecznie chcecie mnie wpakować bez trzech?... No, niech was dyabli wezmą, macie bez trzech, macie! — woła rzucając karty na stoł.—Drzyjcie ze mnie, piszcie, smarujcie...
— Za pozwoleniem—rzecze na to Czupurek zbierając jego karty i wkładając mu napowrót do ręki, ty bratku będziesz bez czterech...
— Coż znowu do kroćset!... Więcej jak bez trzech nie mogą być...
— Proszę cię, zobaczymy, tylko, no, zagraj!... Ja ci mówię, że bez czterech...
Tymczasem wójt znowu o krok postąpił dalej i stanął wprost pana Konstantego jak wyrzut sumienia.

— Mój wójcie, czegoż mi tak leziesz—odpowie zły i czerwony jak burak.
— Bo to, jaśnie panie...
— No, to wleźże mi lepiej na głowę, wleź na kark... Czy was licho nadało z tym mostem, ucieknie, czy co?
I wstawszy gwałtownie z krzesła, pobiegł do biurka, schwycił pióro, udarł kawałek papieru z jakiejś urzędowej ekspedycji i zaczął pisać.
— Jednej belki trzeba?
— Jaśnie panie, trzy... wszycko na nic zmurzało...
— Ale, mój kochany, nie prawda. Nie dalej jak wczoraj, jechałem tamtędy i widziałem że tylko jedna zgniła...
— Oderwaliśmy pomost, jaśnie panie i spodem het wszystko ino próchno...
— Nieprawda! pod przykryciem jeszcze powinno być zdrowsze.
— Niech jaśnie pan sam zobaczy... Na poprzecznik trzeba także belkę i na pale choćby dębiny... bo z jodłowego to za rok zgnije w wodzie...
— Cóż wy chcecie, panie dobrodzieju, cały las mi rabować, czy co? — No, niech będzie dwie sosny: przecniecie każdą na pół, to zaraz będą i pale.
— Nie wiem czy to wystarczy, ale trzeba jedno jeszcze na dyle...
— Et, przewrócić stare na drugą stronę.
— Kiedy pogniły...
— Nie, mój kochany wójcie, tego zanadto! Masz dwie sosny i ładujcie most jak chcecie...

Wójt nie bierze podawanej mu kartki, ale drapie się po głowie i obraca czapkę w rękach...

— No, dopiszę ci jeszcze jodłę jedne i już najedz cie się moim lasem. Uważasz tylko wójtcie, żeby nic nie ciąć w gęstwinie, ale od Jodłówki na prawo.

— Jakże, to jaśnie pan daje kwit do Moczy dłówki?

— Albo co?

— To gdzież my dwie mile będziemy jeździć po drzewo i w takie góry? Niech jaśnie pan da swoje fornalki, albo do sobkowskiego lasu asygnację...

— Nie mogę, mój kochany wójtcie. Sobkowski las, panie dobrodzieju, zamknięty...

— A do dworu to biorą z niego drzewo; nie dalej, jak wczoraj widziałem wiozły fornalki.

— To też ostatni raz...

Wójt kartki wziąć nie chciał, perswadując, że gromada nie przystanie na to, aby dwie mile je chać po drzewo, że w prawie stoi, aby dwór dostarczył drzewa na mosty...

— Hm, hm, to asan już i na prawie się zna!... zkadże to taka mądrość?

— Jaśnie panie, toć się jest niby wójtem, i pisarz het wszystko czyta.

— Mój Kostusiu—odzywa się Dybowski—skończ że te targi już raz... my czekam y...

Czupurek również wstał i coś zaczął szeptać Kostusiu, zapewne w duchu żądań wójta, bo wziął nową kartkę na stół, i coś inaczej pisał.

— No, masz wójtcie do sobkowskiego lasu, ale pa miętaj, że to ostatni raz, a bez leśnika nie ciąć...

Gdy wójt odszedł, znowu zabraliśmy się do pre fe

ransa. Kostuś chciał, żeby zapisać mu bez trzech, inni się spierali; a on powiada: widzieliście karty, panie dobrodzieju; nareszcie nie mogąc przemódz opozycyi, rzuca swoje karty na stół i gwałtownie miesza z innymi.

Otóż w ten miły sposób ciągnęła się gra jeszcze z godzinę, gdy zadudniała bryczka przed gankiem i pokazał się nasz konduktor drogowy. Zajęci grą, nie wiele zwracaliśmy na niego uwagi, gdy tymczasem on, przebrawszy się w gościnnym pokoju, przyszedł do nas, z pełną nieśmiałością witając Kostusia...

— Idźno pan do zony, tam jest dla pana obiad zostawiony...

— A jakiż rezultat mej prośby?—pyta ciszej, nachylając się do ucha gospodarza...

— Jaki rezultat, jaki rezultat?—powtarza kombinując w swych kartach, czy wypada mu pomagać.—Ide, panie dobrodzieju i przyzywam!

Inżynier stoi nachylony tak samo za krzesłem

Kostusia, który z niezwykłą energią plaska kartami i nareszcie wpada bez jednej...

— A, bo panie dobrodzieju stoją mi tu nad karkiem i suszą głowę... Mówilem, panie dobrodzieju, idź pan do żony, to idź... ona tam wszystko załatwi... Wie cie, żebym był wyszedł z pików, byłbyś ty leżał bratku — prawi do Czupurka, zapisując sobie wpadnięcie... Dobrze, panie Kaczykowski, dobrze, zona panu wszystko powie.

To dobrze ożywiło bardzo już zasmuconą i czerwona twarz pana konduktora, zatarł ręce, wąsiki poprawił i poszedł na długą stronę dworu do salonu... Niezmiernie byłem zaciekawiony, o co on to prosił Kostusia

i dlaczego ten odesłał go do żony. Coś jakbym miał przecucie, że w tę sprawę wmieszana jest panna Laura. Chciałbym się wyrwać od gry, ale tu do końca puli jeszcze daleko, bo Kostuś wpada jak na komendę, i nie myśli przystąpić do rozbioru... Dlatego w pół godziny może, gdy przyszło na mnie do rozdawania kart, wymknąłem się z gabinetu pełen złego przecucia. Wchodząc do sali, przez otwarte drzwi jadalnego pokoju, zobaczyłem stojące tam we framudze okna Owczyńska z córką. Lorcja płakała, a matka ocierała jej łzy z oczu i głaskała ręką po twarzy i przekładała coś i wspinała się na palce, żeby ją w głowę ucałować. Nie zważając na siedzące z bardzo jakoś złośliwą miną nasze panie w saloniku, nie zważając, że również pod oknem pani Tekla prowadziła z Kaczykowskim jakąś tajemniczą rozmowę, wpadam do jadalnego pokoju prosto do Lorci.

— No, powinszuj że jej, Konradku!—rzecze prędko stara, obracając się do mnie z tryumfującą miną — inżynier się oświadczył...

— Kiedy?

— Przed chwilą...

— I pani przyjęłaś oświadczenie? — mówię, spoglądając na Lorcję z pewnym niepokojem...

— Usłuchałam połowy rady pańskiej, wzięłam za doradcę sumienie...

— Na seryo zrobiłaś pani tę niedorzeczność?

— Niedorzeczność? — powtarza z obrażoną miną Laura.

— Et, Konradku, serce moje, trochę się zapomniał nasz, żadna Owczyńska jeszcze nie zrobiła niedorzeczności, idąc za mężem... Imaginuj sobie, ukląkł na oba ko-

lana, jak Lorcję kocham, ja zaglądałam przez dziurkę

od drzwi, i chciał jej do nóg upaść, ale dziecina moja nie pozwoliła... Imaginuj sobie, że wykrzyczałam ją za to, powinien był paść do nóg, nieboszczyk Owczyński to leżał z pół godziny, jak Lorcię kocham, a ja się śmiałam...

Nie byłem wcale zakochany w pannie Laurze, a jednak przyznam się państwu, niedobrze mi się jakoś zrobiło, patrząc na to biedne dziewczę, poświęcające tak szlachetnie całe szczęście swoje, całą przyszłość, całe marzenia, bo przecież musiała mieć jakieś marzenia, dla tej matki... Tak bez namysłu, nie znając czło wieka, nie kochając go wcale, iść na oślep co los trafi... przyznam się wielką odwagą...

— No i cóż, nie winszujesz?

— Nie, pani, kłamałbym winszując...

— Cóż znowu za komedye?... jesteś dziwnego na bożeństwa, Konradku...

Nie słuchałem już, co ona dalej plotła, ale czując że mi jest duszno, że krew bije do głowy, a w oczach ćmić się zaczyna, przebiegam salon, potem pierwszy po kój i na ganek.

— Panie Konradzie, panie Konradzie, a gdzie tak pilno?—słyszę za sobą głos Czupurka.

— Przepraszam, nie mam czasu.

— Karty rozdane, czekamy z pułą, trzeba przecie dokończyć!

— Róbcie co chcecie, nie mogę...

— Dziwny człowiek, oszalał, czy co? — mruczy adwokat, zamykając napowrót drzwi od kancelaryi.

Stoję na świeżem powietrzu, całymi piersiami od dycham, ale jakoś nie mogę się uspokoić. Nigdybym

się nie spodziewał, żeby ona przyjęła... Lepsze miałem o niej wyobrażenie... Oto są kobiety... niewolnice, jak Boga kocham, prawdziwe niewolnice...

— Pokornie proszę łaskawego pana — odzywa się inżynier, wychodząc z sieni widocznie z takim samym jak i ja zamiarem ochłodzenia się, bo okrągła i pulchna twarz jego formalnie żarem płonie.

— Czego pan chcesz odemnie?—krzyknę opryskli wie, obracając się tyłem.

— Chciałem zapytać pana dobrodzieja, kto jest ta mała staruszka, z którą pan przed chwilą rozmawiał, ta co obcierała twarz pannie Florentynie?

— Jakiej Florentynie?

— No, tej, której oświadczyłem się na seryo... no i zostałem przyjęty...

— Ależ to nie jest panna Florentyna, tylko pan na Laura Owczyńska, córka tej staruszki!

— Eh... panie... pan żartuje?

— Daję panu słowo, że to jest panna Laura Ow czyńska, a to jej matka, wdowa po urzędniku, mieszka jąca w Krakowie. Znam ją od dawna; panna wykształ cona, dobra, choć bez żadnego posagu...

— Bez żadnego posagu? O, jak Boga kocham!—

krzyknie, załamując ręce — a jakież ja kapitalne głupstwo zrobiłem! Dziękuję pokornie, uniżenie dziękuję, ja nie chcę jakiejś panny Owczyńskiej, ja pisałem w liście o rękę panny Drachowskiej. Jestem oszukany, to jakaś zdrada!... Proszę łaskawego pana, kiedy zjadłem obiad i pytam pani gospodyni, czy mój list czytałaona powiada, czytałam. I jakże pani dobrodziejka sądzi? mówię, mogę mieć nadzieję? Dlaczego nie, mąż się zgadza, trzeba tylko zapytać się panny... Ja, pro

szę paria dobrodzieja, lecę do panny Florentyny, pocę się, żeby wyjawić uczucia, ona powiada, dobrze... A niechże cię dyabli wezmą, to ma być nie ta... a tom się spisał...

— Mój panie—odzywam się, udając wielką powagę, choć w duszy nagle wesoło mi się zrobiło — cóż pan tu będziesz przedemną się sumitował, czy ja panna Florentyna, albo pani Tekla? Pójdź do nich i wytlómacz im wszystko...

— Ja nie pójdę... a jakże jabym śmiał teraz...

— To przynajmniej objaśnić trzeba pannę Owczyńską...

— Nie pójdę, za żadne skarby świata nie pójdę, nie, nie!

— Pójdiesz pan! — krzyknę, chwytając go silnie za rękę, i pomimo gwałtownego oporu z jego strony ciągnę do sali, a zatrzymawszy się przed Lorcią, która obok matki siedzi na owej kolebce, mówię:

— Panno Lauro, czy to należało utrzymywać w błędzie tego pana, przyjmując jego oświadczenia przez znaczone dla innej osoby? Wszak pani wczoraj jeszcze zgodziłaś się oddać mi swoje rękę, proszę więc powtórz tu, publicznie, przy wszystkich, z kogo pani zażartowała: czy ze mnie, czy z tego pana?

— Co, co, co? — krzyknęły wszystkie panie razem z Tenczyńskim, biegnąc jak stado ptastwa w naszą stronę, gdy ja ledwie miałem tyle czasu, aby pociągnąć za fałdy sukni przestraszoną dziewczynę i szepnąć:

— Przyznaj pani, że się oświadczyłem.

— Awantury!—zawoła pani Tekla, brząkając klu czykami—co ja słyszę, pan Konrad!...

— Proszę, niech pani powtórzy — mówię z naci

skiem do Lorci — czy pani wczoraj w ogrodzie przyjęła moją prośbę o jej rękę, czy nie?

— Przyjęłam... — mówi cichym głosem, spuszcza

jąc oczy.

— Koniec świata! — zawołała klaskając w ręce stara Owczyńska. — A to prawdziwe komedye!... Lorciu serce—mówi, potrząsając za ramiona odurzoną córką—i to prawda?

— Prawda...

— I dlaczegoż ukrywałaś przedemną?

— Ja o to prosiłem, łaskawa pani, i jeżeli kto wien, to ja. — A teraz panno Lauro trzeba przeprosić pana inżyniera za przyjmowanie oświadczyń przeznauczonych dla panny Florentyny...

— Rzeczywiście, tego, i ja stokrotnie przepraszam—odzywa się zakłopotany mój Kaczykowski.—Jak szczęścia mojej duszy pragnę, mówiąc prawdę i otwarcie omyliłem się, myśląc, że pani to jest pani...

— No, a teraz kiedy się już wyjaśniła pomyłka—rzeknę, obracając się do panny Florentyny — oto masz pan cel swoich uczuć... mów pan...

— Bardzo przepraszam, coż znowu, jakieś nie smaczne żarty—recytuje prędko zaczerwieniona Florcia, rej terując się w głąb pokoju. — Pan ten nie myślał mnie, to jakaś mistyfikacja...

— Nie, pani, to nic są żarty, o czym najlepiej przekona ten list—dodaję, chwytając z fortepianu leżące pismo inżyniera, którego widocznie pani Tekla nie zdążyła schować. — Posłuchajcie państwo, co on tu pisze: „Jaśnie Wielmożny panie, Członku Rady powiatowej i dobrodzieju!”

— Na co nam tego czytania — przerywa Czupurkowa, wyciągając rękę z zamiarem wyrwania mi listu.

— Bardzo przepraszam, i owszem, trzeba przeczytać, niech się sytuacja wyjaśni. Wszak panie wie działy o kogo temu panu idzie, a jednak pozwoliłyście kompromitować pannę Laurę.

— A dlaczegoż ta pani, będąc narzeczoną pańską, przyjmowała te oświadczyń?—odzywa się fanfarońskim tonem pan Jan Tenczyński...

— Dlaczego? to ja panu później wyjaśnię—odpowiadam, mierząc go surowo w m spojrzeniem, i to tak ostro surowo, że dziwię się teraz, z kąd mi się podówczas na tyle odwagi wzięło. — A nawet—dodaję z przy ciskiem—mogę i w inny sposób dać panu wszelką satysfakcję...

— Cóż znowu!—rzecze prędko pani Cecylia, przybiegając do mnie z przestachem.—Czy to warto, żebyście się panowie mieli różnić o taką drobnostkę.

— Dla mnie i dla panny Laury nie jest to drobnostką, i dlatego proszę o wysłuchanie tego listu. Wszak to pańskie pismo, panie Kaczykowski?

— Moje—odpowiada płaczkliwym głosem inżynier.

— „Jakkolwiek nie potrafię uczuć moich—czytam tedy — podobnie jak Schiller w Gothem poetycznie wy

sławić, to ośmielam się najpokorniej przedłożyć JW. Panu członkowi najuniżeńszą prośbę moją, że skłonność serca mojego do panny Florentyny, siostrzenicy JW. Pana członka, jest nadzwyczajna! Dlatego tuszuję sobie, że JW. Pan nie odmówi mi tej łaski dotyczącego zezwolenia, a to tem bardziej, ile że pewna osoba bliska Jego świętego domu, dała mi poznać jako niżej pokorna prośba moja uwzględnioną będzie. Sy

tuacya moja i kapitalik dwa tysiące reńskich w listach banku hipotecznego dają, rękojmię, że posagu panny Florentyny nie nadweryżę, lecz owszem przez włożenie wspólne w przedsiębiorstwo szutrowe, do którego jako taki czuję się uzdolnionym, pomyslnym skutkiem pomnożenia uwieńczone zostanie. Oczekując z największą pokorą orzeczenia JW. Pana członka i dobrodzieja, uniżenie zapewniam, że jeżeli z tego nic nie będzie, to nie mam żadnej pretensyi... Z najwyższem uszanowaniem etc... Aleksander Kaczykowski m. p.

— Głupiec! — wymówiła podnosząc chustkę do oczu zarumieniona jak wiśnia panna Flora, gdy Owczyńska ni ztąd ni zowąd rzuca mi się z całej siły na szyję...

— Konradku, ty nie żartujesz?

— W takich razach się nie żartuje—odpowiadam, usiłując się jak najprędzej uwolnić od uścisków babiny.

— I ty będziesz moim zięciem, ty, ty Konradku?

— Ależ będę, będę, jeżeli mię pani wprzód nie udusi i jeżeli panna Laura teraz zechce...

— Co onaby nie chciała! Lorciu, dziecię moje—woła, potrząsając oniemiałą dziewczyną—nie trzeba się wstydzić. W takich razach kobieta, nie powinna się wstydzić; powiedz, że chcesz i pocałuj narzeczonego... Ja tak samo, kiedy mi się Owczyński oświadczył, nie chciałam nic mówić, tylko się śmiałam i śmiałam, ale nieboszczyk pułkownik po wojskowemu powiada:

— Raz, dwa, trzy, mościa panno, chcesz, nie chcesz, bo czasu nie ma!...

— O tak, ojciec mój wszystko brał na komendę.

Imaginuj sobie, kiedy wyjąkałam: i owszem, to Owczyń

ski drugi raz mi plackiem do nóg, a ja się tak zażenowałam, jak ciebie kocham, tak się zażenowałam...

Nie wiem, czy się tam podobała, czy nie podobała naszym paniom ta scena, jednak zdobyły się chórem na złożenie życzeń swoich z całą ostentacją. Przywołano

panów do kancelaryi, kazano przynieść wina, i wypili wszyscy nasze zdrowie z wszelkimi oznakami serdecznej radości. Nawet pani Tekla, wzięwszy mię na bok, przepraszała jak najsolennie, że nie miała zamiaru ubliżyć Lorci, przyjmując oświadczenie inżyniera—myślała, że tylko ubawią się z niedorzecznej zarozumiałości głupca, bo ani nie wątpiła, że Lorcja roześmieje mu się w oczy...

— No, a teraz — rzecze Kostuś, biorąc mię pod rękę—pójdź, dokończymy naszego preferansa...

— Kostusiu, jakże można...

— Pójdź, pójdź... za kwadransik będzie koniec.

Widzisz, jestem opisany jak wąż, a może się odbije...

Wpakowałeś mię bez czterech na siedem bez at...

I coż powiecie państwo, musiałem zrobić mu tę satysfakcję, pójść, i wpadać ciągle, aby się odbił, jak sobie życzył, i to wśród nieustannych żarcików, że kto w miłości szczęśliwy, nie może mieć pretensyi do szczęścia w karty.

Nazajutrz bardzo rano, pani Owczyńska i ja wyjechaliśmy z powrotem do Krakowa. Całą noc przed tem nie mogłem usnąć, kalkulując, czy nie zrobiłem kapitalnego głupstwa, oświadczywszy się tak nagle pannie Laurze. Strach mię ogarnął wielki, zważywszy, że ra

zem z Lorcją, wsładzie mi na kark i szanowna mama dobrodziejka ze wszystkimi wspomnieniami o nieboszczyku ojcu pułkownikowi i o pobiciu jego na kresach pod Łowiczem. Ale z drugiej strony rzecz biorąc, skoro się rzekło słowo, toć przecie nie zrobię tak jak Kaczykowski, który, mówiąc nawiasem, po awanturze tej jak wymknął się z salonu, tak gdzieś od razu przepadł na wieki wieków. Zresztą Lorcja jest bardzo dobra i potulna dziewczyna, i jak mi powiedziała, już od dwóch lat zakochaną była we mnie pocichu. No, i ciotka się też ucieszy, że raz przecie zerwę z tem kawalerskiem życiem, a ja bądź cobądź będę miał kochające, delikatne i posłuszne stworzenie, co w dzisiejszych czasach powszechnego wodzenia za nos mężów, jest niemałą wygraną...

Postanowiliśmy, że kupię niewielki majątek ziemski i będziemy gospodarowali na wsi; Lorcja przepada za wiejskiem życiem i zawczasu cieszy się, jak będziemy zbierać kwiaty po łąkach na wiosnę, jak będziemy chodzić na grzyby do lasu, rwąc orzechy, jeździć sankami i tym podobnych używać szczęśliwości.

W takich więc projektach i marzeniach zeszedł nam cały miesiąc w Krakowie. Od powracających Czupurków dowiedziałem się, że pan Tenczyński już jakby po słowie z Płorcią, tylko wprzód musi urządzić swoje interesy przemysłowe i redakcyjne, a w jesieni, jak wydobywanie nafty w Sobkowie zacznie się na dobre, Kostuś odda mu cały zarząd kopalni.

— I jest nafta?

— O! jeszcze niema — mówi Czupurkowa — choć czuć ciągle, ale Jaś powiada, trzeba głębokiego wiercenia, tylko głębokiego wiercenia.

Nad spodziewanie moje bardzo prędko oswoiłem się z rolą narzeczonego i kochanka. Laura w moich oczach, zwłaszcza od czasu, gdy nie pozwalamy matce mieszać się do jej ubrania, zmieniła się na bardzo piękną panienkę, tak, że jak idę z nią po linii A. B. wszyscy akademicy cisną się hurmem za nami i zachodzą wróżne strony, aby się tej piękności przypatrzeć... Ja się o to nie gniewam, i owszem niech się przypatrują, za wsze to moja zasługa wyszukania tej perły na bruku krakowskim. Od rana do nocy faktorzy dóbr oblegają moje mieszkanie z opisami majątków, jakie mają na sprzedaż, zachwalają i namawiają bardzo delikatnym głosem przy oświadczeniu najwyższej dla mnie życzliwości. Napisałem list do ciotki o wszystkim, prosząc przyjazd do Krakowa, i zdaje mi się że to zrobi, a tymczasem kupiłem sobie dzieło bardzo mądre o szacowaniu majątków, kupiłem topograficzną mapę całej Galicji, i wyszukujemy z Lorcją wszystkie stręzone do kupna wioski, czytamy w skorowidzu, czy tam jest las i woda, bo bez tych, za nic w świecie nie kupiłbym majątku.

Przed kilku dniami, idąc na spacer do Strzeleckiego ogrodu, zdawało mi się, że pan Tenczyński przejechał obok mnie dorożką do dworca kolei. Chciałem nawet ukłonić mu się, ale czy mię nie poznał, czy też nie chciał poznać, dość, że odwrócił się nagle i zjechał przed dworzec. Nie, to nie, myślę sobie; pal cię licha i z twoją znajomością, blagierze. Ale na drugi dzień rano, kiedy jeszcze leżałem w łóżku, wpada do mnie, kto? Kostuś Drachowski, lecz z miną nadzwyczajną kłopotaną.

Nie był tu u ciebie? — pyta, siadając z desperacyi na krześle.

— Kto?

— No, ten blagier i oszust Tenczyński.

— Nie był, ale go widziałem wczoraj...

— Więc jest, gdzie? mów prędko... ja lecę za nim i bodaj za czuprynę przyprowadzę tutaj i tak zbiję, pa nie dobrodzieju, tak zmasakruję na winne jabłko...

— Ale mój Kostusiu, uspokój się—rzeknę, sadzając go napowrót na krześle—on nie głupi czekać na cie

bie; widziałem właśnie, jak jechał na kolej i pewnie dra
pnął z Krakowa.

— Więc ty wiesz wszystko?

— Nic a nic nie wiem.

— Ależ to urwiesz od pokonu świata... Mówię ci,
skompromitowała mię kanalia i wyciągnął na takie ko
szta, że aż mi wstyd powiedzieć... Wystaw sobie, cała
karyera moja polityczna przepadła, ani myśleć o posel
stwie. I z członkostwa Rady powiatowej musiałem się
podać do dymisyi... Tak, tak, jak mię tu żywego wi
dzisz, ja Drachowski Konstanty posłałem dymisyę pre
zesowi...

— No, ale coż on takiego zrobił?

— Co zrobił? zabił moją reputację.

— Czem?

— A tą nieszczęśliwą naftą! Jak ci wiadomo,
zaczęliśmy kopać studnię, on dyrygował robotami, bo
wiesz, on znał się na wszystkim, a to, panie dobrodzie
ju, blagier nad blagierami... kopia i kopia, a tu nic...
Ja mówię: pojedę do Gorlic, wyszukam jakiego znawcę,
ale on, panie dobrodzieju: nic, trzeba tylko wiercić głę
boko, wiercić i wiercić a nafta będzie. I rzeczywiście

wodę ciągle było czuć ropą, a ja, choć się niecierpliwi
łem, to myślę, musi być, skoro czuć. Aż tu, panie do
brodzieju, przychodzi do mnie wczoraj Icek, bierze na
stronę i powiada, iż ludzie gadają w karczmie, że widzie
li tego pana mechanika, jak raz w nocy coś lał do stu
dni z butelki... No, wystaw sobie, on kupował w mieście
naftę i wlewał...

— Ależ to oszustwo!

— Ja też to samo powiadam, że oszustwo... Szczę
ście jego że wyjechał do Krakowa po jakieś korby czy
świdry, bo mówię ci, panie dobrodzieju, jak jestem Dra
chowski, byłbym go wpakował do tej studni, i tak, pa
nie dobrodzieju, tak, tak — kończy, pokazując gestem,
jakby go za kark przygniatał do ziemi...—Powiadam ci,
cała okolica tylko się trzęsie ze śmiechu, ja oczu na
świat nie mogę pokazać, studnię kazałem zasypać, a bie
dne Teklisko, jak dostało migreny, to ją od dwóch dni
szarpie i szarpie, że musiałem posłać po doktora...
Zal mi było Kostusia, ale w duszy cieszyłem się
z tego, że on i te piękne panie, goniące za szykownym
wąsikiem i miódopłynną wymową, połączoną z nadska
kiwaniami, przekonali się, że nie wszystko bywa zło
tem, co się z wierzchu świeci... Przy dalszych bada
niach naszych w Krakowie, bo i tu znali niektórzy tego
ptaszka, pokazało się, że on wcale nie jest Tenczyńskim,
ale że taki przybrał sobie, jak powiada, pseudonim, że
we Lwowie nie mieszka, a tylko wędruje po różnych
okolicach i w Poznańskim i w Rossyi i w Królestwie,
udając to literata, to przedsiębiorcę, to politycznego

agenta różnych ministrów i jakoś mu się udaje durzyć
pocziwą i zawsze gościnnie przyjmującą każdego szla

chę, pomimo, że nieraz już podobnie jak Kostuś, spa
rzyła się na tego rodzaju wielkościach nieznanych.
Ile i jakie zdarzyły mi się jeszcze przygody pod
czas szukania majątku do kupna, tudzież jak sobie ra
dziłem na nowem gospodarstwie razem z kochaną panią
Owczyńska, opowiem czytelnikom kiedyindziej, ale już
na seryo, i nie pod formą pamiętników plotkarza. Usta
liwszy moją pozycję przez ożenie, musiałem zarzucić
wszelkie miastowe przywyknienia i wejść na drogę sta
tecznej prawdy. To więc, co dotąd opowiedziałem, racz
cie czytelnicy przyjąć pół wierząc a pół nie wierząc,
zwyczajnie jak od plotkarza, który nie mając co lepszego
do roboty, lubi choćby z powietrza łapać różne nowinki,
a te powtarzając, nie może dawać szyi za ich wiarogo
dność.
koniec z pamiętników plotkarza

TANIE TABAKIERKI.
OBRAZEK Z NAJBLIŻSZEJ PRZESZŁOŚCI.

Kochałem się wtedy w pannie Jadwidze, siostrze
nicy księdza kanonika, a kochałem się tak, że dziś już
nikt się podobnie nie kocha i z pewnością kochać nie
będzie. Bo trzeba państwu wiedzieć, że za czasów mojej
młodości, ludzie byli z ogromnem uczuciem i taką gorą
cością temperamentu, że wszystko w nich samo się pali
ło bez ognia. A o wybuch to łatwiej było niż dziś przy
dynamicie: draśniesz czembądz, panie kochany, a za
raz, huru, buru, wszystko się dokoła waliło, masakro
wało i rwało, bo człowiek ani pytał co z tego będzie—
ot, niech się dzieje co chce!
Taką też była i miłość moja do Jadwini, bez celu
i pamięci, z zupełnem oddaniem się temu uczuciu, które
mnie przez kilka miesięcy trzymało w stanie gorączko
wego upojenia.
A warto było tak się zadurzyć, bo co to była za

dziewczyna!

Lat szesnaście, oczy z turkusów, twarzyczka jak u anioła, koło niej las powiewnych blond loczków, który trząsał się i prawie furczał, gdy głową ruszyła. Szczególniejszy jednak apetyt wzbudzały trochę otwarte, jak

by umyślnie karminem pociągnięte usteczka, wiecznie śmiejące się, chyba na to, aby odsłaniać dwa rzędy pysznych, białych ząbków, usadzonych tak ciasno, jak ziarenka kukurydzy w młodym kaczanie.

Panie Boże! daruj mi tyle grzesznych pokus, ile się ich rodziło przy swawoli z Jadwisią. Aż mię coś pchało, żeby tak nieznacznie chwycić ją za obie ręce, przytrzymać mocno i wycalować, wycalować owe usteczka, które zdawały się prosić o to, gdy oczy prawie mówiły: „spróbuj!” Jednakże nie spróbowałem, bo dałyby mi chleba kochana ciotka i jej sztab bogobojny! Jak szczęścia pragnę, bez żadnego wahania powiesiłyby mnie na lipie, stojącej w podwórzu i jeszcze podmówiłyby kanonika, aby mię przeklął do trzeciego pokolenia. Dziś, co prawda, żałuję że nie spróbowałem; za jeden całus Jadwisi można się było na wszystko narazić... Ba, ale że bym to wtenczas miał ten rozum, co teraz! Jadwisia wtedy mieszkała u mojej ciotki, dalekiej krewnej i serdecznej przyjaciółki wuja swego kanonika, dom zaś ciotki był czemś w rodzaju dobrotliwego przytuliska dla kilku innych ciotek całego świata. Nie wiasty te, skutkiem igraszek losu, oddawszy mamonę ludziom, serca swe i skołatane dusze poświęciły na ofiarę Panu Bogu. Schodząc się parę razy na tydzień w mieszkaniu ciotki Zuzanny, ćwiczyły się wzajemnie w krzewieniu nienawiści do wszystkiego co jest światowe, z wyłączeniem wonnej kawy i chrupiących obwarzaneczków domowej roboty, którymi je ciotka zawsze częstowała, albowiem ćwiczyły i to z niepomiernym apetytem, ruszając starymi ustami w ten sposób, jakby one były z gutaperki.

Ciotka, chociaż faktycznie męża nie miała nigdy, jednak kazała się nazywać wdową pułkownikową i obraziłaby się na śmierć, gdyby ktoś powążył się o tem wdo wieństwie powątpiewać. Przed czterdziestu laty rzeczywiście miała narzeczonego majora od artylerji, ale ten zginął na wojnie; od tego więc czasu postanowiła nie wychodzić za mąż i uważać się za jego prawowitą wdowę. „Duchem byłam jego żoną — mówiła z całą

powagą—a zatem jestem po nim wdową." — Także duchem! — wyrwało się raz kanonikowi w przystępie dobrego humoru, za co miał on się spyszna! Ciotka obraziła się, dostała serdecznego płaczu i biedak coś ze trzy dni chodził i przepraszał, nim przebaczyła. Zdaje się, że takie samo duchowe powinowactwo i przyjaźń łączyły ją z kanonikiem od lat kilkunastu, rezultatem czego było powierzenie Jadwisi i różne poufne narady co do spraw majątkowych ciotki. Kanonik był jedynym zaufanym jej doradcą, a nawzajem ona depozytaryuszką jego funduszów, składanych na posag dla siostrzenicy. Kanonik nie miał nikogo z rodziny, prócz tej panienki, którą też nadzwyczajnie kochał, a jak ciotka mówiła, psuł i gorszył... Tak tedy, na kilka miesięcy przed moim przyjazdem, Jadwisia skończywszy paradną edukację, to jest trzy klasy w pansyonacie pani Bixelli, przebywała u ciotki jako panna dorastająca, ale jeszcze niedorośła, o co nieustannie bywały sprzeczki. Ja też podobną całkowicie pozycji towarzyskiej miałem sytuację: lat dwadzieścia jeden, stopień aplikanta sądowego, także nie na serio, tylko aby się otrząsać w świecie i nauczyć prawa

tyle, ile trzeba dla syna obywatelskiego. Rodzice wysyłając mnie do miasta w tym celu, oddali pod opiekę ciotki. — Pamiętaj smarkaczu! — kiwał mi palcem mój stary na wyjeździe—żebyś mi był z największym uszanowaniem dla ciotki Zuzanny i słuchał we wszystkim jej rady. — Widzisz Jacusiu — szeptała matka, odprowadzając na stronę — ciotka jest bogatą, bliższych krewnych nie ma, zasługuj się, a czeka cię szczęście... Trzeba, żebyś za wszystko dziękował i w rękę ją całował—starzy to lubią... Widocznie kochana mateczka, dając mi takie rady, uprzedziła swój wiek, skoro dziś jej zapatrywania zasłudze weszły w powszechne użycie. Ale wtenczas, przyznaję, byłem w skrytości ducha oburzony. Jakto? dla pieniędzy i zapisu starej ciotki, mam się w ten sposób zasługiwać; ja, dla którego pieniądze znaczyły tyle, co plewy u gospodarza! Mając przed oczami bohaterów napoleonowskich i ich wysokie poczucie honoru osobistego... ich zapał i wiarę we własne siły, byłem przekonany, że mój patent szkolny jest conajmniej ministeryalną teką. Nie mówiłem nic matce, ale myślałem sobie: niedoczekanie twoje, pani ciotko, żebym ja się miał tobie łąsić... Niech licha bierze wszelkie zapisy! — ot taka była fantazja wtedy! I rzeczywiście, ciotka Zuzanna, poznawszy ją bli

żej, zasługiwała, żeby tak o niej myśleć — była bowiem pod każdym względem niesmaczną. Pamiętam pierwszą moją bytność w jej mieszkaniu, z opisu której czytelnicy osądzą, czy mam rację. Mieszkała w swojej kamienicy

na drugim piętrze, zajmując dwa pokoje z kuchenką, staroświecki ten dom trzypiętrowy i o trzech oknach na froncie, stał nietykany przynajmniej od czasu Zygmunta IIIgo. Ciotka była konserwatystką, bo wszystko się tu na siebie wykrzywiało, waliło i trzęsło, jakby człek chodził po jakimś rusztowaniu. Schody, po których gramoliłem się na drugie piętro, ugiwały się pod nogami jak klawisze fortepianu, a były tak przytem spadziste, jak drabina patryarchy Jakóba, wiodąca do nieba. Nareszcie staje przed drzwiami jej mieszkania i zaczynam pukać, potem stukać, a w końcu walić — nikt nie otwiera. Dostrzegam tylko, że w raalejn okienku, wykrojonem w środkowej desce, odsuwa gię i zasuwa drewniana z wewnątrz tabliczka, po za którą czasem błysnie coś, niby oko ludzkie... Otóż widząc to oko, że ja nie myślę ustąpić, otwiera drzwi i sfaje w otworze coś podobnego do kobiety.

— Czy to od adwokata?

— Nie, ja jestem ze wsi. . czy pani jest?

— Nie ma, poszła do kościoła — odpowiada że braczym głosem.

— Jakto, o drugiej, jeszcze w kościele?

— Ano w kościele — powtarza, zabierając się do zamykania.

— To proszę, oddajcie pani tę karteczkę, jak wróci!...

— Dobrze, słodki mój Jezu, oddam, oddam, dla czegoż nie!

Drzwi się zamknęły, a ja zaczynam rejterować na dół.

— Proszę pana! proszę! — woła znów ta sama

kobieta — pani jest i prosi... wróciła przez ganek, nie widziałam, jak szczęścia pragnę!

Wracam, wpuszcza mię do pierwszego, dość duże go pokoju, zapełnionego tak ciasno gratami różnej struktury i z różnych epok, że ledwo środkiem można przejść.

— To ty Jacku? — rzecze do mnie, wychodząc z drugiego pokoju, mała, garbata kobiecina z przekrzywioną giówką, ubrana cała czarno, niby żałobnik jaki,

bo nawet falbanka u czepka wdowiego jest także czarna. Twarz ma bladą i trochę nabrzęklą, oczów nie widzę, bo zakrywają je dwa ciemne szkła, wielkości talarów, z pośrodku których sterczy cieniutki nos, ściśnięty sprężyną okularów w ten sposób, że czyni wrażenie dziobatego puhacza...

— Ja, proszę ciotki — mówię, całując jej szorstką i zgrubiałą rękę.

— Nachylże się, niech cię ucałuję, mój synku... Urosłeś jak sosna, a ja, widzisz synku, idę ku ziemi. Nachyliłem się, babina chwyciła mnie rękami za skronie i pocałowała w czoło.

— No, siadajże i mów, co też tam u was... Wielkie państwo zawsze, prawda? A u mnie tu coraz gorzej; z pierwszego piętra przeniosłem się na drugie, bo ciężko żyć; wszystko podrożało, podatkami drą... a ja biedna wdowa żadnej rady sobie dać nie mogę... Opowiadałem jej pokrótce, jak i co jest u nas na wsi, oświadczając żal rodziców, że tak dawno, pomimo tylu zaproszeń, nie raczyła do nas przyjechać...

— Prawda, ośmnaście lat jak nie byłem u was i widziałam cię jeszcze ot takim dzieckiem. Póki nie było tej dyabelskiej kolei (tu się nieznacznie przeżegnała) mogłam podróżować po staremu, ale wozem anty

chrysta za nic nie pojedę... Koniec świata, mój Jacku, będzie niedługo, jeździ on już ognistym piecem. Wiara ciotki w owego antychrysta była tak wielką, że nio śmiałem nawet oponować, zresztą poważny i uroczy ton jej mowy niedopuszczał jakiegobądź za przeczenia. Milczałem tedy, a ciotka przypatrywała mi się uważnie i widziałem jej kłopot, że nie wie o czym ze mną rozmawiać.

— A umiesz ty dobrze pisać? — zapytuje mnie nagle.

— Moja ciociu — rzeknę na to obrażony — przecież skończyłem gimnazyum i kursą prawne.

— I prawo skończyłeś? Bardzo dobrze; dziś kaźdemu człowiekowi prawo potrzebne.

— Dlatego wstąpiłem na praktykę do sądu...

— Tylko pochwalić, bardzo dobrze!... widzisz wac pan ja jestem biedną wdową i mam tylko oto tę starą chałupę, a swoją drogą trafi się często mieć do czynienia z sądami... Teraz ludzie tak zepsuci, że niech Bóg bronii; obiecać, niedotrzymać, zarwać, szkodę zrobić i uciec — to chleb powszedni.

Ja stara i opuszczona, więc dobrze, że cię też tu Pan Bóg zesłał, bo mi pomożesz co przepisać, czasem meldunek w książce przeprowadzić... Znęcają się nademną kto nie chce... nikogo nie znam.

— Z największą chęcią, wyręcę ciocię.

Widziałem, choć przez owe talary, że błysnęło oko starej radością, bo podniosła się znowu, kazała mi się

nachylić i teraz już serdeczniej pocałowała wr czoło,
a ja znów w rękę.
Otóż kiedy się tak rozczulamy nad sobą, otwiera
ją się drzwi z drugiego pokoju i wpada młoda dziewczyna

na, czerwona jak upiór, z widelcem w ręku, na którym
sterczy jakiś czarny esik nakształt obwarzaneczka.
— A nie mówiłam cioci, że blacha pali. Oto ma
ciocia, takie są wszystkie obwarzanki... Co? ciocia mi
nie wierz... — i zobaczywszy mię, nagle urwała.
— A to tak zawsze! — przerywa z żywością, cio
tka — jak mnie tam niema... Zaraz musicie zepsuć,
spalić i szkodę zrobić... Funt mąki, cztery jaja... pa
trzażcie Jadwisiu, to mój bratanek Jacek — pół funta
masła... Jacek ze wsi... zabawże go tutaj, dopóki nie
wróce... Pewnieście zaraz drzwiczki zamknęli i ogień
z wierzchu złapał, bo w środku surowe... — mówiła idąc
do kuchni a przez drogę smakując ów spalony obwa
rzanek.

Zostaliśmy tedy sami, ona jakby przylepiona do
ściany tuż obok drzwi, które weszła, a ja w pozycji
trochę nachylonej o parę kroków od niej, bom jakoś za
pomniiał się wyprostować po ostatniej czułości ciotki.
Opisałem już jaką była Jadwisia i jak wyglądała zwy
czajnie, ale w tej chwili zupełnie była inną i przyznaję,
tak komicznie ubraną, że potrzebowałem całej mocy
ducha nad sobą, żeby nie parsknąć śmiechem. Panna
już dorosła i rozwinięta, miała na sobie w drobne kwia
tki sukienkę, ale tylko po kolana; niżej zaś spuszczały
się do samych wyciętych trzewików z bandażami na
krzyż, dwa cienkie białe woreczki z sutą i odstającą fal
banką, nakształt opierzenia nóg pewnego gatunku go
łębi... Stoimy tedy i patrzymy z boku na siebie, a co
dziwniejsza widzę, że i ona także zaledwie wstrzymuje
się od śmiechu. Nareszcie oboje nie mogliśmy hamo
wać się dłużej i wesołe puch, pich, cha, cha i ehi, ehi,
chi, rozlega się po pokoju. Co się ustatkujemy trochę,

to za sekundę zaczyna się taki sam paroksyzm i to po
wiadam państwu, z taką siłą i werwą, że ust wyprostowa
ć me mogę, a łzy zaczynają mi kapać z oczu.
Z czego się pani śmieje? — odważyłem się
przemówić pierwszy, miarkując nowy wybuch.
— A pan się z czego śmieje?
— Ja już wiem z czego, ale ciekawy jestem z cze
go pani? — odrzekłem, spoglądając po sobie i mojem

bardzo przyzwoitem ubraniu.

— I ja też wiem z czego, ale nie powiem; niech pan wprzód powie.

— Niech pani wprzód...

— A powie pan prawdę?

— Powiem, daję słowo honoru...

— Widzi pan — bąka napół zażenowana i napół jeszcze śmiejąca się: — „Jacek z pierogami...”

Nachmurzyłem się obrażony, nie pojmując co zna czyło owe: „Jacek z pierogami,” co spostrzegłszy panienka zaczęła nalegać, abym również prawdę powie działa. Nie otwierając ust, spojrzełem tylko na jej bocianie nogi w cienkich woreczkach, a ona już zmiarkowała o co idzie i zarumieniła się jeszcze lepiej...

— To ciotka Zuzanna tak mnie wystroiła — mómi z żalem, zastawiwszy się krzesłem — ale jak wuja kocham, od jutra, jeżeli mi nowej sukienki nie sprawię, kładę się do łóżka i nie wstanę... No, widzi pan, prawda, że ja przecież nie mogę się na śmiech ludzki narażać...

— Naturalnie, przed dwudziestu laty, pamiętam ubierali tak panienki.

Toż samo jej mówię codzień, a ona powiada: starsi rządzą, młodzi słuchają...

— Dziwactwo, nic więcej — mówię, przyglądając się panience — lecz niech mi też pani powie, co znaczy: „Jacek z pierogami?”

— Nasza służąca Dominika ma takie przysłowie, i jak się jej tylko zrobi jaka szkoda w kuchni, zaraz powiada załamując ręce: „Święty Jacku z pierogami...” Kiedym usłyszała, że pan Jacek, zaraz mi się przypomniały pierogi i z tego mnie śmiech porwał... Ale ja panu poradzę, nazywaj się pan „Jacuś,” to będzie ładniej. Na mnie także kanonik woła zawsze: Jadwiga, a jak się o to dąsam, to: Jagna, jakbym była pomywaczką... Tylko, widzi pan, na księdza wuja gniewać się nie można, bo on jest taki dobry dla mnie i taki wesoły, że cała moja radość, jak on tu przyjdzie na przegląd duchowego regimentu. Słyszał pan co o naszym regimencie?

— A z kąd? dwa dni jak przyjechałem tutaj.

— Są to przyjaciółki ciotki Zuzanny, pięć czy sześć starych nieznośnych kobiet, które tu co czwartek przychodzą na kawę... A najgorsza z nich to ta hrabina, która mnie grać uczy na klawikordzie i śpiewać różne pieśni... Widział pan mój klawikord, co?... Ot, stoi tutaj — rzecze, posuwając się koło ściany i zatrzymując przy chudem, starym pudle na cienkich nóżkach, podobnym do ważkiego a długiego stolika.

— To, to jest klawikord? — mówię.

— No, to, widzi pan, w tym końcu podnosi się kłapa — rzecze, podnosząc rzeczywiście ową kłapę, pod

którą pokazuje się rząd poźółkłych od starości i dobrze pogarbionych od używania klawiszów. — A jakie ma śliczne tony, co? słyszy pan: Myszy, myszy, która słyszy...

Uderzyła ręką w owe klawisze, a z wnętrzości owego stołu, jakby z podziemia, wydobyło się coś tak chrapliwiebrzęczącego, że znowu zaczęliśmy się śmiać oboje z całą swobodą.

— Prawda, że to szczególne jakieś brzękadło...

— Wuj kanonik kilka razy już mówił: trzeba Ja dwidze kupie fortepian; ale ciotka Zuzanna na to: na co? po co? i na tym się nauczy... ja się na nim uczyłam i dobrze było... Ciotka, wie pan, okropnie jest skąpa, niech Bóg broni wydać grosz na co... Jak przyjdzie regiment na kawę, to tylko ksiądz wuj i hrabina dostają ze śmietanką, a innym leje mleko, jak wuja kocham, same mleko... Powiada: i taka dla nich dobra, one się na śmietance nie znają... Mój panie Jacku... nie, nie, Jacusiu — poprawia się nieśmiało — jak też zobaczysz księdza kanonika, to mu powiedz, że to jest okropność takie kaszłące brzękadło... że to jest wstyd... tylko nie wobec regimentu, tylko jak ztąd wyjdziecie na ulicę, to niech pan idzie z nim ku domowi i powie mu: dobrze?..

— Dobrze, powiem, a może i o te, te, jak to się nazywa — dodaje, spoglądając na nóżki panny Ja dwigi.

— Proszę, niech pan się nie patrzy — przerywa zasłaniając się znowu krzesłem — bo jak wuja kocham, pójdę do kuchni i nigdy a nigdy panu się nie pokażę...

— A, bardzo proszę, jaby się naprawdę bardzo zmartwił...

— Eh! bo to prawda?

— Daję słowo.

— Więc niechże pan pamięta nie patrzeć na dół...

— A do góry można?

.Zapłonila się, oczy spuściła i zamiast odpowiedzi, rzekła do mnie, wstrząsając główką z tak żywym ru chem, że fala drobnych loczków rzuciła się jej ku twarzy;

— Pan ze wsi?

— Ze wsi.

— Ach! jakbym chciała być na wsi! Raz tylko pojechaliśmy ztąd o pół mili na odpust i tego nigdy nie

zapomnę. Wystaw sobie pan, zgubiłam w zbożu no wiuteńką parasolkę, rwąc bławatki, i zgubiłam rękawiczkę... Ach! co ja miałam za to, ale się wybiegałam i ubawiłam jak nigdy... Jedliśmy śmietanę u jednego chłopca w ogródku, pod drzewami, na zielonej misce i drewnianymi łyżkami... jak to smakowało... Potem re giment nasz rozstawił się na łące, graliśmy w obrączkę i ciocia także...

— Cóż tam znowu ciocia na placu? — daje się słyszeć głos pani Zuzanny, która z talerzykiem w ręku pokazuje się we drzwiach z kuchni. — Już widzę panna się rozgadała po swojemu... Prawda Jacku, jaka ona roztrzępana i dziecinna... letkiewicz będzie z ciebie, le tkiewicz, moja Jadwigo.

— Ale proszę cioci...

— No, no, no, tylko bez exkuzy... papla jesteś, a to brzydko... Jacku, spróbujno mego obwarzanka... blacha pali, powiadają, a to lekkomyślność pali... takich nigdy nie jadłeś, bo ja mam sekret od nieboszczki ma tki... Nie żenuj się, weź drugi — mówi podstawiając mi talerz, na którym były tylko dwie malutkie obrączki z ciasta, twarde jak suchary...

— Wyborne... tylko zdaje mi się, że nieco przypa lone z jednej strony...

Ha? może ona i trochę pali... Ot, wiesz co, pojdź, zobaczmy, bo ja się tam nie wiele znam na że lazie...

I ja się nie więcej znam! — dodają.

— Zawsze mężczyzna lepiej oceni.

Ruszyliśmy tedy we troje do owej kuchni, pełnej śwędu i dymu, gdzie mi ciotka kazała wsadzić głowę do otworu bratruury... Przyznaję, że tam nic szczegól nego nie zobaczyłem i nie poczułem, prócz gorąca, ale żeby poprzeć opinię Jadwisi, zawyrokowałem, że rura jest kompletnie przepalona. Widziałem, że ciotkę to bardzo zmartwiło.

_ Mój Boże, roku jeszcze nie ma, jak kazałam odmienić, a już się przepaliła... jakie to wyroby dzisiej sze partackie... Umyślnie kują jak z papieru, aby wciąż kupować i odmieniać.

— E, proszę pani, to już dwa lata, i mularz wsta wił starą blachę... — odzywa się jednooka kucharka...

— Stara lepsza jest jak nowa... wszystko co sta re, to lepsze...

— I ludzie tak samo, ciociu?... — wtrąciła Ja dwisia.

— Proszę cię, nie błaznuj!... No i coż tu robić z tą blachą — mówi dalej zaambarasowana — gdzie tu mnie starej kobiecie szukać majstrów, chodzić po skle pach... Widzisz Jacusiu, jaka ja biedna i opuszczona...

Coś mię podleciało żem zaofiarował swoje usługi,

które ciotka z całą skwapliwością przyjąwszy, kazała się znów nachylić i w czoło pocałowała. Wróciliśmy taty do pokoju, rozsiedli się na kanapie, i gdy przyszło do udzielania mi instrukcji owego kupna, pokazało się,

ie pani Zuzanna znaią się na rzeczy lepiej, niż my wszyscy.

— Oto — mówi mi —pójdiesz synku na tandetę, która się tam a tam znajduje i odszukasz kramarza Wolfisz, który z powierzchowności tak a tak wygląda. Nie zważaj, że inni będą cię zaczepiać, lecz wprost za pytaj Wolfisza, czy nie ma używanego blatu na wierzch kuchni z trzema otworami.

— Jakto, ciociu—przerywam—wszak idzie o rurę do pieczenia?...

— Gorączka jesteś, synku — rzecze z uśmiechem —z żydami zawsze tak się postępuje. Zapytasz o blat, on ci też będzie różne pokazywał. Oglądaj, przyganiaj a tymczasem upatruj między rupieciami rury mniej więcej takiej, jak nam potrzeba. Potem targuj się o blachę, narzekaj, że drogo żąda, lecz broń Panie Boże, nie mów ile dajesz... no, rozumiesz. Dopiero wychodząc z kramu, spytaj niby przypadkiem o bratrukę i coby też kosztowała... Oj, oj; nie wiem tylko, mój synku, czy ty potrafisz to wszystko — dodaje, obejmując mnie żalosem spojrzeniem — a jak tego wszystkiego nie zrobisz, żyd cię oszuka i obedrze.

— Spróbuję, ciociu, ja już się znam na targach żydowskich i nie dam się tak łatwo...

— To, to, to, bo każdy żyd jest oszukaniec i niech tylko zmiarkuje czego ty naprawdę potrzebujesz, albo że się nie znasz — zedrze. A ja, widzisz mój synku, na to nie mam...

Powtórzywszy mi wszystkie te i inne nauki, kiedy dym żądał, aby mi oznaczyła najwyższą cenę, którą dać mogę, wywijala się babina jak piskorz.

— Targuj się, synku, odchodź, ale broń Boże nie oglądaj się i zaraz wracaj. Jeżeli żyd każe cię gonić,

trzymaj się przy swojej cenie; jeżeli już przejdiesz brama a on nie goni, to wróć i jeszcze urwij z ceny przez mego żądanej.

— No, ale ostatecznie co dać?

Mój Boże — odpowiada z pewnym zakłopotaniem — czy ja mogę wiedzieć co znajdziesz i co to będzie warte?

Ani mi w głowie nie było iść za radą ciotki. Po szedłem, wybrałem targując się niewiele, ażeby już sta rusze zrobić przyjemność, trzecią część dopłaciłem z własnej kieszeni. Niestety, pokazało się, że jednak zostałem oszukany. Ciotka, obejrząwszy rurę skrupulatnie, znalazła w niej tyle wad, że podług niej i połowy nie była warta tego, co ja powiedziałem, jednakże zwróciła mi pieniądze, ma się rozumieć z taką niechęcią i prawie z wyrzutem, iż z tego naprawdę byłem mocno zawstydzony. W obronie mojej stawały Jadwisia z kucharką, wykazując, że w porównaniu z dawniejszą, rura ta jest znakomicie lepsza, ale zostały ofuknięte z dodaniem, iż są obie lekkomyślnymi i marnotrawcami.

Chcę być sumiennym sprawozdawcą z pierwszej wizyty u ciotki i opiszę dalszy ciąg historii owej rury. Wystawcie sobie czytelnicy, że skąpa owa staruszka ani myślała sprowadzać murarza dla przerobienia kuchni, lecz sama zabrała się do tej pracy.

— Ciociu — rzeknę zdziwiony — czy to ciocia potrafi?

— Święci garnków nie lepią, mój synku, wiele ten czyni co musi... Dominika, przynieśno gliny... A gdzie tu szukać murarza, no, czegoż patrzysz na mnie jak sowa, glina koło śmietnika w kąciku .. Ka

żden murarz to z powołania już pijak zawołany i bez bożnik — mówi zakrywając się podartym fartuchem. — Żaden majster tak przy robocie nie klnie jak murarz... Jadwisiu, ty mi pomożesz, prawda?... A zaraz kazał by subie dać najmniej dwa złote, a zkaźde ja tych złotych będą dobierała i jeszcze wódki trzy razy i pomocnika; a tak my we trzy zrobimy... Myślisz, że to co mądrego? Ot, wysunąć starą blachę, a nową na to miejsce wsunąć, gliną oblepić i koniec...

Myślałem że stara żartuje, ale widzę, że naprawdę bierze się do rujnowania kuchni i każe Jadwisi, która znać do takich operacji przyzwyczajona, odbierać zdej mowaną cegłę i delikatnie składać na podłodze...

— Możeby i ja co pomógł — odzywam się trochę zażenowany.

— Ty, taki pan, gdzieżby... Twój ojciec, to co innego. On nieproszony zarazby się wziął do roboty, bo to człowiek do wszystkiego zdalny. Musiałeś słyszeć nieraz jego opowiadania, że kiedy był w wojsku, co onto wycierpiał przy oblężeniu fortecy. Tak, tak, mój synku, inni to byli ludzie dawniej, nie tacy panowie, jak wy.

— Niech ciocia pozwoli — rzeknę — ja spróbuję.

— Daj pokój... idź, ty panicz, powalasz ręce...

— Ale proszę...

Spojrzała na mnie z pewną litością, a potem, niby

zmuszona natręctwem, odstąpiła na bok ..
— Czekaj że synku, trzeba się czym zasłonić. Idź,
zdejm katankę..
— Ależ przy paniach...

— Gdzież tu są panie?... Ja ciotka, Dominika,
Sługa; a Jadzisia dziecko... zdejm, bo szkoda ojca...
Drażniony w ten sposób przez szanowną ciotkę,
która mi wciąż papinkowate przyzwyczajenia zarzucała,
naprawdę wziąłem się do roboty, aby jej pokazać, że się
znam na tem i gdy chcę, wszystko potrafię.
Nie przeszkadzała mi, i owszem informowała jak
prawdziwy murarz, a że i ja, przypatrując się nieraz
robotom na wsi, wiedziałem jak się obchodzić z kielnią,
więc też choć po partacku, wlepiłem ową rurę.
Za to pomoc Jadwisi wynagradzała mi wszystko.
Żywe i roztropne dziewczę, gdy tylko ciotka wyszła
z kuchni, pozwalało sobie różnych figłów ze mną, a oko
liczność ta odrazu zbliżyła nas i spoufaliła ze sobą. To
mię niechcący posmarowała gliną, to zarzucała niezgra
bność, że cegłę trzymam jak drewnianymi palcami, to
znowu opowiadała w pocieszny sposób, jakto ciotka sa
ma przybija zawiasy do drzwi lokatorom i lata szyby
w oknach: słowem, rozwinęła tyle naturalnej i prawdzi
wie naiwnej kokieterii, połączonej z dowcipem, że wca
le nie czułem trudu ani wstydu przy robocie, która mi
się wydała bardzo przyjemną zabawą. Ile razy zrobi
łem coś niezgrabnie lub poplamiałem ubranie, wybucha
ła głośnym śmiechem, co naturalnie musiało mię że
nować.
Spostrzegłszy to, odrazu zaczęła żałować i prze
praszać, tak miłosiernie patrząc przytem w moje oczy,
że pod tem spojrzeniem zawstydzonych fijołków, rzuca
jących jednocześnie błyskawice wesołości, czułem, że ru
Imieniec występuje mi na twarz sadzami posmoloną,
a koło serca robi się tak coś przyjemnie, ale co nad wy
raz przyjemnie...

Gdyśmy już skończyli dzieło i wzajemnie pomogli
sobie do zmycia plam z gliny, pyłu i sadzy, co natural
nie nie odbyło się bez figłów, ciocia zaprosiła mię na
kawę.

— Oho! w wielkich pan Jacuś jest łaskach u cio
ci — rzece mi pocichu.
— Dlaczego?
— Dostaniesz pan kawy z prawdziwą śmietanką...

Tylko ksiądz wuj i hrabina dostępują tej łaski, jak pa
nu mówiłam; inni piją z mlekiem, któremu ciocia dora
bia kozuszek z opłatków masłem posmarowanych...

Widzisz, Dominiko, co się to dzieje!

Dominika rzeczywiście była zdumioną, a ciotka do
tego stopnia uprzejmą, że chciała mi koniecznie dolać
jeszcze raz owej prawdziwej śmietanki, gdym nieco upił
ze szklanki.

Wieczorem dopiero wróciłem do siebie z owej
pierwszej wizyty, a gdym się zastanowił nad odegraną
rolą murarza, przyznaję, że czułem się mocno upokorzo
nym w swej godności miejskiego eleganta. Coby powie
dzieli na to koledzy moi z sądu, gdyby ta sprawa na jaw
wyszła...

Zimno mi przeszło na samą myśl i krew z obu
rzenia uderzyła do głowy...

Niech ją tam Bóg sekunduje z jej majątkiem,
którego pewnie i nie ma; niech się matka gniewa a oj
ciec burczy, więcej tam nie pójdę!... Na dobitkę je
szcze złego humoru, spostrzegłem wielką plamę z gliny
czy sadzy na krawatce, którą dopiero wczoraj ku
piłem.

I rzeczywiście na drugi dzień nie poszedłem, cho
ciaż przed wieczorem, nie wiedzieć na co i po co, prze

e lowałem kilkanaście razy przed rudera ciotki, wpa
trując się w okno drugiego piętra. Czytelnicy nic wie
le sobie trudu zadadzą, aby odgadnąć co mi tam cią
gnęło, a do czego ja przyznać się nie chciałem.
Oto modre oczęta Jadwisi i ten pusty a szczery
śmiej jej, który niby sygnał elektryczny wciąż mi
dzwonił w uszach i powiem prawdę, nawet w nocy spać
nie dawał.

Trzeciego dnia poszedłem, jak zwykle, do sądu,
gdzie tego dnia pełniłem obowiązki protokolanta, ma
się rozumieć z powagą i namaszczeniem, którego mi
i stary sędzia apelacyjny mógł pozazdrościć. Siedzę
sobie tedy w sądowej sali, spisując zeznania, a tu we
drzwiach pokazuje się jednooka Dominika, tak brudna,
obdarta i niefortunnie dająca mi znaki, że rumieniec
wstydu oblał mi lica. Widzę, że woźny boryka się z nią
i do sali wpuścić nie chce, a ona w prostocie swego du
cha, mruga i mruga na mnie, ręką kiwa, abym do niej
wyszedł. Nareszcie, nie mogąc zwalczyć woźnego,
uprosiła, aby mię wywołał.

— Proszę pana dobrodzieja — szepcze mi taje
mniczo — ta baba ma pilny interes do pana...

— Niech zaczeka...

— Kiedy ona powiada, że coś bardzo pilnego, że
się eos zepsuło czy zepsuje, że jakaś ciotka Zuzanna...

Masz tobie, myślę sobie, pewnie się kuchnia ze
psuła i ciotka mię wzywa do reparacyi... Głupia baba,
jeszcze gotowa wygadać się przed woźnym, a wtedy by

waj zdrów, cały sąd może się o tem dowiedzieć. Zły tedy, proszę sędziego o chwilową przerwę i pędzę na ko rymarz gdzieś w głębi, prowadząc za sobą Dominikę.

— Pani też kazała bardzo pięknie prosić pana Jacentego, ażeby też pan Jacenty był łaskaw...

— No, co, zepsuło się?

— Mam w Bogu i Jego Najświętszej Matce nadzieję, że jeszcze nie, ale jakbym się długo zabawiła...

— Powiedz ciotce — rzeknę opryskliwie — że ja nie jestem majstrem i nie podejmuję się żadnej porawki, niech sobie ciotka zawoła murarza.

— Ale też pani kazała bardzo pięknie kłaniać się i bardzo pięknie prosić — powtarza znowu swoje, widać tak wyuczona — żeby też pan Jacenty był łaskaw...

— Nie będę łaskaw...

— To się panienka i pani bardzo zmartwią.

— Pał ich lichu, niech się zmartwią!

Baba spojrziała na mnie i przeżegnała się, słysząc to słowo lichu

— Dla wszystkich będzie kawa z prawdziwą śmie tanką, tak mi Panie Boże dopomóż, a wielkie to jest słowo. Panienka powiedziała, że jej urodziny i goście będą...

— Więc o coż idzie? — zawołałem zniecierpliwiony.

— Pani też kazała się bardzo pięknie...

— Dobrze, bez tego bardzo pięknie, co chcą?...

— Żeby też pan przyszedł po południu do nas na kawę...

— Więc tylko o kawę idzie?...

— A nie! Będzie, ale to wielki sekret — mówi nachylając się do mego ucha — wielki tort na przeta ku, który ksiądz kanonik przyniesie, będzie wino...

A kuchnia cała?

Stoi jak mur, a jak piecze... zobaczy pan obwarzanki...

Dobrze, przyjdę, podziękuj pani... — i wracam ucieszony do sali, że się tylko na strachu skończyło, a ja nie będę potrzebował murować.

Wystroiłem się we frak, białą kamizelkę i lakierki, a głowę kazałem ufryzować w baranka. Było podówczas w modzie ciasne ubranie, a że dla szyku lubiłem przesadę we wszystkim, więc nie mało musiałem

użyć trudu i pizezorności, nim szanowną osobę moją po trafilem bezpiecznie ulokować w owych ciasnościach. Rzeczywiście u ciotki była tego dnia wielka feta, bo wszedłszy, zastałem pierwszy pokój znacznie rozszerzony, dywan przed kanapą, a na kanapie siedzące rzędem cztery nieznajome mi damy, jak się zdaje, sam sztab owego regimentu, opisanego przez Jadwisię. Ciotka sama wystąpiła w czarnej jedwabnej sukni, z dyamentową broszką na piersiach, w okularach mniejszego kalibru i nieco jaśniejszej barwy. IZ całą powagą i etykietą wielkiego świata, przedstawiła mi siedzącym damom, które nie zmieniając sztywnej postawy swojej, raczyły skinąć mi głową. Zająłem miejsce obok klawikordu, a że szanowne matrony prowadziły dalej rozmowę o wczorajszym kazaniu księdza Filomena w kościele kapucynów, do której się nie wtrącałem, mogłem więc z całą swobodą przypatrzeć im się lepiej. Razem wzięwszy wszystkie z ciotką miały z pewnością więcej niż trzysta lat, a w postaciach swoich tyle braków, że należało być wielkim sztukmistrzem, aby łącąc braki jednych pozostałymi częściami drugich, złożyć choćby jeden komplet całej kobiety. Tak

nieprzyjemnej starości jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć nigdy w podobnej kolekcji. I tak: pierwsza z brzegu, chuda, z wysoko sterczącą głową nad pozostałymi, miała jedno oko w porządku, a drugie jakby na opak osadzone, to jest, że było w pionowym kierunku dłuższe, zamiast w poziomym, przytem tak strasznego wyrazu, że ile razy skierowała je na mnie, czułem dreszcz po plecach. Drugiej, której głowa już razem z czepkiem chowała się między ramionami, głowa ta nieustannie się trzęsła, ruchem mimowolnym i wielce nieprzyjemnym. Zdaje się, że musiała mieć z ośmdziesiąt lat, bo już dolna część szczęki nie przystawała do górnej, z powodu czego usta miała wciąż otwarte, a w tych ustach ani jednego zęba choćby na okaz. Trzecia, podobnie jak dwie poprzednie czarno ubrana, rumiana na twarzy, przez porównanie przedstawiała mogła tutaj obraz młodości. Była jednak kulawą, miała słuch przytępiony, dlatego też nieustannie zwracała głowę w tę stronę z której głos ją dochodził, przyczem mrużyła oczy i dłoń stawiała za uchem, jakby nią chciała nasztukować muszle tego ucha. Pani ta najwięcej była gadatliwą, a mówiła krzykliwie, pytając ciągle: no, jak? co mówili?—nie dosłyszawszy zaś odpowiedzi, uśmiechała się dobrodusnie. Czwarta wreszcie jest tą, którą Jadwisia nazywała hrabiną. Odrazu to poznałem, spojrzawszy na jej sposób zachowania się, sznurowanie ust przy mówieniu, sarkastyczny uśmiech wyższości i ciągle przykładanie do oczu lornetki, w szyldkretowej oprawie, którą z pewnym wdziękiem pańskim trzymała w trzech wydłużonych palcach.

Hrabina rzeczywiście byłaby najmniej brzydką z pomiędzy nich, gdyby się nie umalowała w sposób aż

nadto bijący w oczy. Rumieńce jej pomarszczonej twarzy miały czerwonocień buraka, bielidło odkrytej szyi nie wszędzie dochodziło, zostawiając żółte naturalne smugi; brwi uczernione nie pytały o symetrię. Hrabina jedna ubrana była w jasną, jedwabną suknię, popielatego koloru, w atlasowe centki, na której żółty kanarkowy szal z frendzlą, do połowy okrywał ramiona. Hrabina ze szczególniej szmem upodobaniem zwracała swoją lornetkę w moją stronę, i ciągle poprawiała siwe kółeczka włosów, którymi twarz jej od ucha do ucha misternie była ugarniowana.

Nareszcie z tacą, na której stała butelka z winem i kieliszkami, pokazała się solenizantka. Mimo dziwnego stroju, przypominającego aniołków ofiarujących wieńce na powinszowaniach, wyglądała prześlicznie. W białej, ale już dłuższej muślinowej sukni, z krótkimi rękawami, wydała mi się daleko wyższą niż przy pierwszym spotkaniu, i gdyby nie szeroka, jasno niebieska wstążka, którą jej przez ramię, nakształt orderowej wstęgi przewieszono, zgrabna jej figurka wydałaby się wdzięcznie. Na jasnych lokach głowy, toż samo, niewiedzieć na co umieszczono wianuszek ze sztucznych kwiatków, a drobne nóżki ubrano w niebieskie wycięte trzewiki z takiemiż bandażami. "Widocznie ciotka z hrabiną kierowały się tą modą z epoki swej młodości, podług której młoda panienska powinna mieć podobieństwo do anioła.

Widziałem, że panna Jadwiga niezmiernie była ucieszoną tym strojem, bo postawiwszy tacę na stole przed kanapą, odwróciła się do mnie z tryumfem, jakby mówiła: no, patrzaj, teraz śmieszniejszą niejestem.

Gdym ja wśród powszechnej ciszy, jękając się i obrzękając, składał już nie pamiętam w jakiej formie życzenia, ciotka ponalewała w kieliszki wina i porozstawiała przed każdym z gości, zachęcając do brania makaroników, których nie wiele było na talerzu. Podano i mnie i Jad wisi, ale do połowy tylko napełnione kieliszki, ze względu na naszą młodość.

Babiny wszystkie ochoczo wzięły się do tego wina, połykały po troszku, delektując się kwaśnym cienkaszem, a makaroniki maczały w winie z pewną dystynkcyą, co im widocznie do rozmiękczenia ciasta dopoma

gało. Maczałem tedy i ja, stosując się do zwyczaju, a Jadwisia krztusiła się nieustannie, co uważałem, ciotce się nie podobało.

— Delicje, prawdziwe delicje — odezwała się pani sędzina z krzywym okiem — takie wino piłam jeszcze u mego dziadka, konfederaty barskiego, który miał piwniczkę sławną w okolicy. Pamiętam jak się zjechała szlachta na świętego Piotra i Pawła, bo dziadkowi Piotr było na imię, to czasem wypili i dwie beczki...

— Dla mnie wstrętnym było zawsze towarzystwo pijackie — rzecz zwracając się ku mnie hrabina. Imaginationuj sobie aspan, że u księżnej Zajączkowej nigdy nie podawano wina... Matka moja, która żyła w wielkiej przyjaźni z księżną, zawsze mi mówiła: Felciu, przypnij się i nabieraj poloru, bo więcej dystyngowanego towarzystwa nie znajdziesz w stolicy. Pułkownikowa — mówi zwracając się znów do ciotki — pamiętasz zapewne księżnę Zajączkową, albo hrabinę Sobolewską, pani ordynatową...

— Widziałam je w m roku, gdy z cesarzową jechały na koronację.

Prawda, że wydekoltowane?

— Nie uważałam.

Dekolte z pewnością, na dworze taki jest zwyczaj... Sobolewska, później już jako staruszka, a za wsze wydekoltowana... Pamiętam na jednym zebraniu u księżnej Zajączkowej miałam suknię wyciętą tak... Hrabia Stanisław widział mnie wtedy poraz pierwszy i imaginuj sobie, hultaj nieraz mi mówił, że z tego mu się najlepiej podobałam... A hrabia był znawcą, imaginationuj sobie...

— Kto był znawca? kto? — dopytuje się głucha staruszka nazywana po prostu panią Martą. Hrabina udała jakby nie do niej to pytanie było zwrócone i nie odpowiedziała, czem nie zrażona staruszka, wzięwszy asumpt z tego wyrazu znawca, zwróciła się do ciotki:

— Nie było takiego znawcy i nie będzie — mówiła szepleniąc i ruszając całą twarzą — jakim był mój nieboszczyk ojciec. Bywało, staroscina Wolbromska wybiera się w drogę, każe wołać ojca z leśniczówki... Nikt się tak nie zna jak Kordasiński na obłokach... Itak było, bo ojciec tylko spojrzysz tu i tam, szczególnie na zachód i powiada... Ach, jakże on to mówił... krew znaj... nie, nie... patrzcież państwo, zapomniałam... A! mój Boże, jakże ja też pamięć tracę teraz, co to będzie na starość... Jakże on to mówił, aha: czuj duch, mościa staroscino, pogoda pewna na dwa dni... I wi Idzicie państwo, akurat była pogoda... Albo już kiedy mnie oddał na dwór starosciny w Siedlcach, to kiedy pierwszy raz weszła do sali, zgłupiałam. Tu obrazy i obrazy, tu makaty, tu lustra wenecjańskie od powały

do posadzki, jak kocham pułkownikową, na palec nie

było widać samej ściany... Ode drzwi, nie daleko ko mina, stała szafa wielka z różnymi figlasami z brązu... ai z tą szafą była historia doskonała... Stałam sobie pierwszy raz przy tej szafie... starościna z panną Ra czyńską piły polewkę z wina, a tu coś zaczyna mi nad głową kukać jak prawdziwa kukułka... Upatruję gdzie ta kukułka... nigdzie nie ma, gdy naraz kukułka ustaje, a tu mi huknie coś za plecami — odskoczyłam... Szafa, mówię paniom, zaczyna grać.

— Respektowe wspomnienia — odzywa się do mnie hrabina wzruszając ramionami, podczas gdy sta ruszka (widząc, że na nią nie zwracamy uwagi) dalej opowiada swoje zażywej sąsiadce:

— Pamiętasz Zuziu — mówi hrabina — tego ma łego pułkownika artylerji D., który miał żonę, niby gre nadyer z wąsami... musiałaś go znać.... Imaginuj sobie, kiedy oboje pokazali się na pokojach księżny Zają czkowej...

— Oho, już zajączki na stole! — daje się słyszeć we drzwiach donośny głos wchodzącego w tej chwili ka nonika. — Gdzie hrabina, tam i zajączki... Ściele się do stopek miłościwej mojej pani dobrodziejki.... Ho, ho, co ja to widzę, bal... A postawić na stole — rze cze, odwracając się do posłańca niosącego za nim jakiś pakiet serwetą nakryty...

Famulus w długim surducie, widocznie sługa kon systorski, ustawił ów pakiet, a kanonik otoczywszy go rękami, jakby chronił przed odkryciem, zapytuje wesoło:

— No, zgadnijcie panie, co to jest?

Wszystkie pięć głów skierowało się nad stół, gdy

najmniej cierpliwa Jadwisia próbuje pod ręką, jegomo ści, odchylając rąbek serwety.

— Zgadnijcie, bo inaczej, mosanie, nie odkryje...

Ty sroko — rzecze do Jadwisi — nie próbuj, bo klapsa dostaniesz... Ot, lepiej odbierz butelki od Jana i ustaw w kąciku, tylko nie tak łapes capes, ale delikatnie, mo sanie...

— Może pozytek? — rzecze dama z krzywem okiem...

— Kołacz — dorzuci ciotka niezmiernie zacieka wiona.

— Podobne do tego, ale nie... no, no, już blisko...

_ Tort! — zawołam przypomniawszy sobie taje mnicę Dominiki, którą mi dziś rano w sądzie powierzyła.

Ksiądz się obejrzał i dopiero mnie zobaczył.

— Dobry nos! a któż to ten młodzieniec?

_ Siostrzeniec mój — rzecze ciotka, przedstawiając mnie kanonikowi.

_ Dobry nos... no, patrzcie panie, tort! — mówi zdejmując serwetę, pod którą ukazał się dość obszerny przetak, a w nim na spodzie wspaniała tort z różnymi kolorowymi figlasami, i dużą cyfrą J. M., otoczoną konfiturą z rubinowych wiśni.

Widziałem jak wszystkim paniom, nie wyłączając hrabiny i damy z krzywem okiem, dolna szczęka trzęsła się jeszcze bardziej.

— No, a teraz zgadnijcie od kogo?

— Od wuja! — zawoła Jadwisia.

— Zbytki, kanoniku, zbytki — dodaje ciotka i za raz pyta co to kosztuje.

— Ale nie ode mnie, daję słowo, mosanie.

Gdy po kolei wszystkie damy wymieniały nazwiska znajomych kanonikowi osób, ja miałem czas przypatrzeć mu się bliżej. Była to niezmiernie sympatyczna postać, o dużej i okrągłej, pulchnej i rumianej twarzy, z mocno siwymi włosami, sterczącymi swobodnie do góry. Wzrostu średniego, trochę już podtatusiały kanonik, mógł mieć lat sześćdziesiąt kilka; ubrany był w długi surdut, jaknateraz rozpięty, a pod nim na czarnej, nieco poplamionej kamizelce, błyszczał suty łańcuch od zegarka. Kanonik widocznie ma wzrok krótki, bo ciągle przy mrużeniu oczu w sposób jakby się czemuś dziwił, lecz jak się rozśmiej, pocziwa i szczerą twarz jego promienieje tak dobroduszną jowialnością, że każdego od razu chwycić musi za serce.

— Otóż od samego księdza biskupa! — rzecze przerywając zgadywania kobiet...

Na ten wyraz księdza biskupa, znów wszystkie głowy zajrzały do przetaka; pani hrabina przyłożyła do oczu lornetkę, a wysokiej damie lzy rozrzewnienia pokazały się w oczach.

— Dowiedział się ksiądz biskup, że to są urodziny hi oj ej sroki, więc woła Ignacego i powiada: sprokurujno coś takiego, czego jeszcze świat nie widział. No, a teraz kto umie, niech wyjmuje z przetaka żeby nie ze psuć, bo ja się na to nie piszę.

Ciotka z hrabiną wzięły się do tej operacji, a kanonik, zmierzwszy mnie od stóp do głów swoim dziwnym się wzrokiem, powiada, klepiąc bez ceremonii po obu ramionach:

— A cóżeś się tak ciasno wyrznął, mój kawale

rze, naosendzieju. Niechże cię nie znam! Jacek ci na imię?

Jacek — mówię skonfundowany.

Bardzo ładnie, bo na co nam szukać obcych, jak teraz moda, Alfonsów, Emilów, Arturów, Hektorów, kiedy mamy, dzięki Bogu, swoich patronów... A ten pułkownik Z... to pewno krewny aspana?

— To mój ojciec...

— A, a, a! z respektem, mosanie, z respektem, dzielny żołnierz i bardzo szacowny mąż... Widywałem ja go na Saskim placu, mosanie; mówię ci, że jak spał konia, to wielki księżę pokazywał go zawsze palcem i mlaskał ustami... zuch był... wasy jak baty...

Tymczasem, po wielu trudach wydobyto na dużą okrągłą tacę ów tort biskupi, a kanonik skinął na Jadwisie, która się pokazała z kuchni.

— Pójdźno ty Jagna — rzecze przyciągając ją do siebie. — Mosanie, skończyłaś dziś szesnaście lat, urosłaś jak topola... wyszafirowałaś się jak cherubin, no, masz to na pamiętkę i Panu Bogu dziękuj, że ci dał zdrowie, a proś, żeby ci dał cnotę i rozum...

W pudełku, które wyjąwszy z kieszeni kamizelki, podał siostrzenicy, mieścił się złoty zegarek damski, z cienkim długim łańcuszkiem...

— Powiedziałam — rzecze na to ciotka — że kanonik psujesz dziewczynę i do zbytków przyzwyczajasz... Na co jej zegarek!... Kto to widział, żeby mężczyzna sam kupował takie drogie rzeczy dla kobiet; pewnie kanonika oszukali, bo was każdy i wszędzie oszuka... Pokażno Jadwisiu... bardzo ładny, ale tego nie można nosić... jak będziesz starsza, to dobrze, a teraz ja ci

schowam do kantorka... Co też kanonik zapłacił za to?...

— Mościa pani, co dałem, to dałem, niech tam hgdzie na sumieniu zegarmistrza, a ja tylko proszę, niech Jadwiga dziś ponosi...

Jadwiga więc zarzuciła na szyję łańcuszek, a po tem ręce swoje także na szyję kanonika i wycalowała starego, co się zmieściło.

— A co, ładna dziewczucha! — szepnie kanonik do ciotki, przypatrując się wdzięcznym skokom panienki, która nie mogła jakoś miejsca znaleźć na sukni dla umieszczenia zegarka.

— Pst — odpowiada ciotka szarpnąwszy kanonika za surdut — nie trzeba tego głośno mówić.

— Ba, ba! niby to ona sama nie zobaczy... wcale

ładna...

Tort stał na stole podziwiany przez damy, lecz ja
koś ciotka nie brała się do zaczynania; nalała tylko wi
na w kieliszki, zapraszając do picia, Kanonik skoszto
wał, ale postawił kieliszek.

— Coż to za kwasek?

— Francuzkie...

— To ja dziękuję, mosanie. Jadwiga, podajno
tam moją butelkę. Do tych Francuzów nie miałem ja
nigdy i nie mam inklinacyi. Poczęstuję ja państwo
naszym domowym miodem; akurat tyle lat ma co Ja
dwiga... a dajcie tu noża do owego tortu.

Staruszki prędko wychyliły owe delicje ciotki, ka
nonik im nalał miodu, lecz gdy zaczął tort krajać, cio
tka mu nóż odebrała.

— Kanonik krajiesz takie kawały, jakby to był
chleb razowy... trzeba delikatnie, w kliniki.

— Ja, mosendzieju, dziękuję za te specyały—rze
cze odsuwając położony mu na spodeczku kawałek.
Takie delikatne puchy to dla kobiet... Jeżeli jem co,
to chcę, mosanie, żebyś czuł że coś mam na zębach.
Ja — mówi zwracając się ku mnie—jestem chłop, to lu
bię, mosanie, chłopskie potrawy. Uraczysz mię prażu
chami, bigosem, kluskami ze słoniną, ale nie temi tam
facecyami z piany.

— Co też ksiądz kanonik wygaduje! — przerywa
nieco skrzywiona ciotka.

— A bo prawda, że jestem góral sobie prosty,
Grzegorz Marciniak z pod Żywca... i tego się nie wsty
dzą... Tak jest, pasalem za młodu bydło w Milówce
i brałem, mosanie, basarunki, gdy poszło w szkodę...
Wszystkie damy udały że tego nie słyszą, ale po
pijając miodek zaczęły o czem innem rozmawiać. Ja
dwisia nawet zarumieniła się lekko, kanonik jednak na
to nic nie zważał i kontent że ma ze mnie słuchacza
powolnego, w ciągu kwadransa wypowiedział wszystko
o sobie, jak będąc pastuszkiem u proboszcza w Milówce,
nauczył się ministrantury i służenia do mszy, jak potem
proboszcz chciał go wykierowac na organistę, ale nie
miał do muzyki żadnego talentu; następnie jak oddawał
go do szkół w Krakowie, a umierając zapisał zł.,
z którymi on poszedł do seminaryum i wyszedł na czło
wieka.

— Tylko, mosanie, z familią nie poszło mi dobrze.
Chciałem coś z tego zrobić, ale mi się nie udało. Sio
strę, którą wychowałem, wydałem za obywatelskiego
syna, dałem zapomogę raz, drugi i wszystko wzięło li
cho... Spekulował, mędrkował, rzucał się, a pieniądze
w rękach topiły mu się jak lód, aż w końcu umarł za

stawiwszy tę oto dziewczuchę. Siostra zagryzła się przy
mm i choć ją wziąłem do siebie, to w dwa lata oddała
Bogu ducha, a mnie ot, została ta jedyna pociecha, Ja
dwiga. Co z niej będzie, Bóg wieciec raczy, ale teraz
jedyna do głupstw i swawoli... Martwi mię tylko, że do
botaniki nie ma żadnego talentu.

— A na coż jej to? — przerywam.

— Człowieku, coż się ty pytasz! — zawoła kano
nik otwierając szeroko oczy. — Toż to, mosanie, nie ma
przyjemniejszego i użyteczniejszego zajęcia, jak zbiera
nie i poznawanie roślin... Bogactwo, mosanie, wszystkie
cuda łaski Bożkiej w ziołach się mieszczą. Tysiące lu
dzi już uzdrowiłem mojemu ziołami, które rosną wszę
dzie pod płotem, a nikt nie wie na co... jeschcem bydło
pasał, kiedy mię stary owczarz dworski nauczył pozna
wać różne zioła, które na co pomocne. Przyjdz kiedy
do mnie, to ci pokażę jakie ja mam zbiory i jakie le
karstwa,.. Patrz na tę starą sędzinę, chciałem ją z glu
choty wyprowadzić, ale ona tylko wierzy w doktorów;
niech sobie wierzy, mosanie, a zobaczy... Jaką ja mam
na rany maść, to niech się plaster bernardyński scho
wa... Zapytaj ile ja już ludzi z ran wygoiłem... Do
ktorzy powiadają, trzeba rznąć... rzeźnicy, oni się na
czem znają, a ja, mosanie, w tydzień ci każdą ranę za
goję... Co oni umieją? Krajać i tylko krajać... Ja,
uwrażasz, w żadne kawy, herbaty, wanile i tym podobne
zamorskie specyfiky się nie wdaję, bo czy to w naszym
kraju brakuje czego?...

— A coż ksiądz kanonik zamiast kawy albo herba
ty używa?

— Pałę żyto, suszę bratki, maliny, kwiat lipowy
i mam królewskie picie... I dzięki Bogu, zdrów jestem

jak lew .. Patrz, jaka moja ręka — mówi zsuwając do
gory rękaw — jak żelazo; no, pomacaj — a żadnych za
granicznych specyfików nie używam. Nie trzeba wiel
kiej filozofii, mosanie, żeby zrozumieć, że skoro nas Pan
Bóg na tej ziemi do życia przeznaczył, to tu wszystko
jest czego potrzeba. Kiedy ja ci na lato pojedę do me
go proboszcza, to mosanie, dwie mile zrobić tam i na
powrót dla mnie — nic. Dzieciaki naznoszą mi ziół,
a ja z tego przysposobię lekarstwo na cały rok...
Rozprawiając ze mną kanonik dolewał damom
miodu i cieszyło go to, że się im zaczynają rumienić li
ca, i języki rozwiązywać. Hrabina trzymając się za
wsze górą, lekceważąco traktowała inne i przy każdej
sposobności wyjeżdżała na piae z księżną Zajączkową
i innymi paniami wielkiego świata. To irytowało tro

che kanonika, więc też dogadywał babinie o ile się zda rzyło.

— Comi tam imość prawisz o jakiejś Baranko wej...

— Zajączkowej... — przerywa hrabina.

— Wszystko jedno, mosanie, zajączek, baranek czy tam królik. No, żeby to jeszcze był duży i cały zając, nie mówię, ale mosanie, zajączek, wielka racya.

— Bardzo przepraszam, bo ksiązę Zajączek znany był we wszystkich sferach naszych z tego...

— Ze siadywał na dwóch miedzach — dopowiada kanonik.

Pułkownikowa się roześmiała i reszta pan jej za wtórowała, a głucha sędzina śmiała się najbardziej, rozpytując siąsiadkę czy to o baranka wielkanocnego idzie, bo jej mąż nieboszczyk prześlicznie wyrabiał baranki z masła ze złoconemi rogami i oczami z pieprzu.

Miodek robił swoje, — wszystkim w głowach zaczęło być jaśniej, gdy więc po kolacyi zaproponowała ciotka, aby nam Jadwisia zagrała, hrabina objęła ster owego popisu, a my wszyscy zbliżyli się do owego dy chawicznego klawikordu. Wysoka dama, do której wi docznie dozór nad świecami należał, ustawiła dwa lichtarze, a że ciotka nie używała jeszcze świec stearynowych, tylko domowego wyrobu łojowe, wiecznie zapłakane, przeto, uzbroiwszy się w szczypce, co parę minut przechodziła z jednej strony na drugą i ucierała nosy tym niewiniątkom.

Jadwisia wybębniła z nut jakąś brylantynę z opery Sroka złodziej, która możeby się i nieźle wydała na zwykłym fortepianie, ale nie na takim brząkadle. Tu, powiedziawszy prawdę, wszystkie tony zdawały się kłócić z sobą i wymyślać jeden drugiemu, w sposób niemal karczemny, skutkiem czego utworzył się taki harmider, że niepodobna było słuchać.

— A coż to takiego było? — zapytuje kanonik stojący za krzesłami.

— Sroka złodziej!

— Frzyzmm się, mosanie, że naprawdę złodziejska to muzyka... Eh! do czego to podobne. Hurum burum, tyle krzyku i piszczenia aż strach... Jagna, słuchaj dziewucho, zagrajno lepiej co naszego: „Góralu z pod Żywca, pożyczno mi...” — nuci półgłosem... Ot, to mi muzyka, którą rozumiem, albo krakowiaka naszego, wiesz... Rata tata, tata...

— Jużto kanonik nie znasz się na muzyce — rzekła ciotka — ale ja jegomości powiadam, że Jadwisia gra prześlicznie, za co powinienes hrabinie podziękować.

Biję czołem, mosanie, pani hrabinie dobro
Zlejce... wiem o jej poświęceniu i pracy...
Może co zaśpiewasz, Jadwisiu? — odzywa się
hrabina...
Ba, dobrze, zaśpiewajmy, ale wszyscy — doda
je kanonik... Dziś wesoły dzień dla was, niech będzie
i śpiew...
Po naradzie ciotki z hrabiną i Jadwisią, wybra
no ze śpiewów historycznych Niemcewicza dumkę o Żół
kiewskim. Hrabina usiadła do klawikordu, przebiegła
palcami klawisze dla podania tonu pieśni, a ja się odsu
nąłem, usiadłszy zrazu na kanapce.
— A to co? — pyta mię kanonik.
— Nie umiem śpiewać tej pieśni: woję posłu
chać.
— Co znowu? — mówi, chwytając mię pod rękę
i ciągnąc do kompanii. — I ja nie umiem, a będę śpie
wał. Albo to popis jaki czy koncert, mosanie, my tu
wszyscy swoi.
— Ale kiedy i słów nie pamiętam — tłumaczę się
prowadzony siłą.
— Myślisz, że ja umiem... No, co tam! będziemy
bas trzymać i kwita... Ja przyznam ci się, okrutnie lu
bię śpiewy...
Zaczęliśmy tedy, Jadwisią dyszkantem, damy al
tem, a my z kanonikiem nibyto basem. Boże drogi!
jak sobie dziś jeszcze przypomnę ten koncert, tak nie
mogę się wstrzymać od śmiechu, było to bowiem coś
dziwnie karykaturalnego i krotochwilnego, że chyba na
karb działalności starego miodu można podobny ekspe
ryment wokalny policzyć. Jadwisią, chociaż nieco pi
skliwie, prowadziła rzecz swoją z pewnem przejęciem

się słowami pieśni, pięć staruszek nosowo drżącemi
i ledwie słyszalnymi głosy — ciągnęło rzecz swoje cał
kiem na seryo, pochrzając co chwila; za to kanonik,
nie mający najmniejszego poczucia muzycznego, sta
rym, lecz jeszcze potężnym głosem poprostu huczał, lub
jęczał, przytupując nogą i przybierając postawę teatral
nego śpiewaka; co do mnie, siłę się, aby mię było
słysać; chwyciłem więc nieznaną mi nutę, skutkiem
czego zawsze się spóźniałem.
— Na miłość Bożką, kanoniku! — zawoła hrabi
na po pierwszej strofie — okropnie fałszujesz!
— To nic, mosanie, to nic! — odpowiada śpiewa
jąc swoje — no, dalej, dalej i tak dobrze...
— Niepodobna słuchać...
— Niechno imość nie bałamuci! — przerywa za

palony śpiewak — no, dalej! jakże tam... Jechał Sie
niawski odważny i smutny... My nie uczeni.
Coż było robić; zaczęliśmy drugą strofę, przy kó
rej werwa śpiewacka kanonika jeszcze się bardziej roz
puściła. Ani sposób go było powstrzymać, dopóki nie
stańło na tem: „I laur na myrtu gałązkę zamienić.”
Tu dopiero odetchnął całą piersią i był kompletnie za
dowolniony.
Siedzieliśmy jeszcze ze dwie godziny, wypili kawę
a gdy wybiła dziewiąta godzina, ciotka wstała.
— Przepraszam państwa, ale na mnie czas spać! —
rzekła oddając majestatyczny ukłon wszystkim, co jak
na gospodynię, nie bardzo pasowało, ale coż było robie,
musieliśmy się rozejść do domu.
Przy wyjściu, Jadwisia szepnęła mi, żebym pomó
wił z kanonikiem o fortepianie i koniecznie jutro przy
szedł zdać sprawę, bo jest bardzo ciekawa. I bez zale

panienki, kanonik ani mię popuścił, lecz wzią
wszy pod rękę, prowadził aż do samej kanonii. Był
trochę rozdrażniony i to zgadnijcie państwo z czego?
Oto z zarzutu hrabiny, że nie ma ucha.
— Co mi tam stara babina będzie mówić o uchu,
— żalił się, zatrzymując cochwila na trotoarze. — Mnie
mówić, że ja nie mam ucha... Nie jedno, ale dwa mam,
chłopskie, co prawda, ale tęgie. Proszę cię, mosanie,
gdzie więcej człowiek może nauczyć się melodyi, czy
w mieście pośród krzyku, stuku, puku, czy na wsi wobec
Boga i natury. Dlatego też powiadani ci, mosanie, że
ta ich miejska muzyka funta kłaków nie warta... Ona
gra na klawikordzie jak kanarek wyuczony z pozytywki,
a ja melodyi słuchałem od największego mistrza, bo od
Pana Boga; dlatego też... niechno organista zacznie tam
coś fałszywie na organach, albo źle zacznie, to mnie
jakby kto miotłą po sercu poskrobał.
— Ja myślę — odzywam się na to, mając na my
śli prośbę Jadwisi — że temu najbardziej winien kła
wikord. Więcej fałszywego i rozklekotanego instru
mentu jeszcze nie widziałem.
— Wiesz ty co, kto wie, czy to nie prawda, że te
mu winien klawikord.
— Niezawodnie i dlatego panna Jadwiga, ucząc
się na podobnym instrumencie, nie może wiele ko
rzystać.,
— No, a jakże temu zaradzić?
— Kupić fortepian jak się należy... inaczej szko
da czasu i atlasu.
— Powiadasz kupić. A cóżby fortepian kosztó
wał?

— Są różne ceny, zdaje mi się, że za tysiąc dwieście złotych nie zły dostanie... panna Jadwiga ma ta lent...

— Tysiąc dwieście złotych!—zawołał kanonik, — Ależ to majątek... całe gospodarstwo chłopskie można kupić za te pieniądze... Tysiąc dwieście złotych — po wtarcza zdumiony i naraz uciąwszy rozmowę, podaje mi rękę na pożegnanie.

— Dobranoc, dobranoc, a przyjdźno do mnie kiedy, mój ty, przyjdź, zobaczysz jakie mam ładne zbiory.

Chociż aż nie było z czego, jednak wypadło zdać sprawę przed panną Jadwigą i na drugi dzień poszedłem. Ciotka przyjęła mię bardzo czule, nagadała mnóstwo komplementów, jak ja to zachwyciłem wszystkie jej znajome swoim zachowaniem się i wzięciem, po wyrecytowaniu czego, zasada nas z Jadwisia do stołki, żebyśmy przepisali jej na dwie ręce pozew, który trzeba było wręczyć zalegającym lokatorom. Pisaliśmy coś dwie godziny, ciotka dyktowała, trzymając kodeks cywilny w ręku, a znała się na tem lepiej niż nie jeden adwokat.

— Widzisz synku, — mój obrońca za każdą kopię Bóg wie coby sobie policzył, a ja na to nie mam. Każę zawołać woźnego i dam mu do wręczenia... może się zastraszą i zapłacą, a ja nie będę potrzebowała od dawać sprawy adwokatowi.

Jadwisia, jakkolwiek pisanie szło jej bardzo ciężko i z żydami, które nieustannie pokryjomu zlizywała językiem, jednak dotrzymała mi placu. Pisaliśmy też nieraz potem, jako koledzy z kancelaryi ciotki, za co nieraz byłem przedmiotem różnego rodzaju czułości

i zachwytów pani Zuzanny. Co dnia odkrywała szanowna ta matrona coraz nowe przymioty we mnie; to, że adwokat się zachwyca mojem pismem, że cały trybunał dziwił się i przypatrywał ślicznemu charakterowi, to znowu, że piszę ściśle, oszczędzając papieru, a zatem, że mam wszelkie warunki na porządnego młodzieńca. Na jednym tylko punkcie sprawunków, które obarczała mię coraz częściej, nie mogłem jeszcze dojść zupełnie do doskonałości. Co kupiłem, a kupowałem tylko u żydów—było drogie, choć Bóg jeden widzi, połowę moich dochodów poświęciłem tajemnie na dopłatę, aby tylko dogodzić ciotce. Dwudziestoletniemu chłopcu, jakim byłem podówczas, niezmiernie podobały się pochwały, nie dlatego że je wygłaszała ciotka, jak się zdawało z całą szczerością, ale że one podnosiły mię wysoko wobec Jadwisi, która mię miała za ideał wszelkiej do

skonałości. Takie same pochwały odbierałem w listach ze wsi, od matki, do której ciotka pisywała o moim prowadzeniu i zasługach, a gdym się raz poważyl uczy nic wzmiankę, że ciotka zanadto mię obarcza swojemi sprawami, odebrałem zaraz list z admonicjami ojca.

„Nic nie szkodzi, że Zuzanna wciąga cię do pracy, właśnie tego potrzebujesz, bo mężczyzna powinien być do wszystkiego. Korona ci z głowy nie spadnie, jak tam gwóźdź jakiś, albo zamek przybijesz; żadna praca nie ubliża, a ciotce robisz przysługę.” Matka znów doda wała zawsze w przypisku: „Cierp, mój Jacusiu, cierp synu, a za to będziesz potem szczęśliwy.”

Naprawdę, to ja już teraz byłem szczęśliwy, widując codziennie Jad wisie, do której mię wszystkie myśli i uczucia ciągnęły, jakby je gwałtowny wichur pchał w plecy. Ciotka z tytułu posiadania tej rudery, miała

setki interesów na głowie, a zatem do czynienia z mnóstwem interesantów, przed którymi drzwi się nie zamykały. Podziwiałem jej cierpliwość i wstrzemięźliwość, gdy przyszło targować się lub spierać z lokatorami. Po większej części byli to ludzie biedni i niezbyt sumienni, inni bowiem nie zajmowaliby tak nędznych i brudnych lokali w jej kamienicy. To też, gdy przyszedł pierwszy miesiąc, rzadko który zapłacił komorne, a ciotka na tym punkcie zbyt była niecierpliwa, i zaraz po dwunastej w południe, rozpoczynała pochód po lokalach, do pominając się, gderając, a na drugi dzień już posyłała nakazy. I dłużnicy też mają swoją filozofię; więc obrażeni, albo się wyprowadzali z ogromnemi hałasami, czyniąc ze złości różne psoty w lokalach, lub naciskani są downie, poprostu uciekali nocą, zabierając cichaczem swoje manatki. Dominika wprawdzie nocowała w tym czasie w głównej sieni, kładąc posłanie w poprzek drzwi wechodowych, pomimo to, potrafili niektórzy wyprowadzić się przechodząc przez nią. Staruszka, zwłaszcza jak ją poczęstowano z przyjaźni, spała jak zabita i nic nie wiedziała co się nad nią dzieje. Jeden nawet, pa miętam, lokaj bez służby, mieszkający na trzecim piętrze, na sznurach spuścił kufer i łóżko przez okno na ulicę, a rano zniknął jak kamfora.

Prócz lokatorów, odwiedzali często panią Zuzannę różnego rodzaju żydzi, z którymi dla odbycia tajnej konferencji, zamykała się w drugim pokoju, a my z Jadwisia mieliśmy wtedy prawdziwe wakacje... Do zabawy naszej nie wiele było potrzeba: napisała coś na kartecce, ja chciałem to koniecznie przeczytać — ona nie dała; ja goniłem, próbując wyrwać z rąk owo pisanie,

ona darła, albo chowała po kieszeniach, — ztąd gniewy, obraza, potem przepraszania i zgoda.

W adwent chodziliśmy do dnia na roraty i chociaż trzeba było wcześniej wstawać i trochę wymarznąć w kościele, jednak ani razu się nie spóźniłem, lecz przeciwnie, z największą przyjemnością śpiewałem z Jadwisia różne pieśni, wspólnie z jednej książki i przy jednej świecy. Dla popisania się przed ciotką, sprokurowałem latarkę z papieru, oliwą napuszczoną, która słała się jak mieszek i wybornie służyła za lichtarz. Tego rodzaju latarki, dziś używane do oświetlania ogródków przy festynach, dawniej robili studenci w szkołach, więc kiedy pierwszą taką zbudowałem, każda z dam towarzystwa ciotki, zapragnęła mieć podobną. Fabrykę założyliśmy z Jadwisia, a to dawało nam znów sposobność do wzajemnych figłów, chichotu, sprzeczek, a nawet i rywalizacji.

Nie zdając sobie sprawy z uczuć moich względem Jadwisi, wiedziałem tylko to, że było mi z nią dobrze i że każdego wieczora, wracając do swego mieszkania, myślałem o tem, jak i kiedy jutro ją zobaczę, co będzie my czytali na głos, o czym rozmawiali i co robili. Idąc za ówczesnym zwyczajem, przepisywałem dla Jadwisi wiersze różne, które tylko w rękopismach rozchodziły się między ludźmi, i pamiętam, nieraz do północy śleczalem, poprostu rysując literę koło litery, aby to piśmo miało podobieństwo do sztychu.

Nie umiem powiedzieć, czy ciotka widziała i oceniła wzajemny ten stosunek między nami, czy mu ta jemnie sprzyjała, lub chciała tylko sprytnie wyzyskać go na swoje usługi, dość, że nie przeszkadzała wcale naszym zajęciom, choć nieraz karciała surowo Jadwisie,

jeżeli w zbytcej poufałości pozwoliła sobie na jakiś wybryk, nie bardzo dla panienki właściwy. Inaczej na to zapatrywała się moja matka, gdy wyjechawszy na święta Bożego Narodzenia do domu, w bardzo naiwny i otwarty sposób opowiadałem jej o całym zajęciu naszym w domu ciotki Zuzanny.

— A coż to za jedna ta Jadwisia? — zapytała mię, patrząc bystro w oczy.

— Sliczna i wesoła panienka, siostrzenica kano nika.

— Młoda, czy stara?

— Szesnaście lat, ale to, mówię mamie, anioł.

Oczy ma szafirowe i takie rzęsy długie, niby frendzła jedwabna... przytem...

— Nie ciekawa jestem, co ona ma przytem. A ten ksiądz kanonik, to co?

— Bardzo przyjemny, szczerzy, dobry i uczony,

choć z chłopskiego stanu pochodzi.

— Z chłopskiego? — przerywa z pewnym skrzywieniem.

— Syn górala z Galicyi i wie mama, nie wstydzi się tego, owszem opowiada, jak będąc małym pasał by dło... dlatego mam szacunek wielki dla niego.

— Dosyć, dosyć — rzecz zamyślona — nie mam się czem zachwycać. Szczególna rzecz, iż ciotka podobnie sobie towarzystwo dobrała.

Po tej rozmowie, uważałem, iż cały ten stosunek mój z Jadwisią, mocno się jej nie podobał i że musiała to wszystko opowiedzieć ojcu, skoro parę razy również, mnie rozpytywał o kanonika, jego siostrzenicę, a przytem tak badawczo zaglądał mi w oczy, iż czułem jak rumieniec twarzy mi oblewa...

Rodzice moi, a szczególnie matka, hołdowała je szczerze zasadom tradycyi szlacheckich i dbała wielce o prozapię familijną. Dobra była, cnotliwa i miłośnica kobiety, ale zawsze nie szlachcic nie był takim człowiekiem jak my. Mogła go szanować, podziwiać, a nawet i lubić, ale na wiązanie się familijne z tego rodzaju osobami, nigdyby się nie zgodziła. Pomimo to nie czytała mi żadnych uwag ani zakazów, tylko ojciec przed samym wyjazdem, rzucił parę słów ostrzeżenia.

— Spodziewam się, Jacku, że w stosunkach z gościami Zuzanny, zachowasz się tak, jak na syna szlachckiego przystoi. Grzeczność i uprzejmość każdemu uczciwemu człowiekowi oddaj, cnotę uszanuj, ale dalszych poufałości i jakichbądź zobowiązań unikaj, jeżeli nie chcesz nas zmartwić.

Niebardzo ja zrozumiałem wtedy, o co to chodzi i do czego miała się stosować dyplomatyczna przemowa ojca; lecz okoliczność ta właśnie nasunęła mi myśl, która być może, nie tak prędko sama przyszłaby do głowy.

Oto: „czy ja bym się nie mógł ożenić z Jadwisią.”

Siedziałem na bryczce, otulony futrem, bo mróz był siarczysty, a jednak przypominam sobie, że wtedy zrobiło mi się nagle gorąco, a serce zaczęło bić jak młotem... „Losy zostały rzucone.” Z przyćmionych i mglistych blasków zorzy przed świtaniem, wyskoczyło na arenę życia mego słońce, którego promienie oblały na raz całe jestestwo. Nie mogłem się zorientować na razie wśród haosu nowych myśli, ale czułem że ogarniają mnie całego i wstrząsają całym budynkiem dotychczasowych marzeń.

I myśli te i rojenia, przycierając coraz wyraźniej i więcej określone formy, towarzyszyły mi w całej

podróży, odebrały sen w domu, a na drugi dzień, przy pierwszym spotkaniu z Jadwisią onieśmieliły jak studenta przy egzaminie. Biegłem tam z intencją zaspokojenia rozkoszy własnego serca, a tymczasem wszelkie z jej strony oznaki szczerzej radości rozbudziły we mnie dąsy, nie wiadomo za co i dlaczego... Naturalnie, że zasepienie się i pewien wyraz smutku, wywołany w ten sposób na twarzy dziewczęcia, znowu mię drażniły. Co ja chciałem od niej, za co się dąsałem, dalibóg sam nie wiem; dość, że zirytowany, rozdrażniony, pełen żalu opuściłem dom ciotki daleko wcześniej niż zwykle, a wróciwszy do siebie, płakałem całą noc, tak samo niewiadamo za co i po co. Gdym najgoręcej czuł, gdym ubóstwianą w duszy mej dziewczynę chciałem myślą zadusić w uściskach, — coś jednocześnie odpychało mię i kazało jej złośliwością dokuczać. I proszę was, czytelnicy, raczcie tu zrozumieć dziwaczną naturę ludzką, i usprawiedliwić kaprysy serca...

Dopiero w parę dni, gdy wszystko to przetrawiło się i wyklarowało we mnie, zacząłem się obwiniać o najczarniejszą niewdzięczność wobec tej niewinnej duszy. Spokój wracał i dawna zażyłość, chociaż więcej nieśmiała i ceremonialna niż przedtem, uregulowywała nasze stosunki. Ustały tylko sprzeczkki, oboje staliśmy się bardziej poważni i zamyśleni, a swoją drogą było nam dobrze. Zamiast dziennych pustot i swawoli, rozmowy miały teraz barwę więcej marzycielską i sentymentalną. Jadwisią wzdychała, często spoglądając na gwiazdy i przeczuwała że niedługo pożyje na świecie; mnie znowu napadała myśl szalonej rozpaczki, dla zabicia której brała ochota rzucić się gdzieś w wir walki, iść ze sztan darem w jednej, a ze szablą w drugiej ręce na armaty,

tak coś na podobieństwo Napoleona pod Arcole. Chciałem być bohaterem i jako taki zginąć na polu chwały. Otóż tak stały sprawy między nami, gdy zbliżał się dzień św. Grzegorza, dzień imienin kanonika, który w gronie jego przyjaciół zawsze był solennie obchodzonym. Ciotka, zwykle wypiekała na tę uroczystość różne ciasta i posyłała mu więcej kosztowne upominki, a teraz jak na złość dostała kataru i musiała położyć się do łóżka, więc też nudziła i zrzędziła, że trudno było z nią wytrzymać.

— Słuchaj synku — mówi raz do mnie — musisz mi kupić tabakierkę jaką bardzo ładną, dla księdza kanonika. Uważasz, synku, tak trzeba kierować, żeby to było efektowne i piękne, a nie drogie, bo mnie na drogi sprawunek nie stać. Pochodźno tam po mieście i poszukaj. Tu już na tandetę nie można, ale trzeba iść do sklepów chrześcijańskich, czy do jubilerów... a może

znajdziesz coś nowego i oryginalnego, bo ty masz dobry gust, synku.—Chodziłem tedy, zdawałem relacje, podawałem ceny, ale te były zawysokie.—Szukaj jeszcze coś tańszego, tak za dwadzieścia złotych najwyżej... pamiętaj Jacek, najwyżej, to jest, że staraj się taniej. Ciotka powiedziała że mam gust, a ja chciałem udowodnić że tak jest, chociaż wiedziałem i to, że do bry gust kosztuje. Szukałem tedy i znalazłem w świeżo odebranych przez kupca nowościach z Paryża. Były to tabakierki oryginalne z muszli, w kształcie jaja, kołoru tygrysiej skóry, brązowo centkowane. W miejscu, gdzie brzegi muszli zaginają się do wewnątrz, osadzoną była na zawiaskach w srebro, pokrywka także z muszli, misternie się zamykająca. Cacko to, podówczas nowość pełna oryginalności, nadzwyczaj mi się podobało, więc

nie zasięgając już dalszej informacji ciotki, kupiłem, za płaciwszy okrągłe złotych polskich trzydzieści. W drodze dopiero, biegnąc do jej mieszkania, przypomniałem sobie że ciotka nie chce droższego sprawunku nad dwadzieścia, więc myślę sobie: mała rzecz, powiem ośmnastcie, a resztę dla jej satysfakcji dołożę z własnej kieszeni, która, przyznać muszę, nie była w tej chwili bardzo obfita.

Jak postanowiłem, tak zrobiłem. Ciotce podobał się sprawunek, ale ceny, ośmnastu reńskich strawić nie mogła.

— Za co tyle pieniędzy dałeś, mój Jacku!... Jeszcze z ciebie wielki letkiewicz. Muszla taka nad moim rzem kosztuje parę groszy...

— Oprawa srebrna — mówię.

— Liche srebro, dajno mi nożyk — rzecze do Jądwi i zaczyna skrobać, obserwując pilnie. Najwyżej jej próby, ja się znam na tem...

Pomimo to oddała mi ośmnastcie złotych, nie przestając narzekać na zdzierstwo kupców i brak cierpliwości mojej, żem się dłużej nie targowałem. Za to kanonik, gdy mu w parę dni potem została tabakierka owa doręczona, nie posiadał się z radości.

— A, mój kawalerze — mówi do mnie — gdzieżeś ty, mosanie, tak piękną rzecz wynalazł?... Ależ to ładna, bo ładna i tabaka nie będzie wysychała i w kieszeni łatwo nosić.

Naturalnie, że nie chciałem wskazać sklepu, gdzie tę rzecz kupiłem, tłumacząc się, że nie pamiętam ulicy, że to mały zakład tokarski, słowem ni to, ni owo. Ale na drugi dzień przybiega kanonik do mnie do sądu.

— Bój się Boga, ksiądz regens i ksiądz oficyał
koniecznie chcą mieć takie tabakierki — rzeczy wywo-
lując mnie z sali — powiedz gdzie to sprzedają... Od
wczoraj pokoju mi nie daje jeden i drugi, tylko powia-
da: idź, kup, bo rozchwytają ludzie.

— Jest ich więcej — mówię na to.

— Zrób mi tę łaskę, dobrodzieju, kup. Masz tu
złotych i jeżeli można jeszcze dziś, to cię ucałuję
i ozłocę...

Coż miałem robić! Skoro się raz weszło na drogę
kłamstwa, trzeba było znów dołożyć z kieszeni i to pra-
wie dołożyć reszty zapasów jakie miałem. Tabakierki
muszlowe stały się w kółku naszym rzeczą niezmiernie
modną i tanią; zachwycono się nimi, noszono je na po-
kaz znajomym, dopytywano się gdzie ja odszukałem tak
bogatą kopalnię owych cudowności, a w rezultacie, gdy
nawet prezes naszego sądu prosił mię o kupno, musia-
łem się u jednego z kolegów dość znacznie zadłużyć.
W rezultacie, co nigdy mi się wprzód nie przytrafiało,
napisałem poufnie do matki, prosząc o przysłanie zasił-
ku wcześniej i więcej, niż zwykle od rodziców pobie-
rałem...

Ale to wszystko niczem było w porównaniu z fina-
łem, który niestety, w mojem życiu stał się ową bryłką
śniegu, stoczoną z wierzchołka lodowca. Zebraliśmy
się jak zwykle na czwartkową kawę u ciotki. Ja przy-
szedłem wcześniej dla uporządkowania rachunku z lo-
katorami, albowiem od niejakiego już czasu, pełniłem
formalnie obowiązki bezpłatnego zarządcy jej kamieni-
cy. Zastałem ciotkę w jak najgorszym usposobieniu:
tego dnia przegrała sprawę z jednym ze swoich lokato-
rów i kazano jej zapłacić nietylko kosztu procesu, ale

wynagrodzenie za najęcie pokoju w hotelu, gdzie się
wojowniczy ów pan, po wyrugowaniu go z zajmowanego
w domu naszym mieszkania, wyprowadził. Przytem
zaszło jakieś nieporozumienie z żydem faktorem, z któ-
rym miewała ona dość częste i tajne konferencye, albo
wiem najwyraźniej powiedziała mu na odchodnym, że
jest oszust i żeby się nie ważył więcej progu jej mieszka-
nia przestępować. Już i okulary ciemne zdjęła z nosa,
a biegnąc po pokoju, wdychała ciężko, zacierała ręce
i pomrukiwała.

Jadwisia będąca nieraz świadkiem podobnych
wzruszeń ciotki, dawała mi ciągle znaki, aby jej nie za-
czepiać, bo mógłbym spowodować hurzę. Fani Zuzan
na zwykle wtedy szukała tylko jakiegobądź pozorów, aby
się do tego przyczepić i dać folgę żółci, nieprzebierając
w wyrażeniach. Tym razem, podjazdowy atak rozpo-
czął się w kuchni z Dominiką, którego głośne rezultaty
dochodziły nas, niby forpocztowa pukania tyralierów.
Na to przyszedł kanonik pierwszy i to jeszcze z całym
zapasem dobrego humoru, a ten, jak uważałem, powię

kszał drażliwość ciotki. Po kanoniku pokazała się hrabina, z nieschodzącym z jej ramion żółtym szalem, po tem staruszka sędzina. Ksiądz poczęstował obie tabaczką, chwając się muszlaną tabakierką, a ta znów dała powód, że hrabina wystąpiła do mnie z prośbą o kupienie podobnej dla jej przyjaciela, pana rejenta z huty poteki.

— Imaginuj sobie, asan — rzecze przymilając się — twoja sława rośnie po całym mieście. Szukają sklepu z kądem te tabakierki pochodzą, ale go nikt znaleźć nie może. Filut z ciebie, oj filut, panie Jacenty... Chcesz się stać modnym i potrzebnym... więc kupże i dla mnie,

a ja ci z podziękowaniem pieniądze zwrócę i jeszcze coś więcej otrzymasz...

Już się nie dowiadywałem o to coś więcej, bo krowa pot wystąpiła mi na czoło. Grosza nie miałem prawie przy duszy, a ta znów każe mi kupować i dokła dać.

— Nie irytuj się — mówi dalej, widząc że milczę — bo to już takie jest przeznaczenie młodych kawalerów, że muszą służyć płci pięknej. Pamiętam, pewnego adjutanta, z czwartego pułku, imaginuj sobie, chłopiec jak bożek w opiętym mundurku, akselbanty sobie zawieszę i tak i tak, a generałowa S., która lubiła zawsze ładnych chłopców, animowała adjutanta naczelnego wojska...

— Oho! — przerywa kanonik — pewnie znowu Zajączka...

— Kanoniku, nie bądź tak dowcipnym, książe Zajączek już nie żył.

— Wszystko jedno, mosanie, ale księżna Zajączkówna żyła, to ona tu zaraz na piasie wyjedzie. I pewnie tabakę zażywała, a ten adjutant bożek, jak imość powiadasz, czyli prościej mówiąc bałwan, szukał dla niej tabakierki.

— Kanoniku, jesteś święta osoba, jako duchowny, ale czasami nieznośny. Dla ciebie tylko Żywiec i Miłówka są przedmiotami przyjemnych wspomnień, a imaginuj sobie, że są osoby z innego świata...

— Którym daj Panie Boże wieczne odpoczywanie — przerywa kanonik. — Dostyc mamy już biedy z tym kiepskim żyjącym światem, więc po co się interesować tamtym.

— Nie dasz mówie — odpowiada zadana i zwraca

ca się do mnie, abym dziś jeszcze nieszczęsną ową tabakierkę kupił. — Imaginuj sobie, kto ją zobaczy, powiada, że jest za pół darmo. Sędzia Poletkiewicz raz za granicą chciał kupić coś podobnego i powiada że żądał dwadzieścia franków...

Na to kanonik, wyjąwszy ową tabakierkę z kieszeni, zaczął jej się bliżej przypatrywać.

— Prawda, srebrne okucie...

— Z lichego srebra — wtrąca ciotka — najwyżej jej próby...

— Zawsze, mosanie, dość tego srebra i zdaje mi się, Jacku — mówi patrząc mi figlarnie w oczy — że ona musi grubo więcej kosztować. No, przyznaj się, młodzi ludzie lubią, mosanie, fanfaronować... No, no, powiedz prawdę?...

— "Właśnie taka sama kwestya zaszła z owym adjutantem — dodaje hrabina — ale kanonik dobrodziej nie dałeś mi dokończyć. Cośmy się z jenerałową nie naśmiały..."

— Kanoniku — rzecze ciotka z pewną żywością — słono zapłacona. Podług mnie, połowy tego nie warta. Jacuś ma to do siebie, że nie umie się targować; państwo w głowie, oj państwo!...

Mnie coś podleciało w tej chwili, aby się przyznać, tembardziej, że desperacya mię brała z powodu braku pieniędzy i braku końca tym zamówieniom, uważałem bowiem że już i stara sędzina nabiera ochoty, aby mi podobnie miły komis powierzyć.

— Zgadł ksiądz kanonik — odzywam się tedy, udając wesołego — i kiedy już państwo chcecie, to się przyznam. Rzeczywiście kosztuje więcej...

— A widzisz, mosanie, że ja się znam!... To tylko spojrzeć... no, no, ile naprawdę?

Wzdragałem się wymówić kwotę, ale jak mię zaczęła namawiać i zaklinać w swój szczerzy i dobroduszny sposób, powiedziałem, że trzydzieści złotych.

Zaledwie słowo to padło, patrzę, ciotka drgnęła i zdjawszy okulary oblała mię strasznym spojrzeniem poblądłych i burych jak u kota oczu.

— Jacek, nie kocham kłamców!

— Proszę cioci — zaczynam się tłumaczyć.

Ale ona już nie słucha, tylko powtarza wciąż swoje: Nie kocham kłamców, nie kocham, brzydzę się tem wszystkim...

— Toś ty, biedaku, mosanie — rzecze kanonik, śmiejąc się z mego zakłopotania — dobrze się wysypiał. Porachujmy, ileś już kupił... Moja, to jedna, dwie dla oficyna i regensa.

— Ja odstępuję od prośby — dodaje, sadowiąc się na kanapie hrabina i zawijając w swój szal żółty...

Trzydzieści złotych... dziękuję uniżenie... wielka łaska...

— No, ale gdy już tak jest — odzywa się kano

nik, dobywając tabakierkę z kieszeni — należy ci się od nas dopłata...

— Przepraszam — mówię — ja nie przyjmuję...

— Kiedy się słusznie należy i tyle warto... Co tam, mosanie, jakieś ceremonie; dość, że jegomość fa tygowałeś się dla nas kupując... No, no, proszę dwa dziecięcia cztery złotych ode mnie... inaczej nie przysta je... i spodziewam się, że wszyscy ci dopłacą. Na ciotkę, widziałem, uderzyły ognie. Trzęsąc się cała, postąpiła kilka kroków do kantorka, wydobyła kluczyki z kieszeni, lecz tak usta jej drżały i głowa się

ruszała, że w żaden sposób nie mogła trafić kluczykiem do otworu w zamku. Nareszcie szarpnęła kłapą kantorka, po za którą ukazał się rząd szufladek, jak to bywa w starych biurkach. Ja stoję jak na rozżarzonych węglach, a ona tam coś przewraca, wyjmując różne pakieciki z pieniędzmi. Dobyła stary płócienny woreczek, ale rozwiązać go nie może, więc zirytowana do żywego, zamyka napowrót kłapę i obracając się ku mnie, rzecz ochryplym głosem:

— Nienawidzę kłamców, bo kto kłamie, to wszystko może... To, to... jest niegodziwie... to jest...

— Pułkownikowo dobrodziejko — odzywa się kantonik — trochę za poważnie tę rzecz bierzesz. Intencja ci źle nie było, wiedząc, że imość jesteś oszczędna, chciał ci się przypodobać...

— A to właśnie najgorsze, to brzydki o nim świadczy!... Chciał się przypodobać... Rozumiem, aby potem mieć prawo do wdzięczności... Fe! taka interesowność w młodym człowieku, czatować na czyj majątek i łasić się w podobnie brzydki sposób... Oho, mój młody bratanku... koniec z nami! wiem już jakiś ty ptaszek... Wysługuje się, przypochlebia, oszukuje, kłamie...

Krew uderzyła mi do głowy.

— Proszę cioci — zawołam na to — wstrzymać się ze swojimi podejrzeniami. Przysięgam Bogu, ani w myśli mi powstało jakieś pragnienie jej majątku, dla tego wymawiam sobie wszelkie tego rodzaju podejrzenia, bo...

— Bo co? gotówes mię wybić, hę? — mówi z szyderstwem, opierając obie ręce na stole i zatapiając sobie oczy w mej twarzy... Kto potrafi kłamać i w ten

sposób się poniżać, to do wszystkiego gotów... Proszę

aspana dobrodzieja zapomnieć że masz ciotkę... pamiędzy nami wszystko skończone...

Próbował kanonik, próbowała hrabina umitygować rozszrozoną kobietę, ale ta dumnym gestem wstrzymała te usiłowania.

— Zegnam więc panią, ciotkę — mówię, biorąc kapelusz i kłaniając się wszystkim — i życzę, aby tak łatwo mogła zapomnieć o mnie, jak ja o niej zapomnę. Co odpowiedziała na to, już nie słyszałem, lecz za to zobaczyłem przerażoną i bladą jak marmur twarzyczkę Jadwisi, której przestraszone oczy zwrócone ku mnie, błysnęły jak dwie zamglone gwiazdy. Wybiegłem prawie nieprzytomny, potknąłem się na schodach i popędziłem prosto przed siebie, nie myśląc gdzie idę i co się ze mną stanie.

Było to pierwsze i nader dotkliwe cięcie losu w mem życiu, a tem boleśniesz, że niesprawiedliwe. Dziś, gdyby mi się coś podobnego trafiło, wzruszyłbym ramionami, uśmiechnął się gorzko i plunął na taki wybryk złośliwości chciwej kobiety. Ale w ten czas, gorąca krew młodości w żyłach grała i myśl o podobnej zniewadze, wobec ludzi obcych, zwłaszcza wobec Jadwisi, szarpała mię wewnątrz, o szaleństwo przyprawiając. Przypominam sobie, miałem ochotę wrócić zaraz do ciotki, powiedzieć jej że jest nikczemna, i tam zaraz w łeb sobie strzelić... Chodząc do późnej nocy po odлюдnych ulicach miasta, miałem czas wysnuwać w myśli coraz dziwniejsze projekta zemsty, w końcu jednak stanęło na tem, że napiszę do niej list piorunujący, na turalnie, pełen dokuczliwej złości i pogardy, do czego wszyscy młodzi i starzy mamy już tatent wrodzony.

Z tą mysią, układając sobie w głowie szereg od powiednich frazesów, około pierwszej wróciłem do mieszkania i ku wielkiemu zdziwieniu memu zastałem ojca.

— A, ładnie się panicz prowadzi! — wita mię stary we drzwiach — pierwsza godzina, a jegomość dopiero wraca do domu i to jak widzę, w stanie pewnego zaniedbania...

Rzeczywiście wyglądałem strasznie, to też w kilku słowach po przywitaniu, objaśniłem go co mi się przytrafiło...

Stary mój, dawny wojak, chociaż latami obarczony, w pewnych chwilach umiał się wyprostować jak to pola, a wtedy na łysej głowie jego, od czaszki do czoła, formował się dziwnego kształtu gładki trójkąt, gdy z boków jego fale zmarszczek układały się w wązkie bruzdowate zagony. Podobnie stało się i teraz; usłyszawszy o zarzucie siostry, jako ja czyham na spadek po niej, stanął, fajkę z ust wyjął, za wasy szarpnął i zaczął chodzić wielkimi krokami po pokoju.

— Słyszałem, że skąpa, ale nie spodziewałem się

żeby była tak głupia i zła... No, no, no... zobaczymy jutro... Ty po studencku się znalazłeś, podając niższe ceny, a ona... też przeholowała w skąpstwie... Teraz rozumiem dlaczego pisałeś do matki o pieniądze... Idź spać, nie ma nad czym głowy łamać, jutro pomówi my o tem.

Ale nim przyszło to jutro, miałem sześć godzin przed sobą do rozmyślenia, już nie nad złośliwością ciotki, lecz nad zerwaniem znajomości z Jadwisia. Jej

ostatnie spojrzenie tkwiło mi w pamięci tak, jakby je tam ktoś na wieki przypieczętował, a że wiedziałem przyjaźni kanonika z ciotką, nie wątpiłem przeto, iż jasne dni naszych rozkoszy już się ukończyły. Jednak że nie traciłem nadziei; zdawało mi się, że gdzieś mogę ją przecie spotkać, że pójdę do kanonika, wyznam mu moje uczucia dla Jadwisi, no i jakoś to musi się odmienić... zupełnego zerwania ani przypuszczałem. Tymczasem ojciec rano poszedł do ciotki i w pół godziny już był z powrotem, cały wzburzony ale milcząco.

— Każ zapakować swoje rzeczy — odzywa się do mnie — wieczór wyjeżdżamy.

— Gdzie, proszę ojca?

— Do domu. Już dosyć tej praktyki sądowej.

— Jakto, już ze wszystkim?

— Ze wszystkim. Każ zawołać tandeciarzy i sprzedaj niepotrzebne meble, ja za lokal do kwartału zapłacę, napisz podanie do sądu o uwolnienie, abyś na wieczorny pociąg był gotów.

Skamieniałem na te słowa... Jakto, ja mam po rzucić na zawsze tę dziewczynę, którą ukochałem nad życie, mam się jej wyrzec i więcej nie widzieć — to nie podobna! Żal, rozpacz i poczucie pewnego oburzenia i buntu, wstrząsały mną kolejno w ciągu jednej minuty, a jakkolwiek z moim ojcem nie byliśmy nigdy na stopie bliższej poufałości, jakkolwiek każdy rozkaz jego był mi dotąd prawem, odezwałem się śmiało:

— Ja nie mogę jechać.

— Coooo? — zapytał, stojąc przedemną w postawie człowieka, który nie znosi żadnego oporu. Milczałem drżąc cały, a ojciec rzucał mi w twarz płonąca błyskawicę przeszywającego wzroku, marszczył brwi, a trójką gładkiej skóry na czaszce zachodził mu siną barwą.

— Dlaczego nie możesz jechać?

— Bo czuję... że... że... serceby mi pękło — rzekłem z rozpaczą.

— Więc to prawda co mówiła Zuzanna, iż pozwaляєs sobie bałamucie uczciwą panienkę, igrając z jej sercem! Czy to takie zasady honoru i uczciwości wyniósł syn z mojego domu?

— Ciotka skłamała! — krzyknę oburzony — ja kocham szczerze, z całej duszy i serca Jadwisię.

— I dalej co? — pyta ojciec groźnie.

— I... i — wykrztusiłem słabym głosem — i chcę się z nią ożenić!...

— Mimo mej woli?

Milczałem.

— Ty, smarkacz z mlekiem na wąsach, nie mający pełnoletności... nie mający nic i będący niczem, ty chcesz się żenić? Nie, mój kochany: kto jest w podobnym położeniu i wie o tem, a poważa się rzucić okiem na uczciwą panienkę, jest albo fiksatem albo nieuczciwym. Dlatego proszę pakować manatki i marsz do domu.

— Dobrze — mówię żywo i śmiało, spoglądając w oczy staremu — pojedę, ale przysięgam ojcu, życie sobie odbiorę... wszystko mi jedno...

Popatrzył na mnie bystro i zdawało mi się jakby lekki, łagodny uśmiech przemknął mu po ustach. Po tem nałożył fajkę, zapalił, po pokoju się przeszedł, a mnie ten jego spokój pozorny, jakby ostremi brzytwą mi krajał po sercu.

— Jacku! — odzywa się wreszcie — pomówmy rozsądnie, nie jako ojciec z synem nieletnim, lecz jak ludzie honorowi i jak przyjaciele. Czy podobnym jest, czy możebnym, abyś się teraz w twym wieku mógł z tą panienką żenić?

— Ja nie wymagam żeby teraz, ale proszę, aby mi drogi ojciec nie odbierał nadziei. Ojciec ją widział, prawda? — mówię już z pewną iskierką otuchy.

— Widziałem, jest piękną jak bóstwo...

— Skoczyłem i pocałowałem starego w rękę, a kołana mimowoli zgięły się podemną...

— Ojczy drogi, nie gub dziecka!

— Wstań i słuchaj. Dziewczyna mogła pochwycić twoje serce, wierzę... jest bardzo piękna, idealnie piękna i spodziewam się pod względem charakteru godna twego uczucia. Nie zważam na jej pochodzenie. Matka ma swoje widzenia, ja swoje i może niczym nie miałam przeciw twoim zamiarom, gdybyś był człowiekiem dojrzałym i mógł dla niej być prawdziwym mężem i pod porą... Zastanów się nad tem i powiedz sam.

Zamiast odpowiedzieć, znów ucałowałem rękę i kołana starego.

— Więc stawiam ci warunek jedyny...

— Słucham ojca.

— Idę do kanonika, pomówię z nim, a co uradzi my wspólnie, to przyjmiesz ostatecznie bez żadnych zastrzeżeń. Zgoda?

— Zgoda! — zawołałem przepełniony dziwną nadzieją i życzliwością kanonika.

Ojciec ubrał się we frak i poszedł, a za dwie godziny powrócił z ożywioną twarzą.

— Wyrok krótki. Jedziesz na wieś, ztamtąd za granicę do szkoły rolniczej, a za lat cztery, jeżeli oboje wytrwacie w swych uczuciach — niech was Bóg błogo słaWi...

Nie było co oponować. Znałem ojca, że słowo jego jest skałą, której nikt nie rozbije; zgodziłem się więc, próbując wszakże, czy nie da się wyjazdu choć na jeden dzień odłożyć i wiadomości tej zakomunikować Jadwisi.

— Kanonik tego się podjął, uchwała taka zapadła, a jeżeli ona ma tyle dla ciebie miłości, co ty dla niej, cztery lata nie są wiekiem... Mateusz! — woła ojciec uchylając drzwi do przedpokoju — pakować mantelzaki moje i panicza.

Niecałe dwa tygodnie zabawiłem w domu na wsi, albowiem skoro nadesłano mi pasport, ruszyłem za granicę, z pewną otuchą w szczęśliwą przyszłość. Słowo ojca, że donosić mi będzie o zdrowiu i losach Jadwisi,

pewność, że po czterech latach podamy sobie ręce na całe życie, które będzie tak długie, jak cała wieczność, dodawało mi bodźca do pracy, którą chciałem zagłuszyć wdzierające się często smutne myśli.

A było to w pamiętnym roku ym, w którym szalała burza namiętności i pragnień, prawie po całej Europie. Niestety, nie ominęła i mnie. Zostałem porwany prądem, jak liche czółno z nad brzegów morza i doświadczyłem tego wszystkiego co lekka łódka na wzburzonej fali doświadczyć musi. Los pomógł wszystkim szyki i rachuby młodości. Nie cztery, ale piętnaście lat przebyłem na obczyźnie, wycierając wszystkie kąty u cudzych bogów, gdy zaś wróciłem do kraju, już ani ojciec, ani matka nie żyli. Wszystko co zostawiłem i ludzi i gniazdo rodzinne i młodości nadzieje, wiatr rozniał na wsze strony. Ciotka umarła, kanonik także nie żył, a co się stało z Jadwisia, nie byłem w stanie od nikogo się dowiedzieć. Ze starej tułaczki po Zachodzie, dostałem się znowu na Wschód, a kiedy wróciłem

w lat kilkanaście w swoje strony, już poczułem się tu całkiem obcym. Inni ludzie, inny świat. Przeszłość położyła się pokotem, jak świeżo ścięty łąn zboża, potem plony zebrano, pustą niwę zabrali inni, a mnie z dawnych czasów, zostały tylko jak sen wspomnienia. A do tych uroczych wspomnień młodości należy dotąd postać Jadwisi, która zawsze mi jest wierną. Ilekroć ból życia zanadto wpije się w stare rany, ilekroć straszne zwątpienie o przyszłości zacznie nurtować jak robak w próchniejącym drzewie, wtedy zjawia mi się we śnie anielska postać dziewczyny, z szafirów emi jak niebo oczami, z lasem bogatych loczków, drżących jak rosa poranna na jej figlarnej główce. I wstaję nazajutrz

pocieszony i odrodzony i świat nie wydaje mi się tak pustym, a choć w nim odszukać nie mogę podobnej do Jadwisi rusalki, to zawsze dumny jestem, że ja jeden kiedyś taki ideał znałem. Coż robić — wszak cały świat jest tylko jednym wielkim zawodem marzeń całej ludzkości, dlaczegóżby biedna jednostka miała mieć większe przywileje!..

KONIEC.